

K R Y M I N A Ł

WERONIKA MATHIA



ŻAR

Gdy spalisz się w ogniu tajemnic,
zostanie po tobie tylko popiół.



žAR

WERONIKA
MATHIA

ŻAR

Copyright © Weronika Mathia, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Aleksandra Deskur

Korekta: Ewelina Sikora-Chodakowska, Marta Akuszczyńska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Daniel Rusiłowicz

Fotografia na okładce: © robert_em | Unsplash

Fotografia autorki: © Justyna Wasiniewska

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67815-79-6-999

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

I

Dla mojego męża

CHOMIKO - WARNIA

1.

Dawniej

Dzień powoli się tlił. Lena siedziała z Rafałem na schodach. Stara niebieska farba odchodziła płatami z drewnianych poręczy. Schowali się w cieniu, na ganku tego straszego domu w Wilgach. Chodzili tam, kiedy chcieli być sami. Opuszczony budynek stał na uboczu sąsiedniej wsi, dziewczyna sama w życiu by tam nie poszła, ale z Rafałem mogła więcej. Wydawało jej się, że razem są niezniszczalni, że wolno im wszystko.

Włożyła krótką spódniczkę i drzazgi kłuły ją w uda, między jej stopami wędrowały mrówki. Jedna wspinała się po czarnych sandałach, które Lena kupiła kilka dni wcześniej. Suche powietrze nasyciło się zapachem traw, gdzieś w oddali słychać było zgrzyt pił z tartaku.

– Mama nie będzie zła, że przyszedł tu prosto z pociągu? – Rafał podał jej ciepłą puszkę z piwem, którą ukradł ojcu, żeby mogli świętować. Lena przyjechała z Torunia zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Kamień, który położyła na świadectwie, parzył w dłonie.

– Mówiłam, że odbierzesz mnie ze stacji. Skłamałam, że idziemy na pizzę.

Zatrzymała wzrok na palcach Rafała. Smukłych, delikatnych. Stworzonych do przewracania kartek w książkach i rysowania. Zmienił fryzurę, już nie układał włosów do góry, ale obciął je tak krótko, że wyglądały teraz jak delikatny meszek.

Rafał od dwóch lat dojeżdżał do technikum w Kotlinie, oddalonym o dwadzieścia kilometrów miasteczku powiatowym. Miał prowadzić zakład mechaniczny z ojcem, kiedy skończy szkołę. Dzisiaj wagarował, chociaż powinien być na praktykach.

Zrobił to dla niej. Nie widzieli się od trzech miesięcy.

– Smakuje? – Oczy Rafała się śmiały, a Lena próbowała zrobić głupią minę.

– Jest spoko – skłamała. Wypiła ciepłe piwo, bo zaschło jej w gardle, poza tym nie chciała wyjść na mięczaka. – Muszę w krzaki. – Poprawiła spódniczkę i ruszyła prosto w gęste rośliny przy studni.

Słońce natychmiast rozпалиło skórę dziewczyny. Jej skronie pulsowały, horyzont falował odrobinę za szybko. Kucnęła i odważyła się spojrzeć na stary budynek. Dom wyglądał jak jeden z wielu pustostanów w tej okolicy. Piętrowy, podpiwniczony, z czerwoną dachówką. Szary tynk odpadł w kilku miejscach i odsłonił stare cegły. Sprawiał wrażenie zwyczajnego opuszczonego domu. Ale to tylko pozory. Lena miała wrażenie, że środkiem kryło się coś niedobrego. Czula to całym ciałem, które mimowolnie się spinało, ilekroć patrzyła w puste okna, z których ziała czern. Słońce jakby na przekór tańczyło na brudnych szybach. Kłuło w oczy, które trzeba było mrużyć.

W miejscu drzwi wejściowych wisiał stary, wyliniący koc. Lena nigdy nie weszła do środka. Znała tylko drewniany ganek i podwórko. Na samą myśl, że miałyby wsunąć tam stopę, drętwiały jej nogi.

„Mówią, że jest nawiedzony” – przypomniała sobie słowa matki. Chciała wierzyć, że to głupie zabobony powtarzane z pokolenia na pokolenie. Odwróciła wzrok.

– Beznadziejne sandały. – Poprawiła skórzane paski. Ziarenka piasku przykleiły się do skóry.

Rafał gdzieś zniknął. Lena spojrzała na pusty ganek, na którym przed chwilą siedzieli. „Nie bądź głupia, na pewno jest na podwórku” – pomyślała i ruszyła ścieżką w tamtą stronę, omijając pokrzywy, które muskały jej łydki, zostawiając czerwone, swędzące bąble.

Przywitały ją cisza i bezruch.

Zardzewiała huśtawka, z której urządzali zawody w skakaniu, nawet nie drgnęła. Za to powietrze falowało. Gorące jak para unosząca się z czajnika, owiewało ciało dziewczyny. Biała koszula z kołnierzykiem kleiła się do pleców. Odpięła kilka guzików, potarła mokrą od potu twarz. Spojrzała na dom. W jednym z okien mignęła czyjaś sylwetka.

Rafał uśmiechnął się i gestem zawołał ją do środka.

– Hej – powiedziała bezgłośnie.

Pomyślała, że wygląda jak trup. Jak zombie z horrorów klasy B, z których się śmiali. Błada, spocona, ledwie powłóczyła nogami w jego stronę. Nie mogła uwierzyć, że wszedł do domu. Przecież wiedział, że Lena się boi. Spojrzała przez ramię na drogę, która prowadziła do ich wsi, i przeszło jej przez myśl, żeby uciec.

Ale coś przyciągało ją do tego domu. Coś kazało jej iść w jego stronę. To był ten sam głos, który kazał dotykać językiem bolącego zęba albo wziąć na rękę ropuchę, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest tak obrzydliwa, na jaką wygląda. Przecież przychodzili tu od wielu lat.

– Do jasnej cholery, razem możemy wszystko – powiedziała do siebie i wróciła na ganek ścieżką pełną pokrzyw.

Stała przy schodach. Drapała balustradę, niebieska farba wbijała jej się pod paznokcie, powodując delikatny ból. Lena słyszała, że Rafał chodzi po pokoju. Chyba przesuwiał jakieś przedmioty, otwierał szafki. Stare zawiasy jęczały. Podłoga skrzypiała.

Znowu stanął w oknie. Tym razem uniósł brwi, a jego mina wyglądała, jakby pytał: „Idziesz?”. Lena pokiwała głową, wzięła głęboki wdech i zaczęła wchodzić po stopniach. Liczyła w myślach oddechy.

Jeden. Wszystko się w niej skurczyło i spięło, kiedy dotknęła starego, brązowego koca w drzwiach. Wyobrażała sobie, że w środku żyją jakieś wstrętne robale. Od ilu lat tam wisiał? Dwa. Spojrzała na swoje stopy. Na sandały, które wpijały jej się w skórę, tworząc brzydkie czerwone pręgi. Trzy. Weszła do środka. Zatrzymała wzrok na brudnej, osmalonej podłodze. Podobno ten dom płonął. Ale nie tak, jak inne domy.

Ogień wypalał meble, żywność, książki. We wsi mówili, że to diabeł i jego żar. Tlił się tak długo, aż z przedmiotów zostawała garść popiołu. „Co, jeśli to prawda? Co, jeśli to zło nadal tu mieszka? I nas też spali?” – pomyślała.

Na wszelki wypadek postanowiła zostać blisko wejścia. Uspokoiła oddech i podniosła wzrok na czarne od sadzy ściany. Tam, gdzie wisiały obrazy i krzyż, farba wyglądała na nietkniętą. Żółty kolor wciąż był jaskrawy i nie pasował do pokoju. Na podłodze walały się puste butelki, leżało kilka przewracanych szafek, których ogień najwidoczniej jakimś cudem nie pochłonął. Wszystkie otwarte. Pomiędzy nimi lawirowało światło, rozświetlało brudne deski, kreśliło wzory na ścianach. Było w tym coś pięknego i przerażającego zarazem. Lena potarła ramiona. Miała gęsią skórę. Może od dziwnego uczucia chłodu, które ogarnęło ją, gdy tylko przekroczyła próg tego domu. Zapach kojarzył się z piwnicą w jej domu. Pomieszczeniem, w którym mama trzymała starocie i pudła z rzeczami po babci.

– Wiesz, że tak naprawdę tu nie straszysz? Wszyscy tu przychodzą poza tobą – powiedział chłopak.

– Ty też? Przychodzisz, kiedy mnie nie ma? – Lena stanęła niepewnie na środku pokoju. Zerknęła na wejścia do kolejnych pomieszczeń. Prześladowało ją dziwne uczucie, że ktoś tam jest. On ociągał się z odpowiedzią.

– Czasami. – Podszedł i splótł jej dłonie ze swoimi. – Zmieniłaś się – wyszeptał.

Musiała zdrzeć głowę, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Zastanawiała się, czy zawsze były takie niebieskie.

– Obcięłam włosy – zażartowała. Przecież nie o to chodziło. – Zresztą ty też.

Dziewczyna dokładnie widziała jego oczy, usta. Pachniał alkoholem. Pomyślała, że wypił więcej niż tę puszkę piwa na ganku. Wiedział, gdzie ojciec trzyma klucz od barku. Na pewno ukradł wódkę. Może stąd wzięły się te butelki na podłodze. Może wypił już tyle, że nie wiedział, co robi. W jego oczach Lena widziała niewyraźne odbicie zakochanej dziewczyny. Słyszała bicie swojego serca. Chciało się wyrwać i odlecieć. Przymknęła powieki. Głowę wypełniała jej goniąca myśl i wspomnień. Rafał przynosił w nich jabłka z sadu. Wgryzali się w słodki miąższ i rzucali ogryzki na dach stodoły. Odrabiali razem lekcje, ich łokcie ocierały się o siebie. Chodzili do sklepu. On niósł jej zakupy, ona całą drogę tańczyła. Tańczyła dla niego.

Czekała. Smakował latem. Słoną skórą. Słońcem. Lena czuła delikatne, gładkie dłonie na swoich udach, a potem wyżej, jeszcze wyżej. Rafał usiadł na podłodze i przyciągnął dziewczynę do siebie. Zdjął koszulkę i powoli rozpiął jej białą bluzkę. Oddychali jednym powietrzem. W Lenie coś otworzyło się i zamknęło. Uniosło i opadło. To coś nadchodziło falami i zostawiało po sobie głód. Chciała, żeby byli najbliżej, jak tylko się da. W sobie i dla siebie.

Wtedy wszystko zaczęło wibrować. Obraz przestał być statyczny, poruszał się razem z nimi. Światło migotało, mieniając się tysiącem iskier. Lena stała się jedną z nich. Rozedrganą drobinką, którą porwał wiatr. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Delikatny ból szybko ustąpił miejsca fali przyjemnych dreszczy. Zgubili tempo, zatracili się w przyjemności.

– Kocham cię, zawsze liczyłeś się tylko ty – szeptała, kiedy błędził ustami po jej ciele i na nowo nadawał mu rytm. – Kocham cię – powtórzyła.

Czas się zatrzymał i trzymał ją w szachu. Wszystko zwolniło. Słońce leniwie przesunęło się po oliwkowych ramionach Rafała. Lena nerwowo krążyła opuszkami palców wokół znamion na jego obojczykach. Oddychała płytko. Iskra spadła na podłogę, wypaliła się.

„Odpowie? Dlaczego nie odpowiada?” – myślała.

Serce biło jej coraz szybciej. W pewnym momencie miała wrażenie, że zagłuszyło wszystko inne. Starła się zachować spokój, ale czuła, że za chwilę porwie ją burza. Gdyby mogła, cofnęłaby czas.

„Idiotka” – pomyślała. Była pewna, że łączy ich coś wyjątkowego. Sądziła, że znaczy dla Rafała coś więcej niż dziewczyna, którą można przelecieć w opuszczonym domu. Oderwała się od chłopaka i poprawiła spódniczkę, włożyła bieliznę. Spojrzała na swoje nogi – brudne i poranione od starej podłogi. Zapięła guziki wymiętej koszuli. Sadza i piasek przykleiły się do materiału.

– Lena, przepraszam... – Rafał podniósł się z ziemi i zapiął spodnie.

„A więc to tak?” – pomyślała z goryczą. Łzy rozmazały jej obraz. Widziała niewyraźnie sylwetkę Rafała. Chyba rozłożył ręce. Lenie się wydawało, że idzie w jej stronę i chce ją przytulić. Czuła, że jeśli na to pozwoli, straci wszystko.

Uciekła. Najpierw schodami, potem ścieżką pełną pokrzyw za dom. Na podwórku przewróciła się i zdarła kolano do krwi. Biegła polami, lasem i wzdłuż ulicy. Biegła, jakby gonił ją sam diabeł. Zgubiła po drodze sandały. Płonął w niej ogień, którego nie potrafiła ugasić.

W swoim pokoju zwinęła się w kłębek i starała się wymyślić jakiś plan. Jak to wszystko odkręcić? Wymknęła się do łazienki, zdjęła ubranie i spojrzała w lustro. Myślała o tym, co się stało. Dotknęła palcami suchych warg. Przypomniała sobie dłonie Rafała na swojej skórze. Żaden chłopak nie dotykał jej w taki sposób. Nikomu na to nie pozwoliła.

Lena była pewna, że już nigdy nie będzie taka, jak wcześniej. To przez ten dom. Wypalił w niej ślad.

Wykąpała się i wróciła do łóżka. Próbowwała zasnąć. Mijały kolejne godziny, zrobiło się ciemno. Dziewczynę z odrętwienia wyrwało pukanie w okno, a potem cichy gwizd. To Rafał, wszedł na dach garażu, który przylegał do jej domu. Wypowiadał szeptem jej imię i stukał palcami w szybę.

– Lena, muszę z tobą porozmawiać – usłyszała. – Proszę cię, otwórz.

Naciągnęła kołdrę na głowę i udawała, że śpi. „Nie teraz” – pomyślała. Jednak kiedy była pewna, że go nie ma, podeszła do okna i je otworzyła. Na parapecie leżały świadectwo Leny i kartka z jej portretem, jednym z wielu, które Rafał narysował. Z tyłu dopisał: „Przepraszam”.

Oddychała głęboko. Świerszcze grały jednostajnie, zegar na ścianie tykał i wskazywał dwudziestą trzecią. Panowała jakaś dziwna harmonia. Nawet wiatr poruszał koronami drzew w równym, spokojnym rytmie. Dziewczyna wpatrywała się w dom Rafała, który sąsiadował z tym jej. Mieszkali przy głównej ulicy wsi, budynki niemal się przytulały. Szukała znajomej sylwetki w oknie na piętrze, ale gdy nic nie dostrzegła, położyła się spać.

Śniła, że daje mu kolejną szansę. Szeptał, że ją kocha.

W tym czasie Rafał wziął gruby sznur ze stodoły ojca i poszedł do nawiedzonego domu w Wilgach. Lena była ostatnią osobą, z którą próbował porozmawiać. To ona odnalazła jego ciało następnego dnia.

2.

Obecnie

Słońce świeciło w oczy, więc Lena złożyła dłonie w mały daszek i zmrużyła powieki. Przed sklepem ustawił się długi ogonek klientów. Niby market, ale wiejski i mały. Do środka mogło wejść tylko piętnaście osób. Większość z nich wychodziła z siatkami, w których pobrzękiwały szklane butelki. Lena sama chętnie wypiłaby schłodzone piwo, gdyby nie musiała wsiadać zaraz do samochodu. Ktoś uderzył ją w ramię, ale stała niewzruszona, jakby wrosła w betonową ścieżkę. Przez lata pracy jako dziennikarka nauczyła się podsłuchiwać i obserwować ludzi tak, żeby nie zwracali na nią uwagi. A teraz? Zero profesjonalizmu. Wpatrywała się w plecy chłopaka, a jej serce biło szybciej za każdym razem, kiedy rozglądał się na boki.

„Odwróć się” – prosiła w myślach.

Była tak blisko, że wystarczyłoby kilka kroków, a mogłaby dotknąć jego ramienia. Stał właśnie przy warzywniaku, który w sezonie rozkładano na świeżym powietrzu przy ścianie sklepu.

– Po ile te truskawki? – zapytał. Miał niską, ciepłą barwę głosu. Kiedy ekspedientka zanurkowała pod ladę, poczęstował się największym owocem.

Lena się uśmiechnęła. Też lubiła truskawki.

Spojrzała na swoje stopy i wyobraziła sobie, jak pokonuje dzielącą ich odległość.

Tylko co by wtedy powiedziała? „W końcu cię odnalazłam”, „Cześć, masz ochotę na kawę?”, a może to, co uwierało najbardziej: „Przepraszam, czy kiedykolwiek mi wybacysz?”.

A co on by odpowiedział? „Czekałem tyle lat”, „Chodźmy porozmawiać” czy raczej „Nie chcę cię znać”?

W sklepie Lena schowała się za wysokimi półkami i obserwowała, jak on lawiruje z koszykiem między regałami. Patrzyła, co kupuje, i zgadywała, co będzie jadł na kolację. Kanapki z szynką, serem i pomidorem? Chyba tak. Ucieszyła się, bo to dobry wybór. Lepszy niż główniane gotowe hamburgery albo parówki.

Szukała w jego sylwetce śladów przeszłości. Chodził wyprostowany i pewny siebie. Był wysoki i świetnie zbudowany. Może trenował? Skóra na bicepsach się uniosła, kiedy napinał mięśnie, przekładając koszyk z ręki do ręki. Miał bliznę na przedramieniu. Właściwie szramę, długą na dziesięć centymetrów.

Zabolało ją, jakby sama doświadczyła urazu, po którym została paskudna pamiątka. Czy był małym chłopcem, kiedy to się stało?

„Odwróć się” – prosiła w myślach, kiedy stał przy półce z chipsami i wybierał smak. Wziął do ręki solone, a potem odłożył je i sięgnął po paprykowe. Znowu się uśmiechnęła, ekstra cienkie, ona też lubiła je najbardziej.

– Czy może mnie pani przepuścić? – Lena usłyszała za sobą zdenerwowany męski głos.

Cofnęła się i zrobiła miejsce facetowi, który mógłby uchodzić za reklamę mody polskiej turystyki. Opięta na dużym brzuchu koszulka z wytartym napisem, krótkie bojówki i sandały wciśnięte na białe skarpetki. Kucnął przy przyprawach i zablokował jedyne wyjście z alejki, w której Lena zrobiła sobie punkt obserwacyjny. Kiedy w końcu udało jej się stamtąd wydostać, chłopaka już nie było w sklepie.

Wyszła na zewnątrz i poszukała go wśród ludzi, którzy stali w kolejce lub wchodzili do środka. Przestraszyła się, że rozpułnął się w powietrzu. Chociaż znała jego adres. Wiedziała, że chłopak istnieje i mieszka niedaleko. Po prostu pierwszy raz odważyła się go śledzić. Wcześniej kilka razy obserwowała z daleka jego dom, a właściwie zmurszały płot, który zasłaniał niski budynek ze zniszczonym dachem.

– Przepraszam. – Poczula na ramieniu czyjąś dłoń.

Lena miała wrażenie, że za chwilę wydarzy się coś ważnego. Zrobiła krok do przodu, a potem odwróciła się w stronę, skąd dobiegał niski i ciepły w barwie głos, który zapamiętała, mimo że słyszała go tylko raz, gdy pytał o truskawki. Poczula też ich zapach, bo siatka z owocami otarła jej się o udo, gdy chłopak próbował ją minąć.

Wzięła głęboki wdech i spojrzała w górę. Na twarde, męskie rysy twarzy z wyraźnie zarysowanym podbródkiem. Miał delikatny, ciemny zarost i mocno wykrojone usta. Wyglądał jak gangster z serialu telewizyjnego. Na szyi nosił gruby, złoty łańcuch z nieśmiertelnikiem, który kołysał się, kiedy chłopak przestępował z nogi na nogę.

Nawet nie spuścił wzroku. Patrzył pusto w przestrzeń przed sobą. Z jego miny Lena wyczytała zniecierpliwienie.

– To ja przepraszam – powiedziała cicho.

Minał ją bez słowa, a ona poczuła się niewidzialna i niepotrzebna. Sama nie wiedziała, czego oczekiwała od tego spotkania. Była dla niego obcą kobietą. Jedną z wielu osób, które stały w kolejce do sklepu. Nikim więcej.

Lena podeszła do samochodu i otworzyła szeroko drzwi. Położyła dłonie na dachu starego forda, który kiedyś należał do jej rodziców, i czekała, aż zaczną palić tak mocno, że będzie musiała oderwać je od gorącej blachy. Ból fizyczny powoli rozpuszczał to, co bolało w środku. Patrzyła, jak chłopak odchodzi. Pot sływał jej po plecach, a jego sylwetka robiła się coraz mniejsza, aż w końcu zniknął za zakrętem.

Wsiadła do samochodu i czekała chwilę, aż jej oddech się uspokoi, a podmuch klimatyzacji obniży temperaturę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio lato było takie gorące. Spojrzała przez okno na skrzące się w oddali przeredzone pola rzepaku. Przez kapryśną pogodę

i przymrozki część roślin zamarła, a to, co przetrwało, błagało o odrobinę deszczu. Wyschnięta, wyblakła trawa na poboczu trzeszczała, jakby trawił ją ogień. Liście żółkły i widać było, że większość z nich nie doczeka jesieni. Owoce i warzywa szybko robiły się przejrzale. Ten brak równowagi w przyrodzie przełożył się na ceny. Wszyscy narzekali, że jest coraz drożej, a Lena pisała dla lokalnej gazety artykuły o tym, że to nie koniec. Że będzie jeszcze gorzej.

Zwróciła uwagę na błękitne niebo, bezchmurne i bezkresne. Idealne dla spektaklu, jaki na wieczór szykowała natura. Lena czytała, że tego dnia ma nastąpić pełnia Gorącego Księżyca. Przez kilka następnych dni srebrny glob znajdzie się wyjątkowo blisko naszej planety. Zaświeci o trzydzieści procent jaśniej i będzie o jedną czwartą większy niż przez resztę roku. „Gorący Księżyc pocałuje Ziemię” – ułożyła w myślach tytuł. Nie chciała tego przegapić.

Powoli ruszyła przed siebie i skierowała się w stronę Górską, swojej rodzinnej wsi. Musiała jechać zaledwie pięć kilometrów, ale przez pogodę ciężko było wysiedzieć nawet te kilka minut. Kiedy między Wilgami a Górskiem mijała nawiedzony dom, mimowolnie spięła mięśnie. To miejsce przywoływało złe wspomnienia. Mogła patrzeć na drogę lub obejmować wzrokiem drzewa przy jezdni, nie musiała na niego patrzeć.

Tylko że on patrzył na nią. Czarne, puste okna, które błyszczały w słońcu. Niebieski, spróchniały ganek. Wydeptana trawa i kłosa wokół domu, które świadczyły o tym, że koszarne miejsce nadal cieszyło się powodzeniem. Drzwi nie zakrywał już stary koc, a płyta pilśniowa.

Lena włączyła radio i przez resztę drogi próbowała nie myśleć o tamtym miejscu. Wjechała przez otwartą bramę na podwórze i zaparkowała w cieniu stodoły. Powrót do domu rodzinnego zawsze oznaczał powrót do przeszłości i w pewnym sensie do Rafała. Spojrzała na sąsiednią posesję, gdzie nadal mieszkali jego rodzice. Piętrowy domek kiedyś wyglądał jak kopia jej domu.

Kiedyś.

Teraz budynek przypominał zjawę z przeszłości. Zaniedbaną kobietę, która od lat nie przeglądała się w lustrze. Okna, choć czyste, nie doczekały się wymiany na nowszy model i z drewnianych ram odchodziła biała farba. Na dachu leżały zaschnięte liście i pnącza czegoś, co w przeszłości porastało dom. Na szarym tynku pojawiła się sieć szczelin. Drobne pęknięcia, których nikt nigdy nie zakleił.

„Gdybyś tu był, wszystko potoczyłoby się inaczej” – pomyślała kobieta ze smutkiem i poszła do domu.

Chciałaby, żeby przywitał ją zapach rosołu. Mieszanka bulionu z dużą dawką lubczyku z ogrodu. Kilka razy próbowała odtworzyć ten smak i nigdy się nie udało. Mama była świetną kucharką. Teraz w domu pachniało co najwyżej zwietrzałą kawą. Dawniej mama zrobiłaby dla Leny obiad i zapytała, jak było w pracy, czy wywiad się udał i gdzie będzie mogła go przeczytać. Pewnie przewiesiłaby ścierkę przez ramię i niezadowolona zauważyłaby, że córka spaliła sobie ramiona. „Zapomniałaś użyć kremu!” Tak by powiedziała.

Lena od razu ruszyła po schodach do góry. Położyła dłoń na dębowej, przyjemnie chłodnej poręczu. Drewno, którego latami dotykali ona i rodzice, stało się w końcu idealnie gładkie. Zapukała do pokoju syna.

– Ty wariacie! – Kobieta usłyszała zza drzwi dziewczęcy głos i śmiech. Zaczęła się zastanawiać, czy ma gościa.

– Proszę! – krzyknął Jasiek. Dźwięk zniknął. Syn siedział zgarbiony przy komputerze i montował kolejny film. Na ekranie mignął obraz długich, czarnych włosów, zbliżenie na usta. Chłopak szybko wyłączył monitor i odwrócił się na krześle.

– Tadam! Wróciłam! – zawołała Lena teatralnie. – Stęskniłam się.

Jasiek nic nie odpowiedział, wstał i podszedł ją przytulić. Mocniej niż zwykle, odrobinę

za długo.

– Widzę, że brakowało ci mamusi – próbowała żartować.

Lena przyglądała się jego ciemnej karnacji i orzechowym oczom. Był taki wysoki, że sięgała mu ledwie do ramienia. Założył koszulkę z logo Realu Madryt i jeansowe szorty, które były o wiele za luźne. Zawsze był szczupły, ale kobieta pomyślała, że podczas jej nieobecności zrobił się jeszcze chudszy. Przez tydzień mieszkał sam, pewnie zapomniał o obiadach i jedynym ciepłym posiłkiem, który przygotowywał, była zupka chińska. Wyglądał też dojrzałej, z jego twarzy zniknął łobuzerski błysk, tak bardzo lubiany przez matkę. Zamiast niego pojawiło się coś nowego. Lena nie potrafiła tego nazwać, ale odniosła wrażenie, że jest smutny i za wszelką cenę stara się tego nie okazać.

– Zaraz ci wszystko opowiem, mam dla ciebie prezent. – Nachyliła się do walizki i zaczęła rozpinąć zamek. Zgodnie z tradycją, zawsze gdy wyjeżdżała na dłużej pisać reportaż, przywoziła mu najbardziej obciachowy gadżet, jaki udało jej się znaleźć na stoiskach z pamiątkami. Tym razem była to figurka zezowatej owcy, która trzymała w zębach miniaturową ciupagę. Próbowwała wymacać ją palcami. – Mam! – Podała synowi prezent zawinięty w papier. Czekała na żart, dowcipną ripostę w jego stylu.

Przyglądał się figurce z nieobecnym uśmiechem i w końcu rzucił:

– Fajna.

Lena poczuła rozczarowanie. Naprawdę długo szukała czegoś, co rozbawi ich oboje.

Jasiek postawił owcę na parapecie. Kobieta niechętnie spojrzała w tamtą stronę. Gdyby stanęła tam i odciągnęła firankę, zobaczyłaby dom Rafała. Puste okno w jego starym pokoju. Nachyliła się do walizki i pozwoliła, żeby włosy zakryły jej twarz. Zamknęła zamek, manewrując nim przy bagażu odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

– Udało ci się wykroić czas na zwiedzanie? – zagadnął Jasiek.

– Jasne. – Jeden głęboki wdech i już mogła z nim rozmawiać. Wyciągnęła z kieszeni telefon. – Myślisz, że bym sobie darowała? Być w Tatrach przez tydzień i nie zdobyć ani jednego szczytu?

– Chyba żartujesz? Nie mów, że robiłaś zdjęcia komórką! – Udawał, że ma zawał, i pokazał ręką na półkę, na której stało kilka aparatów fotograficznych. – Przecież wiesz, jak używać lustrzanki. Nie wierzę, że to mówię, ale chyba jesteś uzależniona od telefonu.

Zaśmiali się. Im dłużej Lena patrzyła na syna, tym lepiej się czuła. Jasiek miał dar do rozładowywania emocji. Kiedy dawno temu kłóciła się z jego ojcem, potrafił ich pogodzić jednym gestem albo spojrzeniem. Był jak plaster na stłuczone kolano.

– Daj, wrzucę na ekran.

Wziął od mamy komórkę i podłączył do komputera. Przewinął serię zdjęć, które zrobiła na potrzeby artykułu dotyczącego budowy nowej drogi, która miała pozbawić setki ludzi pracy i spokoju. Po chwili patrzyli na góry. Majestatyczne skały, na których igrał światłocień, w takiej skali wyglądały jak kamyki o ostrych brzegach rzucone przy tafli jeziora, ale oboje doskonale wiedzieli, ile czasu potrzeba, żeby wspiąć się na jeden ze szczytów.

– Byłaś na Małej Wysokiej? – Jasiek od razu rozpoznał na zdjęciu panoramę Doliny Staroleśnej.

– Tak, i weszłam na szczyt od strony Łysej Polany. – Lenie przeszło przez myśl, że to głupie, ale czuła się dumna. Prawie trzydziestokilometrowa trasa zajęła jej cały dzień marszu. Następnego dnia bolały ją mięśnie, o których istnieniu nie miała pojęcia. Wciąż czuła zakwasy pod kolanami. – Przez to wróciłam o dzień później, niż zamierzałam. Przepraszam. – Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie ją ścisnęła.

– Spoko – mruknął Jasiek i przełączył na następną fotografię. Kiedy zrozumiał, na co

patrzy, zaczął się śmiać. Szczerze, z głębi. Jak dziecko, któremu ktoś właśnie sprawił największą frajdę w życiu. – Nie wierzę, pamiętałaś?

Lena oczywiście pamiętała dziwną zabawę, którą Jasiek wymyślił lata temu. Chciała mu sprawić przyjemność, zanim ich życie się zmieni. Zastanawiała się, czy kiedy jej syn dowie się o wszystkim, nadal będą potrafili rozmawiać swobodnie. Jak zmieni się ich relacja i codzienność?

– Tutaj seria dziesięciu najbardziej niedopasowanych butów, potem nakryć głowy. A na końcu cała kolekcja dziwnych ubrań. Moim zdaniem wygrywa cekinowa sukienka wiązana na szyi, ale to już sam oceń.

– Aż żałuję, że nie byłem tam z tobą. – Jasiek zatrzymał wzrok na kobiecie, która próbowała wspinać się po ścieżce w wysokich czółenkach z kokardą. – Aua. Nawet nie chcę myśleć, jakie musiała mieć potem zmasakrowane stopy.

Lena proponowała mu wyjazd, ale Jasiek wolał pracować nad etiudą na konkurs. Marzył o karierze operatora filmowego. Wiedziała, że kiedy syn miał w ręku kamerę, działo się coś magicznego. Potrafił wyłapać światło, którego nikt inny nie dostrzegał. Uchwycić zwykłe momenty, z których tkął niezwykłą historię. Całe życie wspierała jego zainteresowania i teraz też nie chciała stawać im na drodze. Czuła, że może mu zaufać i powinna to zrobić, choć jeszcze nigdy nie zostawiała go samego w domu na tak długi czas. Jasiek przeprowadził się do Górska tylko na rok. To nie było proste, bo musiał zostawić starych znajomych i szkołę w Warszawie tylko po to, żeby ostatnią, maturalną klasę kończyć w niewielkim liceum powiatowym w Kotlinie.

Jasiek przewijał zdjęcia na monitorze i zatrzymał się na kadrze, który pokazywał chłopaka ze sklepu. Jego lekko pochyloną sylwetkę, jak gdyby sięgał po coś, co spadło na ziemię. Tło za nim było na tyle neutralne, że zdjęcie mogło zostać zrobione w każdym miejscu na świecie. Lena poczuła, że w dole jej brzucha zaciska się węzeł.

– On mi kogoś przypomina – powiedział Jasiek i przechylił głowę.

„Kogo?” – pomyślała. „Czy widzisz w nim siebie?” Zastanawiała się, czy to dobry moment, żeby podjąć rozmowę. Układała ją w głowie całą drogę powrotną. Kilka godzin wymyślonych dialogów. Jej argumentów i jego odpowiedzi. Wydawało się, że jest przygotowana na wszystko.

– Znajdziesz czas dla mnie po kolacji?

– Kurczę, ale jutro, dobra? Jest taka impreza w Wilgach... – Nie patrzył mamie w oczy.

Lena wiedziała, że syn nawiązał w nowym miejscu kilka znajomości. Miał dziewczynę, spotykał się z Kasią Kwiatkowską. Ale żeby imprezy? W stylu techno, w wielkim blaszanym hangarze, gdzie latem gromadziła się młodzież z Wilg, Górska i innych okolicznych wiosek? To do niego nie pasowało.

– A mógłbyś zostać? Naprawdę mi na tym zależy.

– Jutro. Mam już plany, okej? Umówiłem się z Kaśką. Właściwie to muszę się zbierać. – Wyłączył komputer i wzruszył ramionami. Dał do zrozumienia, że skończył rozmowę.

Lena udała, że nic się nie stało, i poszła do swojego pokoju. Rzuciła walizkę na łóżko i poszła pod prysznic. Nie chciała się kłócić z synem, chociaż wyprowadził ją z równowagi. „Trzeba było nie zostawiać go w domu samego na tydzień. Ciesz się, że ma plany, a nie siedzi całe dni przed ekranem” – pomyślała.

Potem zeszła do kuchni. Od kiedy nie było w niej rodziców, nie miała ochoty gotować. Wrzucała w siebie byle jakie jedzenie, na stojąco, w pośpiechu. I niestety tak samo robił Jasiek, o czym świadczyły rozgardiasz i brudne naczynia w zlewie.

– Chłopaku, ale zaszalałeś. – Podeszła do zlewu i część kubków przełożyła do zmywarki,

włączając ekologiczny program mycia. Potem napełniła dzbanek wodą i podlała wszystkie kwiaty, o które tak bardzo dbała jej mama.

„Zwiędnie” – pomyślała smutno, krusząc w dłoni wysuszone liście paproci.

Rodzice odeszli niemal w tym samym momencie. Najpierw mama, dwa miesiące później tata. Kiedy ona zmarła, Lena z Jaśkiem wprowadzili się do niego i pomagali mu utrzymać dom. Nie przemyślała tego, nie zakładała, że tu zostanie. Po prostu miała pracę zdalną i mogła to zrobić.

Dwa dni przed śmiercią ojciec wyjawiał Lenie tajemnicę, która sprawiła, że rozważała pozostanie w Górsku na dłużej. Od tamtej chwili miała nowy cel. A właściwie dwa.

Wybaczyć rodzicom, że tak długo ją oszukiwali, i wybaczyć sobie, że na to pozwoliła.

Stała w progu kuchni, opierając się o framugę. To było jej ulubione miejsce w domu. O tej porze światło kładło się na dębowych szafkach, wydobywając ich głęboki, miodowy odcień. Lena poczuła ciepło rozlewające się po ciele. Wróciły dobre wspomnienia. Kakao w kubku z pierwszej klasowej wycieczki nad morze, kanapki z twarożkiem i szczypiorkiem, które tata przygotowywał każdej niedzieli. Kolekcja chwil, do których lubiła wracać, kiedy w środku wszystko wołało o ratunek.

Wyobraziła sobie, że przy stole siedzi chłopak ze sklepu. Może czyta jakiś magazyn motoryzacyjny albo pije kawę w swoim ulubionym kubku. Tak, bo ma swój ulubiony kubek i krzesło. Pewnie wybrałby to, z którego widać ogród. Obok niego siedzi Jasiek i przegląda film na poręcznej kamerze. Jest cisza, ponieważ nikt nie czuje z jej powodu zakłopotania.

Odtwarzała w pamięci twarz tego chłopaka. Linie szczęki, kształt nosa i układ oczu. Spodziewała się kogoś średniego wzrostu, delikatniejszego, a spotkała młodego byczka o męskiej, twardej urodzie. W tym wypadku wyobraźnia ją zawiodła. Ale może to lepiej. Może te wszystkie złe rzeczy, które przychodziły Lenie do głowy, też nie były prawdą?

Ale mogło też być inaczej.

Co, jeśli miał złe życie? Co, jeśli nikt o niego nie dbał? Czy ktoś czytał mu bajki? Czy ktoś go kochał? Czy chodził spać głodny? Czy się bał?

Lena przypomniała sobie bliznę na jego przedramieniu i historię maltretowanego chłopca, o którym kiedyś pisała. Pewnej nocy dziecko uciekło i torami przeszło piętnaście kilo-metrów w poszukiwaniu ratunku. Jego oczy wyglądały jak oczy przestraszonego zwierzątka. Najgorsza była rozmowa z policjantem, który znalazł tego chłopca.

„On nic nie czuł, nic go już nie bolało. Widziała pani kiedyś stopy dziecka, które chodzi godzinami po ostrych kamieniach?”

Lena usiadła na krześle.

– Spokojnie – powiedziała, kładąc dłoń na sercu. Ale ono nie chciało słuchać. Lata poświęcone medytacji i terapiom w takich chwilach to za mało.

Pobiegła do góry, do swojego pokoju, i znalazła w torebce tabletki uspokajające, które nosiła przy sobie „na wszelki wypadek”. Od lat te wypadki były coraz rzadsze, ale teraz Lena ich potrzebowała. Wyjęła z opakowania dwie pastylki i popiła nalewką, którą przywiozła dla siebie i nie zdążyła wcześniej wypakować. Wzięła ją do ręki razem z telefonem. Usłyszała, jak Jasiek krzyczy „Na razie!” i trzaska drzwiami.

– Na razie – szepnęła. Z okna swojego pokoju widziała skrawek ulicy i chodnika, na który właśnie wchodził. Odwrócił się jeszcze i wydawało jej się, że ich spojrzenia się spotkały, choć przecież to było niemożliwe. Nie mógł jej dostrzec.

Dopadło ją zmęczenie, na które złożyły się godziny spędzone za kierownicą, upał i silne emocje. Poczula, że też musi wyjść. Potrzebowała powietrza.

Stała przed domem, kiedy na horyzoncie pojawiły się pierwsze zwiastuny zachodu słońca. Ciemność dotarła na skraj nieba i zerwał się wiatr. Lena czuła, jak podnosi jej włosy

i rozrzuca na wszystkie strony, jak owiewa jej ciało. Usiadła na ławce za domem, niedaleko drzewa, na którym wronia mama założyła rodzinę. Patrzyła na kobietę zdeglustowana.

„Tylko bez szaleństw, tutaj są dzieci!” – wykrakała obrażonym tonem.

– Daj spokój – powiedziała Lena pojednawczo, siadając. – Ja tylko na chwilę.

Przyłożyła butelkę do ust. Pierwszy raz, a potem kolejny. Gorący Księżyc w superpełni rozświetlił podwórko. Kobieta miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie był tak blisko. Wyciągnęła w jego stronę dłoń i ułożyła tak, żeby utworzyła koszyk. Przymknęła powieki i dała się porwać złudzeniu, że trzyma go w ręku.

– Mam cię, mały. I już nikomu nie oddam.

CHOMIKO – WARNIA

3.

Obecnie

W Wilgach o tej porze roku kręciło się sporo turystów, którzy wybrali wieś jako miejsce wypadowe do okolicznych parków krajobrazowych. Od razu się wyróżniali. Począwszy od modnych fryzur, markowych ciuchów, kończąc na drogich butach. W drodze do domu Marcel naliczył co najmniej pięciu chłopaków w szpanerskich adidasach. Tych lubił najbardziej.

Siatki wbijały mu się w opuchnięte dłonie. Czuł sok z truskawek ciekący po udzie. Torba na zakupy musiała być dziurawa. Męczył się, nie lubił wysokich temperatur. Ludzie w sklepie zachowywali się jak bydło. Napierali na siebie, przepychali się.

Podkoszulka przesiąkała potem, złoty łańcuch na szyi palił skórę. W połowie drogi do domu pojawiło się znane uczucie w podbrzuszu. Zaciśnął szczęki. Chociaż ojciec zmarł kilka lat temu, ciało reagowało tak, jak Marcel je wyszkolił. Mięśnie się spięły, słuch wyostrzył. Kiedy chłopak otworzył drzwi, zamarł.

Cisza.

Ale cisza nie zawsze oznaczała, że jest bezpiecznie.

– Czego ty się boisz? Starego dawno nie ma – powiedział do swojego odbicia w lustrze w przedpokoju.

Ojciec potrafił udawać, że wszystko jest w porządku, tylko po to, żeby zaatakować jego lub matkę wtedy, kiedy się tego nie spodziewali. Marcel napiął bicepsy i wyszczerzył zęby. Co za ironia, że teraz, kiedy potrafiłby mu się postawić, skurwysyn nie żył.

„Auuuu” – zawył w myślach. Spomiędzy mokrych ramiączek podkoszulka spoglądały na niego wyblakłe oczy wilka. Wytatuował go dwa lata temu, żeby uczcić śmierć

„tatusia”. Wyciągnął naukę z lekcji, którą dało mu życie. Co innego matka. Kobieta pakowała się z jednego przemocowego związku w kolejny. Obecnie od trzech miesięcy była z panem i władcą Hubertem, kierowcą ciężarówek. Jej nieporadność życiowa działała Marcelowi na nerwy. Z każdej dobrej pracy w końcu ją zwalniano, a ona wpadała w cug. Tak jak teraz.

Od razu poszedł do salonu i zajrzał do łóżeczka. Kiedy wychodził, Młody spał.

– Mamo? Wzięłaś go? – Rozglądał się po pokoju. Serce waliło mu coraz szybciej, na gardle zacisnęła się stalowa obręcz. Pięciomiesięczny chłopiec nie potrafił przecież wyjść z łóżeczka.

– Co tak krzyczysz? Łeb mnie boli. – Do pokoju weszła kobieta z niemowlęciem przy piersi. Wysuszona i wątła. Wyglądała, jakby miała zgiąć się wpół i złamać. W zębach trzymała papierosa. – Muszę go nakarmić, bo mi piersi pękają.

– Miałaś przy nim nie palić. – Marcel wyjął papierosa z jej ust. – To mu szkodzi.

Matka zaniosła się śmiechem, który zmienił się w głuchy kaszel.

– Nie wiedziałam, że tak się przejmujesz bratem. Daj spokój, dzieciaku, ciebie wychowałam, to i z nim sobie poradzę. – Poszła za nim do kuchni, usiadła przy stole i poprawiła ułożenie dziecka. Jego ciemne włoski skleiły się od potu. Chłopczyk machał bosą nóżką i uderzał lekko w stół.

– Nieważne. Chcesz kanapkę? – Marcel zabrał się do krojenia bułek.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio widział matkę przygotowującą jedzenie. Obecnie żywiła się alkoholem, seksem i nikotyną. Nie mógł uwierzyć, że kiedyś miała pracę, nosiła sukienki, gotowała obiady, dbała o niego. Te dwie kobiety dzieliła przepaść.

– Kiedy Hubert wraca z trasy? – zapytał.

Gdy wracał jej partner, przynajmniej chodziła normalnie ubrana, a w domu czasami pachniało pomidorową. Facet dbał o nią mniej niż o swoją ciężarówkę i pewnie traktował jak jeden z wielu przystanków na trasie, ale też akceptował jej zdrady. I – jeśli nie liczyć obrzydliwego seksu, od którego tańczyły ściany – nigdy jej nie uderzył. Albo skurwiel robił to tak umiejętnie, że nie zostawiał śladów.

– Za tydzień – odpowiedziała, wyraźnie zdołowana. – Jakieś piwo bym wypila, nie masz?

Matka zaczynała coraz bardziej działać mu na nerwy. Mogła chociaż udawać, że jest normalna. Marcel spojrział na zegarek. Siedemnasta. Wcześniej.

– Masz. – Położył przed nią bułkę z serem i pomidorem. Na brzegu talerza ułożył kilka truskawek. Wzruszyła ramionami i odgryzła kęs. – Musisz jeść, żeby on miał co jeść – dodał.

Znowu zaczęła rechotać, tym razem przez zaciśnięte zęby.

– Ty się tak nie martw. Najwyżej dasz mu potem mleko w proszku. Kupiłeś? – zapytała z pełnymi ustami. Kołysała się na krześle i od czasu do czasu patrzyła na niemowlę z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. Marcel chciał myśleć, że to, co się na niej maluje, to czułość.

Pokiwał głową i wskazał na szafkę nad zlewem. Starał się nie patrzeć na brata. Okruszki z bułki sypały mu się na główkę, ale ssał pierś zrelaksowany, przymknął oczka i wyglądał, jakby zasypiał. Bezbronny jak szczeniak. Młody coraz bardziej go obchodził. Czasami Marcel kładł się w salonie przy łóżeczku i czekał, aż chłopiec zaciśnie piąstkę na jego palcu.

W takich chwilach znikwały brudne ściany, nieszczelne okna i meblościanka z PRL-u. Sprężyny ze starej kanapy nie wbijały mu się w łopatki. Marzył, że są na plaży, którą znał tylko ze zdjęć, albo leżą na łące pod drzewami wysokimi do samego nieba.

– Spieprzymy stąd, słyszysz? W końcu nam się uda – szeptał wtedy do niemowlaka.

W obecności brata działo się z nim coś dziwnego. Z jednej strony czuł, że w środku wypełnia go puch, z drugiej – stawał się człowiekiem ze stali. Wiedział, że nie cofnie się przed niczym, żeby go bronić. Bywały chwile, kiedy się zastanawiał, dlaczego tak jest. Przecież nigdy

nie przepadał za dziećmi, a gdy zauważył rosnący brzuch matki, wcale się nie ucieszył. Musiał pilnować jej jeszcze bardziej. Wszystko spadło na jego barki. Znowu. Może chciał dla brata lepszego życia. Może wiedział, że poza nim dziecko nie ma nikogo. No i jeszcze ten płacz. Cichy, jakby mysz piszczała. Marcel nie spotkał się nigdy z tak spokojnym niemowlakiem, który wręcz prosił się o to, żeby świat o nim zapominał.

Spojrzał na matkę. Uniosła Młodego i położyła jego główkę na swoim ramieniu. Twarz pokrywała jej sieć zmarszczek, usta się zapadły, podobnie jak policzki. A przecież nie była taka stara. W zeszłym roku obchodziła trzydzieste ósme urodziny.

– Daj mi kilka złotych, umówiłam się ze znajomymi. – Unikała jego wzroku, od razu się domyślił, że spędzi tę sobotę w jakiejś norze.

Zdziwił się, bo dawno nie prosiła go o gotówkę. Nawet pytał ją ostatnio, skąd ma pieniądze, ale zbyła go jakimś mruknięciem i chyba założył, że od Huberta.

Sięgnął do spodni. Wolał dać jej na piwo niż zostawić ją na łasce lokalnych pijaczków. Tłumaczył to sobie tak, że oszczędza sobie i matce wstydu.

Wziął brata na ręce i zaniósł do łóżeczka. Zaciągnął zasłony, a potem sprawdził mu pieluszkę. „Ja pierdole” – pomyślał. Gdyby za przebieranie śpiącego dziecka rozdawali kasę, uzbrałyby pokaźną sumę. Chłopiec nadal spokojnie oddychał, kiedy Marcel zapinał ostatnie zatrzaski ubranka.

– Zapomniałaś mu zmienić pieluchę – powiedział z wyrzutem w stronę matki. Ale ona już wyszła. Nie posprzątała ze stołu, nie pożegnała się.

Marcel opuścił ramiona i zacisnął szczęki. To dawno powinno przestać boleć. A jednak za każdym razem, kiedy zderzał się z jej obojętnością, coś się w nim kurczyło. I mimo że miał dwadzieścia cztery lata, prawie dwa metry wzrostu i sto trzydzieści w kłacie na wydechu, czuł, że wciąż nosi w sobie zapłakanego, przestraszonego smarkacza. Dopóki żyła babcia, jakoś się kręciło. Matka chodziła do pracy, zależało jej na czymś więcej niż tylko na tym, by przeżyć kolejny dzień. Przez ostatnie lata pokój starszej kobiety stanowił pewnego rodzaju schron. Problem w tym, że trzeba było czasami z niego wyjść.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk esemesa. Wyciągnął telefon z kieszeni i otworzył wiadomość od Kasi: „Dzisiaj o 20? Aktualne?”. Ta dziewczyna odzywała się do niego coraz częściej. Najpierw sprzedał jej kilka razy towar, nic poważnego, wszystko na miękko. Ale ostatnio podeszła do niego, kiedy stał na bramce przed blaszakiem, i zaczęła zagadywać. Tak normalnie. O plany na wakacje, filmy, muzykę, którą lubi. Skłamałby, gdyby powiedział, że mu się nie podoba. Lubił laski z długimi włosami, a jeszcze bardziej takie, które spinają je wysoko w kitkę. Z czernią włosów kontrastowały oczy, w których mógłby utonąć, gdyby tylko chciała. Ich kolor przywodził na myśl jeziora. Takie o pierwszej klasie czystości, w których nie można się kąpać.

Kolejny esemes.

„Dzisiaj chciałabym coś mocniejszego niż zwykle”. A jednak młoda i głupia. Mówił jej, żeby nie pisała do niego w sprawie towaru. Po raz kolejny pomyślał, że szkoda, że bierze. To skreślało ją z listy potencjalnych dziewczyn. Nie miał zamiaru bawić się w Monar. Jeśli chciała ćpać – jej sprawa. On mógł się co najwyżej z nią przespać. Może nawet tej nocy.

Odłożył telefon na stół w kuchni i poszedł do swojego pokoju. Bramkarze w blaszaku musieli zakładać białe koszule i czarne spodnie. Czekają go prasowanie. Włączył wielki na jedną czwartą ściany telewizor, który kupił, jeszcze zanim urodził się brat, i niemal bez głosu, żeby nie obudzić Młodego, odpalił teledyski.

– Dzwoni papuga, mówi, że musi się udać, ugadać mamonę, zgarnąć banknoty zielone...
– nucił pod nosem Matę i sunął gorącym żelazkiem po materiale. Za nic by się nie przyznał, że

lubi prasować. Zapach gorącej pary wymieszanej z proszkiem do prania dziwnie go uspokajał.

Kiedy skończył, zapadł się w miękkim, skórzanym fotelu i obejrzał tutoriale o tatuażach. Kupił niedawno maszynkę i pierwsze próby na świńskiej skórze z mięsnego miał za sobą. Zdziwił się, ale ręka mu nie zadrżała, kiedy próbował odwzorować pitbulla. Kiedyś, jak już ucieknie z tej nory, otworzy swoje studio. Wymyślił nawet logo i nazwę. Po godzinie poszedł po Młodego, żeby zanieść go do sąsiadki.

– Halo, jest pani? – Wszedł do niewielkiego korytarzyka sąsiedniego domu z niemowlakiem na ręku. Drzwi były jak zwykle uchylone, kilka kotów kręciło się pod nogami. – Pani Kordacka! – zawołał głośniejszym głosem, kierując się w głąb domu.

O ile potrafił przyzwyczaić się do zapachu niesprzątanego kuwet, o tyle za każdym razem zadziwiało go, jak staruszka zdołała zgromadzić tak wiele przedmiotów na tak małej powierzchni. Wiedział, że to choroba. Oglądał kiedyś program o zbieraczach. Może brakowało jej jeszcze do tych, których pokazywali w telewizji, ale było coś niepokojącego w stertach gazet i książek podpierających ściany. Między nimi piętrzyły się plastikowe opakowania po różnych produktach. Na szczęście umyte.

– Tutaj, Marcyś! – dobiegł go przyciszony głos. Poszedł do kuchni i zastał kobietę przy stole. Obierała ziemniaki do małego garnuszka. – Jak poczekasz chwilę, to zrobię kluski śląskie. – Uśmiechnęła się.

– Nie mogę, idę do pracy. Chciałem tylko zostawić Młodego.

Nie czekał na odpowiedź. Od razu skierował się do mieszczącej się za ścianą sypialni i ułożył brata w wózku. Kupił go specjalnie dla Kordackiej, żeby było jej łatwiej przemieszczać się razem z chłopcem po domu. Przegonił stopą koty, które przemknęły mu pod nogami. Do tego jednego pokoju nie pozwalał im wchodzić. Obawiał się, że pod jego nieobecność zwierzęta wejdą nie tylko do sypialni, ale może i do wózka. Trudno. Lepsze koty niż pijana matka. Musiał się z tym pogodzić.

– Mleko już przygotowałem. – Położył butelkę na stole przy kobiecie. – Zaraz trzeba go nakarmić. On sam nie zawoła.

– Michałek jest grzeczny – powiedziała Kordacka, a Marcel wzdrygnął się na dźwięk tego imienia. Do teraz nie rozumiał, jak matka mogła nazwać niemowlaka po zmarłym mężu, tyranie, który przez wiele lat bił ich oboje.

– A koty już pani karmiła? – zapytał niby obojętnym tonem.

– Idź na górę, dosyp im. Wiesz, że zjedzą. – Nie podniosła wzroku, tylko dalej kroїła ziemniaki na mniejsze części.

Chłopak się zastanawiał, jak długo będą ciągnąć tę szopkę. I czy staruszka kiedykolwiek zapyta go o to, co tak często robi u niej na strychu. Przecież karmę trzymała na korytarzu i dobrze wiedziała, że nie chodzi mu o zwierzęta.

Wąskie stopnie pięły się w górę jak drabina. Musiał naprawdę się postarać, żeby nie utknąć w wąskim przejściu. Po chwili znalazł się w ciemnym przedsionku. Tu nie było światła. Wyciągnął telefon z kieszeni, włączył latarkę i oświetlił drzwi. Wzmocnione, z zamkiem antywłamaniowym. Sam nie wiedział, po co je zamontował, gdyby psiarnia zrobiła najazd na to miejsce, drzwi stanowiłyby najmniejszy problem.

– No dalej – szepnął, manewrując kluczem w zamku. Usłyszał cichy klik, a potem drzwi się otworzyły.

Zapalił żarówkę wiszącą na długim kablu i próbował przyzwyczaić wzrok do ciemności. Potem podszedł do okna i otworzył je, zaciągając się świeżym powietrzem. Zaczął grzebać w opakowaniach i torbach, które stały na metalowych półkach. W wiaderkach po twarogu trzymał amfę, w kartonie po pampersach odmierzone porcje marihuany, ecstasy w pudełkach po

margarynie. Resztę narkotyków poupychał w kobiałki od jajek. Z jednej z półek wziął plecak i zapakował towar. Teraz jeszcze musiał dostarczyć go dwóm łebkom, którzy dla niego handlowali. On sam sprzedawał tylko znajomym. Za bardzo bał się wpadki.

Zanim wyszedł, nachylił się nad workiem po kociej karmie i przeliczył gotówkę. Westchnął ciężko i uderzył pięścią w ścianę. Strumień prądu, który popłynął od kości palców po ramię, przyniósł mu ulgę. Wciąż za mało kasy, żeby stąd uciec. Nowe mieszkanie kosztowało, nowa tożsamość też. Zwłaszcza kiedy zabiera się ze sobą niemowlaka. Nawet jeśli celował w sąsiedni kraj.

Wyszedł z dziupli i zajrzał do kuchni się pożegnać. Staruszka karmiła Młodego butelką. Kołysała się przy tym delikatnie na boki, nucąc kołysankę.

– To ja już pójdę. Przyjdę rano, jak skończy się impreza – powiedział, a kobieta przerwała śpiew.

– Marcyś – zaczęła.

Chłopak nie pozwolił jej dokończyć. Położył palec na ustach.

– Wszystko wiem. Niech lepiej dalej pani śpiewa. Ładne to jest. – Odwrócił się do szafki w rogu kuchni i wziął do ręki rachunki. – W poniedziałek zapłacę. – Kiedy wychodził, usłyszał, jak Kordacka mówi:

– Twoja babcia byłaby dumna. Modlę się do Boga, żeby Michasiowi powiodło się w życiu tak jak tobie. Dobry z ciebie chłopak.

Marcelowi zabrakło słów. Jeśli Młody skończy tak samo jak on, to znaczy, że Boga na tym świecie nie ma.

4.

Pełnia Gorącego Księżyca

Tej nocy chropowate ściany domu położonego między Wilgami a Górskiem rozświetlił blask księżyca. Zawisł nad dachem, z którego zsuwały się stare klepki, i patrzył, jak zwierzęta szukają kryjówek przed hałasem, który wprowadził w drganie pajęczyny pod starymi schodami. Dom dzieliły od hangaru z imprezą zaledwie kilometr i niewielki sosnowy zagajnik, który w każdą sobotę zmieniał się w pisuar. Zalewały go fale wszelkich możliwych ludzkich wydzielin.

– Ta muzyka mnie wykończy – mruknął chłopak i wszedł lekkim krokiem na spróchniałe schody prowadzące do domu. Przesunął płytę pilśniową, która służyła za drzwi. Miał markowe ciuchy i buty na sportowej podeszwie, którymi stapał delikatnie, jakby tańczył. Kosmyk czarnych włosów spadał mu na jedno oko. Przewieszona przez ramię torba wrzynała się w ciało.

Poruszył huśtawką, którą kilka lat wcześniej ktoś zamontował do starych belek pod sufitem, i podszedł do jednego z okien, bawiąc się niecierpliwie zapalniczką. Wyjął z kieszeni skręta i zapalił. Zapach marihuany niósł się po pokojach, a dym chował się w szczelinach sufitu i podłogi.

Po chwili wszedł drugi chłopak, który przewyższał pierwszego o głowę. Był starszy, miał twardsze rysy twarzy, jakby go ktoś wyciosał z drewna. W środku panował już mrok, ale jasne kwadraty na podłodze rozświetlały wnętrze bladym światłem.

– Zgaś to albo wychodzę – rozkazał wysoki chłopak. Pokonał dzielącą ich odległość w dwie sekundy i wyrwał palącemu skręta. Nosił glany na ciężkiej podeszwie. Kiedy chodził, podłoga drżała. Zdeptał żar, wciskając resztki suszu i poszarpanej bletki w ziemię.

Ten pierwszy wyglądał, jakby chciał się na niego rzucić.

– Odlicz mi to. Ten skręt był prawie nowy – wycedził. Przygryzał wnętrze policzka, oceniając swoje szanse. Nosiło go, jego stopy podrygiwały, poprawiał pasek od torby.

– Chyba cię pojebało. – Duży parsknął i zaczął zaglądać do wszystkich pokoi, żeby się upewnić, że są sami.

Chłopak w glanach wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, co zrobić. Wyszedł na chwilę na zewnątrz, wrócił, a kiedy światło padło mu na twarz, rysowała się na niej niepewność i obawa.

– Dobra, gościu, wyskakuj z kasy, muszę wracać na imprezę – powiedział i wyciągnął z kieszeni woreczki z towarem. Doszło do wymiany. Spotkały się ich dłonie i spojrzenia pod tytułem: „bierz i spierdalaj”. Chłopak w glanach, zanim wyszedł, przeliczył pieniądze.

Ten pierwszy czekał na kogoś jeszcze. Schował narkotyki do torby, a potem podchodził do wszystkich okien. Wpatrywał się w szare sylwetki na drodze, które zmierzały do blaszaka. Śmiechy i krzyki niesły się po okolicy. Pomarańczowe, żarzące się punkciki papierosów wędrowały w powietrzu. Butelki uderzały o siebie. Jakaś para zoczyła z drogi i skierowała się w stronę nawiedzonego domu.

– Zajęte! – krzyknął chłopak, więc zawrócili ze ścieżki i poszli w stronę lasu. – Przyjdźcie za pół godziny – dodał i uśmiechnął się na widok samotnej dziewczyny zmierzającej od strony Górską, która uniosła rękę w powitalnym geście.

Włączyła latarkę w telefonie, żeby podświetlić drogę, szła niepewnie, omijając chaszcze, miejscami sięgające jej do kolan. Włożyła spódniczkę i baleriny nabite ćwiekami, od których odbijało się światło. Długie, czarne włosy związała w kucyk. Kołysał się w rytm jej długich kroków.

– Idziemy? – zapytała, wchodząc do środka.

Chłopak nie odpowiedział, tylko przyciągnął ją do siebie i zaczął całować, przyciskając do ściany jej plecy. Dziewczyna objęła go nogami i po chwili jęki zmieszały się z głośnym basem imprezy.

5.

Obecnie

Ścigał go od wielu godzin. Szumiało mu w uszach, usta miał suche i spierzchnięte. Koszulkę porwał o gałęzie drzew, wiatr dmuchał mu prosto w rozgrzane plecy. Mokry zapach lasu wyostrzył jego zmysły. Biegł, przeskakiwał przez powalone pnie drzew, a kiedy było trzeba, brnął po kostki w podmokłym, gęstym poszyciu. A jednak wciąż widział tylko plecy ojca. Szerokie ramiona opinała brudna biała koszulka.

– Tato!

Mężczyzna przed nim się nie odwrócił. Jakub słyszał własne serce tłukące się o żebra. Igliwie raniło bosc stopy, trzeszczało. Znał ten stary las na pamięć, a jednak za każdym razem zauważał coś nowego. Wielki głąz, olbrzym, który przysiadł na chwilę. Drzewa przewrócone przez wichurę i nadpalone kikuty brzoź. Stare wiedźmy wyciągały sękatc paluchy i drapały go po twarzy.

Czas uciekał, on widział coraz mniej. Nadchodziła czerń. Najpierw przykryła mech, potem wspinała się po korze drzew. Zabierała ze sobą wszystko. Ojca też. A koniec był zawsze taki sam.

Wpadał w gęstą jak smoła noc. Leciał w dół.

Telefon wyrwał go ze snu. Leżał w przepoczonej pościeli, komórka tańczyła na podłodze. Nawet nie spojrział na wyświetlacz.

– Aspirant sztabowy Jakub Zommer. – Musiał chrząknąć, żeby pozbyć się chryпки.

– Kasia nie wróciła na noc do domu. – Jakaś kobieta głośno oddychała do telefonu. Kuba zacisnął wilgotną dłoń na telefonie.

– Z kim rozmawiam?

Usłyszał w tle płacz dziewczynki.

– Wujku, tutaj Ola – odpowiedziała.

W tym czasie dopasował głos do wspomnień i zrobiło mu się cholernie głupio, że jej nie poznał. Ola była siostrzenicą żony, mieszkała na końcu wsi z siostrą Kasią, córeczką Polą i dziadkiem. Dziewczyny szybko straciły matkę, więc Wiola co jakiś czas je odwiedzała albo zapraszała na obiad.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Nie wiem, co się stało z Kasią... – Jej oddech był tak wyraźny, jakby stała tuż obok Kuby. – Wieczorem zasnęłam, Kasia nie odbiera... Boję się.

– Zaraz będę.

Rozłączył się i usiadł na łóżku. Pokój się kołysał, a Kubie wciąż ciążyła głowa. Pocierał twarz, zarost drażnił dłonie, w ustach czuł posmak wczorajszej whisky. Cierpki kapeć, którego chciał się jak najszybciej pozbyć. Wiedział, że powinien wstać, ale jeszcze zbierał siły i próbował rozruszać sztywne ramiona. Spojrzał na zegarek. „Cholera jasna, piąta trzydzieści” – pomyślał. Nic dziwnego, że miał piasek pod powiekami. Trzy godziny snu to mało. Długo nie mógł zasnąć, wciąż myślał o serialu kryminalnym, który ostatnio oglądał, i próbował rozszyfrować, kto jest winny. „A może to przez pełnię?” – przeszło mu przez myśl.

Rozsunął zasłony i zmrużył oczy. Słońce wpadło do pokoju i rozświetliło meble z lokalnej stolarni, małą wersalkę i ławę. O szybę obijała się tłusta mucha. Wystarczyłby szybki ruch dłoni, żeby pozbawić ją życia. Zamiast tego Kuba otworzył okno i pozwolił jej odlecieć. Wziął też spryskiwacz do wody i zwilżył ścianki terrarium z patyczakami. Nie miał serca sprawdzać ich wytrzymałości na upały. Założył pospiesznie spodnie i granatową koszulkę polo. Lotta zastukała pazurkami po podłodze i wcisnęła mu pysk w dłoń. Psina zawsze przychodziła się przywitać.

– Nie teraz, mała. – Podrapał ją za uchem. – Zostań.

„Tutaj?” – zapytała smutnym wzrokiem, a potem podreptała do pokoju, w którym spała Wiola. Poszedł za psem zobaczyć, jak mości się na dywaniku pod łóżkiem w sypialni, do której Kuba już dawno nie miał wstępu. Dostrzegł zarys sylwetki żony pod kołdrą, spod której wystawała stopa. Rude włosy spływały kaskadami po poduszce. Stał, wsłuchując się w znajomy, cichy oddech, ale brakowało mu odwagi, żeby podejść do Wioli. Bo co miałyby zrobić? Pocałować ją? Nie pamiętał, kiedy ostatnio pozwoliła się dotknąć. Dobrze, że śpi, bo gdyby się dowiedziała, że jedzie szukać Kasi, szalałaby z niepokoju.

Analizował, co powinien zrobić. Mógł zgłosić zaginięcie, ale najpierw powinien ustalić, co się w ogóle stało. Być może nastąpiło zwykłe nieporozumienie i Kasia śpi u koleżanki lub chłopaka. Cicho zamknął drzwi i umył zęby. A potem poszedł do kuchni napić się wody.

– A co tak wcześnie? Nie możesz spać? – Ojciec stał przy blacie i kroił właśnie kawałek chleba. Obok stały przygotowane kanapki gotowe do spakowania. Było ich kilka, każda z czymś innym. Wypchane warzywami wyglądały jak z gazetki Subwaya.

– Chcesz, żebym miał zawał? Jedziesz na ryby? – Kuba odkręcił kran. – Dzwoniła Ola, Kasia nie wróciła na noc. – Pił wodę, podpierając się o blat, i przyglądał się ojcu.

Mężczyzna wysunął dolną wargę. Zawsze tak robił w chwilach skupienia. Też musiał źle spać, bo oczy zwięzły mu się w dwie szparki i były przekrwione.

– Myślisz, że to coś poważnego? – zapytał i zaczął smarować chleb majonezem.

Niewinne pytanie, które jednak wskazywało, że zainteresowała go ta sprawa. Pewnie chciał sprawdzić, czy Kasi nic nie jest. Powęszyć, zadać kilka pytań. Kuba wiedział, że gdzieś w równoległym świecie mogliby wymienić się spostrzeżeniami. Pogadać o zaginięciach, starszy

doświadczony policjant poradziłby młodemu, co robić.

Ale w tym świecie nie mieli szans na normalną rozmowę. Latami na to pracowali i żaden z nich nie miał ochoty tego zmieniać.

– Oby nie. – Kuba odłożył szklankę i wahał się, czy nie zabrać jednej z kanapek. W końcu zdecydował się na banana i zszedł schodami do garażu.

Czuł, jak z każdą sekundą narasta w nim napięcie. Miał w głowie tysiące scenariuszy, każdy kolejny gorszy od poprzedniego. Gwałt, narkotyki, przemoc. Jego siostrzenica skończyła dopiero szesnaście lat. W tym wieku człowiekowi przychodzą do głowy różne głupoty.

Przymknął oczy, zaciągając się znajomym zapachem wilgoci, smaru i benzyny. Jedyne miejsce w całym domu, które należało tylko do niego. Spojrzał tęsknie na Czarną. Kawasaki ninja, marzenie każdego chłopca i mężczyzny. Oczywiście usłyszał, że to kryzys wieku średniego, ale miał to gdzieś. Teraz niestety nie miał czasu na przejażdżkę motorem. Zamiast tego wsiadł do samochodu, staruszka kia stanowczo zamruczała. Niskie wibracje wprawiły kierownicę w lekkie drżenie. W środku panował przyjemny chłód i unosił się znajomy zapaszek starej tapicerki.

– Dzień dobry, Rocky. – Kiwnął do figurki brązowego buldoga, która stała na desce rozdzielczej. Ale Zommer czuł, że to wcale nie będzie dobry dzień.

Zastanawiał się, co sam robił, kiedy był nastolatkiem. Ile razy wymykał się z domu i wracał nad ranem? Odpowiedź go uspokoiła. Przez krótką chwilę był prawie pewien, że kiedy dotrze do Oli, okaże się, że nie jest potrzebny, bo Kasia wróciła do domu.

Wyjeżdżał z garażu, gdy słońce wisiało już nad Górskiem. Na dachy rozlała się pomarańczowa lawa. Nijakie domy stały się przez chwilę królestwem ognia. Płomienie tańczyły na szybach, niespokojnie drżały. Świat od wybuchu dzielił jeden ciepły podmuch wiatru.

Poczuł ciężar w klatce piersiowej, otworzył okno. I jeszcze ten sen. W takich chwilach wydawało mu się, że ojciec go opętał. Kiedyś dałby sobie nerkę wyciąć, byleby tata zwrócił na niego uwagę. Teraz marzył, żeby od niego odpocząć.

Dojechał na miejsce po pięciu minutach. Kremowy odrapany klocek zbudowany w latach siedemdziesiątych stał na skraju wsi. Zamykał smętny korowód domów, spośród których wyróżniał się jedynie szarymi zaciekami. Julita Kwiatkowska, kuzynka jego żony, zmarła dziesięć lat temu, osierocając dwie córki. Starsza z nich, Ola, miała już własne dziecko. Z dziewczynami mieszkał ich dziadek.

Pod stopami szurał piach, gdy Zommer otwierał odrapaną drewnianą furtkę. Nie zdążył jeszcze wejść na ścieżkę prowadzącą do domu, kiedy w drzwiach stanęła Ola. Musiała czekać na niego przy oknie. Miała na sobie rozciągnięte dresy, długie, jasne włosy niedbale związała na czubku głowy.

– Przepraszam, że zadzwoniłam tak wcześnie... Jestem panikarą. – Uśmiechnęła się krzywo. – Wejdiesz, wujku? – Nie czekając na odpowiedź, skierowała się do środka.

Po chwili Kuba znalazł się w małej, jasnej kuchni. Spojrzał na Olę, która po matce odziedziczyła nie tylko urodę, ale i pewien czar w spojrzeniu i ruchach. Patrzyła na niego przestraszona. Nie widział jej nigdy w takim stanie. Zawsze uśmiechała się mimo przeciwności losu. W skali zadowolenia z życia umieszczał ją na poziomie niepoprawnego optymizmu. Dla niego, człowieka, dla którego szklanka była zawsze do połowy pusta, stanowiła ciekawy obiekt obserwacji. Na spotkaniach rodzinnych uwielbiał słuchać jej dźwięcznego śmiechu. Zawsze poprawiała mu nastrój.

– Zrobiłam kawę. Jeśli będzie za mocna, doleję wody. A może mleka? Albo cukru? – Zdjęła z gazu kawiarkę i nalała gęstego czarnego płynu do dwóch kubków.

– Jest w porządku – skłamał. Kwas palił go w przełyk, gorycz rozlała się po podniebieniu.

– Kiedy ostatnio widziałaś Kasię?

– Wczoraj wróciłam z pracy po osiemnastej i chwilę rozmawialiśmy. Wybierała się na imprezę. W Wilgach w blaszaku organizują dyskoteki. – Ola zaczęła skubać skórki przy paznokciach. – Potem zajęłam się Polcią, gorączkowała... – Usiadła przy stole i objęła kubek, chyba liczyła, że ten kawałek duraleksu może ją uratować. – Położyłam Polę wcześniej spać i nawet nie wiem, kiedy sama zasnęłam.

Kuba zajął miejsce naprzeciw i odstawił kawę. Zawiesił wzrok na ceracie w czerwonej kratę, która prawie straciła kolor. Wszystkie sprzęty AGD wyglądały, jakby pochodziły z poprzedniej epoki. Z wytartej tapicerki na krzesłach wystawały małe niteczki. Na jednym z oparców zauważył czarną, skórzaną kurtkę. Światło odbijało się od metalowych ćwieków.

– Jej ulubiona, nie wiem, dlaczego jej nie wzięła. – Ton głosu Oli załamał się i wybrzmiał oktawę wyżej. – Ostatnio była jakaś inna. – Przesunęła palcem po brzegu kubka z kawą. Zastanawiała się nad czymś, na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

– W jakim sensie inna?

– Ciągle była zajęta, a kiedy pytałam, co robiła, zbywała mnie ogólnikami. Podkreślała, że jest prawie dorosła. Boję się, że uciekła z domu.

– Mówiła, z kim idzie na imprezę? – Zaczął nerwowo podrygiwać stopą. Cieszył się, że trzyma nogi pod stołem.

– Jak mogłam ją puścić? Nawet nie wiem, z kim poszła. Może z Jaśkiem? Tym, co się przeprowadził z Warszawy? Naprawdę nigdy nie zostawała nigdzie na noc bez mojej wiedzy. Taką miałyśmy umowę. Zawsze wracała... Dałam jej czas do pierwszej. – Spojrzała na zegar na ścianie, który wskazywał szóstą rano. Schowała twarz w dłoniach. – Jezu, Kasia, gdzie ty, do cholery, jesteś! Dzwoniłam do niej chyba milion razy, nagrałam się. Na początku byłam miła, ale teraz... Teraz to ją chyba zabiję. – Podniosła wzrok na Kubę, zbladła. – Czy myślisz, że... że ktoś mógł ją skrzywdzić?

– Spokojnie, na pewno wszystko będzie dobrze. – Wiedział, jak gównianie brzmi to pocieszenie. Jak slogan spod kapsla. – Najpierw sprawdzę w Wilgach, może ciągle tam jest. – Zrobiło mu się duszno, więc rozpiął guzik w koszulce. Należało działać, minuty mijały. – Mogę zobaczyć jej pokój?

Skierował się do korytarza. Był w tym domu kilka razy, ale tylko po to, żeby odebrać dziewczyny lub je podwieźć. Kiedy miały mniej lat, poświęcał im więcej czasu. Potem wszystko się rozeszło w zupełnie naturalny sposób. Wiedziały, że mogą na niego liczyć, ale coraz rzadziej korzystały z zaproszeń na niedzielne obiady. Szły swoją drogą.

– To ten, obok kuchni.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Poczował, jak zalewa go fala zimna, która ustępuje miejsca gorącej. Jak zawsze wtedy, kiedy działo się coś niespodziewanego.

– To motyle?

– Nocne motyle – usłyszał głos Oli przy swoim uchu i odwrócił się do niej. – Ćmy.

Minęła go bezszelestnie i wzięła do ręki jeden z obrazków. Zajmowały prawie wszystkie wolne miejsca na ścianach.

– Na początku uważałam, że są brzydkie. Grube, pokryte włoskami, bure. Ale Kasia wytłumaczyła mi, że wyglądają tak dlatego, żeby nie tracić ciepła nocą. Mówiła, że noszą puchowy płaszcz. – Chrząknęła, żeby się nie rozpłakać.

Kuba spojrzął na łóżko, na którym leżała sarta ubrań, i na duże lustro, jedyną przestrzeń, której nie zajmowały rysunki i kolaże. Podszedł do biurka, w otwartej szkatułce świeciła się biżuteria, na blacie leżały kosmetyki i szklanka z niedopitą wodą. Spojrzął na ściany. Musiał przyznać, że kolekcja rysunków robiła na nim wrażenie. Nigdy nie przypuszczał, że ćmy mogą

być... piękne.

– Wiedziałaś, wujku, że nocne motyle były pierwsze? To one dały początek dziennym, tym, które tak podziwiamy za wzory na skrzydłach.

Jakub zastanawiał się, skąd w Kasi ta fascynacja. Czy siostrzenica czuła się jak nocny motyl? Leciała do ognia, chociaż wiedziała, że poparzy skrzydła?

– Czy ona je narysowała? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Jakiś tydzień temu weszłam tutaj i byłam równie zaskoczona, co ty. Nie wiedziałam, że kręcą ją takie rzeczy.

Ciszę przerwał płacz dziewczynki.

– Miej przy sobie telefon i nie wychodź z domu. Jeśli Kaśka wróci, daj mi znać.

W głowie Zommera trwała walka między tym, co podpowiadała mu intuicja, a tym, czego nauczył się przez lata służby. Chciał wierzyć, że dziewczynie nic nie jest. Ile razy w trakcie kariery spotkał się ze śmiercią? Zaledwie dwa. Żadna z tych spraw nie dotyczyła młodej osoby. Miał szczęście, bo jeszcze nie było mu dane oglądać makabrycznych zwłok i scen morderstw. Ale z napaściami bywało różnie. Z gwałtami i pobiciami również. Tych widział zbyt wiele.

– A dziadek? Może on coś wie?

– Dziadek nie wychodzi ze swojego pokoju od wczoraj... Chyba pił i nie jest w stanie rozmawiać... – Ola zaczęła nerwowo przesuwac zamkiem od bluzy. Jej córka płakała coraz głośniejsze.

Kuba pokiwał tylko głową i skierował się do drzwi. Było mu głupio. Nie wiedział, że dziewczyny żyły z takim obciążeniem. Mógł im jakoś pomóc.

Wsiadł do samochodu i spojrzął na zegarek. Szósta dziesięć. Zakładał, że impreza skończyła się koło trzeciej. Może Kasia siedzi pod tym pieprzonym blaszakiem? Osobiście uważał, że tego typu imprezy powinny być zakazane. Nienawidził brudnego hangaru, w którym młodzież tańczyła do rytmu tandetnego techno. To miejsce prosiło się o tragedię.

Stąd do Wilg miał zaledwie pięć kilometrów. Istniało prawdopodobieństwo, że spotka ją po drodze. Wyjął telefon, włączył zestaw głośnomówiący i wybrał numer do Kasi.

„Hejka! Tutaj Kaśka Kwiatek, widocznie nie mogę rozmawiać, ale nagraj wiadomość, to oddzwonię. Buziaki!” Zommer mimowolnie się uśmiechnął. Powitanie na poczcie głosowej bardzo pasowało do siostrzenicy. Jej głos był radosny i pełen życia.

Przejechał zaledwie kilometr, gdy zauważył na poboczu dwie postaci. Na początku miał nadzieję, że zobaczy z nimi Kasię. Ale z każdym metrem nabierał pewności, że widzi przed sobą tylko dwóch chłopaków. I że coś jest z nimi nie tak.

Jeden siedział na ziemi wpatrzony w horyzont, a drugi wybiegł na środek ulicy i machał rękoma. Mężczyzna wyłączył muzykę i zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

– Ja pierdole, policja! – Ten, który stał na środku jezdni, objął się ramionami i zaczął się cofać. – Chcieliśmy zadzwonić, przysięgam. Padły nam telefony. Juri, weź się ogarnij. Juri, powiedz coś! – krzyczał w stronę chłopaka wpatzonego w horyzont.

– Potrzebujecie pomocy? – Zommer podbiegł do niego. – Nazywasz się Juri, tak? Wszystko w porządku?

W odpowiedzi chłopak wykrzywił twarz i usta. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego nachylił się i zwymiotował. Torsje wstrząsały nim co kilka sekund. Kuba się zastanawiał, czy zadzwonić po pogotowie.

– Braliście coś? – zapytał. Ten, który stał na ulicy, nadal obejmował się ramionami. Kiwał szybko głową. – Tam, w środku. Niech pan wejdzie do środka.

Zommer spojrzął na dom. Znał go dobrze. Nieraz imprezował ze znajomymi w pustych pokojach, całował się z dziewczynami, pił piwo. Ludzie ze wsi mówili, że to miejsce jest

nawiedzone. Domyślał się, że starzy nie chcieli, żeby dzieciaki urządziły w nim melinę. Stąd bajeczki o diable i pożarach, które były zwyczajnymi aktami wandalizmu. Potem powiesił się tutaj Rafał, dwa lata starszy kolega z Górską, i budynek zyskał jeszcze gorszą sławę. Podobno mącił myśli, siedziało w nim zło. Kuba miał wtedy piętnaście lat i po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią rówieśnika. Nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopak odebrał sobie życie, ale wiedział, że zrujnowany dom nie miał z tym nic wspólnego. Z kilku okien wybito szyby, drzwi przysłaniała pilśniowa dykta. Jedyнным kolorowym akcentem była winorośl, która rozrosła się na jednej ze ścian.

Skierował się w stronę obdrapanych, niebieskich schodów prowadzących do wejścia. Spróchniałe stopnie ugięły się pod jego ciężarem.

– My chcieliśmy pomóc! – krzyczał za nim chłopak.

Zommer odwrócił się i zobaczył, że dzieciak wsunął palce we włosy, a oczy i usta ma szeroko otwarte. Wcześniej Kuba był pewny, że tych dwóch się naćpało. Że ma do czynienia z typowym ponarkotykowym zejściem. Ale teraz w twarzy chłopca zobaczył coś, od czego ścisnął mu się żołądek. Zaczął mieć niejasne przeczucie, że w środku czeka na niego coś strasznego.

Spojrzał na swoje odbicie w starym oknie domu. Szukał na twarzy miejsca, w którym skumulowało się to przekłete drzenie. Gdyby mógł posłuchać tego głosu, który szepce mu, żeby uciekał. Gdyby zbiegł po schodach, wsiadł do samochodu i wrócił do domu. Wtedy być może wszystko byłoby jak dawniej. Nic by się nie zmieniło.

Ale wszedł do środka. Wszedł, bo taką miał pracę. Policjanci patrzą nawet wtedy, kiedy nie chcą. Gęste powietrze drażniło mu przetyk. Słońce wpadało przez szare okna, kreśląc na brudnej podłodze i ścianach geometryczne wzory.

Kuba szedł do ciała po rozlanym wosku i alkoholu. Przez przypadek kopnął pustą butelkę, która poturlała się pod ścianę, przerywając ciszę.

Przez głowę przemknęła mu irracjonalna myśl, żeby ją ratować. Rozwiązać ten pieprzony węzeł, który odcisnął ślad na delikatnej skórze. Potrząsnąć nią, reanimować. Wskrzесиć. Zrobić cokolwiek, byle odżyła.

Załoczył, że wcześniej wisiała na długim sznurze przerzuconym przez belkę w suficie. Ktoś przeciął linę i teraz dziewczyna leżała wykręcona w nienaturalnej pozycji. Czarne włosy niemal zwały się w jedną plamę z podłogą. Otwarte oczy utkwione były w jednym z brudnych okien.

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do komendy w Kotlinie, żeby wezwać techników i kryminalnych. Używanie fachowej terminologii i fakt, że musiał zdobyć się na opisanie miejsca zdarzenia, sprawiły, że złapał na chwilę dystans.

Przez kilka minut nie był Kubą, a tam nie leżała jego siostrzenica. Dziewczynka, której wiązał buty i którą zabierał na sanki. Tyle wystarczyło. Zebrał myśli i wyszedł przed dom, żeby zająć się świadkami. Ale chłopców nie było. Widział zaledwie zarysy sylwetek, kiedy brodząc po pas w pszenicy, kierowali się w stronę lasu.

I on też musiał w ten las wejść.

6.

Obecnie

Lena obudziła się w przepeconej pościeli z poczuciem, że coś jest nie tak. Przez chwilę nie mogła ustalić, gdzie jest. Poruszyła się.

To skrzypienie łóżka brzmiało znajomo. Spała w swoim pokoju w Górsku. W domu rodziców. „Już dawno nie mieszkasz w Warszawie” – upomniała się w myślach.

Jeszcze się nie podniosła, a już pulsowały jej skronie. Poprzedniego wieczoru wzięła tabletki na nerwicę i zapła je alkoholem. Przez głowę przeszło jej, że to koszarne combo, którego skutki będzie odczuwać jeszcze przez wiele godzin.

Zwlokła się z łóżka pod prysznic i przyłożyła czoło do chłodnych kafli. Ból głowy zelżał. Lena wytarła się i zawięła mokre włosy w turban. Z lustra spoglądała na nią smutna kobieta przed czterdziestką z rozmazaną maskarą. Wzięła tonik, żeby zmyć makijaż i nałożyć nowy. Spięte mięśnie odrobinę się rozluźniły, przętyk nie palił tak, jak wcześniej. Potem odkręciła balsam i zaczęła wsmarowywać go w skórę. Dzika pomarańcza zawsze poprawiała jej nastrój. Ale nie tego dnia. Lena miała kaca i czuła bliżej nieokreślony niepokój. Jak zawsze wtedy, gdy przesadziła z alkoholem i lekami.

Wróciła myślami do chłopaka ze sklepu. Od wczoraj męczyły ją pytania o to, ile razy nieświadomie mijała go na ulicy. Niedaleko Wilg, gdzie mieszkał, znajdowało się jezioro z piękną plażą. Jeździła tam w wakacje. Na pewno go spotkała. Może kiedyś zapytała go o drogę lub godzinę. Może on coś odpowiedział.

Włożyła długą sukienkę w kolorowe figury. Materiał oplatał łydki, przyjemnie chłodząc skórę. Kobieta wróciła do sypialni i wzięła do ręki samsunga galaxy w odrapanym różowym etui,

które kruszyło się w palcach. Jeden nieprzeczytany esemes od byłego męża. Zamierzał zaprosić Jaśka do Kanady i czekali na wyrobienie paszportu. „Zadzwoń do mnie po śniadaniu”. Spojrzała na zegarek, była dziewiąta trzydzieści, Dawid zaraz zacznie wydzwaniać z pretensjami, że Lena go olewa.

Przeskrolowała ekran w dół i zamarła. O drugiej w nocy Jasiek próbował się do niej dodzwonić. Pięć razy. Jeden raz odebrała, rozmowa trwała dwie minuty.

Lena nie mogła sobie przypomnieć, czego dotyczyła. Wydarzenia poprzedniego wieczoru nie chciały łączyć się w całość. Pojawiały się jakieś obrazy, których nie umiała ze sobą powiązać.

Przypomiała sobie, że Jasiek wybierał się na imprezę, może potrzebował podwózki? Albo zmienił plany i chciał ją o tym poinformować? Może powiedział jej, że zamierza spędzić noc poza domem, i Lena niepotrzebnie się denerwowała. Poszła do niego do pokoju.

– Jasiek? – Zapukała do drzwi.

Cisza.

– Jasiek?

Dalej nic. Nacisnęła klamkę i spojrzała na złożone łóżko. Zaczęła się zastanawiać, czy syn w ogóle wrócił po imprezie do domu. Wybrała jego numer.

„Cześć, tu Jasiek. Jeśli nie mogę odebrać, to na pewno oddzwonię. Zostaw wiadomość”.

– Hej, tu mama. Odezwij się. Zaczynam się martwić. Gdzie jesteś? – Nagrała się i dla pewności napisała esemesa o tej samej treści.

Przy klawiaturze na jego biurku walały się opakowania po cukierkach i batonie. Ślady po napojach odcisnęły nierówne kółka na blacie. „Na pewno za chwilę oddzwoni, jest prawie pełnoletni, odpowiedzialny” – przekonywała siebie. Wielokrotnie wychodził z domu o dziwnych porach, żeby nagrać określone sekwencje. Niemal słyszała w głowie jego głos: „O piątej jest najlepsze światło, mamó”. Przez tydzień nie było jej w domu, w tym czasie mógł nocować u kolegi lub swojej dziewczyny i nie musiał się z niczego tłumaczyć. Może po prostu zapomniał.

Kobieta odsunęła obracany fotel i usiadła. Przymknęła oczy, próbując uspokoić oddech.

Ciemność.

Lena poczuła, że zaraz nadejdzie ból. Zacznie się w okolicy powiek i przesunie w górę. Ta okropna larwa będzie pełzać po głowie. Lena położyła palce na skroniach i zaczęła je masować. „Gdzie jesteś?” – myślała. Nie wiedziała, jak pozbyć się tego paskudnego uczucia napiętej struny w ciele. Miała wrażenie, że cała dygocze. Przyszło jej do głowy, że to przez ten pokój. Ilekroć była w nim sama, zmieniała się w piętnastolatkę z koszmarnych wspomnień. Ta dziewczyna wiedziała, jak zatruć życie. Gdyby Lena podeszła do okna, zobaczyłaby dom Rafała. Wróciłyby wydarzenia sprzed lat.

Ciemność.

Ale nagle z tej ciemności wyłoniło się kilka szczegółów. Lekarstwa, ławka w ogrodzie, butelka z nalewką, potem piwo, kolejna butelka. Z czym?

W domu potknęła się o stopień i upadła na kolana. Na to wspomnienie wręcz poczuła pod palcami kremowy, szorstki chodnik. Widziała swoją rękę, jak próbuje trafić w klamkę i wymacać na ścianie włącznik od światła. Nie udało się. Jakimś cudem po ciemku podeszła do okna. Wpatrywała się w dom Rafała i pokój, który kiedyś do niego należał.

W tych wspomnieniach nie było jej syna ani rozmowy, którą najwidoczniej przeprowadzili. Cholera.

„Cześć, tu Jasiek. Jeśli nie mogę odebrać, to na pewno oddzwonię. Zostaw wiadomość”.

Telefon zawibrował w dłoni i prawie upadł na podłogę. Lena spojrzała na wyświetlacz z nadzieją, że to syn. Ale nie, to naczelny lokalnego tygodnika, z którym niedawno zaczęła współpracować. Czego chciał przed południem w niedzielę?

– Potrzebuję cię dzisiaj – zaczął bez ogródek. – Jesteś w Górsku?
– Tak, a co się stało? – Pomyślała, że chodzi o jakiś wypadek. Pewnie miała zrobić zdjęcie i wrzucić informację do sieci.

– Dzwonił do mnie znajomy. Chodzi o samobójstwo.

Żołądek skurczył jej się do rozmiarów piłeczki tenisowej. Piętnastoletnia Lena stanęła przed nią i posłała pełne współczucia spojrzenie. „Odłóż słuchawkę” – szepnęła.

– To niedaleko ciebie, między Wilgami a Górskiem – kontynuował naczelnny.

Przed oczami mignął jej ten straszny dom, w którym Rafał odebrał sobie życie. Przypomniała sobie chłopaka z dłońmi pianisty i stare, niebieskie schody, na których siedzieli. Czy na trzecim stopniu nadal były sęki, które przypominały czarne dziury kosmosu? Lenie zrobiło się słabo.

– Ta dziewczyna nazywała się... Czekaj. – Mężczyzna musiał odsunąć telefon od twarzy, bo jego głos ucichł. Założyła, że czyta esemesa. – Kasia Kwiatkowska. Znasz ją?

Lena zerwała się i zaczęła wydeptywać kilometry w pokoju swojego syna. Serce przyspieszyło. Adrenalina wtoczyła więcej tlenu do krwi. Zbiegła na dół.

– Kto? – Słowa docierały do niej z opóźnieniem. Przypomniała sobie wysoką, szczupłą dziewczynę, którą widziała z Jaśkiem. Zaczęła analizować wszystkie informacje. Przecież powiedział, że się umówili. Mieli iść na tę przekłętą imprezę razem. – A Jasiak? Też tam jest?

– Jasiak? Lena, o czym ty, do cholery, mówisz? – zapytał naczelnny zirytowanym głosem.

Zapomniała, że rozmawia z obcą osobą. Przecież on nawet nie znał imienia jej syna.

– Czy znaleźli tylko jedno ciało? – Lena wyobraziła sobie dziewczynę swojego syna na tej obrzydliwej osmalonej podłodze. Czy trzymała Jaśka za rękę?

– Nie znam szczegółów. Zajmiesz się tym?

– Nie, muszę znaleźć syna. – Odłożyła słuchawkę, chociaż pewnie powinna coś wyjaśnić. Z drugiej strony gównem ją obchodziło, co sądzi na ten temat naczelnny.

Lena pobiegła do korytarza i zaczęła wyciągać wszystko z torebki.

– Gdzie te cholerne kluczyki! – Miała do wyboru swoje auto albo rodziców. Wybrała to drugie.

Na zewnątrz panował skwar. Bezruch powietrza sprawiał, że miało się wrażenie, jakby wszystko wrzało. Wrona, która uwiła gniazdo na klonie z boku ogrodu, poderwała się do lotu z głośnym skrzekiem i zwyzywała ją od najgorszych. „Mówiłam, żebyś nie piła!” Piskłeta popiskiwała w gnieździe, a czujna matka wrzeszczała jak opętana, jakby się bała, że ktoś je porwie.

– Wyluzuj, kobieto, nic od ciebie nie chcę – mruknęła Lena, chwytając za gorącą klamkę.

Przed śmiercią rodzice jeździli starym fordem. Lubiła go, jednak gdy zobaczyła swoje odbicie w szybie, odwróciła wzrok.

Jej syn do niej dzwonił, potrzebował matki. Może prosił o pomoc, bo wiedział, co planuje Kasia?

Sukienka przykleiła się do siedzenia, pot łaskotał jej wargi. Lena wzięła głęboki wdech i próbowała uspokoić łomot serca. Wiedziała, że jeśli mu się podda, ogarnie ją panika. Nie będzie w stanie się skupić, a potrzebowała jasnego umysłu. Wyjęła ze schowka alkomat i modliła się, żeby pokazał mniej niż 0,2. Pokazał równo 0,2. Mogło być gorzej.

„On wróci. Za chwilę zobaczę go na chodniku przy ulicy, jak idzie do domu. Torba wrzyna mu się w ramię, jest uśmiechnięty, bo nagrał sekwencję życia. Nic strasznego nie widział. Nic nie wie”. Im dłużej powtarzała w myślach podobne życzenia, tym bardziej zdawała sobie sprawę, jak niedorzecznie to brzmi. Jasiak spotykał się z Kasią. Wczoraj na pewno spędził z nią wieczór.

Znowu zadzwoniła do syna i się nagrała.

„Daj mi znać, czy wszystko w porządku. Gdzie jesteś? Wiem, co się stało. Słyszałam o Kasi... Nie możesz teraz zostać sam. Synku? Czy mnie słyszysz?”

Widziała przed oczami twarz Jaśka, jego nieobecny wzrok. Przypomniała sobie, że wczoraj zachowywał się inaczej. Jakby coś ukrywał. Czy domyślał się, co Kasia chce zrobić? Z jakimi problemami się mierzył?

Jechała przez Górsk i patrzyła na drogę, którą doskonale знаła. Trasę do nawiedzonego domu przemierzała w myślach niemal codziennie od dwudziestu pięciu lat. Wystarczył błysk. Wspomnienie, które ciągnęło w dół. Może niebo miało taki sam kolor jak wtedy. Może powietrze pachniało podobnie. Albo zobaczyła parę nastolatków połączonych pocałunkiem.

Przypomniała sobie Kasię Kwiatkowską. Piękną dziewczynę o spojrzeniu, które zwałało z nóg. Ile razy ją widziała? Co o niej wiedziała? Nic. To „nic” wydrążyło w brzuchu Leny ogromną dziurę. Przepaść, do której mogła wrzucić wszystkie „dlaczego”, „po co”, „taka młoda”. I jeszcze słowo: „samobójstwo”. A przecież Lena знаła odpowiedzi. Przerabiała je na terapiach przez większość swojego życia. Kasia zrobiła to z miliona różnych powodów, których być może nigdy nie uda się odkryć. Nikt nie ma wypisanej na czole informacji o cierpieniu.

Rafał też nie miał.

Samochód kołysał się na nierównej ulicy. Lena wyjechała już poza Górsk, nawiedzony dom majaczył z daleka. Widziała mnóstwo ludzi, którzy tłoczyli się przed policyjną taśmą, i auta zaparkowane na poboczu drogi. Znalazła pierwsze wolne miejsce najbliżej domu, zatrzymała samochód i otworzyła drzwi. Spojrzała zdziwiona na swoje dłonie, nogi przykryte sukienką w geometryczne wzory. Ciało kobiety wykonywało te wszystkie ruchy mechanicznie. Wiedziało, że trzeba działać, mimo że w głowie jeszcze nie powstał żaden sensowny plan. Liczył się tylko syn. Musiała wiedzieć, czy jest bezpieczny.

Szumiało jej w uszach, słyszała jakieś głosy. Schyliła się pod policyjną taśmą. Ktoś nazwał Lenę wariatką, kolejny głos krzyczał: „Nie można tam wchodzić!”. Ale ona już trzymała spróchniałą poręcz i wspinała się po stopniach. Jeden z funkcjonariuszy złapał ją za nadgarstek, zanim przekroczyła próg tego cholernego domu. Folia, którą ktoś zawiesił w drzwiach, uchyliła się dosłownie na kilka centymetrów. Przed oczami mignęła Lenie kaskada czarnych włosów rozsypana na podłodze. Wiedziała, do kogo należały.

Świat zatrzymał się na chwilę. Serce zmieniło rytm. Czowała zapach policjanta i dotyk jego szorstkich palców. Spojrzała na deski, z których wystawały drzazgi. Słyszała ludzi, którzy szepotali do siebie i komentowali jej wtargnięcie do nawiedzonego domu.

– Nie może pani tam wejść – powiedział mężczyzna i zmusił ją do zejścia ze schodów. – To miejsce pracy policji. Rozumie pani? Proszę wrócić za taśmę. Słyszysz mnie pani? Proszę pani? Czy wszystko w porządku?

– Nie – wyszeptała Lena, opierając się o niego całym ciężarem ciała.

Nic nie było w porządku, poza nadzieją, że Jasiek jest w jakimś bezpiecznym miejscu. I że nigdy go tutaj nie było.

7.

Dawniej

Nie dało się jej zapomnieć. Za każdym razem, gdy się widzieliśmy, Lena robiła coś, o czym myślałem przez kilka następnych tygodni. Tamtego dnia położyła się na moim łóżku i najpierw szeroko ziewnęła, a potem przekręciła się na brzuch. Wsunęła dłonie pod brodę i rozkazała:

– Rysuj.

Myślę, że nie zdawała sobie sprawy, jaka jest pociągająca i urocza. Miała w sobie tyle samo cech dziecka, co kobiety. Długie włosy, które pachniały owocami, zadarty nosek, idealnie skrojone usta i skórę, na której rozsypały się piegi. Musiałem trochę przed nią udawać. Trzymać na krótkiej smyczy lisa w moim ciele, który tak bardzo chciał ją mieć.

Wiedziałem, że to, co robi i mówi, nie ma erotycznego podtekstu, ale ja miałem szesnaście lat, a ona czternaście i nic nie mogłem poradzić na to, że działała na mnie tak samo, jak dziewczyny z klasy. Podciągnęła koszulkę na plecach i zamknęła oczy. Zostawiła zapięty stanik i albo liczyła, że ja go odepnę, albo po prostu zapominała, że go nosi.

– Odepnij biustonosz – powiedziała, a mnie zachciało się śmiać.

A jednak.

Podszedłem do niej i usiadłem na brzegu łóżka. Drżały mi palce, kiedy trzymałem w dłoni kawałek zapięcia od stanika. Widywałem Lenę niemal każdego dnia, znałem od lat, ale wciąż odkrywałem w niej nowe lądy. Kiedy śpiewała, tańczyła albo stała na palcach, żeby sięgnąć po kubek w kuchni, uwielbiałem ją tak, jak uwielbia się siostrę. Ale też pożałowałem jej jak kobiety, gdy kładła się na moim łóżku i czułem ciepło jej skóry pod palcami.

Kreśliłem łuki wokół łopatek Leny, a lis w moim brzuchu otwierał oczy i czekał. Jego ogon falował na boki, futro się unosiło, jakby je ktoś naelektryzował. Przepływał przez nas ten sam prąd, którego źródłem była dziewczyna z sąsiedztwa.

– Nie tak – powiedziała naburmuszonym tonem dziecka z podstawówki.

Właściwie dopiero co ją skończyła. To były nasze ostatnie wspólne wakacje przed jej wyjazdem do liceum w Toruniu.

– Weź długopis i narysuj mi coś naprawdę – wytłumaczyła.

– A jak ty to potem zmyjesz?

– Coś wymyślę, nie marudź.

Śmiałem się, kiedy szukałem w biurku długopisu. Po chwili na jej plecach powstała delikatna kreseczka.

– Wyobraź sobie, że to salon tatuażu, a ja jestem twoją klientką.

– I mam wolną rękę? – Naliczyłem na jej plecach trzydzieści dwa pieprzyki. Wyglądały jak konstelacja gwiazd.

– Całkowicie.

– Odważna jesteś – powiedziałem i próbowałem spojrzeć na jej skórę jak na czystą kartkę. Albo raczej płótno, na które ktoś położył już pierwszą warstwę farby. Chciałem wykorzystać wszystkie fale i wgłębienia.

Na początku kręciła się i próbowała ułożyć wygodnie. Oddychała szybko, mój długopis szukał gładkich powierzchni. Ale z każdą minutą widziałem, jak Lena się odpręża. Jej plecy unosiły się i opadały miarowo. Oddech stał się dłuższy, pomyślałem nawet, że zasnęła.

– I co rysujesz? – zapytała rozmarzonym głosem.

W pokoju wzrosła temperatura albo tak mi się tylko wydawało. Było ciepło, miałem ochotę zdjąć koszulkę, ale się nie odważyłem. To lis mnie podpuszczał, cwaniak.

– Tajemnica, zobaczysz, jak skończę. – Kreski na jej plecach zaczynały wyglądać jak rysunek.

– Niech ci będzie. – Ziewnęła i znowu pogrążyła się w półśnie.

Patrzyłem na jej ciało i chłonałem każdy szczegół, żeby móc go później odtworzyć. Przesuwałem dłonią nad linią jej bioder i talii. Czułem jej energię i ciepło. Wytatuowałem sobie w głowie jej obraz.

Rysowałem tak długo, aż w pokoju zapanował półmrok. Światło wpadało już tylko od strony sufitu i spływało w dół delikatną kaskadą. My znajdowaliśmy się w zacienionym miejscu. Tak jakby natura chciała podarować nam intymność.

Kiedy skończyłem, Lena uniosła się i opuściła koszulkę. Miała nieobecny wzrok i potargane włosy.

– Spałam jak zabita. Idę do łazienki do lustra.

Przesiadłem się na fotel i zagryzłem wargi. Serce biło mi jak oszalałe. Naprawdę się denerwowałem, chciałem zrobić na niej wrażenie. Zaimponować jej. Weszła do pokoju i znowu usiadła na łóżku, naprzeciw mnie. Nasze kolana się zetknęły, spotkały się nasze oczy.

– Jesteś niesamowity – szepnęła.

– Koliber symbolizuje siłę. Kogoś, kto nie poddaje się przeciwnościom losu. To nieskończona radość. I symbol miłości – dodałem ciszej.

Lena spojrzała przez okno i zacisnęła wargi. Oczy jej błyszczały.

– Ale ja taka nie jestem. – Potarła ramiona i się objęła. – Rafał, ja się boję wyjechać do tego Torunia. Najchętniej zostałabym w domu, nic nie zmieniała.

Poczułem na kolanie jej dłoń. Zacisnęła palce na materiale moich spodni, jakby mogła tym gestem zatrzymać czas i zmiany, które musiały nadejść.

– Ty się boisz? – Oderwałem się od oparcia fotela, dotknąłem jej podbródka i skierowałem w swoją stronę. – Dziewczyna, która poszła kraść owoce do największego sknery w okolicy, zerwała wiaderko czereśni, ominęła trzy psy i przeskoczyła przez płot, jakby ćwiczyła gimnastykę artystyczną?

Uśmiechnęła się smutno.

– Zrobiłam to tylko dlatego, że byliśmy tam razem.

Zbliżyłem się do niej jeszcze bardziej. Czułem jej oddech na szyi, dzieliły nas centymetry. Lis warczał. Miotał się we mnie, gotowy do ataku. „Nie teraz!” – uciszyłem go i przywołałem do porządku.

– Lena, jeśli będziesz chciała, zawsze będę przy tobie. – Trząśłem się jak dzieciak na konkursie recytatorskim. Po raz pierwszy powiedziałem coś tak osobistego. Odśloniłem się i czekałem, co się stanie.

– Wiem, co zrobimy! – Klepnęła moje kolano i w jednej chwili zmieniła się w dziewczynkę z rozbieganym wzrokiem. – Poczekaj tutaj.

Powietrze gryzło mnie w przetyk, więc wstałem otworzyć okno. Liczyłem na inną reakcję, chciałem jej bliskości. Od jakiegoś czasu chciałem więcej.

Słyszałem, że Lena zbiega po schodach i otwiera szuflady w salonie. Czuła się w moim domu swobodnie. Znała wszystkie zakamarki. Miała ulubione miejsce przy stole i talerz w kwiatki, na którym prosiła o dokładkę pierogów z jagodami. Rodziców nie było w domu, więc mogła grzebać w pokojach do woli.

Stałem w oknie, a wiatr kołysał liście na drzewach. Narastało we mnie napięcie. „Weź ją siłą, połóż na łóżku i pocałuj. Nie widzisz, jakie sygnały ci wysyła? Nie widzisz, że cię pragnie?” – podpuszczał mnie rudy. Założyłem mu kaganiec.

Usłyszałem, że Lena wchodzi do pokoju. Stąpała delikatnie, jakby nie chciała mnie wystraszyć. Czułem jej ciepło.

– Pięknie, co? – zapytała i założyła włosy za ucho. Uśmiechnęła się delikatnie, w jej policzku pojawił się mały dołeczek.

– Pięknie – odpowiedziałem. Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, jedynym odgłosem były nasze oddechy. Mój był przyspieszony i niecierpliwy. Co znowu ta moja Lena wymyśliła?

W końcu wcisnęła się między mnie a parapet.

– Zaufaj mi – poprosiła. – Zamknij oczy.

Zamknąłem.

Opuszkami palców gładziła wnętrze mojej dłoni. Lis zastygł w oczekiwaniu, jakby go ktoś zaklął w figurę z kamienia. Obaj czekaliśmy.

– Teraz zaboli – uprzedziła, a ja poczułem delikatne ukłucie.

Spojrzałem na nasze ręce. Moje, długie i smukłe, i jej – małe, delikatne. Na palcach wskazujących prawych dłoni zebrały się kropelki krwi. Odłożyła szpilkę z białą główką na parapet i uśmiechnęła się niepewnie.

– Na zawsze razem? – zapytała.

– Na zawsze – powtórzyłem. Dotknęliśmy się opuszkami palców i czekaliśmy, aż połączy nas przysięga. To było dziecinne i mocne zarazem.

Zupełnie jak moja Lena.

8.

Obecnie

Kuba przypomniał sobie Kasię na ostatnim spotkaniu rodzinnym. Prawie jej nie poznał, bo przefarbowała włosy na czarno i zrobiła mocny makijaż. Śmiała się z komentarzy ciotek, jakoby dodała sobie lat. I że przecież naturalny kolor jest lepszy.

– Z przykrością stwierdzam, że nie znacie się na modzie – zażartowała. – Przyjmijcie do wiadomości, że jeśli ktoś przy tym stole ma pojęcie o fryzurach i trendach, tym kimś jestem ja.

Zawsze marzyła o fryzjerstwie, ostatnio zaczęła praktyki w salonie.

– Ale w kwestii muzyki jestem oldskulowa. – Puściła oko do Kuby i włączyła płytę Anny Jantar. Znała wszystkie piosenki na pamięć.

Zommer nie rozpoznawał w dziewczynie, która leżała na podłodze w tym strasznym domu, siostrzenicy. Na początku miał szaloną nadzieję, że po prostu wstanie, zdejmie sznur i powie: „Żartowałam. Przepraszam, wujku, że cię przestraszyłam”.

Ale oczywiście nie wstała. A on musiał zebrać się w sobie i biec za chłopakami, z którymi wcześniej rozmawiał na drodze. Wiedział, że powinien ich złapać, zanim znikną w lesie.

„Dasz radę, stary” – pomyślał i zacisnął pięści. Dopingował się, jakby brał udział w zawodach. Bo trochę tak było. Walczył nie tylko z poczuciem straty, ale też ze zwyczajnym, ludzkim zmęczeniem. Czarne glany zapadały się w suchy piach, nogawki służbowych spodni plątały się w kłosach pszenicy, a mimo to dogonił chłopaków po kilku minutach. Jakub się zastanawiał, jak to możliwe, powinni być szybsi. Zakładał, że są w szoku. A może to wina narkotyków i alkoholu? Wyglądali, jakby właśnie opuścili miejsce tortur. Policzki bez koloru,

obląkany wzrok, spękane usta. Przyprowadził ich z powrotem i kazał siedzieć na dupie.

Kiedy otwierał im drzwi do samochodu, karoseria parzyła go w dłoń. Blacha nagrzała się do tego stopnia, że zamieniła starą kieliszek w puszkę z parą. Jedynym miejscem, gdzie w tej chwili panował względny chłód, był dom. Ale tam Kuba za cholere nie chciał wchodzić. Jeszcze nie.

– Macie. – Podał im po butelce wody, której zgrzewkę zawsze woził w bagażniku. Sam z przyjemnością też wypił, chociaż ciepła woda nie przyniosła orzeźwienia, o jakim marzył. Pot spływał mu po skroni, czuł, że koszulka przykleiła mu się do pleców. Skropił sobie twarz, zarost i łysą głowę resztkami płynu. Próbował zetrzeć pył, który przyległ mu do skóry, kiedy biegł za nastolatkami. Najchętniej ściągnąłby mundur i wszedł pod strumień zimnej wody.

Spojrzał na chłopaków. Wyglądali jak gwiazdy boysbandu. Modne ciuchy, szpanerskie zegarki, które przysłaniały nadgarstki, i czerwone jordany na stopach. Zastanawiał się, czy są braćmi, ale doszedł do wniosku, że raczej nie. Zbyt wiele ich różniło. Miękkie rysy kontra twarde. Nos z garbem kontra prosta szyna. I oczy. Gdyby byli braćmi, zgadzałyby się kształt lub kolor. Jeden z nich co chwila pocierał ramiona, drugi oparł głowę o zagłówek.

Uznał, że najlepiej będzie, jak zajmie się nimi Marika Sagon z dochodzeniówki, którą znał jeszcze ze szkoły policyjnej. Wiedział, że nie mogli zeznawać, jeśli wciąż byli pijani. Ale należało z nimi porozmawiać. Przeprowadzić wstępne rozeznanie.

Zgniatą właśnie półlitrową plastikową butelkę, kiedy pod dom zajechały dwa samochody. Poczul zapach spalonej gumy, kiedy jedno z aut zjeżdżało z ulicy na teren przed domem. Zarzuciło nim, ale kierowca odzyskał kontrolę. Z ziemi unióś się pył i to, co Zommer zdążył wytrzeć z twarzy, z powrotem na niej osiadło. Właściwie było jeszcze gorzej, bo ziarenka piasku przykleiły się do mokrej skóry i czuł, jak chrzęszczą między zębami.

Z jednego samochodu wysiadła niska blondynka z burzą sprężyn na głowie, z drugiego brunet w garniturze. Mimo że kobieta szła pierwsza, mężczyzna ani na moment nie zatrzymał wzroku na jej okrągłych kształtach. Szedł wpatrzony w nawiedzony dom i to jego rozbierał na części.

– Nie masz nic lepszego do roboty w niedzielę? – zażartowała Marika, podając Zommerowi rękę. – Aż tak źle? – szepnęła. Przyglądała mu się przez chwilę, a Jakub zdał sobie sprawę, że musiał wyglądać dokładnie tak, jak się czuł. Jak gówno. – To prokurator Filip Tryc. Pracuje z nami od dwóch miesięcy.

W tych dwóch zdaniach kryło się wszystko, co tak naprawdę chciała powiedzieć: „A to jest kutas, o którym opowiadałam ci przez telefon. Nienawidzę gnoja, który każe mi pracować po godzinach, podczas gdy sam kończy pracę o siedemnastej”.

Tryc wymienił z nim uścisk dłoni i poszedł do nawiedzonego domu. Jego ręka okazała się chłodna, Kuba pomyślał, że musiał mieć w aucie podkręconą klimatyzację. Chociaż słońce wspinało się po niebie i bezlitośnie grzało, nie odpiął ani jednego guzika sztywnej koszuli.

– Ta dziewczyna, którą znalazłem... To moja siostrzenica – powiedział Jakub cicho.

– Kurwa – wyrwało się Marice. Spojrzała na niego ze współczuciem i zrobiła dwa kroki w jego stronę, jakby chciała go pocieszyć.

Zommer wsunął rękę do kieszeni i odwrócił wzrok.

– Poradzę sobie. Tylko nie każ mi jechać do domu. Jeszcze nie teraz.

Pokiwała w zamyśleniu głową, a jej krótkofalówka przy pasku zaszumiała. Marika odeszła na bok i zaczęła kierować ruchem samochodów, które właśnie szukały miejsca przed domem

Przyjechał biegły lekarz, karetka, technik. Po chwili kilkoro mieszkańców zebrało się pod taśmą, którą jeden z policjantów zdążył chwilę wcześniej rozłożyć. Ludzie wołali Kubę po imieniu, szeptali między sobą, że chodzi o Kasię. Policjant unikał ich wzroku. Paweł Rzepecki,

starszy stażem kolega, z którym pracował w komisariacie w Górsku, podszedł się przywitać i przyglądał mu się zmartwiony.

– Pablo? A ty nie jesteś na urlopie? – zapytał go Kuba. Poczł ulgę, że widzi znajomą twarz. – Miałeś jechać nad morze.

– Wróciłem w nocy. Ty się o nic nie martw, zastąpię cię na posterunku. – Położył Jakubowi rękę na ramieniu i je ścisnął. Założył mundur, czarne jak heban włosy, które sięgały mu za ramiona, jak zwykle zaczesał w tył, nakładając przy tym tyle żelu, że pasma lśniły, jakby dopiero co wyszedł z wody. – Trzymaj się, stary. Nawet nie wiesz, jak mi przykro... – dodał ciszej i poszedł uspokoić mieszkańców, którzy coraz głośniejsz komentowali to, co mogło wydarzyć się w domu.

Marika najpierw spisała zeznania Zommera, potem zajęła się rozmową z chłopakami. Usiadła w jego aucie, na siedzeniu kierowcy. Jakub zajął miejsce obok, żeby wszystko słyszeć. Patrzył na spękaną ziemię, spomiędzy której wyrastały pojedyncze źdźbła trawy.

– Chcesz powiedzieć, że jej nie dotykaliście? – Marika spojrzała na chłopaka, który wydawał się bardziej przytomny. Dopiero teraz Kuba zauważył, że nastolatek ma w uszach dwa czarne tunele. Kiedy mówił, co chwilę uderzał w zęby kolczykiem w języku.

– Tak – uciał. – Naprawdę tylko tam weszliśmy. To znaczy ja, bo Juri tylko zajrzał do środka. Od razu wybiegł na ulicę rzygać, poszedłem za nim i wtedy pojawił się ten glina. – Spojrzał na Kubę przestraszonym wzrokiem. – To znaczy ten pan – poprawił się.

– Ale znaleźcie ją?

– Tylko z widzenia. No, z tej imprezy w blaszaku. Widzieliśmy ją teraz i w zeszłym tygodniu. – Chłopak przygryzł wargę. – Ładna była. Zwracała na siebie uwagę...

Marika spojrzała w notatki.

– I mówicie, że dzisiaj na imprezie doszło między nią a jakimś chłopakiem do kłótni?

– Ja nic nie widziałem, to Juri... – Kolczyk uderzył w zęby, wydając głuchy brzdęk.

– Tomasz Jurkiewicz. – Marika zwróciła się do drugiego chłopaka. – Opowiedz dokładnie, co widziałeś.

Mimo upału chłopak siedział pod kocem, który dostał od ratowników. Wpatrywał się we wzór na materiale i dygotał.

– Tomek, proszę, skup się. Spróbuj sobie przypomnieć. – Ton głosu Mariki zmiękł.

– Nie wiem dokładnie, co się stało. – Zommer ledwie usłyszał szept chłopaka. Dzieciak wyglądał, jakby miał za chwilę zemdłeć. Jasne włosy, sztywne i zaczesane do tyłu, nadawały mu poważny wygląd, ale mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. – Szedłem na fajkę i zobaczyłem, że krzyczy na tego chłopaka. Chyba była zła, że się nawalił. On ją przeproszał, a potem też krzyczał.

– Pamiętasz co?

– Że jest kurwą i takie tam. – Widać było, że ciężko mówić mu w ten sposób o zmarłej dziewczynie, nawet jeśli była dla niego obca. – Ona płakała.

– Znałeś go? Wiesz, kim jest? – wtrącił Jakub. Był wściekły, że ktoś nazwał tak Kasię. Przypomniał sobie siostrzenicę, jeszcze zanim pofarbowała włosy na ten okropny czarny kolor. Wyglądała jak anioł i tak ją traktowali. Nikt z całej rodziny nie powiedział o niej złego słowa.

Blondyn zaprzeczył.

– A jak wyglądał?

– Zwyczajnie. Nie wiem... No taki wysoki, chudy. Miał wielką torbę przewieszoną przez ramię.

– A potem? – Jakub się nachylił, żeby dokładnie widzieć twarz nastolatka.

– Potem zadzwonił mój telefon i odszedłem...

– A sznur? Kiedy go odcięliście?

Marika chrząknęła, dając mu znać, żeby przestał. Tomek Jurkiewicz spojrział zdziwiony na Zommera.

– Przecież przed chwilą powiedzieliśmy, że to nie my! – zaprotestował chłopak.

– A kto?

– My tylko tędy przechodziliśmy! Nawet nie wiem, jak ona się nazywała! Dlaczego pan mi nie wierzy?

– Dobra, koniec tej szopki. Możecie jechać. Jutro ktoś się do was odezwie, żeby spisać zeznania. – Marika wysiadła z samochodu i kiwnęła dłonią do niskiego policjanta, który pilnował taśmy. – Zabierz ich – poprosiła. – Wiesz, że nie możesz się w to mieszać – zwróciła się do Kuby, kiedy odeszli kawałek dalej. – Tryc jeszcze nie wie, że to twoja rodzina, ale jak tylko się dowie, zabroni ci się wtrącać. Ten gość nie bierze jeńców.

Zommer udał, że jej nie słyszał.

– Może poszukamy tego chłopaka? Tego, z którym się kłóciła? Przed blaszakiem ktoś może się jeszcze kręcić – powiedział.

Kobieta wypuściła powietrze nosem. Splotła ręce na piersi, jedną nogę wysunęła do przodu. Ta postawa wyrażała nie tylko zmęczenie, ale i irytację. Coś w stylu: „Jedź do domu, Kuba, i daj mi pracować”.

– Zrobiłeś już wystarczająco dużo. Znam twój numer, zadzwonię, jeśli będę cię potrzebowała.

– Przecież słyszałaś, że przez kogoś płakała. Może ktoś ją skłonił do samobójstwa? – zapytał.

Policjantka pokiwała zrezygnowana głową.

– Równie dobrze mogli kłamać albo się pomylić. – Wyglądała, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale ostatecznie zmieniła zdanie. – Słuchaj, za mało wiemy na tym etapie, żeby wysnuwać jakies wnioski. Traktujesz to osobiście i ja to rozumiem, ale poczekaj na fakty. Zrobię wszystko, jak należy. Dzwoniłeś już do Wioli? – Spojrzała na niego ze współczuciem. – Powinieneś odpocząć. Od kiedy jesteś na nogach? Jadłeś coś? Piłeś?

– Nie. Nie wiem. – Na myśl o żonie oblał go zimny pot. Doskonale wiedział, że Marika po części ma rację, ale czekanie to była ostatnia rzecz, na którą potrafił się zdobyć w przypadku Kasi. Dziewczyny, którą znał. Którą, do jasnej cholery, kochał. Czuł, że jeśli czegoś nie zrobi, wybuchnie.

– Nie musisz tam wchodzić ze mną, wszyscy to zrozumieją – dodała policjantka i odwróciła się w stronę budynku. – Odezwę się do ciebie w poniedziałek. Proszę, jedź do żony.

Zommer wiedział, że choćby miał wczłgać się do tego cholernego domu, a potem śnić koszmary do końca swojego życia, zachowa się jak prawdziwy glina. Gdyby teraz odpuścił, już nigdy nie spojrzałby w lustro.

– Ale syf. – Marika stanęła w progu i rozejrzała się po pokoju. Wcześniej musiała zająć się świadkami.

Założyli zabezpieczenia na buty i rękawiczki, mimo że i tak nie zamierzali podejść do Kasi. Zatrzymali się blisko drzwi i Kuba czuł, jak folia, którą technik rozwiesił, żeby zasłonić widok wnętrza domu, dotyka jego pleców.

Kiedy Zommer wchodził tu za pierwszym razem, był w takim szoku, że nie zwrócił uwagi na smród, którego intensywność rosła wraz z temperaturą. Zapach kojarzył mu się z meliną w poczekalni dworca doprawioną czymś jeszcze. Procesem rozpadu, który czuł, ilekroć zbierał stare owoce jesienią. W środku kręciło się sporo osób i panował rozgardiasz. Technik nachylał się nad Kasią. Bładość jej skóry kontrastowała z ciemną, osmaloną podłogą. Kuba zauważył, że czerwona bluzka, którą miała na sobie, uniosła się i odsłoniła pępek. Ze stopy

zsunął się but, nabita ćwiekami czarna balerinka. Miał nadzieję, że Kasia odeszła zwrócona w stronę jednego z trzech okien. W przeciwnym razie ostatnim obrazem, który widziała, był napis „Szatan” i krzywo namalowana swastyka. Doskonale pamiętał ten dom. Do czasu, aż w jednym z pokoi powiesił się starszy o dwa lata kolega, przychodził tu ze znajomymi. Zdziwił się, jak niewiele się zmieniło. Te same czarne ściany i podłoga. Za rogiem śmierdząca stara łazienka. Nawet z tego miejsca widział dziury po sanitariatach i resztki brązowych płytek.

Lekarz rozmawiał z prokuratorem, Marika wysunęła się do przodu i włączyła się do dyskusji.

Jakub bał się, że nie da rady schować się za maską twardego gliny, więc całą swoją uwagę skupił na pracy technika. Młody chłopak ubrany w kombinezon fotografował oznaczone żółtymi cyframi dowody. Sznur, wisior z czymś srebrnym połyskujący w słońcu i w końcu Kasię. Pierwszy szok minął i choć Kuba nie potrafił tego pojąć, zaczął przyzwyczajać się do sytuacji.

– To nie jest typowe powieszenie. Zakładam, że wcale nie wisiała, ale klęczała. Plamy opadowe raczej nie pozostawiają wątpliwości. Ale bruźda na szyi jest ledwie zauważalna. Myślę, że to dlatego, że krótko po śmierci została odcięta. Może ktoś myślał, że uratuje jej życie? – powiedział biegły lekarz i kucnął przy ciele. Obrócił wnętrza jej dłoni tak, żeby każdy je widział.

Zommer analizował to, co usłyszał. Klęczała? Kojarzyło mu się z to z jakąś egzekucją. Kto odbiera sobie życie w taki sposób? Wiedział, że można się powiesić nawet na klamce. Ale tutaj? Klęząc? Przed kim? Zobaczył na dłoniach Kasi drobne otarcia, kreseczki, które sam miał wielokrotnie na rękach, jeśli zapomniał rękawic do pracy w ogrodzie.

– To wygląda, jakby gdzieś się przewróciła – kontynuował lekarz. – A może to od sznura? Ciężko mi teraz coś zakładać. Trzeba sprawdzić, czy znajdziemy włókna na dłoniach.

– A co u ciebie? – Prokurator Tryc zwrócił się do technika.

– Powiem tak – młody chłopak wyprostował się i wskazał ręką na pokój – podejrzewam, że jak się uprę, znajdę tu ślady całej cholernej wsi. Rozumiem, że to takie miejsce, gdzie młodzież się spotykała, żeby poszaleć. – Wskazał brodą na zbieg ścian przed sobą. – Kto wie, co dzieciaki tu wyrabiały.

W tym konkretnym kącie Zommer już wcześniej zauważył ciemnobordową plamę. Wyglądała, jakby kiedyś wylano tam wiadro krwi.

Prokurator pokiwał w zamyśleniu głową.

– A świadkowie? – zwrócił się do Mariki.

– Pokłóciła się z kimś. Jakiś chłopak zwyzywał ją na imprezie. Potem z niej wybiegła – odpowiedział Jakub zamiast policjantki.

– Marika, sprawdź, co się działo na tej imprezie. – Tryc przymknął powieki, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

Jego twarz składała się z kropek i kresek. Zaciśnięte proste usta, małe, świdrujące oczka, wystające kości policzkowe. Szczyt niezmaconej geometrii. Marika opowiadała o nim Jakubowi, kiedy ostatnio wpadli na siebie w Kotlinie. Nowy prokurator pozbawiał ją snu i czasu, który chciała spędzać z dzieciakami, był upierdliwy i liczył, że swoim entuzjazmem podniesie skuteczność zespołu. Sprawdzał pieprzone wskaźniki efektywności i nie rozumiał, że policjanci i bez tego wypruwają sobie żyły. Mówili na niego „Loki”, bo na upartego przypominał Tomma Hiddlestona, który wcielił się w bohatera filmu Marvela.

– Pan jest synem tego słynnego Zommera? Czytałem o sprawie, którą rozwiązał, i metodach pana ojca. Przyznam, że jestem pod wrażeniem. Do teraz nie mam pojęcia, jak wpadł na te wszystkie tropy. Intuicja? – Prokurator splótł dłonie za plecami.

– Najlepiej będzie, jak zapyta pan jego. – Jakub czuł zdenerwowanie, nie chciał teraz

rozmawiać o ojcu.

– A pan nie chciał iść w jego ślady? Wstąpić do wydziału kryminalnego w Kotlinie? Przydałby nam się ktoś podobny. Domyślam się, że praca w lokalnym posterunku nie dostarcza wielu wrażeń.

– Dziękuję – wycedził Kuba. – Lubię swoją pracę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Trzeba zawiadomić rodzinę – powiedział Tryc do Mariki, wciąż wpatrując się w Zommera. – Pan ją znał? – Wskazał na Kasię.

– To moja siostrzenica, więc ja porozmawiam z rodziną. – Kuba pomyślał, że jeśli mają odsunąć go od sprawy, to przynajmniej zrobi tę jedną, ostatnią rzecz. Odwrócił wzrok w stronę Kasi i tak naprawdę po raz pierwszy poczuł, że ma mokre oczy.

– Marika, pojedziecie razem. Od dzisiaj jest pan na urlopie. Rozumiemy się? Z uwagi na pokrewieństwo z denatką nie może pan prowadzić żadnych czynności w związku z tą sprawą – powiedział prokurator i zaczął chodzić po pokoju. Zupełnie przestał zwracać na Jakuba uwagę. Nie powiedział nawet, że mu przykro, ani nic innego, co dobrze wychowani ludzie mówią w podobnych okolicznościach.

„Kutas” – pomyślał Kuba i wyszedł z domu. Jak tylko odchylił foliową zasłonę, wziął haust powietrza. Liczył, że uda mu się pozbyć zapachu, który wwierał się w nos tak mocno, że zostawiał nieprzyjemny posmak na języku. Zastanawiał się, czy fakt, że Kasia należała do rodziny Zommerów, zrobił na prokuratorze jakiegokolwiek wrażenie i spowoduje, że bardziej przyłoży się do śledztwa. Tryc nie chciał, żeby Jakub angażował się w sprawę, ale jak zareaguje, kiedy zadzwoni do niego starszy Zommer? Nie odeśle go z kwitkiem, to pewne. Będzie się przed nim płaszczyć i mu nadszkakiwać.

Jak wszyscy.

Spojrzał na plac przed domem. Teren podzielił na ten przed taśmą – uporządkowany, z równo zaparkowanymi samo-chodami i radiowozami – i ten za taśmą, gdzie mimo upału tłoczyli się mieszkańcy Górska i Wilg, wyczekując informacji i plotek. Wydawało mu się, że przy jednym z radiowozów wypatrzył znajomą twarz. Kobieta stała naprzeciwko policjanta z dochodzeniówki i gestykulowała.

„Lena?” – pomyślał i przyglądał się jej zdziwiony. Wiedział, że wróciła do Górska, ale jeszcze nie mieli okazji porozmawiać. Znali się z podstawówki, nawet siedzieli w jednej ławce. Co ona tu, do cholery, robiła?

– Cześć, co się stało? – Podeszedł do niej i wyciągnął w jej stronę dłoni.

– Szukam Jaśka. – Usta kobiety wykrzywił grymas. Nie podała mu ręki. Wciąż poprawiała włosy albo nerwowo ścisnęła telefon w różowym odrapanym etui. Widział, że trzęsą jej się ręce.

– Twojego syna? – upewnił się. – Dlaczego miałby tu być?

– Wczoraj umówił się z Kasią. Myślę, że spędzili razem wieczór, zanim... Czy on gdzieś tam jest?

– Nie.

Lena zrobiła krok do tyłu i sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Wszystko w porządku? – Podeszła do nich Marika.

– Ta pani próbowała wejść do środka – odpowiedział poli-cjant, z którym wcześniej rozmawiała Lena.

– Nic nie rozumiecie! Mój syn wyszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił. Spotykał się z Kasią.

– Podobno umówili się, że spędzą wczorajszy wieczór razem – dodał Jakub. Sam nie

wiedział, co o tym myśleć. Ten chłopak mógł jako ostatni widzieć jego siostrzenicę żywą.

– Ile ma lat? – zapytała Marika i spojrzała wymownie na Zommera.

Sprawa samobójstwa Kasi zaczynała robić się coraz bardziej złożona. Jakub widział, że koleżanka intensywnie analizuje dane. Była dobrą policjantką, oddaną sprawie i wydziałowi. Czasami nawet za bardzo.

– Siedemnaście.

Kuba podszedł do Leny i objął ją ramieniem, nie rozmawiali od wielu lat, ale znał ją jeszcze ze szkoły.

– Kiedy ostatnio go widziałaś?

– Wczoraj po południu. Potem wyszedł z domu. Miał iść na imprezę do blaszaka...

Chciał jej zadać mnóstwo pytań. Czy Kasia wczoraj była u nich w domu? W jakim nastroju był Jasiak? Czy to on się z nią pokłócił? Jednak Lena wyglądała, jakby składała się z niepasujących do siebie fragmentów. Jak gdyby ktoś ją rozłożył na części, a potem poskręcał, używając złych narzędzi. Powtarzała w kółko te same informacje, wciąż będąc na granicy płaczu.

– Ja się tym zajmę – zwrócił się Kuba do Mariki i otworzył drzwi radiowozu, żeby Lena mogła gdzieś usiąść. Upał nie odpuszczał, bał się, że koleżanka zemdleje.

Policjant, który przysłuchiwał się ich rozmowie, usiadł na miejscu kierowcy. Marika podeszła do niego i zaczęła coś szeptać.

Zommer wiedział, że wiele lat temu to Lena znalazła ciało Rafała w nawiedzonym domu. Miała wtedy zaledwie piętnaście lat. Patrzył na nią, jak odgarnia ciemne włosy z twarzy i rozgląda się po gapiach, jakby mogła wyłowić z tłumu swojego syna.

Pamiętał, że krótko po śmierci Rafała Lena gdzieś zniknęła. Podobno zamieszkała u dziadków w Poznaniu i leczyła się psychiatrycznie. Wracła do Górskiej na święta i wakacje, ale nie była już taka, jak przedtem. Z przebojowej nastolatki zmieniła się w małomówną, wstydliwą dziewczynę, której w każdej chwili groził atak paniki. Prawda była taka, że starzy znajomi nie traktowali jej w porządku. Szeptali, że zwariowała, i Jakub musiał przyznać, chociaż palił go wstyd, że też w to uwierzył.

– Hej, nie martw się. Nie zostaniesz z tym sama – wyszeptał i ścisnął jej dłoń. Nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

– Kolega z panią porozmawia, potem do was dołączę – zwróciła się Marika do Leny i kiwnęła do Zommera, dając mu znać, że powinni się zbierać.

Kuba pożegnał się i po raz ostatni odwrócił w stronę nawiedzonego domu. Stary tynk na ścianie wyglądał jak rozdarte opakowanie koszmarnego prezentu. Dziury odsłoniły czerwone cegły. Na dachu, z którego sypały się dachówki, czerniał brud. Dom zmieniał się w ruinę. Jakub miał wrażenie, że wystarczy pstryknąć, a rozpadnie się na kawałki.

Przemknęła mu przez głowę irracjonalna myśl, że może to miejsce naprawdę jest przeklęte.

– Ja prowadzę – powiedziała Marika. – Jedziemy moim autem, a twoje ktoś odwiezie, jak skończymy. Dawaj kluczyki. – Wyciągnęła rękę w jego stronę, a kiedy zadzwonił jej w rękę srebrny breloczek, włożyła go do schowka.

Zommer nie chciał z nią dyskutować, tylko przygotować się do tego, co miał do powiedzenia swojej rodzinie. Powoli dopadały go emocje, które coraz trudniej było schować za maską twardego gliny. Wspomnienia o dziewczynce, którą wspólnie z żoną trzymali do chrztu. Myśl, że nigdy więcej jej nie zobaczy, robiła się nieznośna.

Kiedy wjeżdżali do Górskiej, minął ich czarny lexus ojca.

– Stary zaczyna węszyć, co? Aż żałuję, że mnie przy tym nie będzie – wyrwało się Marice.

Kuba nie odpowiedział. Akurat teraz miał to gdzieś.

– Zostań tu – poprosił koleżankę, kiedy przyjechali pod dom, w którym mieszkała siostrzenica.

– Jesteś pewny? Kuba, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli odpuścisz. Spuść gardę, człowieku, przecież ty też cierpisz.

– Proszę – powiedział, sięgając do klamki.

Kiedy otwierał furtkę, posłał policjantce wymuszony uśmiech. Nie odwzajemniła go. Marszczyła brwi, jakby się zastanawiała, czy Zommer na pewno da radę ustać na nogach. Miała trochę racji, bo z każdą sekundą tracił siły, jakby przebiegł maraton, ale właśnie się dowiedział, że mety nie ma i nie będzie.

Wspiął się po schodach i nacisnął szorstki, nagrany przycisk przy drzwiach. Dźwięk kojarzył mu się z drewnianym dzwonkiem wietrznym, który rok temu zawiesił u siebie na podwórku.

Nikt nie otwierał. Za to ktoś na pewno płakał.

Kuba słyszał tę rozpacz nawet przez zamknięte drzwi. Nacisnął klamkę, minął kuchnię, korytarz i poszedł do pokoju Kasi, z którego dochodził płacz.

Ola jak w transie zbierała z ziemi wszystkie ubrania Kasi i układała je na łóżku, co chwilę ich dotykając albo wtulając w nie twarz.

– Wujku, ona tego nie zrobiła. – Podeszła do niego i złapała go za koszulkę. Poczul, jak materiał naciąga mu się na plecach. – Ona tego nie zrobiła!

Powtarzała w kółko tych pięć słów, łzy moczyły mu koszulkę.

Na drzwiach od szafy Kasia przyklejała swoje zdjęcia. Uśmiechnięta, zadziorna, piękna. Na wycieczce szkolnej z koleżankami z klasy, nad morzem z wąsami waty cukrowej. Z dziubkiem, z głupią miną, w kowbojskim kapeluszu.

– Ona tego nie zrobiła. Ona tego nie zrobiła. Ona tego... – Ola szeptała swoje zaklęcia w jego ramię. – Była szczęśliwa. Miała plany, marzenia. Kochała nas, a my ją.

Nocne motyle, które w milczeniu przyglądały się ich rozpacz, złożyły kolorowe skrzydła na znak żałoby. Zommer miał przeczucie, że mają do opowiedzenia całkiem inną historię.

9.

Obecnie

Lena dawno nie stała tak blisko tego przeklętego domu. Wyobrażała sobie, że znowu pokonuje stare schody i wchodzi do środka. O tej porze musiał panować tam nieznośny zaduch. Wtedy też tak było. Wydawało jej się, że ma przed oczami Kasię, której usta musiały zmienić kolor na siny. Tak samo opuszki palców. W jednej sekundzie Lena cofnęła się w czasie o dwadzieścia pięć lat i znów dotykała Rafała, który po śmierci nie przypominał siebie. Piętnastoletnia Lena złapała ją za rękę. „Uciekaj” – szeptała. „Uciekaj, zanim będzie za późno!”

Kiedy Jakub zostawił kobietę pod opieką innego funkcjonariusza, przez chwilę nie potrafiła skupić myśli i zebrać słów. Wciśnięta w siedzenie radiowozu, wciąż na skraju płaczu, dukała informacje o swoim synu. Dopiero kiedy przekręciła nawiew w taki sposób, żeby chłodne powietrze wiało jej w twarz, poczuła, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Znaki szczególne? Znamię na lewym ramieniu. Grupa krwi? AB Rh-. Oczy? Piwne. Lena odpowiadała na pytania, a w głowie widziała Jaśka. Przeszło jej przez myśl, że może już wrócił do domu, a ona niepotrzebnie się nakręca. Sprawdziła telefon, ale nie było nowych połączeń czy wiadomości.

Las majaczył w oddali. Niemy świadek wczorajszych wydarzeń. Zastanawiała się, co widział.

– To wszystko? – zapytała funkcjonariusza. Mężczyzna kończył zapisywać informacje i przytaknął. Trzymał w ręku zdjęcie, które wcześniej Lena nosiła w portfelu. Syn zrobił je cztery miesiące temu, kiedy wyrabiali paszport. Wtedy jeszcze nosił krótszą grzywkę. – Jakie podejmiecie działania?

– W tym przypadku cały pakiet.

– Co to znaczy? – zapytała.

Mężczyzna westchnął, ale nie ze zniecierpliwieniem. Ten wydech świadczył raczej o zmęczeniu. Dopiero teraz Lena zauważyła, że nad jego górną wargą perli się pot. Miał lekką nadwagę, być może tak działała na niego wysoka temperatura.

– Proszę pani, na podstawie informacji, które mi pani przekazała, kwalifikuję go do drugiej kategorii osób zaginionych. Trafiają tam osoby, wobec których istnieje realne podejrzenie o zagrożenie dla ich życia i wolności. To się może zmienić w zależności od tego, co ustalimy. Sytuacja jest złożona, nie wiem, co założą śledczy w toku postępowania.

– Nie rozumiem. – Klimatyzacja wiała Lenie w dekolt, a ona mimo to czuła, że zaraz spłonie. O czym ten facet mówił?

– W tym przypadku... – Nie zdążył dokończyć zdania, bo w szybie od strony pasażera pojawiła się głowa policjantki. Loki fruwały dookoła jej głowy, tworząc aureolę. Mężczyzna uchylił okno.

– Czy u was wszystko w porządku? – zapytała kobieta.

– Przyjąłem już zgłoszenie, syn pani Leny Potockiej wyszedł wczoraj na imprezę w Wilgach i jeszcze nie wrócił. Nie ma go w domu od kilku godzin, był chłopakiem denatki, mówił, że wczorajszy wieczór zamierzają spędzić razem. I nie jest pełnoletni. Czyli druga kategoria na ten moment. Nie wiadomo, co widział i gdzie jest.

Lena nie mogła przyswoić tego, co mówił mężczyzna.

– Jak blisko był z Kasią? Czy według pani syn również może odebrać sobie życie? – zapytała wprost policjantka.

Lena zaniemówiła. Jeszcze wczoraj bez wahania odpowiedziałaby: nie. A dzisiaj? Co odpowiedzieć dzisiaj? Słowa rosły jej w ustach i pękały jak bańki.

– Była jego dziewczyną... Nie wiem – wyszeptwała zgodnie z prawdą. Czuła, że zaraz zwariuje. Oddychała szybko i płytko. Złapała za klamkę i zaczęła za nią szarpać.

Widząc to, policjantka podeszła do drzwi z drugiej strony i pomogła Lenie wysiąść z samochodu.

– Marika Sagon – przedstawiła się i mocno uściśnęła jej dłoń.

Funkcjonariuszka powiedziała, że nie zostawi Leny samej i może liczyć na policję. Podawała jakieś statystyki dotyczące zaginięć. Pewnie chciała dać nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

– Kiedy ostatnio się widzieliście? – zapytała.

– Wczoraj po południu, potem syn wyszedł.

– A kiedy ostatnio rozmawialiście?

– O drugiej w nocy.

– O czym?

– Nie pamiętam... – Lena poczuła, że pieką ją policzki.

– Piła pani?

– Tak – odpowiedziała zawstydzona. – Ale badałam się alkomatem. Jest w porządku – uprzedziła kolejne pytanie Mariki.

– Niech pani jedzie do domu i zrobi sobie mocną kawę. To będzie długi dzień. Odezwiemy się, jak skompletujemy ekipę. Potrzebujemy kontaktów syna, komputera. Dostępu do jego rzeczy osobistych i pokoju. Zanim przyjedziemy, może pani zadzwonić do jego znajomych. Czy pani jest w stanie prowadzić?

– Tak.

Lena poszła do samochodu rodziców i zdziwiona zauważyła, że na ulicy przed nawiedzonym domem zrobił się mały tłok. Każdą komórką ciała czuła na sobie wzrok

policjantki. W głowie ciągle obracała słowa tego gliniarza, który przyjmował zgłoszenie. „Trafią tam osoby, wobec których istnieje realne podejrzenie o stanowanie zagrożenia dla ich życia i wolności. To się może zmienić w zależności od tego, co ustalimy. Sytuacja jest złożona, nie wiem, co założyć śledczy w toku postępowania”.

Czyli że co? W zależności od dowodów będą zmieniać wersję? Zakładają, że popełnił albo samobójstwo, albo morderstwo? Lena nie mogła zrozumieć, co funkcjonariusz chciał jej przekazać.

Kiedy już usiadła w nagrzanym fotelu, znowu zadzwoniła do syna.

„Cześć, tu Jasiiek. Jeśli nie mogę odebrać, to na pewno oddzwonię. Zostaw wiadomość”.

Zaczęła się zastanawiać, co robić. Siedzieć w domu i czekać na policję? Wszyscy funkcjonariusze, których spotkała, zajęci byli Kasią i jej samobójstwem. Zanim zbiorą ekipę poszukiwawczą, minie co najmniej kilka godzin. Lenie przyszło do głowy, że do tego czasu mogła już coś zrobić.

Spojrzała na drogę do Wilg. Kilka minut stąd odbywała się ta przekłeta impreza. Musiała się skończyć w okolicy trzeciej lub czwartej nad ranem, ale zdarzały się dzieciaki, które siedziały tam do rana. A może na miejscu był jeszcze ktoś z ochrony lub barman? Lena postanowiła sprawdzić, czy jest tam Jasiiek. Ruszyła. Znowu zrobiło jej się słabo, więc otworzyła okno. Wiatr łaskotał ją w szyję. Stara, zielona choinka zapachowa, którą dawno temu mama powiesiła na lusterku, bujała się jednostajnie, jakby odmierzała czas. Zegarek wskazywał dwunastą czterdzieści.

Lena widziała się z Jaśkiem niemal dwadzieścia godzin temu. Później do niej dzwonił.

O czym, do jasnej cholery, rozmawiała z synem? Czy wiedział o Kasi? Jeśli tak, sprawy mogły przybrać naprawdę dramatyczny obrót. Według policji mógł odebrać sobie życie.

Mógł?

Lena spojrzała z nadzieją na blaszak, który stał po prawej stronie, na samym początku Wilg. Jego kopuła, choć brudna, odbijała światło, co nadawało mu dość apokaliptyczny wygląd. Hangar zbudowano w latach dziewięćdziesiątych, wówczas służył jako miejsce składowania plonów okolicznych gospodarstw. Z biegiem lat przestał spełniać swoją funkcję i niszczał. Blacha wyginała się od słońca, zżerała ją rdza. Trzy lata temu kupił go okoliczny biznesmen i postanowił przerobić na dyskotekę. Wzmocnił izolację, wymienił pofalowane blachy, zamontował nowoczesne oświetlenie, a teren przed i za budynkiem wyłożył kostką brukową.

Trudno było o bardziej spektakularny przykład dewastacji terenu niemalże w środku lasu. Drzewa tłumiły muzykę i stanowiły barierę dla rozochoconej młodzieży. Tylko dzięki temu mieszkańcy Wilg akceptowali wątpliwej urody imprezownię.

Wkrótce po otwarciu nad bramą wjazdową pojawił się uroczy neon „Grizzly Rock”, ale tej nazwy i tak nikt nie pamiętał. Lena słyszała, że DJ gustował raczej w tandetnym techno niż rockowych kawałkach.

Wjechała na spory parking przed blaszakiem, zaciągnęła ręczny i wysiadła. Przed budynkiem ustawiono kilka ławek ze stolikami, przy których siedziały dwie osoby. Czy chłopak w kapturze to Jasiiek? Czy to jej syn?

Ten ktoś rzucił na widok Leny głupią uwagę:

– Zgubiła się pani?

Śmiech poniósł się po parkingu.

– Cześć. – Kobieta przebiegła wzrokiem po znużonych twarzach nastolatków. Chłopak i dziewczyna, która wyglądała jak żywa reklama lalek Barbie. Rozmazany makijaż ust jak opony samochodowe i wymięte ciuchy świadczyły o tym, że ostro zabalowała. I chyba nie do końca wytrzeźwiała. Z telefonu na stole wydobywały się dźwięki jakiegoś rapu. – Szukam mojego syna.

Jasiek Potocki, ma siedemnaście lat. – Wyjęła z torebki stare zdjęcie syna. Starsze niż to, które przekazała policjantowi. – Był wczoraj na imprezie. Może go widzieliście?

– Dzień dobry. – Dziewczyna wstała. Skórzane spodnie opinały pośladki, krótka koronkowa bluzka odsłoniła brzuch. Starła się obciągnąć ją w dół.

Lena przypomniała sobie te wszystkie godziny, podczas których snuła się po Warszawie, pisząc reportaże lub artykuły. Przeprowadziła w życiu tysiące podobnych rozmów, ale nigdy nie była tak zdenerwowana jak teraz. Nigdy jej tak nie zależało.

– Znasz go? – zapytała.

– To pani syn? – Dziewczyna przyglądała się fotografii i spojrzała na Lenę ze współczuciem. – Powiem tak, miał szczęście, że policja go nie zwinęła. Ręka mnie swędziała, żeby zadzwonić. – Podała zdjęcie chłopakowi w kapturze i dodała ciszej: – Nienawidzę gości, którzy piorą laski.

Lena poczuła się, jakby kostka brukowa, na której stała, zamieniła się w błoto. „Piorą laski”?

– Tak, to on – potwierdził chłopak. – Zryty beret, jak nic.

– Kolec, uważaj, co mówisz. Trochę szacunku dla dorosłych, ta pani to jego mama. – Barbie podeszła do niego i zdjęła mu kaptur z głowy. Rude dredy sterczały na wszystkie strony jak badyle.

– Możecie mi powiedzieć, co się dokładnie stało?

– Staliśmy wtedy w palarni, co nie? – Chłopak pokazał na tył hangaru. – Tam są takie fajne altanki, w których można wrzucić na chill, jak techno za bardzo wejdzie. – Uśmiechnął się i zaczął poruszać językiem na boki. – Wie pani, o co chodzi?

Kobieta miała ochotę zetrzeć mu z ust ten głupkowaty uśmiech. Gównu ją obchodziło to, jak mu wchodzi techno.

– Kolcowi zawsze za mocno wchodzi. No więc... – Dziewczyna oparła się biodrem o stolik i wyduła duże usta, jakby próbowała wszystko sobie przypomnieć. – Stoimy tam sobie i nagle ta laska z czarnymi włosami przebiega obok naszej altanki jak strzała. A za nią ten psychol. Przepraszam, to znaczy pani syn – zwróciła się do Leny i poczerwieniały jej policzki. – W końcu ją dogonił i popchnął na beton. Ona, że jest pijany i nie wie, co mówi. Żeby ją zostawił i takie tam. Że ona wie, co robi. Uciekła w stronę drogi do Górka. Mówię, chciałam dzwonić na policję, ale jakoś żal mi się go zrobiło. – Westchnęła. – On potem długo płakał.

– Pojechało ci się, to ona płakała – powiedział Kolec. – Krzyczał „Suka”, „Zabiję cię” i wtedy się popłakała.

– A potem? – Lena słyszała to, ale nie docierało do niej sens tego, co mówił. Jasiek groził Kasi? Mówił, że ją zabije?

– Niech pani nie słucha kolegi, chyba procenty mu nie zesły. Nie wie, co gada. On płakał, wyglądał po tym wszystkim jak zbity szczeniak. Siedział na parkingu, próbował zawiązać but, ale nawet to mu nie wychodziło. Potem poszłam na imprezę. – Dziewczyna posłała Lenie współczujące spojrzenie. Jakby naprawdę było jej żal, że nie wie więcej.

– No właśnie. – Kolec wycelował w nią papierosem. – Więc nie mogłaś widzieć, że ten psychol za nią polazł.

– Ty też gównu widziałeś, Kolec! Niech pani mu nie wierzy. Przecież on wziął wszystko, co udało mu się kupić na imprezie. Ile tabsów wrzuciłeś? No ile?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nieważne. Wiem, co widziałem.

– Wiecie, która to była godzina?

– Jakoś przed pierwszą – przypomniała sobie dziewczyna.

– Mam prośbę. – Lena zaczęła grzebać w torebce. Ze wszystkich sił starała się nie panikować. Jak powiedział ten glina? „Kwalifikujemy go do drugiej kategorii osób zaginionych... To się może zmienić w zależności od tego, co ustalimy”. – Nie powtarzajcie nikomu tej historii. – Wyjęła plik banknotów, które wypłaciła poprzedniego dnia na naprawę auta. Spojrzała w oczy blondynce. – Mam tysiąc. Wystarczy?

– A dlaczego mamy nic nie mówić? Naprawdę zabił tę laskę czy jak? – Barbie spojrzała zaintrygowana.

– Zdaje do szkoły policyjnej i nie chcę, żeby miał syf w papierach. – Zdziwiła się, jak łatwo przyszło jej skłamać. Chociaż być może miała to we krwi. Przecież w pracy, zbierając materiały, również zdarzało jej się naginać rzeczywistość.

– Zawsze wiedziałem, że gliniarze to najgorsi psychole. – Kolec zgasił papierosa butem i wyciągnął rękę po pieniądze. Miał w sobie coś odpychającego. Może chodziło o zęby, które wyglądały, jakby ktoś wepchnął je dla żartu do ust i ustawił w nieodpowiedniej kolejności. Jego twarz zdawała się tego nie rozumieć i dlatego rysowało się na niej coś na kształt wiecznego zdziwienia.

– Jakby coś, to nic nie widzieliśmy. – Dziewczyna wróciła na swoje miejsce za stołem i zmieniła muzykę w telefonie.

„I co teraz?” – pomyślała Lena, ruszając sprzed hangaru. „Teraz jedziesz do domu i dzwonisz do znajomych Jaśka. Organizujesz ekipę poszukiwawczą i czekasz na policję”. Wreszcie wróciła Lena, która wiedziała, co robić. Dziennikarka, która nienawidziła biadolić, tylko brała się do roboty. Trzeba było na niej polegać, bo nieraz ratowała tyłek. Tak samo, jak ratowała skórę Jaśkowi, płacąc dziewczynie i chłopakowi za milczenie. „Lepiej, żeby nikt nie poznał szczegółów tej kłótni” – szeptała do ucha.

Ale czy na pewno? A może trzeba powiedzieć wszystko policji? Może to ważny trop, który pomoże odnaleźć Jaśka?

„Przestań myśleć. Działaj!”

Spojrzała na poszarpaną linię drzew na horyzoncie. Znała topografię terenu, ale nie zapuszczała się nigdy w te rejony. Las był tam wyjątkowo gęsty i łatwo można było zgubić drogę. Modliła się, żeby tylko to spotkało jej syna.

Kiedy przejeżdżała obok nawiedzonego domu, musiała się zatrzymać i przepuścić grupkę gapiów zmierzającą ze strony Górska. Ale przedstawienie miało niedługo się skończyć, o czym świadczyły samochody manewrujące na terenie przed budynkiem. Ratownicy medyczni wynosili na noszach czarny worek.

Wtedy do Leny po raz pierwszy w pełni dotarło, że więcej nie zobaczy Kasi. Przypomniała sobie, jak mijała ją w drzwiach domu, gdy przychodziła odwiedzić Jaśka. I jej słodki, piżmowy zapach. Jeśli perfumy miały barwę, te musiały być różowe. Intrygujące, ale nie nachalne. Sprawiała wrażenie spokojnej, delikatnej dziewczyny.

Byli młodzi, szczęśliwi, mieli przed sobą przyszłość. Co mogło pójść nie tak?

Wszystko.

Zanim ruszyła, odblokowała telefon, jej palce wciąż błędziły po ekranie smartfona, zatrzymując się na imieniu syna. Chłopca, który do dziesiątego roku życia nie umiał wiązać sznurowadeł, ale jak już się nauczył, to pomagał ubierać buty młodszemu kuzynom. Gdy był mały, układał misie na łóżku i leczył pluszowe łapki i brzuszki.

Czy to możliwe, że skrzywdził Kasię? Czy to możliwe, że skrzywdził siebie?

10.

Pelnia Gorącego Księżyca

Czarna skóra węża zaślniła srebrnym blaskiem. Sunął w starej rurze blaszaka, szukając ochłody i cienia. Instalacja była pozostałością po magazynie na plony, bo tym pierwotnie był wielki hangar. Koszt demontażu wystraszył właściciela, więc postanowił przykryć rury tanią dyktą. Wąż parł przed siebie, mimo że miejsca było mało. Liczył na nagrodę w postaci myszy, którą wyraźnie wyczuwał. Ilekroć sunął w miejscach, gdzie rdza wyżarła dziury, światło księżyca oświetlało mu grzbiet.

Dwa metry od niego na parkiecie tańczyła dziewczyna. Wiła się w rytmie beatu. Kusiła, wabiła, ściągała na siebie spojrzenia.

Wysoki chłopak stanął za filarem i przyglądał się jej ruchom jak zahipnotyzowany. Muzyka zwolniła. Ludzie dookoła powoli schodzili z parkietu. Może w stronę baru, a może czuli się nieswojo w rytmie, który był wolniejszy niż bicie serca.

Ale nie dla dziewczyny. Ona uniosła dłonie do góry i poruszała palcami jak indyjska tancerka. Złowiła wzrok chłopaka i jeszcze chwilę przytrzymała go w niepewności. Dobrze wiedziała, że może z nim zrobić, co chce. Podobała jej się ta władza. Podeszła do niego tak, jak to sobie wyobrażał. Płynęła po parkiecie, jakby to nie były Wilgi, ale Nowy Jork. A on nie był ochroniarzem na dyskotece, ale bodyguardem. Poczł jej zapach. Zmysłowy i słodki. Chciał, żeby tak pachniała jego koszulka następnego dnia. Położył jej dłonie na biodrach i poruszali się chwilę w jednostajnym rytmie, z każdą sekundą zbliżając się do siebie. Chwyciła go za rękę i przesunęła je na swoją talię.

– Cześć – powiedziała, odsłaniając białe zęby. – Mam do ciebie sprawę...

Przez chwilę widział wewnątrz jej ust, a potem szybko przyciągnął ją do siebie i pocałował.
– Odjechało ci? – Odepchnęła go i pobiegła do toalety. Minęła ludzi pogrążonych w transie. Powykręcane twarze wyglądały jak z horroru. Chciała jak najszybciej zostać sama.

Pocierała usta zimną wodą, żeby zmyć z siebie pocałunek. Była zdenerwowana, rozglądała się na boki i przeklinała.

– Kurwa, ten koleś do reszty zwariował – mamrotała. Sięgnęła do torebki po mały woreczek i wzięła dwie tabletki, które popiła kranówką.

Potem poprawiła makijaż. Wyjęła okrągły puder i pędzel, którym omiotła twarz. Na koniec pomalowała usta czerwoną pomadką, która od razu nadała jej poważny wygląd. Uczesała też włosy. Lśniące pasma opadały jej kaskadą na plecy, koński ogon kołysał się między wystającymi łopatkami. Kiedy w torebce zawibrowała komórka, upewniła się, że jest w łazience sama.

– Możemy się spotkać. – Odsunęła telefon od twarzy i sprawdziła godzinę. – Jest dwunasta, może o pierwszej? Jest taki opuszczony dom niedaleko blaszaka. Na pewno uda nam się chwilę porozmawiać. Tak, będę sama.

Pożegnała się i oparła dłonie o zlew. Sprawiała wrażenie zadowolonej, ale mimo to nadal miała spięte mięśnie i zmarszczkę na czole.

– Przecież nic mi zrobi – powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

W tym czasie wąż znalazł swoją ofiarę. Miała w sobie dużo krwi.

11.

Obecnie

Gdy Lena wróciła do domu, na podwórku czekał na nią lokalny posterunkowy, Paweł Rzepecki.

– Mów do mnie Pablo, tak jak wszyscy – powiedział, podając dłoń.

Miał śródziemnomorską urodę i ciepłe ręce. Kobieta pomyślała, że dawno nie słyszała tak ciekawej barwy głosu. Lekko zachrypniętej i niskiej. Mógłby spokojnie pracować jako spiker radiowy. To on znalazł dwadzieścia pięć lat temu ją i Rafała w nawiedzonym domu. Pablo musiał być wtedy bardzo młody. Zastanawiała się, ile on może mieć lat. Pięćdziesiąt? Na ciemnych włosach zaczesanych do tyłu nie było ani jednego siwego pasma.

– Co teraz? – zapytała Lena, kręcąc kluczem w zamku. – Chcesz wejść do niego do pokoju? Zabrać komputer? Rzeczy osobiste? – Powtarzała wszystko, czego się dowiedziała, latami pracując jako dziennikarka. Nigdy jednak nie stała po tej drugiej stronie.

W korytarzu nadał leżały rzeczy Jaśka. Klapki japonki, w których chodził do ogrodu, i dwie bluzy. Nabazgrał coś na karteczce i przykleił do lustra. Lena przeczytała: „Zadzwoń na uczelnię”. Pomyślała, że być może nie zdążył tego zrobić, i zachciało jej się płakać. Przypomniała sobie sprawę zaginięcia dziewczynki z Gdańska, o której kiedyś pisała. Matka tej dziewczynki, mimo upływu czasu, wciąż na nią czekała, a pokój dziecka wyglądał, jakby wciąż ktoś w nim mieszkał. Pamiętała lalki ułożone do snu i otwarty tornister. Niedokończone słowa, urwane w połowie, krzywo zapisane w zeszytach.

Weszli do kuchni. Lena postawiła na stole szklanki i sok pomarańczowy, który wyjęła z lodówki. Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, ale wiedziała, że musi mieć siłę

na to, co się wydarzy.

– Rzeczami Jaśka zajmie się grupa z dochodzeniówki z Kotlina. Dzwoniła do mnie Marika Sagon, organizują ekipę. Ale zanim przyjadą, chciałbym ci pomóc. Poza tym sądzę – rozejrzał się po kuchni, w której panował rozgardiasz, i usiadł na krześle – że nie powinnaś zostać z tym sama. Rozmawiałaś już z rodziną? Zaczniemy od telefonów do wszystkich znajomych i bliskich. Może uda się coś ustalić.

Lena zdała sobie sprawę, że jeszcze nie rozmawiała z byłym mężem. Przeprosiła policjanta i poszła do salonu, zamykając za sobą drzwi. Dawid odebrał niemal natychmiast.

– Próbuję dobić się do Jaśka, ale włącza się poczta głosowa, dasz go do telefonu?

Osunęła się na kanapę i próbowała ubrać myśli w słowa. Od ich rozvodu minęły cztery lata, ale Lena doskonale знаła byłego męża. Będzie panikować, szukać winnych i przerzucać się odpowiedzialnością za to, co się stało. „Mówiłem, żebyście zostali w Warszawie!”

– Dawid... – zaczęła niepewnie. – Jasiek nie wrócił na noc do domu. Jest u mnie policja, niedługo rozpoczną się poszukiwania. – Wdech, wydech. – Jego dziewczyna odebrała sobie życie.

Cisza.

– Powiesiła się, a on zniknął – powtórzyła.

– Powiedz, że robisz sobie jaja. Że to chory, głupi żart.

Cisza.

– Zaraz sprawdzę samoloty. Kurwa, Lena! Wiedziałem, że wasz powrót do Górska to zły pomysł. Nigdy nie lubiłaś tej wsi zabitej dechami, a Jasiek miał w Warszawie znajomych i czuł się bezpiecznie. Kto wie, co zaczął z nudów wymyślać. Co mu odbiło...

„Zaczyna się” – pomyślała Lena. Postanowiła nie przykładąć wagi do tego, co Dawid musiał z siebie wyrzucić. Niestety w wielu przypadkach miał rację. Zwłaszcza wtedy, kiedy dwukrotnie podkreślił, że zostawiła Jaśka samego na tydzień i nie miała pojęcia, co chodziło mu po głowie. „A może miał depresję?”

Nawet nie wspomniała o tym, że syn dzwonił do niej w nocy, a ona niczego nie pamięta.

Po około pięciu minutach ton głosu byłego męża zaczął wracać w dawne rejestry.

– Dobra, to ja dzwonię do rodziny z mojej strony i znajomych z Warszawy. Będziemy w kontakcie. Szukam biletu na najbliższy samolot.

Lena wiedziała, że to nie będzie proste. Dawid mieszkał obecnie w stacji badawczej na północy Kanady, gdzie kręcił dokument o zmianach klimatu i ich wpływie na tamtejszą przyrodę. Zanim przedostanie się z surowych terenów do najbliższego miasta z lotniskiem i dotrze do Polski, może minąć tydzień.

Wróciła do kuchni, Pablo siedział na tym samym miejscu i przesuwiał palcem po telefonie.

– Mieszkańcy założyli grupę na WhatsAppie, nazywa się „Znajdziemy go”. Organizujemy ekipę, która pomoże go szukać. Rozmawiałem ze znajomymi z komendy powiatowej, będą u ciebie za jakieś pół godziny.

– Wiesz, jak to będzie wyglądało? – Lena zajęła miejsce obok policjanta i nalała sobie zimnego soku.

– Najpierw zabezpieczą rzeczy twojego syna. Zabiorą komputery i sprzęty elektroniczne. Pobiorą jego ślady DNA, odciski palców. To głupio zabrzmie, ale dobrze, że nie jest pełnoletni. Dzięki temu być może zostanie uruchomiony Child Alert. Wtedy ruszy cała machina. Informacje pojawią się w sieci, w gazetach... Osobiście mam nadzieję, że zostaną zaangażowane psy tropiące. Ale pewnie o tym wiesz. Jesteś dziennikarką, prawda? Czytałem twoje reportaże. – Przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– Tak, ale nigdy nie chodziło o kogoś bliskiego. Wtedy człowiek zapomina, jak się nazywa – wytłumaczyła Lena. Wbijiała paznokcie we wnętrza dłoni, żeby nie widział jej nerwów.

– Jak myślisz, co się stało z Kasią? Możesz mi powiedzieć?

– Podejrzewam, że nie wiem więcej niż ty. Odebrała sobie życie. Albo ktoś się postarał, żeby to tak wyglądało.

Lenie znowu przypomniał się ten gliniarz, któremu zgłaszała zaginięcie Jaśka. Bała się, że będą podejrzewać jej syna o morderstwo, bo znajdują na miejscu jego odciski palców. Że wyciągną pochopne wnioski.

Zdążyli z Pabłem zadzwonić za ledwie kilka miejsc, a już zjawiała się ekipa z Kotlina. Paweł od razu się pożegnał i wsiadł do wysłużonego srebrnego volkswagena golfa. Wolontariusze zbierali się pod ochotniczą strażą pożarną i chciał tam pojechać.

– Dzień dobry, Jacek Orczak – przedstawił się wysoki policjant z wąsami. Był szefem ekipy poszukiwawczej.

Technicy zajęli się pokojem Jaśka, a on wypytywał Lenę o wszystko, co mogło mieć związek z zaginięciem. Przyznała, że Jasiak przez ostatni tydzień mieszkał sam.

– W świetle prawa dziecko nie może przebywać bez opieki rodziców, dopóki nie skończy osiemnastu lat – odpowiedział rzeczowym tonem. – Teraz skupimy się na odnalezieniu syna.

– A potem?

– A potem może pani odpowiadać za niedopełnienie opieki. O tym zdecyduje prokurator i sąd rodzinny. Wszystko zależy od tego, co ustalimy.

– Słucham? – Mogła stracić prawa rodzicielskie, bo zostawiła prawie pełnoletniego syna samego w domu przez tydzień? – Jasiak za pół roku skończy osiemnaście lat!

Funkcjonariusz zbył te słowa wzruszeniem ramion. Nie robiły na nim wrażenia.

– Ma pani szczęście. – Wskazał na Pabła, który manewrował na podwórku, próbując z niego wyjechać. – Niedługo przenosi się do stolicy, będzie pracował w wydziale osób zaginionych.

Lena pomyślała, że pewnie dlatego wiedział, jak jej pomóc. Musiała przyznać, że czuła się doskonale zaopiekowana, czego nie można było powiedzieć o jej synu.

„Jasiak, gdzie jesteś?”

– Jakie działania podejmiecie?

– Psy tropiące, drony, policja. Nie wiemy, co się wydarzyło w tym opuszczonym domu pod Górkami. Pani syn może mieć jakieś informacje w związku ze śmiercią tej dziewczyny. Może sam potrzebować pomocy. Prokurator wyraził się dosyć jasno: mamy zrobić wszystko, żeby go odnaleźć. Muszę zapytać jeszcze raz o ten telefon o drugiej w nocy, o którym wspominała pani w zgłoszeniu. Nic sobie pani nie przypomina?

– Nic.

Zupełnie nic.

12.

Dawniej

Piłem herbatę, kiedy nagle olśniło mnie, że nie muszę na nic i nikogo czekać. Lepszej okazji nie będzie. Dzisiaj albo nigdy.

Matka siedziała przy stole i wkładała do ust chleb, który od kiedy pamiętam, rwała na kawałki. Zupełnie jakby była małym dzieckiem. Jak zwykle cicha, wycofana, nieco bierna. Zawsze myślałem, że byłaby idealnym agentem. Potrafiła tak wtopić się w otoczenie, że człowiek jej nie zauważał.

Spojrzałem przez okno. Wieczór wkradał się na podwórko, zagarniając coraz więcej przestrzeni. Granatowe niebo wisiało nad stodołą i wyglądało, jakby chciało pożreć ziemię. Za jakąś godzinę zrobi się zupełnie ciemno.

Potem wszyscy położyli się do łóżek. Wszyscy poza mną.

W moim ciele zaczynał budzić się lis. Za dnia spał, zwinięty w okolicy pępka, nocami przemierzał nowe ścieżki. Niczego się nie bał.

Odstawiłem kubek do zlewu i spojrzałem na swoje dłonie. Zawsze mi się wydawało, że są bardzo kobiece. Długie, szczupłe palce z delikatną skórą, która powinna stwardnieć od pracy w warsztacie ojca. Ale jedyną oznaką tego, że te ręce wykonują jakieś obowiązki, był smar pod paznokciami. Próbowalem doczyścić je małą szczoteczką i pastą BHP. Nic z tego.

– Dobranoc – powiedziałem do mamy i wytarłem dłonie w koszulkę.

Skończyła już jeść i siedziała przy stole, wpatrzona we wzór jeżyn na ceracie. Owinęła się w wielki sweter, jej włosy rozprzeczły się na wszystkie strony.

– Już idziesz? – Ocknęła się. – Dopiero dwudziesta pierwsza. Nie oglądamy tego filmu na

dwójce?

– Jestem zmęczony – skłamałem. Tak naprawdę czułem się, jakbym wyskoczył z lodowatej wody. Serce waliło w żebra, tysiące igieł kłuło mnie od środka.

Planowałem kradzież samochodu z warsztatu własnego ojca od dobrych dwóch miesięcy. Gdyby matka się domyśliła, co mi chodzi po głowie, przykułaby mnie do kaloryfera.

Zaczęła krzątać się po kuchni i zgarniać okruszki z blatów. Wycofałem się na schody. Uderzył mnie zapach pasty do podłóg, którą w każdy czwartek wcierała w stare deski. Musiałem stawiać ostrożnie stopy, żeby się nie poślizgnąć. Żałowałem, że nie założyłem kapci, skarpety nieprzyjemnie kleiły się do politur.

– Rafał, pozwól na chwilę! – zawołał tata z sypialni.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

– Idę! – spojrzałem w lustro na korytarzu, żeby się upewnić, że wyglądam tak jak zwykle. Grzeczny szesnastolatek z włosami na żel.

Od kiedy pamiętam, tata z mamą spali w osobnych pokojach. U ojca zawsze panował lekki rozgardiasz. Na ławie walały się śrubki, drobniaki i wszystko, co danego dnia zgromadził w kieszeniach. Pod krzesłem leżały skarpety zwinięte w kulkę. Pachniało tytoniem, mimo że spał przy uchylonym oknie.

– Nastaw budzik na piątą i przyjdź mnie obudzić. Pokażę ci, jak naprawiłem samochód starego Czajki. – Spojrzał mi prosto w oczy z ufnością. – Może dam ci chwilę poprowadzić.

– Dzięki, tato. – Przełknąłem ślinę. Zrobiło mi się głupio, że za kilka godzin go oszukam. Nie zasługiwał na to. Czułem to, ale w tamtej chwili nie potrafiłem inaczej.

Przyglądałem się jego twarzy przez chwilę. Czy zauważył, co planuję? Znalazł klin w oknie w warsztacie, przez które wchodziłem wieczorami?

Głębokie bruzdy rysowały na twarzy smutną historię człowieka, który większość życia spędził na wyciągu do aut. Przymknął powieki. Mimo że stary drań miał jakiś szósty zmysł, tamtego dnia pokonało go zmęczenie.

Jeden zero dla mnie.

Poszedłem do siebie na trzęsących się nogach i usiadłem przy biurku. Nie zapalałem światła, tylko czekałem, aż przedmioty zaczną miękko wtapiać się w mrok. Spojrzałem w lewo, przez okno, na dom Leny. Chciałem, żeby stanęła w oknie, odchyliła firankę i pomachała obiema rękami. Potem zaczęłyby kreślić w powietrzu dziwne znaki. Może oznaczałyby: wpadnij. Albo: spacer.

Nie mogłem się doczekać, aż wróci z Torunia na kolejny weekend. Dziewczyna z piegami stała się moją kotwicą. Myśli o niej sprawiły, że poczułem, jak zalewa mnie fala spokoju. Lis w moim brzuchu znowu zasnął.

Światło ulicznej latarni nakreśliło na blacie nierówny prostokąt. Wyjąłem z szuflady blok, wziąłem do ręki niebieską kredkę i zacząłem poprawiać rysunek, który ostatnio szkicowałem u pani Julity. Podkreślałem mocniej krawędzie kubków, poprawiałem światłocien. Wątkowaliśmy martwą naturę i w końcu zaczynałem rozumieć, że nawet kilka naczyń z drapowanym obrusem można przedstawić w ciekawy sposób. Zanim jednak to nastąpiło, śniłem koszmary, w których nieudolnie próbowałem odwzorować fakturę tkaniny na kartce.

Lekcje rysunku u nauczycielki plastyki z podstawówki opłacała mama.

„Masz talent, Rafałku. Nie możesz go zmarnować” – powiedziała coś w tym stylu, kiedy parę miesięcy wcześniej przejrzała mój notatnik. Dodała, że to będzie nasza tajemnica. „Tata nie musi o wszystkim wiedzieć”.

Nie wiem, kogo chciała oszukać. Zakład naprawy pojazdów „Auto Nowicki” otworzył mój dziadek. Ja miałbym w nim nie pracować? Zdać maturę i iść na ASP? Wystarczyło spojrzeć

na moje brudne paznokcie. W nich kryła się odpowiedź na marzenia matki.

Kilka godzin później spojrzałem na zegarek. Nie widziałem już, co rysuję. Była druga z minutami. Wrócił wir w dole brzucha, który powoli zmieniał się w tornado.

Pot kleił mi się do pleców, pod pachami czułem wilgoć. Próbowałem przekonać samego siebie, że ten wieczór nie różni się od poprzednich. Wiele razy wymyślałem się nocą do warsztatu, wchodziłem przez okno i kręciłem małym śrubokrętem w zamkach, aż znajomy klik otwierał delikatne wypustki. Po roku nocnych wycieczek byłem naprawdę niezły. Potrafiłem otworzyć i odpalić niemal wszystkie samochody.

Ale do licha, ta noc miała być szczególna. I lis doskonale o tym wiedział. Ciało złane potem mobilizowało mnie do działania.

Wstałem zza biurka, uważając, żeby krzesło nie szurało po podłodze. Upewniłem się, że rodzice śpią, a potem stąpałem ostrożnie, pamiętając o wszystkich gorących miejscach w domu. Drzwi do mojego pokoju należało otworzyć szybko i zdecydowanie, inaczej wydawały przeciągły jęk. Po korytarzu najlepiej przesuwac się przy ścianie, tam, gdzie stare deski jeszcze nie skrzypiały. Najgorsze były jednak schody. Właściwie pokonywałem je z sercem w gardle.

„Najpierw palce, potem pięta” – powtarzałem w myślach. W przedsionku wsunąłem adidasy na stopy i raz jeszcze wsłuchałem się w odgłosy domu. Brzęczącą lodówkę, tykanie starego zegara w salonie.

Odważyłem się odetchnąć dopiero na podwórku, kiedy czarna bluza i spodnie wtopiły się w noc. Powietrze pachniało wilgocią. Wrześniowy chłód wdzierał się pod ubranie i czułem, jak powietrze smaga mi łydki i dłonie. Założyłem kaptur.

Kątem oka zauważyłem ruch w rogu podwórka. Czarno-biały kot wyprężył grzbiet i przyglądał mi się uważnie, kiedy przeskakiwałem przez płot na tyłach domu, kierując się do warsztatu na sąsiedniej ulicy. W oknach budynków, które mijałem, panowała ciemność. Od czasu do czasu jakiś nadgorliwy pies ujadał chwilę przy płocie, po czym zrezygnowany włókł się do budy. Na niebie błyszczały gwiazdy.

Nieraz się zastanawiałem, co jest ze mną nie tak. Po co mi te nocne wypadki? Po kilku bezsennych nocach doszedłem do wniosku, że jestem uzależniony od adrenaliny. Otwieranie cudzych samochodów wystarczało mi tylko do pewnego momentu.

Lis chciał więcej.

Tej nocy planowałem ukraść samochód, który należał do największego sztywniaka w okolicy. Gnojka, który nie odpowiadał na moje „dzień dobry” i mówił o mnie w trzeciej osobie, dopóki go nie przerosłem. Chciałem wyjechać tym autem w ciemną noc i wrócić nad ranem. I zrobić to tak, żeby nikt niczego nie zauważył.

Wszedłem na teren naszego zakładu przez furtkę, ale trzymałem się boków posesji. Poszarzały hangar miał tylko jedno źródło światła, tuż nad wypłowiałymi od słońca literami „Auto Nowicki”. Moje okno znajdowało się z boku budynku.

„Kurde” – pomyślałem, komary cięły mnie po łydkach. Swędziały mnie nogi, więc podciągnąłem wyżej skarpetki.

Złapałem za kawałek tektury, który wetknąłem w ramę okienną. Szyba wydała cichy brzdęk i okno odskoczyło w moją stronę. Już po chwili stałem na betonie wewnątrz warsztatu.

„Odstawiaj rzeczy na miejsce” – usłyszałem w głowie ojca i wymacałem latarkę w metalowej szafce w rogu warsztatu. Byłem mu wdzięczny, że tego pilnował. Dzięki temu łatwiej poruszałem się po ciemnym pomieszczeniu i bez problemu zlokalizowałem potrzebne przedmioty.

Światło odbijało się od czerwonej karoserii fiata 126p. W niektórych miejscach rdzawe bąbelki kruszyły się na podłogę. Śmiać mi się chciało. Tak wyglądał pierwszy łup

samozwańczego Najmrodzkiego z Górską.

„Nie myśl, tylko działaj. Nawet jak go zarysujesz, nikt nie zauważy” – odpowiedział lis. Nie mogłem nie przyznać mu racji.

Wyjąłem z szuflady mój ulubiony gruby śrubokręt, ważyłem go chwilę w dłoni, po czym zacząłem manewrować w zamku. Bingo. Wystarczyło kilka ruchów. Potem podszedłem do maski, napiąłem mięśnie i szarpnąłem w lewym dolnym rogu. Odskoczyła. Dreszcz spadł mi na łopatki, jak zawsze wtedy, kiedy działałem pod presją czasu. Wsunąłem między bezpieczniki monety pięćdziesięciogroszowe. W garażu rozległ się znajomy warkot, a ja szybko zamknąłem maskę i poszedłem otworzyć hangar.

Wsiadłem do samochodu, wyjechałem, przymknąłem drzwi. To samo zrobiłem z bramą. Chociaż starałem się zachowywać cicho, słyszałem zgrzyt starych zawiasów. Brzdęk bolca od metalowej bramy. Czuję niepokój. Czy na pewno nikt mnie nie widział? Rozejrzałem się wokół. Trzy domy dalej ktoś zapalił okno na piętrze. Na szczęście z tej odległości nie mogłem dostrzec.

Spojrzałem na zegarek. Druga trzydzieści. Zdamę dojechać na stare lotnisko? A potem wrócić, wyczyścić samochód, dolać paliwa i zatrzeć ślady?

„Zdążysz” – powiedział lis.

Musiałem mu uwierzyć, bo konsekwencje tej kradzieży mogły być opłakane. Od cichych, upokarzających przeprosin dla właściciela samochodu po totalną klęskę warsztatu mojego ojca. Gdyby ktoś mnie nakrył i doniósł policji, obaj bylibyśmy skończeni.

Kiedy w wyobraźni planowałem tę trasę, towarzyszyła mi muzyka. Ale w maluchu nie było odtwarzacza do kaset. Włączyłem radio, które stary Czajka nastawił na stację z muzyką poważną. Bez jaj. To już wołałem warkot fiata i orkiestrę, która grała w mojej głowie hymn zwycięstwa.

Stare lotnisko znajdowało się dwadzieścia minut od naszej wsi. Jeździłem tam z ojcem, żeby testować auta po naprawie. Skurczybyk nigdy nie dał mi poprowadzić. Moim ciałem wstrząsnął śmiech. Padłby na zawał, gdyby mnie teraz widział.

Nie podejrzewałem, że mógłbym spotkać na drodze patrol. W środku tygodnia, o trzeciej nad ranem? Nawet gdybym ukradł policyjnego poloneza, nikt by nie zauważył. Ale trzymałem się bocznych tras.

„Przezorny zawsze ubezpieczony” – mówił mój tata, kiedy trzy razy sprawdzał ręczny w samochodach.

– Masz rację, tato – odpowiedziałem mu teraz i skręciłem w las.

Już po chwili wyrósł przede mną szeroki na kilkanaście metrów i długi na pięć kilometrów pas lotniska. Uchyliłem okno i wpuściłem do środka zimne powietrze. Wiatr szarpał czubki sosen, a one ugiwały się w moją stronę, jakby kłaniały się nisko. Czuję ich aromat. Rześki i odżywczy, karmił moje zmysły i dodawał odwagi.

Wiedziałem, że nie wycisnę wiele z tego maleństwa. Ale miałem ciężką stopę i chciałem przesuwać granicę.

Droga przede mną błyszczała w świetle reflektorów. W nierównej strukturze załamywał się cień. Czuję każde zagłębienie, jakbym szorował po nich nagim ciałem. Serce waliło mi coraz szybciej, żołądek skurczył się do rozmiarów pestki.

Spojrzałem w lewo. Rozpoznałem w ciemności starą ambonę na tle lasu. To znaczyło, że znajdowałem się mniej więcej w połowie lotniska.

Teraz albo nigdy.

Teraz.

Wyłączyłem światła w samochodzie, zapanowała kompletna ciemność. Widziałem tylko

zarys swoich dłoni zaciśniętych na kierownicy. Pot spływał mi za bluzę, mięśnie drżały od wysiłku. Silnik wył coraz głośniej. Czułem, że wyciskam z tego auta ostatnie soki. Zdążę zahamować, zanim skończy się droga? Przywołuję w coś?

Jechałem prosto w noc, nie wiedziałem już, gdzie jestem. Powinienem się bać, a tymczasem śmiałem się w głos. Byłem pieprzonym królem życia.

Policzyłem w myślach do pięciu i zdjąłem nogę z gazu. Wcisnąłem hamulec. Fiat zatańczył na drodze, rzucało mną na wszystkie strony, ale manewrowałem kierownicą, żeby wyprowadzić nas na prostą.

Samochód zatrzymał się z głośnym piskiem, a mnie wbiło w fotel. Oddychałem ciężko, szumiało mi w uszach. Czułem się, jakbym zszedł właśnie z najwyższego górskiego szczytu. Całe moje ciało drżało od wysiłku.

Wymacałem w kieszeni papierosy, uchyliłem okno i zapaliłem. Dym pieścił mi podniebienie, z każdym kolejnym wdechem odzyskiwałem kontrolę nad mięśniami.

– Jesteś pojebany – powiedziałem, zaciągając się tytoniem, i dopiero wtedy włączyłem światła. Spojrzałem przed siebie.

Zaledwie trzy metry przede mną pośród drzew stała sarna. Zastygła w oczekiwaniu, jej futro lśniło, szyja falowała od oddechu. Gdybym zatrzymał się sekundę później, zabiłbym ją i siebie. Wbiła we mnie przerażony wzrok i uciekła głęboko w las.

Widocznie przestraszyła się lisa.

13.

Obecnie

Cztery godziny później Lena szła wraz z grupą mieszkańców Górską przez gęsty las. Założyła kalosze i długie spodnie. W rękę trzymała latarkę, chociaż światło wciąż sączyło się przez korony drzew i wskazywało drogę. Spojrzała w górę, na drony, które patrolowały okolicę.

Słońce nie zaszło, ale już dzieliło niebo z wielkim księżycem, którego Gorąca Pełnia miała trwać jeszcze dwa dni. W tym czasie będzie odsuwał się od Ziemi, aż w końcu znajdzie się tam, gdzie zawsze. Zbyt daleko, żeby robić wrażenie, ale jednocześnie zbyt blisko, żeby o nim zapomnieć. Czy Jasiek też na niego patrzy? Zbliżała się osiemnasta. Minęły dwadzieścia dwie godziny, od kiedy Lena go widziała.

Las zmienił się z rozrzedzonego zagajnika w ciemny bór podszyty wilgocią. Te drzewa już dawno nie widziały ludzi, miały swoje sekrety i nie chciały się nimi dzielić.

Ciężko było przedzierać się przez podmokły mech. Lena miała wrażenie, że brodzi w błocie, co jakiś czas trafiała na pnącza lub rośliny, które próbowały ją zatrzymać.

„Nie idź tam, nie chcesz tego oglądać” – mówiły.

Poszukiwania rozpoczęły się około osiemnastej. Później, niż można było się spodziewać. W tym czasie Lena zdążyła obdzwonić część znajomych Jaśka i wrzuciła informację o jego zaginięciu na wszelkie możliwe strony. Potem pałeczkę przejął jej były mąż.

Sporo osób podchodziło i oferowało pomoc. Część twarzy poznawała, inne były nowe. Ludzie klepali ją po plecach albo nieporadnie przytulali, chcąc okazać wsparcie. Udostępniali informacje na temat Jaśka w mediach społecznościowych. Na bieżąco wysyłali do siebie wiadomości.

Gdy emerytowana nauczycielka geografii wcisnęła Lenie do ręki kanapkę i butelkę wody, o którą wcale nie prosiła, kobieta poczuła wzruszenie.

– Dziękuję. Nie pomyślałam o tym – wyjąkała.

Ludzie szli długim sznurem, jeden obok drugiego. Powietrze gęstniało z każdą sekundą, zmieniało ciężar. Zrobiło się parno jak przed burzą. Mimo że maszerowali od dwóch godzin i nic nie udało im się znaleźć, Lenę uspokajał fakt, że gdzieś tam z przodu psy czują niepowtarzalny kod zapachowy Jaśka. Widziała je, zanim rozpoczęły pracę. Ich mądry, czujny wzrok i postawę, która wyrażała gotowość do niesienia pomocy.

Podjęły trop przy tym koszmarnym domu i od razu skierowały się do lasu.

Lena znowu spojrzała na zegarek – minęły dwadzieścia cztery godziny, od kiedy widziała Jaśka. Przez pełną dobę mog-ło wydarzyć się wszystko.

Rozejrzała się i odszukała wśród sylwetek tę największą, Jakuba Zommera. Przyjechał chwilę przed wyjściem do lasu i zaproponował pomoc.

– Dzięki – powiedział i wsunął ręce do kieszeni, kiedy Lena złożyła mu kondolencje. – Ja... Chyba jeszcze to do mnie nie dotarło.

Miał na sobie czarny dres, którego bluza i spodnie opinały mięśnie, oraz czapeczkę z daszkiem z logo amerykańskiej drużyny futbolowej Jaguarów. Wyglądał dokładnie tak, jak kobieta go pamiętała. Kapitan szkolnej drużyny koszykówki. Najbardziej wysportowany chłopak w Górsku, którego dziewczyny otaczały wianuszkami na każdej przerwie. Dawniej najbardziej ujmujący był jego brak wiary w siebie. Skromność, której w dużej mierze zawdzięczał swoją popularność.

Musiał poczuć, że Lena mu się przygląda, i posłał w jej stronę pokrzepiający uśmiech.

– Jak myślisz, jak daleko mógł się oddalić? – zapytała, kiedy do niej podszedł.

– Nie wiem, w jakim był stanie, kiedy wyruszał, ale powinnaś być dobrej myśli. Nie znaleźliśmy śladów, które mogłyby świadczyć o tym, że jest ranny. Może po prostu błąka się po lesie, zgubił drogę, stracił zasięg i czeka, aż go odnajdziemy.

Lena wyobraziła sobie, jak jej syn przemierza ten las. Musiał być zmęczony i głodny. Skoro nie znaleziono zakrwawionej odzieży, to znaczy, że nikt go nie skrzywdził ani on nie skrzywdził siebie. Przynajmniej nie wśród tych drzew. To dawało jakąś nadzieję.

– Będziesz to jadła? – Kuba mrugnął porozumiewawczo i wskazał na bułkę, która wystawała koleżance z kieszeni. Tym jednym pytaniem wpuścił do lasu trochę więcej światła.

Lena przypomniała sobie, że kiedy byli dziećmi i przez jeden semestr siedzieli w jednej ławce, dzieliła się z nim kanapkami. Był największy w klasie i wiecznie głodny. Kiedy wyciągała swoją żółtą śniadaniówkę, pożerał jej zawartość wzrokiem. Teraz kobieta zaśmiała się i podała mu bułkę. Podzielił ją na pół i oddał jej część. Wzięła kęs i podobnie jak on żuła w ciszy. To był jej drugi posiłek tego dnia.

Zwolnili, żeby reszta grupy nie słyszała ich rozmowy. Lena spojrzała na buty Zommera. W czarnych adidasach Jakuba zmieściłyby się jej dwa zielone kalosze.

– Ludzie mówią, że będziemy mieli szczęście, jeśli dojdziemy do drogi wojewódzkiej, zanim rozpęta się burza – powiedziała.

Zommer zmarszczył brwi.

– Też tak myślę.

– Ile to kilometrów?

– Siedem.

– Przy naszym tempie to jakieś dwie godziny. A potem co? – Nie mogła sobie wyobrazić, że wróci do domu bez syna.

– Hej, nie zakładaj najgorszego. Do tej pory może już być w domu.

- Ale drony lecą dużo dalej, niż idą psy tropiące. I nadal niczego nie znalazły.
- Wiele zależy od operatora. Nie widzą przecież całego lasu, a jedynie wycinek.

Powietrze zrobiło się tak wilgotne, że kiedy zaczął padać deszcz, Lena nawet tego nie zauważyła. Już wcześniej do policzków przyklejały jej się pasma włosów, które wydostały się z kucyka. Na początku mżawka drażniła tak jak mucha, którą odpędza się od twarzy. Ale po kilkunastu minutach z nieba spadały ciężkie krople, tylko w niewielkim stopniu zatrzymywane przez rozłożyste korony drzew. Lena naciągnęła kaptur na głowę i patrzyła, jak reszta mieszkańców robi to samo. Niektórzy zabrali ze sobą parasole. Tylko Kuba za nic miał wodę spływającą po nim, jakby wszedł pod strumień prysznica. Wyglądał, jakby sprawiało mu to przyjemność.

Wiatr poderwał gałęzie, a szum deszczu i liści zagłuszał wszystkie rozmowy. Niebo pociemniało, słońce zniknęło dosłownie w kilka minut. Zasłoniła je brzuchata chmura, która nadeszła z zachodu. Snopy światła z latarek ślizgały się po korze drzew. Nadeszła najgorsza część doby, a wraz z nią ciemność i chłód. Lena spoglądała na twarze osób, które szły obok, i widziała w nich zwątpienie, które wcześniej czy później musiało nadejść. Sama czuła zmęczenie, które przesłaniał strach o syna. Czasami myślała, że nie da rady zrobić kolejnego kroku, a za chwilę była gotowa biec.

Nachodziły ją zupełnie irracjonalne myśli. Zastanawiała się, jak wysoką podeszwę mają buty Jaśka. Nie były trekkingowe, ale miały wyższą cholewkę, sięgały za kostki. Może jakimś cudem jeszcze nie przemokły? Może jeszcze nie było mu tak zimno?

Lena z przerażeniem stwierdziła, że jest dwudziesta druga. Poszukiwania trwały cztery godziny i nie przyniosły żadnego rezultatu. Zobaczyła, że z przeciwnej strony nadchodzi policjant w sztormiaku.

– Pani Lena Potocka? – zapytał.

Ktoś skierował strumień światła na wąsatą twarz błyszczącą od wody. Lena rozpoznała Jacka Orczaka, tego samego gliniarza, który rozmawiał z nią w domu.

– Tutaj! – uniosła dłoń i przyspieszyła, żeby go dogonić.

– Mamy problem – powiedział. – Psy zgubiły trop przy drodze krajowej. I od dłuższego czasu nie podjęły nowego.

– Nie rozumiem.

– Psy zgubiły trop, a operatorzy dronów wznowią poszukiwania jutro.

Usłyszała hałas za plecami, Kuba Zommer dołączył do niej i przysłuchiwał się policjantowi.

– Dalej nie rozumiem. – Wiedziała, że się powtarza. Że jest kalką tych wszystkich rodziców, których dzieci nigdy nie wróciły do domu. Poczowała, że zaraz zacznie się trząść. I nie pomogą tabletki na uspokojenie, które wzięła po południu.

– Jaki macie plan? – Kuba włączył się do rozmowy.

– Kończymy poszukiwania. Wiatr przybiera na sile, za chwilę rozpęta się burza.

– Macie jakieś hipotezy?

– Gdyby zaginiony poruszał się pieszo, psy nie zgubiłyby tropu. Zakładamy, że musiał wsiąść do jakiegoś samochodu. – Facet spojrział Lenie w oczy. – Powinna pani wrócić do domu. Wznovimy poszukiwania jutro. Nie znaleźliśmy nic niepokojącego.

– Ale nie znaleźliście też mojego syna. – Zaczynała czuć złość i miała gdzieś, że wyładuje ją na policjancie z wąsami. – Co to znaczy, że wsiadł do jakiegoś samochodu? Do jakiego i kiedy? Na pewno są jeszcze inne metody poszukiwania zaginionych... Jak możecie...

– I my z nich wszystkich skorzystamy – wszedł jej w słowo. – Chciałbym się upewnić, że pani mnie rozumiała. Proszę, żeby wszyscy wrócili bezpiecznie do domów. Jutro się z panią

skontaktujemy.

Kiedy funkcjonariusz się oddalił, Lena zwróciła się do Kuby:

– Możesz mi to wytłumaczyć? Mam tak po prostu odpuścić? Wrócić do domu, mimo że nie ma pojęcia, gdzie jest Jasiek? Nic więcej nie da się zrobić? Nikt się nie dowie, z kim i dokąd pojechał? – Zaczynała czuć ból w okolicy mostka. Spojrzała na ludzi, którzy przystanęli i posyłali w jej stronę pytające spojrzenia.

– Wiem, że to trudne, ale musisz go posłuchać. Oni też chcą znaleźć twój syna. Psy zgubiły trop przy drodze, więc zakładają, że dokądś odjechał. Nie znaleźli śladów krwi ani dowodu na to, że jest ranny. Nie znaleźli ciała... To dobra wiadomość – dodał ciszej. Położył Lenie dłoń na ramieniu i ścisnął. – Zawracamy! – krzyknął do mieszkańców Górka. – Psy zgubiły trop!

Rozległ się szmer pourywanym rozmów. Ludzie wyciągnęli telefony i zaczęli pisać na grupie, że poszukiwania się zakończyły. W tłumie mignęła sylwetka Pabla, który założył czarny sztormiak. Nawoływał ludzi i napisał o wszystkim na grupie poświęconej poszukiwaniom Jasika.

Deszcz przybierał na sile i smagał ich ciała. Zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie i Lena pomyślała, że pewnie większość osób przyjęła wiadomość o powrocie z ulgą.

Stała chwilę, podpierając się o mokry pień, i rozważała, czy na pewno chce iść do domu. Ludzie zniknęli w ciemności. Widać było już tylko wiązki światła w oddali i jedną postawną sylwetkę, która wrosła w las, jakby była jednym z drzew. Kuba czekał. Była mu wdzięczna, że jej nie popędzał i nie wołał. Dał czas na podjęcie decyzji i liczył, że będzie racjonalna.

Lena zaczęła w myślach analizować opcje. Co jej jeszcze zostało? Błąkać się nocą po lesie? A jeśli padnie bateria w latarce i komórce? Jeśli się zgubi i będzie potrzebowała pomocy?

– Niech cię, Zommer! – Dołączyła do kolegi, wściekła, że nic nie może zrobić. Była gotowa na wszystko, żeby odzyskać syna, a tymczasem nic od niej nie zależało.

Przypieszyli, zimny deszcz wciskał się pod kurtkę. Lena znów poczuła się, jakby brodziła po kolana w bagnie. Miała nadzieję, że Jasiek jest w jakimś bezpiecznym miejscu. Może złapał stopa na drodze wojewódzkiej i dokądś pojechał? Ale dlaczego nie powiedział dokąd? Dlaczego do tej pory nie zadzwonił? A może właśnie o wszystkim jej powiedział, kiedy rozmawiali przez te cholerne dwie minuty?

Droga powrotna kosztowała Lenę o wiele więcej wysiłku. Już nie biegła na poszukiwanie syna, ale szukała schronienia przed pogodą. Jej akumulatory się wyczerpały i ledwo wlokła się za Zommerem, który spokojnie mógłby brać udział w Runmageddonie i liczyć na pierwsze miejsce. Co chwilę przystawał, czekając, aż koleżanka go dogoni, aż w pewnym momencie złapał ją pod ramię i chyba tylko dzięki niemu posuwali się naprzód.

Kiedy wyszli z lasu, rozpętała się prawdziwa wichura. Bestia szarpiąca ubraniami, jakby chciała je rozerwać na strzępy. Deszcz zmienił się w strumień wody. Potok, który próbował zabrać ze sobą wszystko, co mogło mu stanąć na drodze. Niebo zasłoniły gęste chmury. Wisiały tak nisko, że wydawało się, że mają spaść. Spomiędzy kotłujących się fal cumulonimbusów wyzierała wielka tarcza księżycy. Satelita Ziemi walczył o uwagę, jakby nie wiedział, że nie ma szans z burzą, której nieposkromiony żywioł dopiero zamierzał pokazać swoją potęgę.

Lena widziała samochody odjeżdżające powoli ulicą i ludzi, którzy w popłochu wciskali się do aut. Przyjechała z jednym z funkcjonariuszy, ale teraz nie mogła go zlokalizować. Kuba złapał ją za rękę i zaprowadził do swojego samochodu.

Po chwili usiadła z tyłu błyszczącego, czarnego lexusa, za którego kierownicą siedział tata Kuby. Słynny Artur Zommer.

– Dobry wieczór – przywitała się i zrobiło jej się nieswojo.

W samochodzie panował idealny porządek. Skórzana tapicerka błyszczała i pachniało

jakimś środkiem pielęgnacyjnym. Nie miał na sobie nawet kurtki, tylko jak zwykle ten swój półgolf. Lena mogłaby się założyć, że ma w składzie domieszkę jedwabiu. Ten facet zawsze wyglądał, jakby miał wyjąć z kieszeni Flauberta albo Szekspira.

Odpowiedział na powitanie skinieniem głowy i odwrócił się w stronę Kuby, który zatrzasnął właśnie drzwi, co wprawiło samochód w kołysanie. Był większy od swojego ojca, zresztą różnili się chyba we wszystkim. Kuba miał twarz łagodnego zbiru, Artur Zommer wyglądał jak starożytny myśliciel. Kobieta wyczuła między nimi jakieś napięcie. Odkleiła od kurtki kilka zwiedłych liści i trzymała je w dłoni. Zajrzała do telefonu, na którym wyświetliło się tylko kilka pełnych niepokoju wiadomości od byłego męża. Nie na to liczyła.

– Powiedziałem Wioli, że ja przyjadę. Myślę, że nie powinna wsiadać za kółko w taką pogodę. – Artur uruchomił kierunkowskaz i włączył się do ruchu. – I w takim stanie – dodał ciszej.

Lena widziała jego profil. Miał poszarzałą cerę i podkrążone oczy. Musiał niewiele spać. Zrobiło jej się wstyd. Tak bardzo skupiła się na swoich emocjach, że zapomniała, jaką tragedię przeżywa rodzina Kuby. Wiola siedziała teraz w domu i potrzebowała męża. Zresztą potrzebowali siebie nawzajem.

– Bardzo mi przykro z powodu Kasi. Wiem, że była wspaniałą dziewczyną. – Spojrzała na liście, które trzymała w ręku. Przesuwała palcem po delikatnych żyłkach i próbowała wyprostować brzegi.

Stary Zommer spojrzał na kobietę w lusterku. Miał wzrok zbitego psa i przekrwione oczy. Spuchnięte dłonie zaciskał na kierownicy.

– Nikt z nas nie może tego zrozumieć. – Pokręcił głową. – Wie pani, tysiące godzin służby, rozwiązanych spraw i dramatycznych historii, ale kiedy człowieka spotyka coś takiego... Po prostu nikt nie jest na to gotowy. – Chrząknął i kąciki jego oczu delikatnie się uniosły. – Ale pani syn się znajdzie. Jestem tego pewien.

Jego głos zabrzmiał kojąco. Były w nim spokój i doświadczenie gliny, który wie, co mówi. A ona potrzebowała tych słów.

Kuba wpatrywał się w okno. Lena pomyślała, że wspomina Kasię. Wiedziała, że to on ją znalazł i był na nogach od świtu.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać – odezwał się, przerywając ciszę.

Artur spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Kuba, nie możesz angażować się w śledztwo. Kiedy dzwoniłem do tego młodego prokuratora, prosił, żebym ci o tym przypomniał.

– A ty możesz? Wydzwaniać po prokuratorach?

– Ja jestem na emeryturze, mam tam znajomych.

– Właśnie. Skoro jesteś na emeryturze, to może w końcu powinieneś odpocząć.

Lena ucieszyła się, kiedy dojechali do domu. Atmosfera w samochodzie robiła się niezdrowa.

– Dziękuję – powiedziała i wyszła z samochodu prosto w objęcia burzy.

Po chwili dobiegł do niej Kuba. Nachylił się i stanął tyłem do kierunku wiatru, żeby stworzyć barierę między nimi a deszczem.

– Zadzwoiła do mnie Marika. Podobno kawałek za drogą znaleźli but!

Kobieta patrzyła na jego usta, wokół których spływały strużki deszczu.

– Czerwony adidas w rozmiarze czterdzieści cztery, białe sznurowadła, z boku miał naszywkę w kształcie czaszki. To Jaśka?

Lena modliła się, żeby już nic więcej nie mówił. Bo mógł powiedzieć coś strasznego. Że

na przykład na podeszwie była krew. Pamiętała te buty. Jej syn kupił je dwa miesiące wcześniej.

CHOMIKO - WARNIA

14.

Obecnie

Po wczorajszym dniu Jakub bardzo potrzebował żony. Kiedy wrócił z poszukiwań Jaśka i zamiast do swojego pokoju poszedł do sypialni, nie wiedział, czego się spodziewać. Wiola mogła zamknąć drzwi na klucz. Mogła powiedzieć, żeby spadał.

Ale tego nie zrobiła. Pomogła mu zdjąć mokre ubranie i weszli razem pod gorący prysznic. Ogrzewał dłonie jej ciałem. Nic nie mówili, nie musieli. Potem położył się przy niej i zasnęli przytuleni, tak jak dawniej. Długo płakała.

Obudził się nad ranem i zanim Wiola powiedziała to swoje „dzień dobry”, przeciągając samogłoski, zaczął całować jej szyję. Pachniała balsamem z nutą kakao, który działał na zmysły jak miękki koc. Dotykał wargami skóry swojej żony, przesuwając się coraz niżej, w zagłębienia pod łopatkami, wzdłuż linii kręgosłupa, aż dotarł do bioder i miękkich, ciepłych miejsc, których smak przyprawiał go o szaleństwo.

Zachęciła go, kładąc jego dłoń na swojej piersi. Palce Jakuba wygrywały na jej ciele melodię. Ten dotyk był jak krople deszczu, by za chwilę przybrać na sile i zmienić się w huragan, który pozbawiał ich oddechu. Uniósł się i spojrzał w twarz swojej żony. Przymknięte oczy i rozchylone usta, do których zbliżył się gwałtownie. Wiedział, że musi mieć ją całą. Tylko wtedy osiągnął stan na granicy obłądu.

Kochali się tak, jakby to miał być ostatni seks w ich życiu. To był ten rodzaj zbliżenia, który porusza w człowieku wszystkie atomy. Wiola wypełniła przestrzenie, które wcześniej Jakub próbował zapełnić używkami i pracą. Zapomniał już, jak bardzo potrzebuje i pragnie tej kobiety. Czuł, że są dla siebie stworzeni i jeśli gdzieś tam jest zapisany los, ona pojawiła się na

jego drodze nieprzypadkowo. Patrzył na jej twarz i długie rzęsy, które rzucały cień na policzki. Zbyt dobrze ją znał, żeby nie wiedzieć, w którym momencie jest bliska spełnienia. Wsunął jej palce we włosy i do ust. Zatapiał się w niej i zatracał do końca.

Po wszystkim odwróciła się do niego plecami, a on przylgnął do niej, gładząc dłonią jej podbrzusze. Jej skóra na karku miała słony smak. Fizyczne doznania pozwoliły mu stłumić emocje po śmierci Kasi. Przeciągał moment, w którym miał wyjść z łóżka. Kiedy był z żoną, musiał być policjantem, którego poślubiła. Twardzielem z mięśniami jak stal. Kiedy płakała, on głaskał jej włosy. Kiedy mówiła na głos o swoich lękach, rozwiewał je. Przyzwyczaił się do tej roli i nie chciał tego zmieniać. Rozpaczać mógł sam. W ciszy, pod prysznicem.

Wiola odwróciła się nagle i poczuł jej oddech na klatce piersiowej. Urywany i płytki. Dotknął policzka żony, mokrego od łez.

– Jestem tutaj – wyszeptał i zaczął głaskać jej włosy. Drżała, po chwili łkanie zmieniło się w cichy płacz.

Nauczył się już, że emocje tej kobiety są jak bomba z opóźnionym zapłonem. Domyślał się, że dopiero teraz zaczynała pozwalać sobie na ból związany z samobójstwem siostrzenicy. Do tej pory stawała na rzesach, żeby ogarnąć małą Polę i pomóc rodzinie przejść przez piekło.

– Poradzimy sobie. Ważne, że mamy siebie – dodał Kuba.

Chciał, żeby to wybrzmiało i rozwiało jej wątpliwości dotyczące małżeństwa z gościem, który jest nijaki, nudny, a problemy rozwiązuje poprzez unikanie tematów lub głupie, nic niewnoszące kłótnie. Długo im się nie układało i liczył, że to zbliżenie jest początkiem, na który czekał.

Przypomniał mu się dzień, kiedy zobaczył żonę po raz pierwszy. Pracowała jako przedszkolanka i podczas jednego z festynów malowała dzieciom twarze. Najczęściej pandę, bo, jak mu potem zdradziła, miała deficyt innych kolorów farb niż czarny i biały. Była jedną z najwyższych kobiet, jakie widział w życiu, a jednocześnie miała zgrabną, wysportowaną sylwetkę. Oczy Wioli, lekko skośne, hipnotyzowały intensywną zielenią. Czytał kiedyś, że to najrzadszy kolor oczu na świecie, że tylko dwa procent ludzi ma tęczę w odcieniu szmaragdu. Na pierwszą randkę kupił zamiast kwiatów pudełko z farbami do twarzy. Śmiała się z jego żartów, a jej śmiech był taki jak ona. Szczery i mocny.

W małżeństwie przeżyli tylko dwa kryzysy. Pierwszy, kiedy dowiedzieli się, że nie mogą mieć dzieci, i obecny, który prawie rozłożył ich na łopatki. Bał się rozmowy, którą musieli przeprowadzić. Bał się tego, co usłyszy.

„Kiedyś” – pomyślał Zommer.

„Kiedyś” stanowiło bezpieczny bufor. Mogło oznaczać „jutro” albo „nigdy”.

– Jadę do Oli, nie wiem, czy da radę zająć się Polą. – Pociągnęła nosem. – Wujek też potrzebuje wsparcia. Zamknął się w pokoju i chyba pije. Widziałam go tylko raz, jak szedł do łazienki. Nie odezwał się słowem.

Kuba przytulił ją mocniej.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał.

– Chyba nie. Po prostu coś ugotuję i powoli zajmę się organizacją pogrzebu. Musimy obdzwonić resztę rodziny. Ty masz ważniejsze sprawy na głowie. – Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Zmartwienie wyżłobiło jej na twarzy bruzdy, które do niej nie pasowały. – Całe szczęście, że znasz Marikę. O wszystkim ci opowie, prawda? Dowie się, co się tak naprawdę stało?

Kuba nie chciał budzić w niej niepotrzebnych nadziei. Marika podzieli się z nim informacjami, ale nie w takim zakresie, na jaki liczyła Wiola. Wyglądało na to, że ten dupek prokurator wziął sobie za punkt honoru odcięcie go od informacji. Przypomniał sobie, co Tryc

mu powiedział poprzedniego dnia: „Od jutra jest pan na urlopie, rozumiemy się?”.

Trochę go rozumiał, co nie znaczyło oczywiście, że zamierzał posłuchać.

– Porozmawiam z nią – zapewnił i zaczął się podnosić. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że jest tak późno, była dziewiąta. Chciał wybrać się do Kotlina. Powęszyć, podpytać, jakie mają plany w sprawie Kasi.

Pocałował żonę i po raz kolejny pomyślał, jakim jest szczęściarzem. Miała miękkie, delikatne usta, które pachniały wiśniami. Na stoliku nocnym zawsze leżała pomadka o tym smaku.

Zanim wyszedł, odsłonił rolety i spojrzął w niebo, które udawało, że wczorajsza burza wcale nie miała miejsca. Uchylił okno, a delikatny wietrzyk przyniósł ze sobą zapowiedź upałów. Na trawniku przed domem wylegiwała się Lotta, wystawiając błądy, niemal wyłysiały brzuch do słońca. Z jej pyska mógł wyczytać czyste szczęście.

W kuchni, jak zwykle u szczytu stołu, siedział ojciec. Pomieszczenie znajdowało się od wschodu, więc o tej porze było zalane słońcem. Światło odbijało się od szarych mebli na wysoki połysk, ale gdzieś na wysokości psiego nosa można było dostrzec okrągłe tłuste plamki. Zommer zauważył, że Artur zgolił włosy i brodę. Za każdym razem, kiedy to robił, Kuba dziwił się, jak brak zarostu zmienia twarz. Ojciec przeobrażał się z arystokraty w glinę z dochodzeniówki. Jego rysy twardniały, szczeka pracowała, nieustannie zaciskając się w nerwach. Gdy zapytał go, dlaczego co jakiś czas pozbawia się zarostu, ucinał te pytania tekstami w stylu: „żebyś się głupio pytał”. Ale kłamał. W rzeczywistości robił to, ilekroć rozwiązywał trudną sprawę w pracy. Widocznie śmierć Kasi obeszała go bardziej, niż był skłonny się do tego przyznać.

Kuba włączył ekspres i zjadł wczorajszego croissanta z szynką, specjalnie nic nie mówiąc. Wczoraj trochę się poprzytykali z ojcem i nie zamierzał tego kontynuować. Przynajmniej nie wtedy, kiedy mogła usłyszeć ich Wiola.

Artur rozpakowywał właśnie paczkę. Zdierał taśmę, rozwijał szeleszczący papier i po chwili położył na dłoni czarny kwadrat, który wyglądał jak kawałek plastiku.

– I dzięki temu maleństwu nikt nie zbliży się do mojego lexusa – powiedział z satysfakcją. – Najlepsza pluskwa na rynku. Nie dość, że śledzi położenie samochodu, to jeszcze nagrywa rozmowy wokół.

Dwa miesiące temu dla żartu ktoś przejechał mu kluczykiem po karoserii i spuścił powietrze w kole. Od tego czasu ojciec snuł plany, jak uchronić auto przed rzekomymi złodziejami.

– A co zrobisz ze starym lokalizatorem? – zapytał Kuba. Pół roku temu przysłała podobna paczka, więc Zommer nie miał pojęcia, po co ojcu nowy sprzęt szpiegowski. Zaczynał podejrzewać go o demencję. – Też podobno był świetny.

– Tak, ale wyłapywał tylko rozmowy wewnątrz auta, a nie wokół. Jeśli nie widzisz różnicy, to nie ma sensu, żebym ci to tłumaczył. – Artur zdenerwował się i rozłożył ulotkę na stole. Prawda była taka, że uwielbiał gadzety. Miał dwie komórki, laptop i smartwatch ze wszystkimi możliwymi bajerami.

– Nieważne, idę do pracy. – Jakuba nadal ssało w żołądku, więc wyjął bułki. Miał do wyboru kajzerkę i bagietkę. Wybrał tę większą.

– Paweł nie może cię zastąpić? Powinieneś dostać urlop. To szczególne okoliczności.

– Tak, jestem na urlopie, ale mam trochę papierkowej roboty. – Niespecjalnie chciało mu się gadać z ojcem, więc wypił szybko kawę, a bułkę zawiązał w ręcznik papierowy i postanowił zjeść w samochodzie.

– Mam nadzieję, że nie pojedziesz do Kotlina i nie będziesz mieszać się w śledztwo.

Kuba nie mógł wyjść z podziwu, jak świetnie ojciec go zna. Gryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć. Prawie się udało.

– Bo co?

– Nie zachowuj się jak smarkacz. To są poważne sprawy.

– Ja jestem poważny.

– I uparty jak osioł.

– To ty zachowujesz się niepoważnie. Przypominam ci, że nie jesteś już czynnym policjantem ani tym bardziej moim przełożonym.

– Ale wciąż mogę więcej niż ty. Zajmij się żoną. – Ojciec ściszył głos, bo do kuchni weszła Wiola.

Uśmiechnęła się do nich i wstawiła wodę na herbatę.

– To ja zmykam. – Kuba dał jej całusa, co sprawiło mu taką samą dziką przyjemność jak to, że nie musi kontynuować pyskówki z ojcem, i poszedł do garażu.

Wsiadł do samochodu i od razu włączył klimatyzację. Zapachniało stęchłym powietrzem, więc pomyślał, że przydałoby się ją napełnić.

Przejazd przez Górsk zajmował mu zawsze kilka minut. Kiedyś policzył, że od jednego końca wsi do drugiego jest trochę ponad osiem kilometrów. O tej porze mieszkańcy byli w pracy – głównie w tartaku, a po ulicy kręciły się tylko młode mamy lub małe dzieci.

Mijał właśnie pocztę, nad którą mieszkał kolega z komisariatu. Kuba kiwnął do Pabla, bo akurat wyjeżdżał z bramy. Policjant nie zauważył go jednak, zbyt zajęty rozmową przez telefon.

Od kiedy wyjechał do pracy, w głowie kołatała mu się myśl, żeby zajrzeć do nawiedzonego domu. Była natrętna i niewygodna jak metka w koszulce. Wiedział, że tej decyzji nie pochwaliby ani prokurator, ani Marika, ani tym bardziej ojciec. Tak się jednak składało, że ich zdanie miał w głębokim poważaniu.

Przed starym budynkiem stał jeden samochód. Pomyślał, że to technik, którego zapamiętał tylko dlatego, że wyglądał, jakby dopiero skończył studia. Jeśli chłopak miał zabezpieczyć ślady w domu, praca zajmie mu nie więcej niż jeden dzień.

Zommer wysiadł z samochodu i wpadł w gęstą zupę. Wystarczyło, że postawił nogę na spękanej ziemi, a już pot ciekł mu po plecach i łaskotał w czoło. Wspinał się po starych stopniach i w podbrzuszu zaczynał czuć ten sam przekłety ciężar co wczoraj. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie przejechać obok bez obrazu martwej Kasi przed oczami.

Odsunął folię, która przesłaniała wejście, i od progu zobaczył wnętrze ohydneho pokoju. Przygotowywał się na najgorsze. Cios wspomnień i smród. Ale ani jedno, ani drugie nie nadeszło. Tak jakby spięte mięśnie faktycznie uchroniły go przed bólem, a chemikalia, których używał technik, sprawiły, że zapach stał się znośny.

– Ale mnie pan przstraszył! – Chłopak wyszedł właśnie z pomieszczenia, które kiedyś było łazienką, i zatrzymał się w pół kroku. Miał na sobie kombinezon, Jakub pomyślał, że musi się w nim gotować. – Proszę nie wchodzić do środka. To teren objęty pracą policji, niech pan wyjdzie.

– Spokojnie, jestem posterunkowym. To ja znalazłem wczoraj dziewczynę. Poznaliśmy się, nie pamięta pan? – Posłał w stronę technika spokojny uśmiech i włożył kciuki za szlufki od spodni. – Jadę do Kotlina, zobaczyłem pana samochód i pomyślałem, że się przywitam.

– Faktycznie! – Chłopak się odprężył. – Nie poznałem pana. Chociaż muszę przyznać, że nie znam zbyt wielu osób takiego wzrostu. Ile pan ma? Dwa metry będą?

– Brakuje mi trzech centymetrów.

– Dobrze, że jest pan gliną, bo nie miałbym argumentów, żeby pana przegonić. – Chłopak zaśmiał się i zaczął coś zeskrobywać z parapetu. Miał wątlą posturę i był przeraźliwie chudy. –

Wczoraj ledwie zabezpieczyłem ślady, a rozpętała się ta przeklęta burza.

Kuba przyglądał się belkom na suficie. Zauważył, że na jednej z nich wciąż wisiał kawałek sznura. Ale drewno było wyraźnie wyżłobione w tym miejscu. Jakby lina wisiała tam od lat.

– Powiesiła się na huśtawce? – zapytał.

Młody spojrzał na niego czujnie.

– Tak zakładam.

– Kiedyś znalazłem samobójcę, który wykorzystał pasek od spodni. Ale tamta sprawa była inna, tam ktoś wszystko upozorował. – Zommer czekał, czy technik połknie przynętę.

– I jak do tego doszliście?

– Nie my, tylko technik. Ten, którego zastąpiłeś. Stary wyjadacz, ale już nie żyje, prawda?

Młody zignorował pytanie. Nie znał swojego poprzednika. Objął wakat, który był pusty od pół roku. Jakub pamiętał, jak Marika narzekała, że nie mają na miejscu specjalistów.

– Tutaj raczej nie będzie wątpliwości. – Chłopak podszedł do rogu pomieszczenia, tam gdzie wczoraj Zommer zauważył krew. – Wszystko to starocie. Pamiątki libacji i bójek. Trochę świeżego naskórka tu i ówdzie, włosy. A dużo tu macie breloków? – zmienił temat.

Kuba poczuł, jak krew zaczyna w nim wrzeć. Przez głowę przemknął mu obraz, jak sprzedaje chłopakowi prawy sierpowy. „Breloków? Ta dziewczyna miała imię!”

– Jak wszędzie – odpowiedział i zacisnął pięści.

Pożegnał się, zanim emocje wzięły górę, i wszedł do nagrzanego auta. Nic tu po nim. Przykleił się do siedzenia, włączył radio i powoli ruszył w stronę Kotliny. Trafił właśnie na końcówkę wywiadu z biologką, która opowiadała o superpełni.

– Skoro już wiemy, jak księżyc wpływa na naturę, to teraz może o ludziach? Podobno podczas pełni wytwarzamy mniej serotoniny, czy to prawda? – zapytał spiker.

Kobieta zaśmiała się dźwięcznie.

– W sieci znajdzie pan pełno informacji o tym, że pełnia powoduje depresję, agresję i myśli samobójcze. Podobno budzą się w nas demony. Dochodzi do zwiększonej liczby przestępstw i morderstw. Czy to prawda? Dopóki nie pojawią się stosowne badania, nie mogę potwierdzić. Ale tak między nami, coś z tą serotoniną jest na rzeczy. Wiadomo, że jej brak powoduje między innymi bezsenność. Pan też kiepsko spał poprzedniej nocy?

Na potwierdzenie tej tezy Jakub ziewnął szeroko i zmienił stację. Rockowy kawałek doskonale oddawał to, co działo się teraz w jego głowie. Ostre dźwięki, solówki, które poruszały duszę, wrzask.

Po kilkunastu minutach zaparkował niedaleko komisariatu w Kotlinie i wstąpił do lidla po napój energetyczny. Od czasu do czasu pozwalał sobie na picie tego świństwa. Stawiało na nogi i było słodkie. A on nie miał wysokich wymagań wobec tego, co zjadał i w siebie wlewał. W ich domu to Wiola miała świra na punkcie zdrowego odżywiania.

Komisariat oddano do użytku zaledwie dwa lata temu i nie obyło się bez fuszerki, która znalazła ujście w szybach wiecznie pokrytych parą i ciekącymi toaletach. Zommer usiadł w poczekalni dla petentów i zadzwonił do Mariki.

– Nie mogę teraz rozmawiać – zaczęła.

– A to szkoda, bo czekam na dole.

– Na dole czego?

– Komisariatu w Kotlinie.

Kuba zanotował, że zmienił jej się oddech, i usłyszał trząs-nięcie drzwiami.

– Mówiłam, że zadzwonię.

- Byłem w pobliżu.
- Idź na samą górę i wejdź do toalety na końcu korytarza. Ma wielką kartkę z napisem „Awaria” – wyszeptala i się rozłączyła.

Zommer wspinał się na ostatnie, czwarte piętro i gdzieś w okolicy trzeciego dopadło go przypuszczenie, że Marika specjalnie wysłała go tak wysoko, licząc, że po drodze padnie na zawał. Serce mu dudniło i głośno dyszał. Na zewnątrz panował skwar, ale tutaj dosłownie nie było czym oddychać.

Toaleta była całkiem spora. Z długim na cztery metry lustrem, rzędem umywalek i trzema zamykanymi ubikacjami. Jakub podszedł do małego okienka i je otworzył. Spróbował puścić wodę z kranów i w końcu trafił na taki, który działał. Wsunął dłoń pod zimny strumień.

– Przepraszam, że spotykamy się w takim miejscu, ale mówiłam ci, że nie możesz mieszać się w dochodzenie. Prokurator upiecze mi dupę na ruszcie, jak się dowie, że przekazuję ci informacje. Wygląda na to, że się na ciebie wziął. – Marika upewniła się, że w pobliżu toalety nikt się nie kręci, i zamknęła drzwi. – Był tutaj rano.

– Nie mogłem usiedzieć w domu – odpowiedział i zamoczył drugą rękę. – Powiedz mi, jakie podjęliście kroki.

– Trwa śledztwo, rozmawiamy ze świadkami. Z osobami z imprezy, rano z jej siostrą i dziadkiem. Prokurator otworzył postępowanie, ale to standardowa procedura. To się robi z automatu, żeby uniknąć papierologii. Trwa sekcja, czekamy jeszcze na raport toksykologa, ale dam sobie rękę uciąć, że nie była czysta. Nie na takiej imprezie. – Marika patrzyła w lustro i poprawiała nieujarzmione pasma włosów. Unikała jego wzroku.

Coś wiedziała. Jakub czuł, że ukrywa przed nim jakieś informacje. Położył mokre dłonie na karku i chwilę się zastanawiał.

– Komputer? Coś znaleźliście w jej komputerze – stwierdził.

– Szukała informacji na temat samobójstw. Interesowało ją powieszenie. Oglądała tutoriale na temat zawiązywania węzłów. Zupełnie, jakby... – Policjantka odwróciła się w jego stronę zrezygnowana. – Przykro mi, Kuba. Wygląda na to, że naprawdę chciała odebrać sobie życie.

Zommer słyszał, ale nie rozumiał. Informacje nie pasowały do Kasi, która według Oli jeszcze tydzień temu miała mnóstwo planów.

– Wiesz, że dzieciaki oglądają takie rzeczy z ciekawości. To nie musiało o niczym świadczyć. – Jego dłonie znowu zrobiły się ciepłe, więc ponownie włożył je pod kran.

– Ale mogło. A jeśli raport toksykologa wykaże, że coś brała, mogła to zrobić pod wpływem narkotyków. Nawet nie wiesz, co się dzieje z ludźmi po prochach. To jest inny rodzaj upojenia niż ten, który znamy. Potrafią zamordować i zjeść najbliższych, a potem o tym zapomnieć.

Kuba się wzdrygnął. Marika mogła sobie darować ten przykład. Kasia nie brała narkotyków, przecież by zauważył? „Na pewno?” – odezwał się głos w jego głowie. „Co tak naprawdę wiedziałeś o swojej siostrzenicy, a co było tylko twoim wyobrażeniem o małej dziewczynce z domu na końcu wsi?” Poczuł, jak pot spływa mu po skroni, więc zmoczył twarz zimną wodą.

– A ta pozycja? To normalne, że odebrała sobie życie w taki sposób? Klęcząc? Marika, nie wydaje ci się podejrzane?

– Wydawało, Kuba, ale wiesz, na jakie strony wchodziła Kasia? Co czytała? Może lepiej, że nie wiesz. Interesowały ją sposoby powieszenia. Zwłaszcza te nietypowe. Na klamce, grzejniku...

– Pokażesz mi wstępny raport patologa? Za kilka godzin powinnaś go mieć.

– Nie mogę, stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Nie wiem, o co chodzi Trycowi, ale patrzy mi na ręce jak nigdy.

– Zwróciliście się do Boguckiego?

– Niestety nie znamy innego prywatnego lekarza patologa w okolicy. I to z własnym prosektorium. Mieliśmy szczęście, bo za kilka dni wylatuje do Grecji. Siedzi w tym swoim domku nad jeziorem i chleje. Dobrze, że trafiliśmy w okienko w pijackim ciągu. Chociaż podejrzewam, że zgodził się tylko ze względu na znajomość z twoim ojcem. Prokurator prawie posikał się ze szczęścia na widok Artura. Szkoda, że tego nie widziałeś.

Kuba machnął ręką. Dokładnie tego się spodziewał. Przypomniawszy sobie patologa, wyluzowanego gościa, który grał w brydża z jego ojcem. Ich domki letniskowe stały bardzo blisko siebie i były wakacje, kiedy widział Boguckiego równie często, co swoją matkę. Nie musiał prosić Mariki o pomoc, mógł poprosić ojca. Mógł, ale oczywiście nie chciał. Wciąż było mu strasznie gorąco. Jakby woda, która dotykała karku i twarzy, zmieniała się w parę.

– A dasz znać, co ustalił toksykolog?

– Zadzwoń i powiem ci, jeśli się czegoś dowiem, okej? – Odwróciła się i podeszła do drzwi.

– A Jasiak Potocki? Ten jej chłopak, który zaginął? – Odkręcił mocniej kran i patrzył, jak woda obmywa mu nadgarstki. Pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, zaraz wpakuje do zlewu całe ramię.

– Nic nowego. Szukamy go i sprawdzamy, czy znajdziemy jego DNA w tym cholernym domu. Oni ze sobą chodzili. Chłopak mógł uciec, mógł się zabić. Albo... – Złapała za klamkę i nacisnęła na nią. – Albo pomóc swojej dziewczynie popełnić samobójstwo. Też bym go chętnie przesłuchała, uwierz mi. – Stała połową ciała za drzwiami. – Kuba, przepraszam, że cię tak zbywam. Daj mi kilka dni. Jak sprawa ucichnie, porozmawiamy w normalnych warunkach.

Zommer usłyszał jej kroki na korytarzu. W końcu zaczął odczuwać przyjemne zimno. Spojrzał na swoje dłonie i się przestraszył. Czubki palców zrobiły się pomarszczone i sine. Przypomniawszy sobie ręce Kasi rozrzucone na pocerniałej podłodze. Wyglądały bardzo podobnie.

Włożył dłonie do kieszeni i wyszedł z komisariatu. Zastanawiał się, co wiedział o synu Leny. Widział go kilka razy w życiu. Ostatnio w pizzerii, kiedy siedział z jego siostrzenicą nad kuflem piwa i capriciosą. „Ja nie piję!” – rzuciła uśmiechnięta Kasia i wzniosła w stronę Kuby toast colą. Trzymała tego chłopaka za rękę. On głaskał ją po policzku i nawijał pasma jej długich włosów na palec.

15.

Pelnia Gorącego Księżyca

– Tu jesteś! – Dziewczyna podeszła do chłopaka opartego o ścianę drewnianej altanki za blaszakiem.

Siedział na ziemi i wybijał stopą beat piosenki, która wprawiała w drganie całą okolicę. Czasami muzyka była tak głośna i intensywna, że chłopak czuł się zamknięty w bańce, w której nie istniało nic poza rytmem. Ten bas sprawiał, że jego ciało zmieniało się w puls. Kosmyk włosów opadł mu na jedno oko.

– Jesteś piękna – wyszeptał i przejechał palcem po jej policzku.

– Ja pierdolę! Jasiu! Ale się urządziłeś! Co wzięłeś? Chodź, może zrobisz ci kawę w barze. Musisz się jakoś ogarnąć! – W jej głosie wyraźnie dało się wyczuć panikę. – Mówiłam ci, żebyś nie przesadzał. Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz?

– O co ci chodzi? – Przyciągnął dziewczynę do siebie i próbował pocałować.

Odepchnęła go.

– Chodź tu do mnie i popatrz na księżyc! Jest bliżej, niż ci się wydaje! – Uniósł dwie ręce i ułożył dłonie w taki sposób, jakby ustawiał kadr. – To jest oko kosmosu. Wszechświat nam się przygląda.

– Weź się w garść. Musisz mi pomóc. Potrzebuję cię. – Ścisnęła go za ramię. Próbowała wyłapać w jego twarzy coś normalnego, znanego. Coś, co dałoby jej nadzieję, że nie był kompletnie naćpany. – Rozmawiałam z nim, mamy się spotkać – wyszeptała.

Pomogło. Na chwilę chłopak oprzytomniał.

– Jaja sobie robisz. – Zaczął nieporadnie podnosić się z ziemi. Podpierał się o dziewczynę

i drewniane ściany altanki. Kiedy stanął, złapał ją za nadgarstki i ścisnął z całej siły. – Zrobiłaś to za moimi plecami?

– Jasiek! To boli! – Próbowła się wyrwać, więc zacisnął dłonie jeszcze mocniej.

– Nie puszczę cię. Nie możesz się z nim spotkać.

– Zostaw mnie! – Szamotali się chwilę, ściągając na siebie spojrzenia obcych. W końcu dziewczyna uwolniła się z uścisku.

Chłopak zrobił kilka kroków w jej stronę, a potem wziął rozpęd i próbował ją złapać.

– Zostaw mnie! – krzyczała. – Jeśli nie mogę na ciebie liczyć, zrobię to sama! – Była bliska płaczu, jej głos drżał, łzy zebrały się na rzesach. Bolały ją nadgarstki.

– To niebezpieczne. – Zbliżał się do niej i wypowiadał słowa, których tak bardzo się bała.

– Nie możesz tam pójść. A jeśli cię zabije? Zabije cię!

Dziewczyna zaczęła biec. Cieszyła się, że ubrała baleriny, a nie buty na obcasie.

– Poradzę sobie sama – szepnęła.

Odwróciła się i rzuciła ostatnie spojrzenie na chłopaka, który w świetle księżyca wyglądał jak marionetka poruszana przez złośliwego kuglarza. Chwiał się i próbował złapać pion. Mamrotał coś pod nosem, z trudem łapiąc powietrze.

– Suka! – Nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że nie może jej dogonić i dotknąć. Że nie potrafi jej zatrzymać. – Suce nie wolno ufać...

Przewrócił się na szorstką kostkę brukową i zauważył, że rozwiązały mu się buty. Znowu był małym chłopcem i nieporadnie łapał za zielone sznurowadła. „Były sobie dwie myszki, miały długie ogonki. Zamieniły się miejscami. Jedna myszka weszła do norki, druga ją zamknęła. Jedna wystawiła uszko, druga ją okrążyła i wystawiła swoje. Przypełził wąż, złapał myszki za uszy i wyciągnął z norki”.

Sznurowadła znalazły się we właściwym miejscu. Chłopak się podniósł i spojrzał na dłonie, do których wcześniej przykleiły się ziarenka piasku. Dziewczyny nigdzie nie było, ale wiedział, w którą stronę pobiegła. Powoli, rwanym krokiem ruszył w tym samym kierunku.

16.

Dawniej

Na początku kradłem samochody tylko z warsztatu ojca.

Lis, który za dnia spał, udając spokojne zwierzę, nocą przeciągał przykurczone mięśnie i zmieniał się w drapieżnika. We wszystkich kieszeniach miałem dziury przez śrubokręt, którym otwierałem zamki.

Wydawało mi się, że nigdy nie będę szczęśliwszy.

Nigdy.

Aż do dnia, który zmienił wszystko, chociaż zaczął się tak, jak zawsze. Od śniadania w kuchni, kiedy między kęsami bułki liczyłem poziomki na nowej ceracie. Gdzieś w okolicy siedemdziesięciu naprzeciw mnie usiadł ojciec.

Wyglądał jak żywcem wyjęty z autoportretu Van Gogha. Futrzana czapka, biały szal i kożuch zapięty pod szyję. Brakowało mu tylko fajki.

– Jadę do lekarza, dzisiaj zakład jest zamknięty, ale jak będziesz się nudzić, możesz posprzątać – mówił, ledwo otwierając usta.

Od wielu lat zmagał się z chorymi zatokami. Czułem, że cierpi. Mrużył oczy przed światłem, które wpadało do kuchni przez okno. Pokiwałem tylko głową. Po pierwsze, żułem bułkę. Po drugie, nie miałem ochoty na rozmowę. Stary był w takim stanie, że lepiej z nim nie dyskutować.

„Potulny, grzeczny Rafałek”. „Chłopak, na którym można polegać”. Pewnie tak o mnie myślał i wołałem, żeby tak zostało, chociaż nie zamierzałem dzisiaj iść do warsztatu ani tym bardziej w nim sprzątać.

Herbatę wypiliśmy na stojąco, a potem, naciągając czapkę głęboko na oczy, ruszyłem prosto w śnieg. Podwórko skrzyło się, jakby ktoś posypał je brokatem. Zbliżały się święta i cieszyłem się na nie jak dzieciak. Głównie dlatego, że Lena wróci na dłużej i będę miał okazję zabrać ją na przejażdżkę. Już widziałem, jak patrzy na mnie tymi swoimi piwnymi oczami. Powie, że zwariowałem i absolutnie nigdzie ze mną nie jedzie.

A potem i tak zrobi wszystko, o co ją poproszę.

Klasyk.

Uśmiechnąłem się do tych myśli, a wspomnienie sąsiadki ogrzewało mi serce, kiedy brnąłem przez śnieg do furtki.

W autobusie zasnąłem wciśnięty w siedzenie i gdy wychodziłem na chodnik, prawie poślizgnąłem się na tafli lodu. Kiedy złapałem równowagę, mój wzrok przykuł mercedes. Czarna strzała, która błyszczała, jakby ktoś dopiero skończył ją pucować.

Ciarki rozlały się po moim ciełe. Wymacałem śrubokręt w kieszeni.

Wcale nie chodziło o to, że samochód robił na mnie szczególne wrażenie, chociaż po maluchach i polonezach, którymi jeździłem nocą, miałem apetyt na coś lepszego. Najważniejsze było to, kto siedział w środku.

Kutas Zabrzycki. Wicedyrektor szkoły, który nienawidził nas bardziej niż my jego.

Nie byłbym w stanie policzyć, ile razy wyobrażałem sobie, że wciskam mu głowę w sedes. Albo sprzedaję cios w kwadratową szczękę. Swędziały mnie palce.

„Jeśli zaparkuje przy kinie, zajebiesz mu furę” – powiedział lis.

Patrzyłem, jak Zabrzycki próbuje wbić się na ostatnie wolne miejsce przy szkole, a kiedy mu się nie udaje, kieruje się grzecznie na sam koniec parkingu przy kinie.

Nie miałem wyjścia. Lis rzucił mi wyzwanie.

Wiedziałem, że lepszej okazji nie będzie, więc kiedy nauczyciel zniknął za wielkimi drzwiami technikum, poszedłem w stronę mercedesa. Stawiałem ostrożnie stopy, żeby nie upaść. Tam, gdzie ktoś sychnął piach lub popiół, było bezpiecznie, lawirowałem więc między tymi miejscami i musiałem wyglądać co najmniej śmiesznie.

Normalnie nienawidziłem zimy w mieście. Śniegu, który zmienia się w błoto, mokrych nogawek od spodni, smrodu z kominów i kłębow szarego dymu, które przecinały równie szare niebo. Ale tego dnia, w tamtej chwili nic nie mogło zepsuć mi humoru.

Cieszyłem się jak dzieciak, który ma dostać wymarzony prezent. Moje ciało się spięło, gotowe do skoku.

Zabrzycki wręcz prosił się o to, żeby ukraść mu furę. Nie dość, że zaparkował w najbardziej odludnym miejscu parkingu, za wiatą na śmietniki, to jeszcze założył blokadę na kierownicę.

– Naiwniak – mruknąłem, lawirując śrubokrętem w zamku. To samo zrobiłem ze stacyjką, a blokada posłużyła mi jako dźwignia. – Prościej się nie dało.

Mercedes zamruczał jak cichy kotek, wprawiając moje mięśnie w delikatne drżenie. Zabrzycki musiał mieć dużo kasy, palił lucky striki, znalazłem paczkę w schowku i od razu wsunąłem do kieszeni kurtki. Swój plecak rzuciłem na siedzenie pasażera i powoli ruszyłem na miasto.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie denerwowałem. Serce mi waliło, jakbym słuchał dobrego beatu. Do tej pory jeździłem nocami, ścigałem się sam ze sobą na starym lotnisku i miałem wszystko w dupie. Teraz musiałem poruszać się po mieście i wyjechać na jakąś mniej uczęszczaną ulicę, tak żeby nie rzucać się w oczy.

Dopiero za krzywą tablicą z napisem „Kotlin” odważyłem się wcisnąć gaz. Ale to auto miało kopa! Przyspieszyłem do setki, zaciskając spocone dłonie na kierownicy. Czułem się jak

pocisk wystrzelony z pistoletu. Na horyzoncie nie widziałem żadnego innego samochodu.

„Jedź do Górska i z powrotem. W godzinę obrócisz” – powiedział lis.

Rudy znał mnie na wylot.

Włączyłem radio i znalazłem stację, która nadawała na tych samych falach co ja. Chociaż nie byłem fanem Vanessy Mae, elektryczne skrzypce płynęły równie szybko jak moja krew.

Złapałem kierownicę w jedną dłoń, drugą wymacałem papierosy w kieszeni kurtki. Skurczybyk na pewno nie palił w aucie. Tapicerka świeciła się jak psu jaja, pachniało brzoskwiniami.

– Kurwa – zakląłem, kiedy paczka z lucky strike’ami spadła między siedzenia. Wymacałem ją w chwili, kiedy mijał mnie stary autobus. Wydawało mi się, że trzymam mocno kierownicę, ale auto zatańczyło na drodze.

Otworzyłem paczkę zębami, zdjąłem nogę z gazu.

Minąłem pierwszy zakręt i odpaliłem fajkę zapalniczką samochodową. Żar ledwie tlił się na końcu papierosa, więc zaciągnąłem się najmocniej, jak potrafiłem.

Dym wypełnił mi usta i spłynął aż do dna płuc. Czułem, jak wypełnia mnie nikotynowy haj. Przymknąłem oczy na sekundę.

I ta sekunda zmieniła wszystko.

Zanim zarejestrowałem, co się wydarzyło, usłyszałem dźwięk. Rozrywający, szybki, jakby piorun uderzył w ziemię. Bach!

Lusterko po prawej wisiało na cienkim druciku, kołysząc się na wszystkie strony. Spojrzałem za siebie i papieros wypadł mi z ust.

Na poboczu drogi leżał chłopiec. Wełniana czapka z pomponem zahaczyła się o gałązkę krzewu. Mała stopa zatopiona w śniegu, rozerwany plecak, którego zawartość wysypała się na jezdnię.

Smuga czerwonej krwi.

– Ja pierdole... Nie... – szeptałem, wypluwając z siebie wszystkie przekleństwa, które znałem, i przepłatając je wzywaniem Boga. Zwolniłem. – Pomóż mi, kurwa, to się nie dzieję naprawdę. Zrób coś, ty sukinkocie!

Chłopiec poruszył głową. Na pewno się poruszył.

Ale ja jechałem dalej.

Jechałem, chociaż wiedziałem, że powinienem się zatrzymać dawno temu.

Serce waliło o klatkę piersiową, czułem, że zaraz połamię mi żebra. Zrobiło mi się niedobrze, palił mnie przetyk i żołądek.

„Błagam, niech on żyje. Niech ten chłopiec przeżyje”.

Zatrzymałem się po kilku minutach na parkingu w lesie. Znałem to miejsce, ścieżka ukryta między drzewami prowadziła nad jezioro, gdzie stało kilka domków letniskowych. Wsiadłem z samochodu i osunąłem się na ziemię. Moje ciało było wyczerpane. Zacisnąłem w pięści śnieg i uformowałem z niego twardą kulę. Spojrzałem na swoje dłonie, na sine opuszki palców, które powinny boleć, jednak zupełnie nic nie czułem.

Nie mogłem oddychać, jak gdyby w gardle utknął mi kawałek lodu.

„Rusz się, kurwa. Idź tam”. Lis zmuszał mnie do działania, chociaż to on był wszystkiemu winien. Gdyby nie ten powalony głos w mojej głowie, nic by się nie wydarzyło. Siedziałbym teraz na lekcjach w szkole.

Nikogo bym nie skrzywdził.

Zamknąłem drzwi od samochodu i wziąłem swój plecak. Żar z papierosa wypalił dziurę o równych brzegach w skórzaną tapicerce.

Trzymając się linii drzew, dotarłem do miejsca wypadku. Zatrzymałem się w bezpiecznej

odległości i ukryłem za pagórką. Dwa samochody, karetka. Kilka osób, które przerażone patrzyły po sobie, szukając słów na wytłumaczenie tego, czego nie mogły zrozumieć. „Jakim trzeba być człowiekiem, żeby potrafić dziecko i uciec z miejsca zdarzenia?”

Ratownicy wkładali właśnie nosze do karetki. Moje łzy roztopiły śnieg na szorstkiej korze, kiedy przyciskałem do niej policzek. Przygryzałem wargi do krwi.

„Rusz się. No rusz się. Błagam”.

Mała rączka zwisała z noszy. Chłopiec zastygł jak figura woskowa. „Ile on mógł mieć lat? Dziewięć? To ja powinienem tam leżeć. To mnie powinni zbierać z ulicy”.

Nie wiedziałem, ile czasu minęło. To mogło być pięć minut albo pięćdziesiąt. Wiem, że z nieba zaczął sypać śnieg, a kiedy wracałem lasem do domu, moje spodnie, kurtka i czapka były kompletnie mokre. Szelki od plecaka wbijały się w ramiona.

Roztapiałem się. Dosłownie zmieniałem się w ciecz. Wszystko, co do tej pory trzymało mnie w jednym kawałku, pękało. Cyk.

Rafał zniknął. Zamiast niego pojawiła się jakaś breja.

„Człowiek tak nie robi. Żaden człowiek by tak nie zrobił. Jesteś nikim”.

Kiedy wchodziłem do Górska, zegar na kościele wskazywał szesnastą. Chyba wszyscy mieli w dupie, jak wyglądam, albo obiektywnie nie różniłem się od każdego innego nastolatka, który chodził ulicami naszej wsi. Zdziwiony spojrzałem na swoje odbicie w szybie sklepu wielobranżowego. Jak to możliwe, że zmieniło się wszystko, a jednocześnie nie zmieniło się nic? Nadal miałem metr siedemdziesiąt wzrostu, czarne oczy i jasne włosy, które wystawały spod czapki.

Nie mogłem wrócić do domu, wolałem warsztat, w którym wiedziałem, że będę sam. Skierowałem się w stronę torów kolejowych. Betonowe bloki leżały na ziemi, oddzielając z jednej strony szyny, z drugiej rząd zaniedbanych domów. Pociąg towarowy przejechał z głuchym łoskotem.

Jeden wagon, drugi, trzeci...

Srebrna karoseria wyrosła niespodziewanie obok mnie. Samochód się zatrzymał, w środku siedział mężczyzna.

– Wsiadaj, Rafał, musimy pogadać. Wiem, co się stało.

„Spierdalaj. Uciekaj”. Lis wcisnął się przerażony w sam środek mojego podbrzusza. Zawahałem się. Czy powinienem go posłuchać?

Zerknąłem na kierowcę.

Zdjął okulary i przyglądał mi się z uwagą. Przecież go znałem. Widywałem tysiące razy.

Wsiadłem do środka i bez słowa patrzyłem, jak ściska kierownicę. Ruszył wolno przed siebie. Z niebieskiej tafli jeszcze mocniej sypał śnieg. Wycieraczki zgarniały go na boki.

To mógł być piękny dzień.

Jechaliśmy w milczeniu przez kilka minut. Droga przed nami stała się niemal niewidoczna. Przecinały ją białe linie, które od czasu do czasu zmieniały kierunek lotu i tańczyły w powietrzu *danse macabre*. Zastanawiałem się, dokąd mnie zabiera i czego ode mnie chce.

– Byłem wtedy w lesie. Wszystko widziałem – powiedział, kiedy wyjechaliśmy na drogę prowadzącą do Wilg.

Czułem się, jakby ktoś palił mnie żywcem. Nie wiedziałem, że wstyd może tak boleć. Bałem się o tego chłopca, bałem się o siebie.

Mężczyzna zatrzymał się przy opuszczonym domu i zaciągnął ręczny. Ciepłe powietrze wiało mi w twarz. Moje ciało wpadło w dygot. Oparłem łokcie na kolanach i patrzyłem, jak pod moimi butami rośnie kałuża.

Płakałem bez łez. Zaciągałem się powietrzem. Zmieniłem się w drganie.

– Nie martw się, coś wymyślimy. – Poczulem ciepłą dłoń na karku.
„On nas zniszczy” – powiedział lis. Zignorowałem go.
Nawet nie przyszło mi do głowy, że wiedział więcej niż ja.

CHOMIKO - WARNIA

17.

Obecnie

Wrócił do domu z Kotlina i zajrzał do pustego garnka. Wyciągnął z lodówki truskawkowy jogurt do picia. Zimny napój przyjemnie chłodził podniebienie, ale mimo to Jakub czuł się, jakby ktoś przecisnął go przez maszynkę do mięsa. Temperatura nie odpuszczała, męczył się szybciej i miał wrażenie, że ciągle jest spocony.

Poszedł do pokoju, który przez ostatnie lata służył mu za sypialnię, i usiadł na starej kanapie w miejscu, gdzie wyłobził się pokaźny dołek. Lubił ten pokój, zbieraninę starych mebli i dodatków, które nie nadawały się do ustawienia w bardziej oficjalnej części domu. Komplet wypoczynkowy rodem z PRL-u. Dyplomy i medale za osiągnięcia sportowe, które zdobył w liceum i na studiach. Kilka bibelotów za szklaną witryną. Na przykład porcelanowy wazon, w którym trzymali z Wiolą hotelowe bilety ze wspólnych urlopów.

Myślał o Kasi. Analizował to, czego dowiedział się od Mariki. Jeśli patolog założy, że siostrzenica odebrała sobie życie, dochodzenie zostanie zamknięte. Zbadanie, czy ktoś namówił ją do samobójstwa, mogło przerastać policję. Mogło być niewykonalne.

Kuba przypomniał sobie ómy na ścianie w jej pokoju. Widział je pod powiekami, gdy zamykał oczy.

Zastanawiał się, jak naprawdę wyglądały stosunki Kasi z siostrą i dziadkiem? Czy ktokolwiek się nią interesował? Coś musiało się wydarzyć. Coś, co wszyscy, łącznie z nim, przegapili.

Podszedł do terrarium, w którym hodował patyczaki. Spryskał ścianki wodą, po czym wyjął największego owada. Czuł delikatne łaskotanie, kiedy chodził mu po dłoni. Unosił wysoko

chude nóżki i wyglądał jak ożywiony mały badył. Kiedyś nadawał im imiona, ale od kiedy się rozmnożyły, wszystkie nazywały się Benek. Dodawał im tylko określenia dotyczące wzrostu. Był więc Benek Wielki, Benki Średnie i cała masa Benków Małych. Z żalem stwierdził, że musi się ich pozbyć, bo w terrarium zrobiło się ciasno.

Pstryknął zdjęcie komórką i wrzucił ogłoszenie na Spotted: Górsk. Liczył, że ktoś się zgłosi i nie będzie musiał spuszczać ich w toalecie. Kilka razy to zrobił i zawsze potem miał do siebie żal. Benek Wielki chyba odgadł jego myśli, bo zamarł, skierował czułki w stronę twarzy Zommera i wyglądał, jakby szykował zamach na jego życie.

– Wracaj do dzieciaków, nie wiem, co ci odbiło, żeby ich tyle robić. Na dodatek w pojedynkę. Jesteś szalony, Benek, wiesz? – Włożył patyczaka do terrarium i spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta, miał jeszcze czas, żeby pojechać na działkę i odwiedzić patologa. Sekcja musiała się skończyć niedawno.

Wziął ze skrzynki na korytarzu klucze. Wychodził już z domu, gdy usłyszał hałas w pokoju taty. Cofnął się.

– Jest tam ktoś? – Zapukał do drzwi.

Nikt nie odpowiedział, jednak dźwięk nie ustawał. Co to było? Szybki, jednostajny odgłos. Jakub nigdy nie wchodził do ojca pod jego nieobecność. Czułby się nie fair, naruszając jego przestrzeń, która bądź co bądź ograniczała się do czterech ścian. Tym razem jednak nacisnął klamkę.

Od wejścia uderzył go zapach domu rodzinnego. Mieszaniny tytoniu, smaru i olejów do broni i sprzętu wędkarskiego, którego większość i tak ojciec trzymał w domku nad jeziorem.

Po mahoniowym biurku spacerował gołąb. Jego oko błyszczało jak koralik. Zommer zauważył, że pod parapetem leżała przewrócona papierośnica, która najwidoczniej wcześniej blokowała okno. Kuba podszedł do ptaka i delikatnie złapał go w dłoń. Gołąb nie wrywał się, na nodze miał założoną obrączkę. Podreptał chwilę po zewnętrznym parapecie i odleciał.

Tak naprawdę kiedy wspólnie z Wiolą zaproponowali ojcu, żeby z nimi zamieszkał, nie zakładali, że się zgodzi. Tymczasem Artur sprzedał dom, pieniądze umieścił na jakiejś lokacie i wprowadził się do największego pokoju. Połowę miejsca zajmowały regały z książkami i małżeńskie łóżko, które kiedyś dzielił z żoną. Poza tym znajdował się tu duży brązowy fotel, dyplomy i tablica korkowa, która dokumentowała jego dokonania.

No i krzesło. Starodawne, antyczne, ze złotymi ówiekami, które lubił przynosić ze sobą do kuchni, tak jakby jego cztery litery były zbyt wysublimowane, żeby siedzieć na tej samej gąbce co reszta śmiertelników.

Kuba patrzył na fotografie, na których ojciec odbierał odznaczenie od sekretarza partii. Wycinki z gazet z artykułami na jego temat. Kserokopie fragmentów podręczników policyjnych z opisami seryjniaka, którego dopadł. Historia tego gościa naprawdę mroziła krew w żyłach. Przyglądał się jego zdjęciu, które nie tak dawno wydrukowała jedna z gazet. Miał ciarki, ilekroć spoglądał w zimne oczy mężczyzny, w których widział pogardę i wyższość. Tak, jak gdyby posiadał jakąś tajemną wiedzę i nie zamierzał się nią dzielić. Nazywał się Patryk Madej. Został stracony 20 lutego 1988 roku w krakowskim więzieniu na Montelupich. Do części zbrodni nie chciał się przyznać aż do śmierci.

Zommer podszedł do biurka, na którym panował idealny porządek. W metalowym segregatorze leżały kartki z odręcznym pismem. Kuba przypuszczał, że tata pracuje nad jakąś książką, ale szczerze powiedziawszy, traktował to jak wybryk starego człowieka z manią wielkości. Oczywiście nie wątpił, że Artur znajdzie wydawcę. Jeśli odpowiednią liczbę stron poświęci swojemu śledztwu i złapaniu seryjniaka, redaktorzy rzucą się na publikację jak sępy.

Zawahał się, jednak wziął do ręki pierwszą stronę. Pod spodem przeczytał dedykację

napisaną fantazyjną czcionką: „Dla H., od którego wszystko się zaczęło”.

Kuba usłyszał hałas na podwórku, wyrwał przez okno i zauważył samochód Artura. Odłożył szybko kartkę na miejsce i wyszedł z pokoju. Wiedział, kogo dotyczy dedykacja. Znał tę historię aż za dobrze. Ojciec opowiadał mu wiele razy o Henrym, a właściwie Henryku, przyjacielu z dzieciństwa, który został bestialsko zamordowany, gdy mieli po czternaście lat. Podobno tamto wydarzenie zaważyło na jego karierze.

Co roku jeździł zapalać znicz na grobie chłopaka i swoich zmarłych rodziców. Kuba znał dziadka i babcię wyłącznie ze zdjęć. I tych nudnych godzin, podczas których stał nad ich grobami i udawał, że żarliwie się modli.

– Jeśli kiedyś będziesz musiał wybierać, co jest dla ciebie najlepsze, zawsze kieruj się instynktem. Wiedziałem, że będę dobrym gliną. Czuję to już wtedy. Musiałem go pomścić – powtarzał mu ojciec za każdym razem, ilekroć wybierali się w rodzinne strony. – Henry nie był niczemu winien. Jego śmierć nie miała żadnego sensu, rozumiesz?

Na grobie Henryka zawsze zapalał dwa znicze i kładł wielką wiązanke. Kuba wiele razy się zastanawiał, jak ten chłopiec wyglądał. Czy gdyby dorósł, też zostałby policjantem? Co odebrał mu ten morderca? Jakich marzeń go pozbawił?

– Tato, jaki on był? – odważył się zapytać podczas jednej z wizyt na cmentarzu.

– Niepowtarzalny – odpowiedział Artur.

– A jak zginął? Kto go znalazł?

Tata nie odpowiedział, ale Jakub po raz pierwszy się przekonał, że ojciec też potrafi płakać. Wtedy Kuba myślał, że rozumie skalę jego rozpacz. Po latach musiał przyznać, że nie wiedział nic o prawdziwej stracie. Dopiero kiedy zmarła Kasia, zaczynał mierzyć się z poczuciem beznadziei spowodowanej tym, że nie potrafił jej ocalić.

– Jadę na działkę – powiedział teraz Kuba i przepuścił ojca w drzwiach.

– Wybierasz się na ryby?

– Tak.

– Tylko posprzątaj po sobie, byłem tam wczoraj rano, ale sprawdź, czy wszystkie okna są zamknięte i czy burza niczego nie zniszczyła.

– Jasne – odpowiedział Kuba i czekał, aż ojciec powie coś więcej. Nawiąże do ich dyskusji rano, będzie się z nim sprzeczał albo wymądrzał.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Wpadł w tryb gliniarza, który bierze na barki zło całego świata. Wszedł do domu ciężkim krokiem i zaczął rozkładać na stole zakupy. Jakub pomyślał, że może powinien się przemóc i z nim pogadać. Może mogliby pracować nad śmiercią siostrzenicy razem?

– Tato... – Zrobił niezdecydowany krok w stronę kuchni. – Czy myślisz, że ktoś namówił Kasię do tego?

– Myślę, że jak nie przestaniesz się wtrącać, to stracisz pracę. Paweł przenosi się w nowym roku do Warszawy, masz szansę zostać szefem na tym swoim wiejskim podwóreczku. Chyba że koniecznie chcesz to spieprzyć. – Puszka z kukurydzą, którą trzymał w ręku, spadła na podłogę i poturlała się na środek kuchni. Ojciec nachylił się, żeby ją podnieść. Odwrócił się tyłem, dając znać, że zakończył rozmowę.

„Szlag z tobą, poradzę sobie sam!” – pomyślał Kuba i zatrzasnął drzwi. Wsiadł do samochodu i pojechał na działkę. Całą drogę się zastanawiał, czy to w ogóle ma jakiś sens. Stare psy trzymają się razem, więc patolog może potraktować go tak samo jak Artur.

Domek ojca znajdował się niedaleko zatoczki, razem z kilku-dziesięcioma innymi działkami. Teren zajmowali głównie byli wojskowi i policjanci, więc na wsi mówiono o tym miejscu żartobliwie Alcatraz, od nazwy słynnego więzienia położonego w zatoce San Francisco.

Od lat wśród działkowiczów nie pojawił się nikt nowy, chociaż chętnych na ziemię było wielu. Zommer podejrzewał, że młodsze pokolenie zostanie dopuszczone dopiero wtedy, gdy starzy wyjadacze pożegnają się z życiem.

Kuba wziął ze sobą mały plecak, w którym trzymał klucze i butelkę wody. Tak dawno tu nie był, że odkrywał zatoczkę na nowo. Kiedy był małym chłopcem, drzewa przy brzegu rosły dumnie w stronę słońca, teraz pochylały się nad wodą jak zgarbione staruszki.

Szedł wydeptaną ścieżką, wsłuchując się w kojący szum trzciny. Krajobraz lasu mieszał się z elementami charakterystycznymi dla mokradeł – dzikimi kępami trawy, które wystawały z bagien. Odcinek był niebezpieczny i należało trzymać się wytyczonego szlaku wzmocnionego surowymi dechami wdeptanymi w drogę. Stał i spozierał na korzeń, do którego rzucali z kumplami buty.

– Nie wierzę – powiedział, kiedy wypatrzył swój stary trampek.

Zasady tej gry były proste – kto dorzuci do korzenia, wygrywa piwo. Oczywiście ukradzione nielegalnie rodzicom z lodówki. Pamiętał, że podczas którychś wakacji jeden z kolegów musiał chodzić w starych klapkach własnej matki. Za karę, że utopił w mule nowe adidasy. Kuba uśmiechnął się do tych wspomnień i zszedł ze ścieżki na podmokłe łąki, którymi dochodziło się do terenu działek.

Posesja ojca leżała na uboczu, otaczał ją zagajnik, do okien drewnianego domku wpadały liście drzew.

W środku pachniało wakacjami – drewnem nagrzanym przez słońce, przynętą na ryby i kurzem. Kiedyś to miejsce wydawało mu się ogromne, więc zdziwił się, jak bardzo zmieniła się jego optyka. Ciężko było się obrócić, żeby o coś nie zahaczyć.

Kuba sprawdził, czy wszystkie okna są zamknięte, i wyjrzał przez nie na podwórze. Burza chyba nic nie zniszczyła, a przynajmniej nic, co znajdowałoby się w zasięgu jego wzroku.

Sięgnął po jedną z wędek ojca, ale po chwili namysłu ją odłożył. W pierwszej chwili chciał pójść do patologa i prosić o przynętę. Układał w głowie, jak mimochodem zapytać o Kasię i jej sekcję. Informacje były poufne, Wojciech Bogucki nie musiał i nie powinien się nimi dzielić. Jednak Zommer czuł, że tym bardziej powinien być szczery. Zapytać wprost o sekcję. Co mogło go spotkać poza odmową? Przyjaciel ojca nie doniesie na niego przełożonym.

Mężczyzna mieszkał po sąsiedzku. Wystarczyło przejść kilkanaście metrów i pchnąć furtkę, którą patolog zamówił u lokalnego metaloplastyka. Podobno zapłacił za nią krocie, ale miał wszystko, co chciał. Drzewa, fale i wijącego się węgorza, którego ogon zmieniał się w fantazyjną klamkę.

– Dzień dobry! Jest tu ktoś? – Kuba szedł kamienną ścieżką przy drewnianej ścianie w stronę sporego tarasu.

– Dzień dobry! – Gospodarz przywitał go uniesieniem szklanki, w której kołysał się bursztynowy płyn z lodem. Bogucki rozwalił się na leżaku, spod rozpiętej hawajskiej koszuli wystawały kępki posiwiałych włosów, szerokie bermudy przed kolana odsłaniały blade nogi. Stroju dopełniały przetarte crocysy. – Ile to lat? Siadaj, chłopie.

Jakub rozglądał się za czymś, na czym mógłby usiąść. Gospodarz wskazał leżak obok z żółtym napisem „Malibu Summer”. Patolog przyglądał się z wyraźnym rozbawieniem, jak Zommer usiłuje znaleźć wygodną pozycję na drewnianym stelażu obleczonym materiałem, i pociągnął duży łyk ze szklanki.

– Dla ciebie piwo bezalkoholowe. – Sięgnął za swój leżak i postawił przed nim lecha zero.

Kuba czuł, że materiał koszulki przykleił mu się do ciała. Próbował ją poprawić, ale uznał, że lepiej nie kusić losu i się nie wiercić. Leżak nie sprawiał wrażenia stabilnego.

– Co tam u ojca? – zaczął mężczyzna.

– W porządku. Właściwie wszystko po staremu. Nie widujecie się, kiedy tu przyjeżdża?

– Długo mnie nie było, ale faktycznie, kilka razy go widziałem. Skurwiel trzyma się jak mało kto. W ogóle nie widać po nim upływu czasu. – Patolog zaśmiał się rubasznie. – Przykro mi z powodu Kasi – dodał po chwili i zapatrzył się w dal, jakby dopowiadał w głowie resztę zdania.

– Dziękuję. – Zommer odklejał etykietę z butelki i zastanawiał się, jak zacząć. – Wiem, że to pan dzisiaj sprawdzał, co tak naprawdę się stało. Możemy o tym porozmawiać?

Bogucki się zawahał.

– Powiem ci o tym, bo się znamy i oczekiwałbym od ciebie tego samego, gdyby chodziło o moją siostrzenicę. Ale jesteś pewien, że to zniesiesz?

– Muszę wiedzieć, czy nie miał pan wątpliwości, że zrobiła to sama. Po prostu... To ja ją znalazłem.

– Słyszałem, przykro mi, chłopcze. – Patolog spojrzął na Kubę ze współczuciem. – Plamy opadowe wskazywały na powieszenie, ale nie będę kłamał, że zdziwiła mnie pozycja, w której odebrała sobie życie. Nie przygryzła jednak warg, nie miała śladów walki czy szarpaniny. – Mężczyzna miał smutny wzrok, lód w drinku uderzał o szkło.

– Ale skąd pan wie, że ktoś się powiesił? – Wbrew wcześniejszemu postanowieniu Zommer przekręcił się w stronę rozmówcy.

– Głównie po wyglądzie bruzd na szyi. W przypadku działania zabójcy przebiega ona równo, okrężnie, z regularnym wgłębieniem przez całą długość, rysuje się na krtani lub poniżej. Przy powieszeniu jest ona skierowana ku górze, wznosząco i znajduje się nad krtanią. – Bogucki odłożył szklankę na kafelki i demonstrował na swoim ciele, gdzie powinny znajdować się ślady.

– Jeśli widać oba rodzaje bruzd, może to wskazywać na uduszenie oraz późniejsze próby upozorowania samobójstwa.

– Ale wspomniał pan, że Kasia miała bruzdę wisielczą.

– Wyjątkowo delikatną, nie miała też śladów walki ani takich, które wskazywałyby na udział osób trzecich. Ktoś ją bardzo szybko odciął. Chwilę po śmierci.

– Po co? Nie wydaje się to panu dziwne?

– Prokurator Tryc pytał mnie o to samo. Dogadalibyście się. – Bogucki uniósł szklankę w geście toastu i wziął łyk. – Tak, Kuba. To jest dziwne. Cała ta sprawa jest dziwna, ale nie nierealna. To mogło się wydarzyć. Mogła wziąć narkotyki i odebrać sobie życie w dziwny sposób.

– Narkotyki?

– Miała ślad na ręku. I to niejeden. Ślad na udzie... Słuchaj... Myślę, że ta sprawa zostanie umorzona. Chyba że znajdą się jakieś dowody obciążające tego jej chłopaka albo kogoś innego. Na ten moment nic takiego nie ma. Obawiam się, że wzięła o działkę za dużo. Poza tym... – mężczyzna się zawahał – kilka godzin przed śmiercią odbyła stosunek. Ale nic nie wskazywało na to, że ktoś ją do tego zmusił. Nie miała otarć w miejscach intymnych, nie krwawiła. Chcesz tego słuchać?

– Chyba nie. – Zommer starał się nie wyobrazić sobie Kasi, która uprawia z kimś seks. – To wszystko po prostu do niej nie pasuje. Samobójstwo? Tak nagle? Nie przejawiała takich skłonności wcześniej.

Patolog zaśmiał się gorzko.

– Czy wiesz, że statystycznie co czterdzieści sekund jedna osoba na świecie odbiera sobie życie? – mówił tonem pokonanego człowieka. Jakby naprawdę było mu żal tych wszystkich ludzi. – Ponad sześćdziesiąt procent z tych prób kończy się zgonem, co oznacza, że w wyniku samobójstw umiera u nas dwa razy więcej osób, niż ginie w wypadkach samochodowych.

– Ktoś mógł jej pomóc. Nakłonić do tego.

– A tego to my się nigdy nie dowiemy. Chyba że znajdziesz świadka. Z punktu widzenia medycyny nie mam jak tego sprawdzić. Zwłaszcza jeśli morderca działał ostrożnie. Ale też wydaje mi się niemożliwe, żeby działał aż tak ostrożnie. Mordercy popełniają błędy. Jeśli ktoś ją powiesił, musiałyby znać się na anatomii. Albo już raz zabić w ten sposób.

– Jak bardzo się znać? Ma pan na myśli rzeźnika czy lekarza?

– Raczej tego drugiego. – Bogucki przymknął oczy i zapadła cisza przerywana głośnym oddechem mężczyzny.

Jakub zaczął się zastanawiać, czy patolog nie zasnął. Owłosiony brzuch unosił się i opadał powoli. Grdyka na szyi przesuwiała się w górę i dół.

Kuba odstawił pustą butelkę na mały stolik i wstał z niewygodnego leżaka. Po chwili poczuł, jak bardzo bolą go nogi od przykurczonej pozycji, w której spędził ostatnie minuty.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – powiedział. Czuł się zakłopotany. Normalnie podałby mu dłoń, ale bał się, że wyrwie go z drzemki. Zrobiło się niezręcznie.

– Była taka jedna sprawa – odezwał się z zamkniętymi oczami Bogucki. – Mąż zamordował żonę, a potem upozorował powieszenie. Zrobił to tak umiejętnie, że nie zostawił żadnego śladu na skórze. Wpadł, bo wyspała go kochanka. Ten jedyny raz popełniłem błąd. – Podniósł powieki i zdziwiony spojrział na pusty leżak Zommera. – Ale to jedna sprawa na milion. Ciekawostka. – Patolog nieporadnie wstał i zapiął kilka guzików od koszuli. Utykał na lewą stopę. – Odprawdę cię, Kuba – powiedział i skierowali się do furtki.

Jakub wyciągnął dłoń, żeby się pożegnać.

– No to przegrałem stówę. – Bogucki zaśmiał się na głos i podał mu wątłą rękę. Była obła i sprawiała wrażenie, jakby nie miała kości. Zommer poczuł się, jakby ścisnął rękawiczkę.

– Nie rozumiem.

– Twój ojciec zadzwonił do mnie dosłownie minutę przed twoim przyjściem i powiedział, że będziesz pytał o Kasię. Ale się pomylił. Powiedział: „Zobaczysz, Boguch, przyjdzie po przynętę”.

Kuba poczuł się jak dzieciak.

– I co pan mu odpowiedział?

– Że nie jesteś taki głupi! – Bogucki zanosił się śmiechem, łzy zebrały mu się w kąciakach oczu. Rechotał i nie mógł się powstrzymać. – I miałem rację, nie pytałeś o przynętę! Ale z drugiej strony zapytałeś o Kasię. Teraz w sumie nie wiem, który z nas wygrał. Jak sądzisz?

Zommer wyobrażał sobie, jak miażdży mu tę wątłą łapkę i wsadza w dupę. Już dawno nikt z nim tak nie pogrywał. Zmusił się do kulturalnego pożegnania, chociaż całą drogę powrotną wspomnienie rozbawionej gęby patologa przypominało mu, że jest skończonym idiotą. Przypomniało mu się, że w dzieciństwie ojciec i Bogucki często go testowali. Zadawali głupie pytania i cieszyli się, kiedy udzielał złej odpowiedzi. Albo stawiali przed nim nierealne zadania w stylu: jak złowisz trzy węgorze, za każdego dostaniesz trzy stowy. Do pewnego wieku dawał się nabierać na durne żarty. Do pewnego momentu były nawet zabawne.

Wrócił do domku i wziął nowiutki kalosz ojca. Czarne huntery kupił zaledwie miesiąc temu. Artur chwalił się nimi i kiedy kurier je przyniósł, od razu je przymierzył.

Kuba całą drogę do bagien ważył but w dłoni. Był ciężki, więc wiedział, że powinien włożyć w rzut sporo siły. Staął naprzeciw korzenia i wziął zamach. Kalosz spadł na sam środek starego drzewa. Czarna podeszwa błyszczała w słońcu jak puchar zwycięstwa.

– Jeden zero dla mnie – powiedział, kierując się w stronę ścieżki na parking.

Po raz ostatni spojrział na jezioro i ważki, które latały nad wodą, zostawiając na powierzchni małe okręgi.

– Wujku, a czy ty czasami myślisz o tym, co byś zrobił, gdybyś wygrał milion w totka? – usłyszał w głowie głos Kasi.

Siedziała wtedy przy stole u nich w kuchni i grzebała widelcem w talerzu. Chyba nie smakowała jej potrawka. Miała jakieś dwanaście lat i długie włosy wiązała w wysoki kucyk.

– Milion? Pewnie pojechałbym na wycieczkę. I kupiłbym fajną brykę.

– Ale nudy! – Kasia zaśmiała się wtedy i zaczęła przygryzać końcówkę kitki. – Ja bym zaszalała. Wiesz, skok na bungee, ze spadochronem, lot paralotnią...

– Same sporty ekstremalne? Takie, podczas których można stracić życie?

– Życie? Wujku! Wtedy dopiero żyłabym naprawdę!

Kuba myślał o tamtej Kasi. Co się z nią stało?

Zmierzch zabierał horyzont. Wszystko traciło kontury, światełka wsi migotały w oddali. Nie mógł sobie darować, że przegapił moment, w którym dziewczynkę z kucykiem zaczął pochłaniać mrok.

18.

Obecnie

Lena popiła zimną herbatę. Musiała stać na biurku od wczoraj, bo zostawiła na kubku nieładne, brązowe zacieki. Obok leżało puste opakowanie po tabletkach na sen.

Bolała ją głowa, a pod powiekami czuła kruszone szkło. Oczy piekły, co znaczyło, że płakała dłużej, niż to zapamiętała. Wczorajszy powrót do domu zlewał się w ciąg czerni. Gdy Lena się dowiedziała, że przy drodze w środku lasu znaleziono adidas Jaśka, wpadła w rozpacz. W spoconej dłoni ścisnęła telefon i bała się, że zaraz usłyszy kolejne informacje. „Znaleźliśmy torbę, znaleźliśmy bluzę, znaleźliśmy sznur, znaleźliśmy ciało”.

Zmusiła się, żeby wziąć prysznic, przebrała się i zbiegła na dół zaplanować dalsze działania. Chciała powiadomić Itakę, organizację, która pomaga odnaleźć zaginionych, wydrukować plakaty Jaśka i rozwiesić w okolicznych wsiach. Porozmawiać ze znajomymi dziennikarzami i poprosić ich o publikację. Wykorzystać wszystkie możliwe kanały informacji. Wiedziała, że dopóki będzie miała czym zająć myśli i ręce, nie straci nadziei. Jeśli czegokolwiek nauczyła się podczas wielu lat terapii, to tego, że działanie pozwala przetrwać najgorszą rozpacz.

Zadzwoił telefon, po kierunkowym Lena rozpoznała, że to lokalny numer.

– Dzień dobry, tu aspirant Jacek Orczak, chodzi o zaginięcie Jana Potockiego. Rozmawiam z matką?

– Tak.

Przygotowała kartkę i długopis. Akurat ten nawyk, który został jej po latach pracy w redakcji, zawsze się przydawał. „Błagam, niech powie, że jest w jakimś szpitalu. Albo na posterunku w sąsiedniej miejscowości” – powtarzała w myślach.

– Drony nie zauważyły niczego w lasach. Nasza hipoteza o tym, że wsiadł do samochodu na drodze wojewódzkiej, jest jak na razie najbardziej prawdopodobna.

– Ale dokąd pojechał? Z kim?

– Tego nie wiemy. Sprawdzamy monitoring, ale na razie bez skutku. Ta droga prowadzi w stronę Bydgoszczy i Torunia. Można też skrócić na Gdańsk. Może wrócił do Górska i stamtąd dostał się do innych miejscowości. Trudno cokolwiek zakładać na tym etapie. Jeśli chodzi o telefon, ostatnie połączenie wykonał do pani. Potem musiał wyłączyć urządzenie. Nadal pani nic nie pamięta? – zapytał.

– Nie. – Lena poczuła czerwone wypieki na dekolcie.

– Proszę, żeby zawsze ktoś był w domu, i o kontakt, jeśli syn wróci. To się naprawdę zdarza – dodał policjant pokrzepiającym tonem. – Jutro się z panią skontaktuję.

– Dziękuję.

Lena spojrzała na kartkę, którą wcześniej przygotowała, i na bazgroły pokrywające cały środek. Kropki, kreski, dziwne zawijasy i dziury w miejscach, gdzie zbyt mocno przycisnęła długopis. Nie dowiedziała się niczego nowego.

Już wczoraj przejrzała rzeczy osobiste syna. Grzebała w jego śmietniku, prostowała wszystkie wymięte karteczki i paragony, które znalazła w starych jeansach. Poza tym, że pił zdecydowanie za dużo napojów energetycznych, do niczego nie mogła się przyczepić.

Kiedy Jasiak skończył szesnaście lat, rodzice założyli mu konto. Od czasu, kiedy zniknął, nie ruszył ani złotówki. Świnka skarbonka, którą dostał na urodziny od znajomych, też stała nietknięta. A w środku znajdowało się przynajmniej kilka-naście banknotów o wysokich nominałach. Lena sama wrzuciła wtedy trochę gotówki. Gdyby Jasiak zabrał pieniądze, można by podejrzewać, że planował ucieczkę. Widocznie jednak zniknął pod wpływem emocji. Miał przy sobie tylko to, co zabrał na tę przeklętą imprezę. I jeden but, bo drugi zgubił przy drodze wojewódzkiej.

Jak daleko można zajść w jednym buciu?

Lena zmusiła się do zjedzenia śniadania, kajzerki z serem i pomidorem, popitej zieloną herbatą z maliną. Kobieta patrzyła na puste miejsca przy stole. Brakowało jej rodziców, nawet jeśli miała do nich żal. Wzięła dwie pastylki na spokój duszy. Nie były mocne, ale bez nich czuła się jak rozbitek dryfujący po oceanie.

Wyobrażała sobie mamę krzątającą się przy blacie. O tej porze już zabierałaby się do przygotowywania obiadu. Tata pewnie siedziałby przy stole z gazetą. Siorbałby pierwszą kawę z ulubionego kubka z wielkim niedźwiedziem.

– Jadę rozwiesić plakaty – rzuciła im na pożegnanie.

W kuchni panowała przygnębiająca cisza, ale niemal słyszała, jak rodzice mówią: „Uważaj na siebie, córuś”.

„Córuś”. Tak bardzo bolało, że już nie była dla nikogo córką.

Lena wzięła kluczyki ze skrzynki w korytarzu i skierowała się do swojej Wisienki. Tak nazywała bordową mazdę m2, którą kupiła po rozwodzie. Przed wyjazdem w góry zostawiła ją w warsztacie, ale już w sobotę widziała, że mechanik odwiózł ją na podwórko. Pieniądze, które dla niego przygotowała, dała wczoraj nastolatkom sprzed blaszaka. Powinna pojechać do niego uregulować rachunek.

Przed domem Lenę przywitał skrzek wroniej mamy, która skakała obok drzewa, jakby opętał ją szatan. Pisklaki z góry próbowały pyskować, ale nie miały szans.

– Słyszałaś o bezstresowym wychowaniu? – rzuciła kobieta w jej stronę.

Wrona zbyła to takim samym wrzaskiem, jakiego musiały wysłuchiwać jej dzieciaki. Lena się zastanawiała, czy któregoś dnia uda im się zawrzeć przyjaźń. Jak na razie ptaszysko

traktowało ją z góry.

Okazało się, że auto jest niespodziewanie czyste. Czy mechanik umył je po naprawie?

A może zrobił to Jasiak? Widocznie pucował je na podwórku, zanim matka wróciła z wakacji. Może siedział w środku i słuchał radia albo manewrował przy domu. Pozwalała mu na to, nie mógł się doczekać, kiedy w końcu podejdzie do egzaminu na prawo jazdy.

Lenę skrzyło na samą myśl, że jeszcze kilka dni temu mógł trzymać ręce na kierownicy i drążku biegów. Miała wrażenie, że od tamtego czasu minęła wieczność.

Ale potem przyszło jej do głowy, że może zostawił coś w samochodzie. Zaczęła przeszukiwać wszystkie schowki i trafiła na zapas batonów z czekoladą, które zmieniły się w miękką breję. W środku odtwarzacza na płycie wciąż tkwiła jego ulubiona składanka Nirvany. Lena oglądała kiedyś program poświęcony samobójstwu wokalisty tego zespołu, Kurta Cobaina. W pożegnalnym liście napisał: „Lepiej szybko się wypalić niż tlić powoli”.

Czy Kasia i Jasiak myśleli podobnie? Chcieli spłonąć?

Potem zajrzała do tyłu i pod siedzenia. Bingo! Pod jedno z nich był wepchnięty plecak moro. Lena szybko przesiadła się do przodu i rozpięła zamek. Znalazła kilka powykrecanych kabli, pustą paczkę papierosów, bletki, starego nikonu 200 bez rolki w środku i kamerę. Jedną z pierwszych, które kupił. Małą, poręczną, ulubioną.

– Szybciej! – Drżały jej palce, kiedy ją włączała. Udało się, bateria wciąż była naładowana do połowy, ale na karcie pamięci zapisany był tylko jeden plik.

Wcisnęła play.

Oko. Niebieska tęczęwka nakrapiana makiem i długie, podkreślone tuszem rzęsy.

– Tylko nie nagrywaj mnie z bliska, okej? – rozległ się dziewczęcy głos i śmiech.

– Jasne, po prostu bądź sobą – odpowiedział Jasiak i oddalił kadr. Siedziała przed nim Kasia Kwiatkowska. A raczej jej pełne życia oczy, zadarty nosek i usta, które zastygały w półśmiechu.

Lena nacisnęła pauzę i wstrzymała powietrze. Bała się, że nie da rady przez to przejść. Przymknęła oczy, policzyła w myślach do pięciu i ponownie włączyła film. Gorset z leków wciąż trzymał ją w pionie.

– Zaczynaj od tego, żeby się przedstawić. Potem opowiedz, o co ci chodzi. Resztę zmontuję z poprzednich kadrów. Gotowa? – Lena tak bardzo tęskniła za głosem syna, że słysząc go, ledwo oddychała.

– Dzień dobry, nazywam się Kasia Kwiatkowska i mieszkam w Górsku, malowniczej wsi położonej wśród lasów i jezior. – Dziewczyna posłała Jaśkowi pytające spojrzenie i wykrzywiła usta. – O to chodzi?

– Kaśka... – Zaśmiał się. – Nie możesz ciągle przerywać.

– Ale ja nie wiem, co mam robić z rękami! – Wydęła usta, jakby udawała naburmuszone dziecko. Jej nosek się zmarszczył, ze zmrużonych oczu sypały się iskierki. Ta dziewczyna była przepiękna. Biło od niej coś niewinnego i czystego.

– Nie widać twoich rąk – powiedział Jasiak z czułością.

Lena poczuła, jak bardzo jej go żal. Ona też kiedyś była zakochaną nastolatką. I jej miłość skończyła się tak samo gwałtownie.

– Co? Nie gadaj, że nagrywasz tylko moją twarz!

– Zaufaj mi. Mam plan na ten film. I przestań tak się przejmować swoim wyglądem. Pamiętaj, że nagrywamy to dla Poli.

– Racja. – Kasia spoważniała. Musiała też rozpuścić włosy, bo teraz przy policzkach kołysały się lśniące czarne pasma. Spojrzała w górę, jakby szukała odpowiednich słów.

– Akcja! – zachęcił ją Jasiak.

– Cześć, nazywam się Kasia Kwiatkowska i mieszkam razem z moją siostrzenicą Polą w Górsku, malowniczej wsi. – Spojrzała z powagą w kamerę. – Polinka urodziła się z niedorozwojem kości udowej. Jej lewa nóżka jest krótsza, Pola ma też niesprawne bioderka. Od pięciu lat walczymy, żeby przywrócić jej sprawność, i w końcu pojawiło się światełko w tunelu. – Wzięła głęboki wdech.

– Stop – rozkazał Jasiak.

– Prawie się zapowietrzyłam! – Śmiech Kasi brzmiał jak tysiąc drobnych dzwoneczków. – Teraz o operacji?

– Tak. – Jasiak musiał coś zmieniać w ustawieniach statywu, bo obraz kołysał się przez chwilę. – Zaczynaj.

– Pojawiła się szansa, żeby Polę zoperował lekarz ze Stanów. Pan Andy Calmos od wielu lat spełnia marzenia o zdrowych nóżkach. Wyleczył już tysiące pacjentów i daje dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na to, że Pola będzie chodzić! – Kasia spuściła na chwilę wzrok. Mięśnie na jej twarzy drgnęły. – Problem w tym, że koszt operacji to prawie pół miliona złotych i bez was nigdy nie uda nam się zebrać tej kwoty.

Mówiła dalej, a Jasiak oddalał obraz. Teraz widać było nie tylko jej twarz, ale długie włosy delikatnie uniesione u nasady, smukłą szyję i wystające obojczyki. Wciąż obracała w palcach srebrną koniczynkę zawieszoną na rzemyku.

– Moja siostrzenica to najdzielniejsza dziewczynka, jaką znam. Wiecie, co powiedziała, kiedy się dowiedziała, że będzie mogła chodzić? Że jak już wyzdrowieje, to zabierze nas na wakacje. Bo po tym, jak ją wszędzie nosimy, na pewno... bolą... nas ręce. – Ostatnie zdanie szeptała. Łzy znaczyły ścieżki na policzkach, zatrzymywały się na brodzie i w kącikach ust.

– Hej, hej, wszystko w porządku. – Jasiak podszedł do niej i wytarł jej twarz rękawem bluzy.

Lena zastygła. Brakowało jej go tak bardzo, że aż bolało serce.

– Dziękuję, że to dla mnie robisz. – Kasia objęła twarz Jaśka, on przysunął się i zaczął całować jej oczy, potem dotykał ustami jej policzków, czubka nosa i kącików ust, aż w końcu spotkały się ich wargi.

Lena przewinęła kawałek, powtarzając w duchu, że przecież robi to, ponieważ szuka informacji. Ale i tak czuła się jak intruz. Zatrzymała film dopiero w momencie, gdy przestali się pieścić i tylko stykali się czołami, wpatrzeni w siebie.

– Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko – wyszeptał Jasiak. Złapał za zawieszkę z koniczynką na szyi Kasi. – Twój talizman już nie działa? Musimy kupić nowy?

– Działa – wyszeptała. – Ale tylko jak jestem z tobą.

Lena poczuła się, jakby ktoś rozrywał ją na strzępy. Jej syn już nigdy nie pocałuje tej dziewczyny. Nie będzie jej dotykał ani przytulał. Kasia zostanie z nim na zawsze, ale nie tak, jak to sobie wymarzył. Stanie się wyrwą w jego ciele, a on boleśnie odczuje, że nie da się jej niczym zapęlnić.

Przypomniała sobie kłótnię, o której opowiedzieli jej nastolatki przy blaszaku. „Zabiję cię, suko”. Dokładnie te słowa wykrzyczał Jasiak w twarz dziewczynie, która kilka godzin później nie żyła.

– Wiesz co? Dokończymy innym razem – powiedział Jasiak i wstał.

Przez chwilę było widać tylko napis „Nirvana” na jego bluzie, kiedy podchodził do kamery. Potem znowu pojawiła się Kasia. Poprawiała włosy i ramiączka od biustonosza. Chłopak musiał niechętnie popchnąć statyw, bo obraz się pochylił, i zanim go wyłączył, Lena zauważyła inny fragment ściany za dziewczyną.

Wcisnęła pauzę.

W pokoju Kasi wisiały obrazki narysowane niebieską kredką. Znała ten typ kreski, te zaokrąglone, miękkie kształty. Tylko kawałek ściany za dziewczyną był wolny od tych prac, Lena domyśliła się, że zdjęli je specjalnie do nagrania.

– To niemożliwe – szepnęła.

A jednak. Poczowała, jak cofa się w czasie. Znowu była czternastolatką i widziała smukłe dłonie Rafała, kiedy kreślił linie w szkicowniku. Patrzyła zafascynowana, jak kilka kresek zmienia się w bmw.

– Dlaczego używasz niebieskiej kredki?

– Bo moje myśli są w tym kolorze. – Roześmiał się i przechylił głowę. Zawsze tak robił, kiedy się nad czymś zastanawiał. Mrużył też oczy w zabawny sposób i zaciskał szczęki. Wyglądał jak chłopcy, których oglądała w „Bravo Girl”. Można było zwariować, kiedy przesuwał dłonią po jasnych pasmach włosów i wkładał je za ucho. Coraz częściej myślała o nim w taki sposób, że czuła drobne igielki w okolicy podbrzusza.

Ale potem coś się zmieniło. Dokładnie miesiąc przed tym, jak odebrał sobie życie, zakradła się do niego i spojrzała przez ramię na zarysowaną kartkę. Był wyjątkowo ciepły maj, słońce grzało odsłonięte ramiona. Koronkowe skrzydło zajmowało połowę rysunku. Gruby, włochaty tułów i zagięte czułki. Trochę jak nietoperz, ale mniejszy. Delikatniejszy. Niebieską kredką zastąpiła czern.

– To już nie szkicujesz samochodów? – zapytała wtedy.

– Tak jakoś wyszło. Nic ważnego. – Rafał zasłonił rysunek i zmienił temat. Dziewczyna nie rozumiała, dlaczego tak zrobił.

Patrzyła na ściany w pokoju Kasi i nie mogła sobie darować, że odpuściła. Widziała te rysunki jeszcze wiele razy, ale za każdym razem Rafał ją zbywał. Teraz wiedziała, że musi pojechać do pokoju dziewczyny i jeszcze raz zobaczyć obrazki z ćmami. Skąd nastolatka je wzięła? Dlaczego obwiesiła nimi pokój?

Dom Kasi znajdował się na drugim końcu Górską, podróż zajęła mniej więcej pięć minut. Kobieta wciąż przypominała sobie film i historię małej Poli. Wiedziała, że ta dziewczynka jest chora, ale chyba nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje pomocy. Zaparkowała przy domu Kwiatkowskich i skierowała się do drzwi.

Na schodach naliczyła kilkanaście zniczy, pluszaków i kwiatów. Gdzieś tam stały ramki ze zdjęciami Kasi z różnych etapów życia. Znajomi i przyjaciele rodziny musieli zostawić te rzeczy na znak pamięci o dziewczynie. Lenie zrobiło się wstyd, że o tym nie pomyślała. Nacisnęła dzwonek i czekała, zastanawiając się, co powiedzieć rodzinie. Delikatny dźwięk niósł się po wnętrzu domu i stłumiony docierał na ganek, na którym stała. Po chwili usłyszała kroki i strzępki dialogu.

W końcu w drzwiach pojawiła się przed nią starsza o kilka-naście lat Kasia, tylko że w jasnych włosach. Za nią, oparty o ścianę, stał Pablo. Lena nie widziała go od wczoraj i nie zdążyła mu podziękować za pomoc w poszukiwaniach Jaśka.

– Dzień dobry. – Ola uniosła brwi zdziwiona. Chyba spodziewała się kogoś innego.

– Dzień dobry. – Lena się uśmiechnęła i zwróciła do Pawła: – Dziękuję za wczoraj. Bez ciebie nie dałabym rady.

– Nie ma za co. Dowiedziłaś się czegoś nowego?

– Niestety, sprawa utknęła. Zakładają, że Jasiek odjechał samochodem. Ale dokąd i z kim, nie mają pojęcia.

– Dzwoniłem dzisiaj do Jacka Orczaka i wiem, że robią wszystko, co w ich mocy. Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie szukać – powiedział tym swoim ochryplym głosem i posłał Lenie pokrzepiający uśmiech.

Pożegnał się, a kiedy mijał ją na schodach, po raz pierwszy poczuła jego perfumy. Intrygujące i męskie. Facet mógł się podobać kobietom. W jego oczach kryła się melancholia, która sprawiała, że Lena bardzo chciała poznać historię stojącą za tym smutkiem.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zwróciła się do Oli, kiedy policjant zniknął za rogiem budynku. Musiał przyjść pieszo, bo przed domem nie było jego samochodu.

Siostra Kasi cofnęła się na chwilę do korytarza, jakby chciała się upewnić, że nikt nie wyjdzie na zewnątrz, i zamknęła drzwi.

– To nie jest najlepszy moment – powiedziała.

– Przepraszam. Po prostu robię wszystko, żeby odnaleźć syna. – Lena oparła się o starą metalową balustradę. Postanowiła powiedzieć, o co jej chodzi. – Widziałam filmik, który Jasiek nagrał w pokoju Kasi, i zauważyłam na ścianie obrazki nocnych motyli. Narysował je mój przyjaciel z dzieciństwa, Rafał Nowicki.

Ola usiadła na betonowych schodach i przycisnęła jednego z pluszaków do brzucha.

– Naprawdę? Znałam Rafała, pamiętam go. Nie wiedziałam, że to jego... Kasia musiała je zabrać ze starej pracowni mamy. Chociaż nie przypominam sobie, żebym widziała tam jakieś szkice, tylko obrazy.

– Rafał wspominał, że twoja mama uczy go rysować. Ale to chyba nie trwało długo? – Lena usiadła schodek niżej i przyglądała się, jak Ola marszczy czoło. Stopnie były nagrzane i czuła ich ciepło przez lniane spodnie.

– Przychodził do niej chyba przez rok. Podobno był bardzo zdolny... Lubiłam, jak mnie rozśmieszał. Mama do samej śmierci nie mogła sobie wybaczyć, że nie potrafiła mu pomóc. Wciąż mam w piwnicy jego prace. Część oddaliśmy jego rodzicom, ale nie wszystko. Powinnam zrobić porządek z tą pracownią, ale lubię tam chodzić i wspominać mamę.

– Nigdy nie pytałaś Kasi o te ćmy?

– Nie powiem, to było trochę dziwne, ale Kaśka miała swoje odpały. – Ola odłożyła maskotkę na stopień i jeszcze przez chwilę trzymała na niej dłoń. – Byłam przekonana, że je wydrukowała albo nawet narysowała. Tak jak mówiłam, nie pamiętam, żebym widziała je w piwnicy. Zresztą naklejała na te ćmy różne faktury, malowała po skrzydłach. Odziedziczyła talent po mamie.

– A kiedy je powiesiła?

– Niedawno, jakoś dwa tygodnie temu.

– Mogę je zobaczyć?

Ola niechętnie wstała i uchyliła drzwi.

– A może mi pani obiecać, że niczego nie będzie przestawiać? I musimy być cicho. Polcia jest na spacerze z ciocią Wiolą, ale dziadek... – Zawahała się. – Dziadek śpi.

19.

Dawniej

Marzyłem, żeby przytulić się policzkiem do podłogi, zasnąć i nigdy się nie obudzić.

Chłopiec, którego potrąciłem, nazywał się Krzyś Smolewicz. Ośmiolatek mieszkał z rodzicami i dwójką młodszego rodzeństwa w połowie drogi między Kotlinem a Górskiem. Ta dziura miała tylko jedną ulicę, którą próbował się dostać do domu, zanim...

Jego pokój miał zielone ściany, Krzyś był pierwszym, wymarzonym dzieckiem swoich rodziców, a tamtego dnia jego tata nie zdążył odebrać go z przystanku.

– Zawsze po niego wychodziłem, ale ten jeden raz... Gdybym był dziesięć minut wcześniej... – Widziałem w telewizji, jak płakał. Łzy wsiąkały w gęstą brodę, wycierał policzki bawełnianą chusteczką w kratę.

– Ten ktoś nawet nie wezwał karetki... Zgłoś się na policję, tchórzu! – Mama Krzysia z bezsilności wykręcała palce. Wzięła do ręki zdjęcie synka i przysunęła do obiektywu. – Zobacz, co zrobiłeś. Zobacz, kogo pozbawiłeś marzeń!

Na zdjęciu widziałem szczupłego chłopca, który trzymał resoraka i nieśmiało uśmiechał się do aparatu.

Kiedyś byłem taki sam.

Zbierałem samochody, moje włosy sterczały na wszystkie strony, a jedynki nie mieściły mi się w buzi.

Kiedyś.

Rosło we mnie poczucie winy. Mały kształt przyczajony w okolicy serca, który z każdym dniem zabierał kolejne fragmenty tkanek.

I gdzie teraz jesteś, rudy cwaniaku? Gdzie jesteś, lisie?

Wiele myślałem o tym, dlaczego właściwie uciekłem. Bałem się reakcji rodziców, bałem się, że trafię do więzienia. Ale najbardziej bałem się tego, że ten chłopiec nie przeżyje. I wtedy, w tamtym momencie, w tym ułamku mikrosekundy, kiedy decydowałem o tym, czy jechać dalej, czy się zatrzymać, zwyczajnie stchórzyłem. Wolałem tego nie widzieć, udawać, że to się nie stało.

Mama Krzysia Smolewicza miała rację.

Tchórz.

Były chwile, kiedy marzyłem, żeby cały świat odkrył moją tajemnicę, bo ja sam nie miałem dość jaj, żeby się z niej zwierzyć. Całe moje życie „sprzed” wydawało mi się cholernie bezbolesne. Za to życie „po” stało się nie do zniesienia. Toczyłem w głowie bitwę za bitwą. Powiem o wszystkim rodzicom. Zadzwonię na policję. Przepraszę jego rodziców i pojedę do szpitala. Cofnę czas.

Miesiąc później stałem na śniegu przed drzwiami Julity Kwiatkowskiej, mojej nauczycielki rysunku, i zastanawiałem się, czy nacisnąć dzwonek. Twarz tężała mi od mrozu. Szczypały mnie usta. Jak długo jeszcze będę potrafił udawać? Kiedy pękne?

– Rafał? Dlaczego nie wchodzisz? – Pani Julita otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka. Zapachniało boazerią, ciastem ze śliwkami i cynamonem, a ja znowu byłem dla kogoś Rafałem, a nie parszywym tchórzem. – Idź już na dół, a ja zaparzę herbaty. Dla ciebie czarna z cukrem?

Te lekcje przynosiły mi prawdziwe ukojenie. Zacząłem na nie chodzić rok wcześniej. Julita Kwiatkowska była moją nauczycielką plastyki w podstawówce i to do niej zwróciła się mama, kiedy uznała, że mój talent nie może się zmarnować. Kiedy zamykaliśmy się w piwnicy, a terpentyna wsiąkała w ściereczki zrobione ze starego prześcieradła, liczyły się tylko moje ręce, kolory i pusty kawałek płótna.

Puste płótno to zawsze nowy początek.

Omawialiśmy laserunek i impast, w którym w końcu mogłem eksperymentować z fakturą. Z lekcji na lekcję coraz bardziej zafascynowany przyglądałem się, jak kolejne warstwy farby nadają obrazom głębi. Lubilem dotykać tych innych wymiarów palcami. Wypukłe miejsca i wklęsłe. Nierówne brzegi i proste linie. Tu się coś zaczyna, a tam kończy.

– W twoich pracach pojawiło się coś nowego – powiedziała pani Julita. Stanęła za mną i wskazała końcówką pędzla na środek tego, co właśnie malowałem. – Jest tu jakiś niepokój. Nie wiem, jak to nazwać. Mrok?

Mój oddech przyspieszył. Jak rozwiązać ten supeł, który zawiązał mi się w środku?

– Jesteś ostatnio inny. – Stanęła przede mną, poczułem na ramieniu ciepłą dłoń.

Jej oczy wyglądały tak, jak powinny wyglądać oczy każdej matki. Ciepłe, współczujące. Wiedziałem, że jeśli o wszystkim jej powiem, to ona jedna zrozumie. Ona mi wybaczy. Wystarczyło otworzyć usta.

Serce biło mi nierówno, krew wrzała. Tak chciałem wyrzucić z siebie ten ciężar.

– Możesz na mnie liczyć. Jeśli chcesz mi się z czegoś zwierzyć albo po prostu pogadać...

– Nie dokończyła, bo do piwnicy weszła Ola.

– Mamo, dziadek karmi króliki, a mnie chce się pić – powiedziała.

– To dlaczego z nim nie poszłaś? Dziadek musi opiekować się wszystkimi naszymi zwierzątkami. – Pani Julita złapała ją za rączkę. – Zaraz wracam – rzuciła do mnie.

Tylko że jej „zaraz” dla mnie oznaczało „nigdy”. Ta chwila, kiedy mogłem o wszystkim powiedzieć, minęła.

Zacząłem zwijać do torby przybory malarskie, wyczyściłem pędzle i włożyłem wciąż

mokrą od śniegu kurtkę. Zgasilem światło w pracowni i poszedłem ciężkim krokiem do góry.

W kuchni zobaczyłem, jak Ola siedzi przy krześle i macha nogami w powietrzu. Była taka mała, że nawet nie dosięgała podłogi. Pięciolatka chichocząca znad szklanki kompotu. Z warkoczami do połowy pleców i wiarą, że cały świat należy do niej.

– Mama jest w łazience – powiedziała do pustego kubka, a jej zniekształcony przez ścianki naczyń głos brzmiał, jakby mówiła do mikrofonu.

– Powiedz jej, że przyjdę za tydzień.

W tym czasie na zewnątrz zapadła noc, dobrze, że śnieg odbijał światło księżyca, bo nie znalazłbym drogi do furtki.

– Nie wpuszczaj tu Oli! – Zdzisław Kwiatkowski wyrżał z szopy. Ostre światło sączyło się zza jego pleców. Na rękach miał grube rękawice. – A, to tylko ty, Rafał. – Puścił drzwi, które otworzyły się z głośnym piskiem. Zauważyłem na hakach w głębi pomieszczenia dwa małe króliki. Z brzuchów zwisały im strzępki szarego futra.

Podszedłem do nich, sam nie wiem po co. Chyba chciałem spojrzeć w puste oczy, którym już wszystko było obojętne. Zapach przyprawiał o mdłości. Wydzieliny życia, jeszcze ciepłe, zebrane w wiadrze. Tyle z nich zostało.

– Rafał, uważaj na siebie. Jest ciemno – powiedział Kwiatkowski i wzrokiem odprowadził mnie do furtki.

W radiu zaczęli nadawać wiadomości. „Wracamy do sprawy chłopca, który został potrącony miesiąc temu na drodze krajowej A15. Krzys Smolewicz został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej...”

Nie mogłem tego słuchać.

Poszedłem w stronę Wilg, tam, gdzie zawsze się spotykaliśmy. Brodziłem w śniegu, ciało zaczynało wpadać w delikatne drżenie. W końcu mogłem się odsłonić. Pozwolić sobie na to, żeby czuć to wszystko, czego tak strasznie się bałem.

Samochód nadjechał pięć minut przed czasem.

Srebrna karoseria. Drzwi. Ciepłe powietrze, którym ogrzewałem skostniałe dłonie.

– Mówiłem ci, żebyś uważał na siebie. To już nie pierwszy raz, kiedy idziesz środkiem drogi. Ktoś może cię potrącić. – Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

– Może tego chcę?

– Przepraszam... Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. – Nachylił się w moją stronę i sięgnął do schowka samo-chodowego.

Kiedy był tak blisko, czułem orientalny zapach jego perfum. Mocnych, męskich. Przywodziły mi na myśl mokradła. Tajemnicę schowaną w gęstym lesie, do którego nie dochodzi słońce. Intensywna, dusząca, fascynująca woń rozkwitu, który miesza się z rozkładem.

Wyjął ze schowka małe opakowanie z rysunkiem ómy i wyciągnął z niego talię kart. Patrzyłem na ciemne kolory skrzydeł narysowane na rewersie. Na kształty, które wyglądały jak wyrzeźbione z drewna. Ciepły brąz przechodził w gradient po to, żeby ostatecznie zmienić się w czerń zakończoną jasnymi kropeczkami. Wszystko przykrywały cienkie linie, fale imitujące słoje. Proste, zakrzywione, miękkie.

Gdyby ta óma zasnęła na pniu drzewa, nigdy nie zdołałbym jej dostrzec.

– Umiesz grać w pokera? – zapytał i powoli ruszył przed siebie.

Kiwnąłem głową i wziąłem do ręki kartę. Nocny motyl, mistrz kamuflażu, usiadł mi na dłoni. Po kilkunastu spotkaniach, które odbyliśmy, wiedziałem, że muszę wygrać. Przegrany nie miał nic do gadania.

Przegrany nie miał nic.

20.

Obecnie

Lena weszła do domu Kasi, myśląc o niej i Jaśku.

Czas nałożył się na siebie i gdzieś w równoległej rzeczywistości nastolatki siedzieli w kuchni nad herbatą. Albo całowali się na pożegnanie. Potrafiła odtworzyć co do nuty tony ich głosów. Wszystkie zaokrąglone, miękkie końcówki wyrazów. Usłyszała szept syna, kiedy mówił: „Zrobię dla ciebie wszystko”.

Kiedy znalazły się w pokoju Kasi, zrozumiała, dlaczego wcześniej Ola prosiła, żeby niczego nie dotykać. Na łóżku i podłodze wciąż leżały rzeczy nastolatki. Kolorowe koszulki, spódniczki i sukienki. Na biurku stał kubek z niedopitą wodą i leżała rozsypana zawartość kosmetyczki. Tak wyglądały ostatnie chwile dziewczyny. Szykowała się na imprezę, robiła makijaż, przymierzała stroje. Lena zastanawiała się, co takiego się wydarzyło, że kilka godzin później odebrała sobie życie. W jednej chwili malowała usta i rzęsy, a w kolejnej założyła na szyję sznur.

Pamiętała film, który obejrzała w samochodzie. Plany Kasi, żeby zorganizować zbiórkę na leczenie małej Poli. Co takiego ją spotkało, że zapragnęła śmierci? To musiało być coś strasznego. Ostatecznego.

Na początku Lena odniosła wrażenie, że ćmy na ścianach ułożone są bez żadnego porządku, ale potem zaczęła dostrzegać, że Kasia działała według jakiegoś planu. Część owadów zwrócona czułkami w stronę okna czekała, aż nadejdzie noc. Kolejne, najbardziej kolorowe, zasnęły z rozłożonymi skrzydłami nad biurkiem. Właśnie padały na nie strumienie zachodzącego słońca. Pomarańczowe światło rozmywało ich kontury, sprawiało, że nabierały lekkości. Inne

przysiadły dookoła lustra i na szafie. Te były gotowe, żeby zdobywać pożywienie. Spijać nocą nektar z róż, które dziewczyna namalowała kolorowymi farbami na ścianie.

Przez to pokój wyglądał jak dziwna gabłota z podstawówki. Niewinnie.

– Nie wiedziałam, że tyle ich narysował. – Lena była zdziwiona. Niektóre z obrazków miały w sobie wrażliwość Rafała. Poznawała to. Ale część z nich była pomalowana albo ich kontury zostały poprawione tuszem. To musiała zrobić Kasia.

– Dokładnie dwadzieścia siedem – odpowiedziała Ola. – Wczoraj je policzyłam...

Lena spojrzała na jej rozciągnięte dresy, wypchane na wysokości kolan, i wymiętą koszulkę z Myszką Miki. Było jej żal kobiety. Doskonale знаła ten stan. Niemoc i zawieszenie gdzieś pomiędzy. W jednej chwili wszystko było w porządku, a już w następnej kończył się świat.

– Bardzo mi przykro – powiedziała szczerze. Nie wiedziała, co może jej zaoferować poza słowami.

Zrobiło jej się głupio, pomyślała, że nie powinna przeciągać tej wizyty. Jednak musiała dowiedzieć się więcej o Rafale i Kasi. Co ich łączyło? Skąd te émy? Najpierw u niego, potem u niej.

– Czy możemy pójść do pracowni pani mamy? – zapytała.

Ola przygryzła wewnątrz policzka. Ostatecznie Lena była dla niej obcą kobietą, która pakowała jej się do domu w najmniej odpowiednim momencie.

W końcu pokiwała głową i odwróciła się w stronę drzwi.

– To w piwnicy.

Zeszły na nierówne schody. Na ścianach bielonych wapnem wisiały strzępki srebrnych pajęczyn. Pachniało wilgocią i czymś jeszcze. Jakimiś chemikaliami? Alkoholem?

– Terpentyna – uprzedziła Ola. – Nie wiem, jak to możliwe, ale ciągle ją czuć w powietrzu, chociaż otwieram tu okna.

Lena spodziewała się skąpego światła, ale kiedy pstryknęły włączniki na ścianie, można było policzyć wszystkie plamki farby na podłodze. Zdziwiła się, że wciąż stały tu trzy sztalugi z niedokończonymi obrazami. Jeden z nich musiał kiedyś należeć do Rafała. Lena poznała błękit na obrzeżach podobrazia, jego ulubiony kolor. Ta sztaluga musiała stać w piwnicy blisko dwadzieścia pięć lat.

Położyła palce na wypukłych liniach i obserwowała przejścia odcieni. Błękitu w granat. Fioletu w ultramarynę. Purpury w czerń. Widziała w tym obrazie splątanie, którego sama doświadczała kilka razy dziennie. Tak musiało wyglądać jej serce. Taki był kolor jej wnętrza. Niespokojny.

Tak czuł się Rafał, kiedy to malował.

– Tutaj jest więcej jego obrazów – powiedziała Ola i wskazała na kąt w rogu piwnicy.

Lena podeszła tam i znalazła najgorszą wizję przyjaciela z dzieciństwa. Z tych prac spoglądały na nią koszmary, których nie można wymieść spod powiek. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale kiedy na nie patrzyła, czuła brak nadziei. Jeden z obrazów wyglądał jak śnieg, na którym ktoś rozmazał krew.

– Tego nie kojarzę. – Ola podeszła z drugiej strony i podniosła do góry małe podobrazie, na którym Lena dostrzegła dumnego lisa. Zwierzę stało pośrodku gęstego lasu, a światło głaskało jego grzbiet. Patrzył prosto w oczy i rozumiał.

Jak to możliwe, że wszystko rozumiał?

Od płaczu dzieliło Lenę kilka nieostrożnych gestów. Czuła żal, że wszystko musiało się tak skończyć, i chociaż była częścią tej opowieści, nie miała na nią wpływu. Ola przyglądała jej się ze współczuciem.

– Chciałaby go pani? – zapytała, podając obrazek.

Lena ostrożnie włożyła podobrazie do torebki.

– A co jest tam? – Wskazała na uchylone drzwi.

– Nic, Kasia i Jasek chcieli urządzić tam ciemnię, ale chyba nic z tego nie wyszło.

Lena nawet nie zapytała o pozwolenie, tylko skierowała się do pomieszczenia obok i wymacała na ścianie włącznik światła. Nie działało.

– Policja oglądała to miejsce?

– A myśli pani, że powinna? Nie przyszło mi to do głowy. Nie zakładałam, że Kasia tu schodziła. Wzięli jej komputer i przeszukali pokój. Zresztą w tamtym momencie... Nie pamiętam tego zbyt dobrze.

Usłyszały u góry jakiś hałas. A właściwie dwa. Trzask zamykanych drzwi.

– Jesteśmy! – zawołał kobiecy głos. Zawtórował mu dziecięcy śmiech.

– Powinnyśmy już wracać – powiedziała Ola.

Kiedy wchodziły po schodach, wydawała się dziwnie spięta. Poruszała się szybciej, jakby ktoś przyłapał ją na czymś niewłaściwym. W kuchni żona Kuby Zommera z małą Polą nalewały wodę do szklanek.

– Cześć – powiedziała Wiola i uśmiechnęła się pokrzepiająco.

Ta kobieta miała dar pocieszania. Od zawsze łączyły do niej dzieciaki i osoby, które potrzebowały wsparcia. Nic dziwnego, że Jakub Zommer był taki spokojny i pewny siebie.

– Ja tylko na chwilę – wytłumaczyła zmieszana Lena. – Przykro mi z powodu Kasi.

Nie miała pojęcia, co jeszcze może powiedzieć. Na szczęście Wiola nie pytała. Pokiwała głową i rzuciła coś w stylu: „Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać”. Lena podziękowała i skierowała się w stronę wyjścia.

Otworzyła drzwi i prawie wpadła na dziadka. Zdzisław Kwiatkowski świdrował ją wzrokiem, ubrany tylko w bokserki i brudną podkoszulkę. W jego postawie i mimice było coś niepokojąco znajomego. Od razu kojarzył się z facetami z pierwszych stron gazet, którzy zabili sąsiada w afekcie. Włosy sterczały mu nad uszami, oczy zasnuła mgła. Miał mięsiste obwisłe wargi, które drżały nad podbródkiem. Starość nie obesła się z nim łaskawie.

– Zauważyłem samochód przez okno, myślałem, że to ten miastowy gnojek. Pani to jego matka?

Lena poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Tak.

– To jego wina. – Dziadek mówił głośno, wypluwając z siebie słowa. – Dobrze, że uciekł, bo miałby ze mną do czynienia! – Spojrzał na Olę, która stała za Leną, i uniósł zaciśniętą pięść. – Powtarzałem ci, że ten chłopak sprowadzi nieszczęście. Namówił do tego Kasię albo zastraszył. Ciągał ją do tego domu, pamiętasz? Znikali na całe dni, a potem wracała smutna, taka inna.

Lena nie miała ochoty tego słuchać. Wiedziała, że facet próbuje znaleźć winnego, a poza tym pił. Czuć było od niego zapach przetrawionego alkoholu. Kobieta mogła w kilku zdaniach wytłumaczyć mu, żeby przyjrzał się sobie. Czy jego relacje z Kasią były kryształowe? Czy nie miał sobie nic do zarzucenia?

– Do widzenia. – Nie czekając na odpowiedź, minęła go i skierowała się do swojej Wisienki.

Trzasnęła drzwiami mocniej, niż powinna. Rosła w niej złość. Nie tylko na dziadka, ale na wszystkich, którzy myśleli podobnie jak on. Lena słyszała wracające do niej jak echo słowa policjanta: „Kwalifikuję go do drugiej kategorii osób zaginionych... To się może zmienić w zależności od tego, co ustalimy. Sytuacja jest złożona, nie wiem, co założą śledczy w toku postępowania”. Widziała przed oczami karykaturę nastolatków sprzed blaszaka, wielkie,

nastrzyknięte kwasem usta dziewczyny, która wyglądała jak Barbie, i chłopaka w dreadach. „Nienawidzę gości, którzy piorą laski”. „Krzyczał: «suka» i poszedł za nią”.

Nie mogli mieć racji. Przecież Lena widziała na filmie, w jaki sposób Jasiek patrzył na Kasię. Naprawdę zrobiłby dla niej wszystko.

Ale co by się stało, gdyby go zostawiła lub zdradziła? Do czego mógłby się posunąć, żeby ją odzyskać?

Kobieta potrzebowała chwili, żeby się uspokoić. Oddychała i patrzyła w niebo. Zmierzch powoli zabierał pola i lasy. Dzień kończył się, jakby ktoś dolewał czarnej farby do błękitu nieba. Gorący Księżyc zajął miejsce na horyzoncie. Zaczęła się zastanawiać, czy Jasiek też go widzi. To było głupie, ale dawało jakąś nadzieję. Że są połączeni tym spojrzeniem i może dzięki temu chłopak znajdzie drogę do domu.

– Spraw, żeby do mnie wrócił – wyszeptala Lena. Odpaliła samochód i powoli ruszyła przed siebie.

W domu od razu poszła do salonu i znowu wyjęła zawartość torby syna, którą znalazła rano. Sprawdziła jeszcze raz kamerę i obejrzała dokładnie starego nikonu 200. Wyglądał jak żywcem wyjęty z jej własnego dzieciństwa. Na boku miał wytartą naklejkę z zabytkowym chevroletem. Z czymś jej się kojarzył, nie mogła tylko złapać tego wspomnienia. Przypomniała sobie słowa Oli, gdy zaglądały do pomieszczenia w piwnicy: „Kasia i Jasiek chcieli urządzać tu ciemnię”.

Pobiegła do łazienki na górze i spojrzała na szafkę. Tak, wciąż tam była. Żarówka pomalowana czerwoną farbą. Lena zauważyła ją po powrocie z gór i postanowiła zapytać o to syna, ale potem zwyczajnie zapomniała. Czy to możliwe, że wywoływali w łazience jakieś zdjęcia? W sumie to nawet bardzo. Znała zamiłowanie Jaśka do fotografii i jego umiejętności. Gdy mieszkali w Warszawie, też regularnie to robił. Wystarczył sprzęt, który przecież miał.

Kobieta usiadła na puszystym dywaniku przy wannie i przesuwiała palcem po starym nikonie, którego znalazła u Jaśka w plecaku. I wtedy sobie przypomniała.

Rafał. Późne popołudnie u niego w ogrodzie. Lena na ławce, on na trawie. Skubał żdźbła i wkładał je do ust.

– Gdybym miał chevroleta, umarłbym ze szczęścia – powiedział rozmarzonym tonem.

– Przecież ten samochód wygląda jak pudełko na kółkach! – Dziewczyna roześmiała się w odpowiedzi.

– Pudełko? – Rafał wygrzebał z kieszeni małą naklejkę. – Dziewczyno, przyjrzyj się, to jest dzieło sztuki!

Ta sama naklejka, tylko przetarta, ozdobiła bok starego aparatu.

21.

Pełnia Gorącego Księżyca

Dziewczyna bała się wejść do środka nawiedzonego domu. Stała na starych schodach i drapała poręcz. Ciężko jej było uwierzyć, że cztery godziny temu w tych starych murach uprawiała seks ze swoim chłopakiem. Wtedy wydawało jej się, że zaliczy tę sobotę do udanych. Teraz serce biło jej tak mocno, że bolały piersi.

„Co mnie podkusiło, żeby zaproponować to miejsce?”

Odsunęła płytę pilśniową i przestąpiła próg.

– Jest tu ktoś? – krzyknęła. Ale wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć muzyki z blaszaka, która brzęczała jej w uchu. Dźwięki tłumione przez las nabierały niepokojącego charakteru. Dom wyłapywał głównie niskie tony.

Specjalnie umówiła się o pierwszej, bo liczyła, że nikt im nie przeszkodzi. Wiedziała, że w barze zaczęło się właśnie wielkie losowanie drinków, nowy chwyt marketingowy wymyślony przez barmana. Oczywiście osoby niepełnoletnie mogły wygrać najwyżej bezalkoholowe, do których i tak doleją sobie wódki w toalecie. Sama tak przecież robiła.

Przemogła strach i weszła do pustych pokoi. Mimo że księżyc w Gorącej Pełni oświetlał wnętrze, włączyła latarkę w telefonie. Oglądała kąty, zdziwiona, że wcześniej nie zwróciła uwagi na te wszystkie szczegóły, które teraz wysysały z niej powietrze. Bordowe plamy wyglądające jak zaschnięta krew. Ciemny mocz na jednej ze ścian. Duże robale chowające się po kątach, uciekające przed światłem. Ich grzbiety miały metaliczny połysk.

Poczuła na karku jego oddech. Nawet nie słyszała, gdy się zbliżał.

– To nie jest dobre miejsce. Znam lepsze – powiedział. – Chodźmy stąd.

Stanął tak blisko niej, że niemal dotykał jej włosów. Jego mocny zapach mieszał się z fetorem nawiedzonego domu. Strach zacisnął dziewczynie stalową obręcz na gardle.

– Idziesz? – zapytał mężczyzna.

Zrobiła krok w stronę wyjścia, jednak zmieniła zdanie. On był wciąż z tyłu, jak cień. Zaczynała żałować, że w ogóle się umówili.

– Tutaj jest w porządku. Tutaj porozmawiajmy... – Chciała jeszcze coś dodać i w końcu się odwrócić, ale zimny przedmiot napał jej na pośladek i przesunął się powoli w górę. Coś sunęło po jej ciele.

– Nie ruszaj się – wyszeptał cień. – Nie chcesz przecież, żebym zrobił ci krzywdę.

Wsunął to coś za rzemyk na jej szyi i szybkim ruchem go przeciął. Czterolistna koniczynka spadła na podłogę. Potem ostrze znalazło się nagle przy policzku dziewczyny. Przy ustach.

W ustach.

„Czy to broń?” – myślała spanikowana. Prawie popuściła mocz ze strachu. Przez zaciśnięte gardło ledwo łapała powietrze. Przestraszyła się, że jest taka słaba.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział.

„Wiele czasu na co?” – pomyślała.

Serce waliło jak młot pneumatyczny. Świat skurczył się do tu i teraz. Wiedziała, że zaraz będzie walczyć o wszystko.

Zaczęła szukać dróg ucieczki. Mogła wyskoczyć przez okno, ale stare odłamki szkła wciąż tkwiły w ramach, a to coś wciąż tańczyło jej po ciele.

Zimna stal znalazła się przy uchu. Dziewczyna mogła przysiąc, że słyszy jej dźwięk. Że to coś zabiera jej tlen, zostawiając po sobie próżnię. Zaczęła płakać.

– Widziałem dzisiaj małą Polę. Przypomnij mi, ile ona ma lat? Pięć?

Przylgnął do niej, jego oddech drażnił jej policzek. Jedną dłonią przesunął ostrze po skroni, drugą uniósł do góry. Trzymał w niej strzykawkę. Dopiero teraz dziewczyna zauważyła, że ma rękawiczki.

Od okna dzieliły ją zaledwie cztery bardzo długie kroki. Jeśli mu się wyrwie, może zdoła uciec. Zrobiła krok w tamtą stronę. Dłoń z igłą powędrowała w dół. Poczowała ukłucie w udo.

– Jak myślisz, czy gdybym włożył jej nóż między nogi, zawołałaby mamę czy ciebie?

Wyobraziła sobie siostrzenicę w tym okropnym domu. „Ciociu, ciociu, znajdziesz mnie?” – powiedziała rano, chowając się nieporadnie za zasłoną w salonie.

Cztery kroki. Tak mało, a jednocześnie zbyt dużo.

– Możesz wybrać, która z was będzie moją laleczką. Obawiam się jednak, że mała Pola jest za mała na tę grę. Mała Pola nie zna jej reguł.

„Teraz albo nigdy” – pomyślała i szarpnęła z całych sił.

22.

Obecnie

Marcel uważał, że ten, kto wymyślił idiotyczne powiedzenie „pieniądze szczęścia nie dają”, powinien spędzić resztę życia w izolatce. Ciekawe, czy gdyby jadł podłe żarcie, spał na podłodze i nie miał dostępu do współczesnych wygód, nadal by uważał, że szczęścia nie da się kupić.

Dla Marcela pieniądze były wszystkim.

Wyznaczały mu linię życia. Dni odmierzał kolejnymi setkami, które wrzucał do „skarbonki” na strychu sąsiadki.

Stał teraz nad workiem z kocią karmą, w którym chował gotówkę, i oddawał się przyjemności liczenia. Samo w sobie było to wspaniałe i frustrujące zarazem. Wspaniałe, bo stosik z gotówką jednak się powiększał. Frustrujące – bo powiększał się zbyt wolno.

– Kurwa – zaklął pod nosem. Przez otwarte okno wpadało gorące powietrze, które nie przyniosło upragnionego chłodu. Pot spływał Marcelowi po skroni. Wszystko było nie tak. Od kilku dni miał wrażenie, że ktoś specjalnie rzuca mu kłody pod nogi.

Po pierwsze – wielka transakcja, na którą się napalił podczas imprezy w blaszaku, nie wypaliła, po drugie – sobotnia noc okazała się koszmarem. Ludziom dosłownie odjechało. Jeszcze nigdy nie musiał tyle razy rozdzielać walczących dzieciaków. No dobra, może i był niewiele starszy od nich, ale w życiu nie przyszło mu do głowy, żeby dać komuś w ryj za to, że krzywo odlewa się do pisuaru.

I jeszcze ta laska! Kasia, jakiejtam, Stanowska? Nie, Kwiatkowska. Jak kwiaty.

Przeklinał dzień, w którym do niego podeszła, kołysząc biodrami. Dlaczego właśnie ona

musiała wpaść mu w oko? Rozmawiał z nią tej nocy, a potem... Ta dziewczyna mogła zniszczyć wszystko, na co pracował przez ostatnie cztery lata. Przecież sprzedawał jej prochy!

Przypomniał mu się ten jej goguś. Koleś z kamerką i oczami jak cocker spaniel.

– Daj mi najmocniejszy towar, jaki masz – wymamrotał, ledwie trzymając się nogach.

Urznął się, ale to mu nie wystarczyło. Normalnie Marcel spuściłby go na drzewo, ale – i tego nie mógł sobie wybaczyć – poleciał na kasę. Gość płacił podwójnie i jeszcze był w takim stanie, że nie chciał reszty. Sypał słowami, jakby był co najmniej Elonem Muskiem, a nie nastolatkiem z zapyziałej wsi.

Powinien był odmówić. Wysłać go do swoich ziomków. Nigdy nie sprzedawał sam. Zawsze ktoś dla niego pracował, w myśl zasady – im większa sieć, tym trudniej wypatrzeć pająka. Ale zrobił wyjątek. Dla gogusia i dziewczyny.

I teraz jedno z nich zaginęło, a drugie nie żyje.

Powinien... powinien spierdolić z Wilg. Ale wciąż miał za mało kasy. Może dla niego by wystarczyło, ale był jeszcze brat.

Zamknął worek z kocią karmą, odłożył na półkę i chciał ją kopnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Mogła się rozpaść, a żal mu było kasy, żeby to potem naprawiać.

Wziął głęboki wdech, a potem ruszył w stronę schodów.

Sąsiadka Kordacka kręciła się jak zwykle w kuchni. Młody tym razem został w domu. Marcel nakarmił go przed wyjściem i obliczył, że przez najbliższe pół godziny brat powinien spać. Nic mu nie będzie, jak poleży chwilę w łóżeczku. Matka była na nogach, jak wychodził.

Staruszka spojrzała na niego zdezorientowana. Nie dalej jak wczoraj zastanawiał się, jak długo będzie mu jeszcze pomagać przy Młodym. Ile ona mogła mieć lat? Pewnie z osiemdziesiąt. Marcel coraz częściej znajdował dowody na jej starość i problemy z pamięcią. Karton mleka w szafce z garnkami, książka w lodówce. Siedziała przy stole zgarbiona i wypełniała krzywymi literami jakąś krzyżówkę. Widział, jak wysuwa koniuszek języka, zupełnie jak dziecko z podstawówki.

Było mu jej żal i bał się, co zrobi, kiedy jej zabraknie. Może powinien ją zabrać do jakiegoś lekarza? Czy są leki na starość i śmierć? A co, gdy stanie się nieobliczalna? Czy może tu kogoś przyprowadzić? Wiedział, że świadomie go nie wsypie, ale do czego zdolna jest stara kobieta, jeśli na przykład zacznie mieć zaniki pamięci?

Zastanawiał się, co zrobić z resztą popołudnia. Musiał działać, wymyślić jakiś plan, który natychmiast przyniesie mu mnóstwo kasy. I nową metę. U Kordackiej przestał czuć się bezpiecznie.

Ale to później.

Teraz pójdzie do szopy i będzie napierdalać w worek bokserski tak długo, aż wszystko odpłynie, a on sam zmieni się górę mięśni. Niczym nieskrępowany ruch. Będzie uderzać tak długo, aż coś się w nim przeklika. Wpadnie na coś, tak jak zawsze. A potem wróci do domu, zajmie się Młodym i zabierze go na spacer.

– Jestem! – Wszedł do domu, żeby zabrać butelkę wody.

– Nareszcie – odpowiedziała matka. Siedziała przy stole i kołysała brata. Szczerze powiedziawszy, nie pamiętał, kiedy ostatnio widział ją w sukience. Zazwyczaj zarzucała na siebie byle jaki T-shirt i dresy. Posklejane włosy uczesała w wysoki kok.

O co jej chodziło?

Zrobił krok dalej i zrozumiał. Na krześle przy upieprzonym stole, z którego rano naprędce sprzątnął puszki po piwie, siedzieli pan i władca Hubert oraz policjantka.

I to nie byle jaka.

– Marika Sagon – przedstawiła się i kiwnęła głową w jego stronę.

Nawet się nie pofatygowała, żeby wyciągnąć odznakę. Uśmiechała się lekko, co mogło oznaczać: „I tu cię mam”, ale równie dobrze: „Dzień dobry, czekałam na pana”. Trudno było wyczuć, jaki ma nastrój. Na gładkiej twarzy nie było ani jednej zmarszczki, kręcone włosy układały się w idealne loki, jakby dopiero co opuściła salon fryzjerski. Świat leżał u jej stóp. Musiała być sprytna, bo nie zauważył radiowozu, gdy wracał od sąsiadki. Pewnie zaparkowała za zakrętem, cwaniara.

– Pani cię szukała. – Matka nerwowo kołysała nogą.

Hubert posłał Marcelowi wściekle spojrzenie. Fagas matki zjechał z trasy wcześniej, niż powinien, i pewnie liczył, że partnerka będzie na niego czekała z obiadem i rozłożonymi nogami. A trafił w niezłe bagno, czemu dawał wyraz, kołysząc się na krześle i cmokając.

Marcel poczuł, że jego ciało zmienia się w stal. Wystarczyła sekunda, żeby się zmobilizował, i szybki rzut oka na całą sytuację, żeby zrozumieć, że tym razem się nie wywinie. Musi usiąść i grzecznie odpowiadać na pytania. Tyle razy wałkował w głowie fikcyjne przesłuchania, że czuł się, jakby miał odegrać rolę życia.

– Dzień dobry – przywitał się i podszedł do kranu umyć ręce i nalać sobie wody. Wiedział, że panika zaczyna się w głowie. Dopóki zachowa spokój, jest uratowany. Wypił duszkiem całą szklanę, zanim zapytał: – Chce pani herbaty? A może kawy?

– Dziękuję. – Policjantka przyglądała się natarczywie Młodemu. – A jemu nie jest za gorąco?

Spojrzał na brata. Body z długim rękawem, spodenki, skarpetki. Jak wychodził, niemowlak leżał w samej pieluszcze, taki był zaduch. Wezbrała w nim złość. Matka musiała go ubrać. Zazwyczaj nie myślała o takich rzeczach, zbyt skupiona na odgrywaniu męczennicy, a teraz postanowiła zostać rodzicem roku. Nie po raz pierwszy Marcel pomyślał, że gdyby pewnego razu wyszła i nie wróciła, żyłoby mu się łatwiej.

– Wszystko z nim w porządku – odpowiedział, chociaż sam w to wątpił. Teraz musiał grać z matką do jednej bramki. Są szczęśliwą, w miarę normalną rodziną. Gdyby zaczął zrywać z brata ubranka, policjantka uznałaby, że coś jest nie tak.

– Celina jest dobrą matką – wycharczał Hubert. Marcel tak dawno nie słyszał, żeby ktoś nazywał matkę po imieniu, że przez chwilę nie wiedział, o kim ten facet mówi.

– Zaraz do tego wrócimy, najpierw zadam panu kilka pytań w związku z samobójstwem Katarzyny Kwiatkowskiej.

Uderzyły go dwie rzeczy. Jedna dobra – prawdopodobnie nic nie wie o prochach. Druga – co oznacza „Zaraz do tego wrócimy”? Niech się suka odpierdoli od Młodego.

– Dwa dni temu Katarzyna Kwiatkowska popełniła samobójstwo. Sprawdzamy, co się wydarzyło na imprezie. – Patrzyła na niego i mógłby przysiąc, że ani razu nie mrugnęła.

– Słyszałem o tym, ale nie znałem jej – odpowiedział.

– I nigdy nie rozmawialiście? – Próbowała go podejść.

Marcel wiedział, że psiarnia oglądała nagrania. Na pewno widzieli, jak z nią rozmawia w blaszaku.

– Czasami, tak jak z innymi osobami na imprezie.

– Z innymi też się całujesz?

Kurwa.

Zrobiło się nerwowo. Głównie przez Huberta, który podrygiwał stopą pod stołem. Marcel miał ochotę sprzedać mu prawy sierpowy. Ten fagas wyglądał, jakby to jego dotyczyło przesłuchanie. Czym on się tak denerwował? Za to matka z nieco zbyt obojętną miną głaskała Młodego po spoconej głowie.

– Wiem, że tańczyliście i doszło między wami do zbliżenia. Ale coś poszło nie tak,

prawda? Dała ci do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Tak było? – zapytała policjantka.

Marcel analizował to, co powiedziała. Skąd o tym wiedziała? W blaszaku są dwie kamery. Jedna ogarnia teren parkingu, a druga – przy barze. Ta w środku obejmuje zaledwie kawałek parkietu. Był pewien, że z tą laską rozmawiał za filarem. Tam, gdzie nie sięgało oko Saurona. Chyba że... ktoś sypnął. Ten jej gogus? Znalazł się i postanowił go wjechać? Barman? Nie lubili się, gościu wisiał mu kasę.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Słuchaj, chcę tylko wiedzieć, o czym z nią rozmawiałeś. W jakim była nastroju, co skłoniło ją do tego, żeby odebrać sobie życie. – Zrobiła gest, jakby chciała oprzeć się o stół, ale klejące plamy ją odstraszyły.

– To są jakieś jaja, ma pani nakaz? – Hubert podniósł się z krzesła i odpalił papierosa. Zaciągał się tak głęboko, że po jednym machu zniknęła jedna trzecia fajki.

– Mój syn już powiedział, że jej nie znał. Pani musiała się pomylić – wtrąciła matka i nieporadnie zmieniała ułożenie Młodego. Wyglądało to tak, jakby miała go upuścić.

Marcel poczuł, jak rośnie mu ciśnienie. Czy ona chce wszystko zepsuć?

Marika skierowała wzrok na Huberta.

– Niech pan zgasi papierosa, przy dzieciach nie wolno palić. Pan jest ojcem?

Facet prychnął i zaprzeczył.

Policjantka spojrzała na matkę.

– Proszę odłożyć go do łóżeczka i rozebrać. Zaraz przyniosę alkomat. Pani nie powinna opiekować się dzieckiem.

– Ja się nim zaopiekuję. – Marcel wziął od matki braciszka. Chłopiec był gorący jak termofor. Spojrzał na jego buźkę i czerwone policzki. Przestraszył się. – Pójdę go rozebrać.

Udał się do sypialni i położył Młodego do łóżeczka. W pośpiechu ściągał kolejne warstwy ubranka, potem zmienił mu pieluszkę.

– To nie jest odpowiednie miejsce dla niemowlęcia. Ile on ma miesięcy? Cztery? – Policjantka stała w progu.

Marcel nie miał pojęcia, jak długo na niego patrzyła. Czuł, że zaczyna tracić kontrolę. Wziął braciszka na ręce i sięgnął po butelkę z herbatką koperkową, próbując zachęcić chłopca, żeby pił.

– Pięć. – Dotykał smoczkiem dolnej wargi dziecka w nadziei, że w końcu uda mu się pobudzić odruch ssania. – Nigdzie nie będzie mu lepiej.

Spojrzał na pokój jej oczami. Nie wyglądało to dobrze. Sprzątał, ale nie tak często, jak powinien. Przez zasłonięte okno sączyło się przytłumione światło. Na ławie leżała butelka po piwie. Hubert musiał ją przynieść, bo przecież rano jej nie było. Kilka pluszaków i zabawek na meblościance. Kolorowy kocyk w kropki leżał ściśnięty na środku pokoju. Unosił się niezbyt przyjemny zapaszek pampersów, które wysypały się z kosza. Zapomniał wyrzucić śmieci.

Cholera.

– Pana matka już jest w samochodzie, mój znajomy poddał ją badaniu. Muszę was zgłosić do opieki społecznej. Nie zabiorą wam go jeszcze, ale ktoś musi kontrolować sytuację. Nie jest dobrze.

Marcel zaczynał panikować. Jak to: zabiorą? Kto ma go zabrać i dokąd?

– Po co? Nie widzi pani, że sam potrafię zająć się bratem?

– Widzę młodego chłopaka, który stara się zająć małym dzieckiem. – Podeszła do Marcela i dotknęła dłonią rozpalonego policzka dziecka. Przez chwilę zobaczył w niej troskliwą mamę, a nie twardą policjantkę. Pachniała wanilią.

– Zaraz mu przejdzie. W kuchni jest ciepło, ale tutaj, przy zaciągniętych zasłonach, jest

odpowiednia temperatura.

– Jak ma na imię? – Marika złapała Młodego za rączkę i kciukiem gładziła wnętrze jego dłoni.

Marcelowi zaschło w gardle.

– Michał. – Zrobiło mu się słabo.

– Ładnie. – Przeszła na drugą stronę łóżeczka i oparła dłonie na szczebelkach. – A co się z nim dzieje, gdy jesteś w pracy?

– Pomaga mi sąsiadka.

– Dasz mi jej adres?

„Ty debilu! Zamknij ryj!” Marcel obracał w myślach wszystkie opcje. Jeśli kobieta pójdzie do Kordackiej, może odkryć jego metę. Po co w ogóle o niej mówił?

– Tak myślałam. – Marika zrobiła smutną minę. – Kłamiesz. Kłamiesz, że nie znałeś Kasi Kwiatkowskiej, kłamiesz, że masz opiekunkę dla brata. – Podeszła teraz do niego i stanęła naprzeciw. Tak blisko, że gdyby nie Młody, ich ciała niemal by się stykały.

Mimo że Marcel był od niej o dobre trzydzieści centy-metrów wyższy i patrzył na nią z góry, czuł, że to ona kontroluje sytuację. On był tylko dzieciakiem, któremu nauczycielka zamierzała postawić pałą z zachowania.

– Mój brat jest czysty, najedzony, wyspany. Nigdy nie stała mu się krzywda.

– Kochasz go?

Tym pytaniem zbiła go z tropu. Czy go kochał? Nigdy nikomu nie wyznał miłości. Przytulił ciepłe ciało do serca, przeniknęło go to, co zawsze. Coś ich do siebie ciągnęło, jakby byli magnesami.

– A pomyślałeś, co by się stało, gdybyś któregoś dnia nie wrócił z pracy? Gdybyś wylądował w szpitalu, miał wypadek albo stało się coś o wiele gorszego? A co, jeśli kogoś poznasz i założysz własną rodzinę? Myślisz, że twoja przyszła żona będzie wychowywać nie swoje dziecko? Jestem policjantką, widziałam zbyt wiele, żeby wierzyć w szczęśliwe zakończenia. – Złapała go za łokieć. – Marcel. – Po raz pierwszy powiedziała do niego po imieniu.

Młody poruszył się, jeszcze bardziej dopasowując się do niego kształtem. Byli teraz jak yin i yang. Idealnie dopasowani.

– Jeśli go kochasz, zrozumiesz, że twój brat nie ma z tobą przyszłości.

Zabręczała jej krótkofalówka przy pasku. Wzięła ją w dłoń i wyszła. Ale gdyby została chwilę dłużej, zobaczyłaby, jak w kącikach oczu Marcela zbierają się łzy. Odłożył brata do łóżeczka i schował twarz w dłoniach.

Tak bardzo się bał, że mogła mieć rację.

23.

Dawniej

Mały Krzysiu Smolewicz spał i śnił o swoim starym życiu pełnym baniek mydlanych, resoraków i zabaw z kolegami. Pewnego wieczoru, kiedy wróciłem ze szkoły, zmusiłem się do obejrzenia reportażu w telewizji na jego temat. Dowiedziałem się, że znajdował się w tak zwanym stanie minimalnej świadomości. Czyli miał otwarte oczy, poruszał się, ale nie można było nawiązać z nim kontaktu.

– Nikt nie wie, co tak naprawdę słyszy i co rozumie. Dlatego staramy się robić wszystko tak jak dawniej. – Jego mama trzymała w ręku książeczkę, na stole rozsypała puzzle.

Patrzyłem na niego, jak wykonuje te nieskoordynowane ruchy i wydaje z siebie niezrozumiałe dźwięki, a rodzice błagają ludzi o wpłaty na rehabilitację. Czułem, że coś we mnie pęka. Że jak nic z tym nie zrobię, to zwariuję.

Ale nic nie robiłem.

– Zobacz – powiedziała moja mama. – Taki mały chłopczyk, a taka tragedia. Ten, kto mu to zrobił, powinien smażyć się w piekle.

Lis w moim ciele już nawet nie starał się zabierać głosu. Po prostu obserwował to i chciał uciec. Problem w tym, że nie miał dokąd.

Tylko w oczach mężczyzny, który o wszystkim wiedział, postąpiłem słusznie. Usprawiedliwiał mnie, uspokajał. Leczył moje nerwy. Ale w zamian żądał tego samego.

I ja to robiłem. Kiedy spowiadał się ze swoich demonów, skubiąc brzegi koca, który rozkładał wiosną na jakiejś polanie w głębi lasu, naprawdę chciałem mu pomóc. Czasami się zastanawiałem, kto kogo bardziej potrzebuje. Ja jego czy on mnie? Dużo graliśmy. Głównie

w pokera i wkrótce karty z nocnymi motylami miały wytarte brzegi.

– Pytanie czy wyzwanie? – rzucał i spoglądał na mnie poważnie.

W tym momencie kończyła się zabawa. Musiałem wybrać i pozwolić mu znaleźć ujście dla tych wszystkich koszmarów, które w nim mieszkały. Ale on kontrolował je lepiej niż ja swojego lisa. Był mistrzem kamuflażu do tego stopnia, że kiedy po raz pierwszy kazał mi stanąć przy drzewie i położyć dłonie na chropowatej korze, nie przeczuwałem, co zrobi.

Po wszystkim zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy ja sobie tego wszystkiego nie wymyśliłem.

Tego lasu, tego koca, tych drzew.

Mniej więcej w tym czasie mój ojciec zaczął chorować. Zaczęło się od tego, że miewał okropne migreny i całymi dniami nie wychodził z łóżka. W takie dni zamykaliśmy warsztat, a ja popołudniami snułem się po domu i podwórku jak cień, wyczekując sam nie wiem czego.

Pewnego dnia wsadził mnie w pomarańczowego poloneza, którego właśnie naprawił, i zawiózł mnie na lotnisko. To samo, na którym dawno temu ujeżdżałem kradzione bryki.

– Wsiadaj, zamieniamy się miejscami – powiedział uśmiechnięty.

Widziałem, że nadal boli go głowa, ale stara się schować chorobę za maską twardziela. Zdradzały go drżące dłonie i bladość ust. Pamiętam, że po raz pierwszy uderzyło mnie, jak bardzo schudł. Byłem tak skupiony na swoich problemach, że nie zauważałem znikania ojca.

– Po co? – Na myśl, że mam prowadzić samochód, ogarnęła mnie panika. Od kiedy potrafiłem chłopa, nie wsiadłem za kółko.

– Dam ci poprowadzić. Chciałeś nauczyć się jeździć, ale zawsze miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Naprawdę, jest spoko. Jedźmy do domu. – Spojrzałem na niego i zauważyłem w jego oczach ogromny zawód. Nie chciałem go smucić, kochałem swojego ojca.

Przesiedliśmy się i powoli ruszyłem do przodu. Jeszcze nigdy nie czułem się tak rozpieprzony. Byłem z ojcem w samo-chodzie, ale jednocześnie cofałem się w czasie do tego momentu, kiedy moje lustro zahaczyło o Krzysia Smolewicza. Patrzyłem przed siebie, ale nie widziałem pustego lotniska i lasów, tylko pompon jego czapki i smugę krwi na jezdni. Bolało mnie ciało, jakby ktoś okładał mnie kijem. Czułem, że dłużej tego nie wytrzymam.

Zahamowałem i wciąż trzymając ręce na kierownicy, oparłem się o nią czołem. Trzęsły mi się ramiona, płakałem.

Po chwili poczułem na karku dłoń mojego taty. Opuszki jego palców stwardniały od pracy w warsztacie. Głaskał mnie po głowie i głośno wzdychał.

– O wszystkim wiem – powiedział.

Odwróciłem się w jego stronę. O czym on mówi? O czym wiedział? Miał minę człowieka pogodzonego z losem. Kogoś, kto przyswoił jakąś straszną informację, ale się z nią pogodził.

Zacząłem analizować w myślach jego zachowanie sprzed kilku ostatnich dni. Faktycznie coś uległo zmianie. Nie naciskał na mnie tak jak zawsze. Odpuszczał mi, jakby chciał mi coś wynagrodzić. Bałem się tego, co za chwilę powie.

Czy byłem gotowy na szczerą spowiedź przed swoim ojcem? Byłem gotowy, jak cholera. Chciałem, żeby zdjął ze mnie ciężar tajemnicy, od której łamały się kości.

Sięgnął do schowka samochodowego i wyjął z niego pudełko z nowymi ołówkami.

– Wiem od mamy, że opłaca ci lekcje rysunku. Widziałem twoje prace, Rafał. Chciałbym, żebyś wiedział, że nie będę cię zatrzymywał. Nie musisz wybierać tej samej drogi co ja. – Zaskliły mu się oczy. – Może trudno ci w to uwierzyć, ale ja też kiedyś byłem młody. I też lubiłem rysować.

Wzięłem do ręki pudełko z ołówkami i w tamtym momencie nabrałem pewności, że nie

ma dla mnie ratunku.

CHOMIKO - WARNIA

24.

Obecnie

– Nie rozumiem, jak to: naskoczył na Lenę? – Zommer kroił właśnie pomidora i układał na kawałku chleba, próbując przyswoić to, co mówiła do niego Wiola.

Bezsenna noc zaowocowała tym, co zwykle. Nieposkromionym apetytem. Czuł, że zamiast żołądka ma czarną dziurę, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją zapelni. Jadł drugie śniadanie w kuchni skąpanej słońcem. Zza uchylonego okna słyszał ujadanie Lotty. Wczoraj za ogrodzeniem w gąszczu suchej trawy wypatrzyła jeża. Pewnie wrócił.

– Mówimy o dziadku Oli i Kasi? Facecie, który muchy by nie skrzywdził? Emerytowanym weterynarzu? Co powiedział?

– Że wszystko przez Jaśka. Obwinia go o to samobójstwo.

– A po co Lena tam poszła?

– Podobno chciała zobaczyć pokój Kasi, bo te émy, co wiszą u niej na ścianie, rysował Rafał.

– Poczekaj... – Zazwyczaj Kuba szybko analizował informacje, ale to, co słyszał, było tak dziwaczne, że kompletnie nie mógł połączyć faktów. – Kasia ma na ścianie rysunki Rafała? Tego chłopaka, który powiesił się w nawiedzonym domu, jak byliśmy młodzi? Skąd?

– Podobno Julita uczyła Rafała rysunku. Dziwne, ale nie mówiła mi o tym. A przecież byliśmy blisko.

– I Kaśka wzięła te szkice od mamy? – Jakub wgryzł się w kanapkę.

– Raczej ze starej pracowni. Byłam tam dzisiaj, niektóre obrazy są naprawdę świetne. Wiesz, znałam Rafała, ale nie wiedziałam, że ma taki talent. Julita też nic nie wspominała.

Zawsze trzymał się jakoś na uboczu, no i był starszy. My chodziliśmy do liceum, on do technikum, wieczorami siedział u ojca w warsztacie. A ty? Znałeś go dobrze?

Kuba przypomniał sobie ekscentrycznego blondyna, który świetnie grał w nogę. Kiedy obaj byli w podstawówce, jako jeden z nielicznych chłopaków w szkole lubił stać na bramce. A poza tym wszędzie chodził z tym swoim notatnikiem albo zeszytem i coś rysował. W sumie jakby to wszystko zebrać do kupy, to wiedział o nim tyle co nic. Raz zajrzał mu przez ramię na szkolnym korytarzu, żeby zobaczyć, co chłopak szkicuje. Zobaczył wtedy kartkę zarysowaną samochodami. Nie było tam nocnych motyli.

– Słabo. Pewnie tak jak ty. Wiedziałem, gdzie mieszka, był od nas starszy o dwa lata, więc trzymał się z innymi. Ale nie wydawał się dupkiem. Raczej outsiderem – odpowiedział Zommer.

Przypomniał sobie te obrazki u siostrzenicy w pokoju i piękne, koronkowe skrzydła.

– Właśnie. – Wiola podparła podbródek dłonią i wzięła łyk miętowej herbaty. Jej aromat unosił się w powietrzu. – A nie wydaje ci się to dziwne? Wiesz, że Kasia ma te prace, a potem robi to samo, co Rafał?

– Jeśli mam być szczery, to bardzo. – Zastanawiał się, jak połączyć to, czego się dowiedział. Był pewien, że te dwie śmierci są ze sobą w jakiś sposób powiązane.

Wiola zrobiła smutną minę. Dopiero teraz Kuba zauważył, że ma podpuchnięte oczy, musiała dzisiaj dużo płakać.

– Zaczynam planować pogrzeb. Ola nie ma do tego głowy. Może uda się do poniedziałku. – Żona zmieniła temat.

– Przecież jeszcze nie wiemy, kiedy wydadzą nam ciało.

– Myślę, że w czwartek. Dzwoniła do mnie Marika. – Wzięła łyk herbaty.

– Do ciebie?

– A to takie dziwne? Złożyła mi kondolencje. – Wiola mówiła o tym spokojnie, ale Kuba widział, że jest jej ciężko. Wszystkie sprawy organizacyjne spadły na jej barki.

– Mam w czymś pomóc? Może chociaż zamówię kwiaty? – Zabrał się do sprzątanego po śniadaniu, próbując przypomnieć sobie więcej szczegółów dotyczących Rafała. Czy w przeszłości tego chłopaka i jego śmierci kryła się odpowiedź na to, co spotkało Kasię?

– Dobry pomysł. Zadzwoń potem do ciebie i ustalimy szczegóły. Wpadniesz później do Oli? – Miała zmartwioną minę. Przecież wiedział, o co chodzi. Dziadek dziewczyn zbyt długo nie był trzeźwy.

– Nie wiem, czy przemówię mu do rozsądku, ale spróbuję. – Wstawił brudne naczynia do zmywarki i wytarł stół ściereczką. Podszedł do Wioli się pożegnać, ale kiedy szukał jej ust, nadstawiła policzek.

– Kocham cię – powiedział. Kiedyś tak właśnie się żegnali, zapewniając się o swoim uczuciu.

– Wiem. – Stała na palcach i pocałowała go w nos. – Będę na ciebie czekała u Oli.

Wyszła, zostawiając po sobie niedosyt.

Zommer wrócił do kuchni dopić kawę. Kilka lat temu z ciekawości zajrzał do archiwum spraw i obejrzał akta z samo-bójstwa Rafała. Chłopak został znaleziony koło południa 25 czerwca 1997 roku. Większość dzieciaków rozpoczęła właśnie pierwszy dzień wakacji, a Rafał już nigdy nie miał zobaczyć słońca. Razem z nim znaleziono Lenę, która odcięła sznur kawałkiem szkła znalezionym na podłodze. Jej zeznania były niespójne. Nie potrafiła określić, o której godzinie do niego dotarła, ile czasu spędziła w opuszczonym domu i co tam robiła.

Protokół oględzin miejsca sporządzony przez technika, który przyjechał na miejsce zdarzenia, był skrupulatny i dokładny. Znajac terminologię, nawet teraz, po latach, Kuba potrafił

go mniej więcej odtworzyć: „Zwłoki leżące na wznak, na szyi denata znajduje się zaciśnięty sznur ucięty około trzydziestu centymetrów nad głową. Obok znajduje się przedmiot przypominający szkło, zabarwiony substancją koloru czerwonego”. Sekcja, którą wykonywał Bogucki, nie pozostawiała wątpliwości. Rafał odebrał sobie życie sam.

Ojciec wszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy.

– Ty to jednak jesteś wielkim dzieciakiem – stwierdził.

– O co ci chodzi?

– Poza tym, że wrzuciłeś mój nowy kalosz na środek bagien?

Kuba uśmiechnął się pod nosem. A więc stary był już na działce.

– To nie ja – odpowiedział beczelnie.

– A kto? Krasnoludki?

– Być może należałoby przeprowadzić dochodzenie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym obaj wybuchnęli śmiechem. Kuba zapomniał już, że jeszcze zanim mama odeszła, lubili żartować i się przekomarzać. Właściwie to była jedyna rzecz, która ich łączyła. Z drugiej strony, czy to było mało? Czy nie mogło stanowić fundamentu, żeby w końcu spróbowali zbudować swoją relację na nowych zasadach? Jak równy z równym.

– Jakie masz plany na dzisiaj? Jedziesz do Oli? Ja wpadłem tam wczoraj, ale na chwilę. Zdzisiek ma ciąg, aż przykro patrzeć. Zamieniliśmy kilka zdań, ale chyba nie dotarło. – Ojciec wycierał łzy w kąciakach oczu. Włączył ekspres i czekał, aż do filiżanki spłynie kawa.

– Później, teraz jadę do Pabla. Chciałem z nim pogadać.

– Przecież masz urlop.

– Chcę go zapytać o samobójstwo Rafała Nowickiego, wiem, że to on go znalazł. Nie daje mi to spokoju. – Kuba zaryzykował.

– To, że dwie osoby odebrały sobie życie w tej menelni? – Artur poprawił golf na szyi i usiadł za stołem. Zastanawiał się chwilę, jakby ważył słowa. – Chcesz znać moje zdanie?

Po raz pierwszy w życiu Jakub naprawdę tego chciał. Patrzył na twarz swojego ojca, która od razu przybrała poważny wygląd. Zniknęła z niej radość, a pojawiła się bruzda przecinająca linię brwi. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy nocami ślęczał nad aktami jakiejś sprawy.

– Pokaż mi inny opuszczony dom w okolicy, który miałby taką mroczną legendę. Podobno w latach czterdziestych spłonęła tam rodzina. Potem odprawiano tam egzorcyzmy. Dzieciaki kochają takie historie. Lgną do nich. Im mroczniejsza tajemnica, tym lepiej. – Ojciec się nakręcał. Pochylił się teraz do przodu i patrzył Kubie prosto w oczy. Zaciśnął dłonie w pięści.

– Nie wierzę w to. Nie mogę tego zostawić.

– Możesz. Tylko nie potrafisz. – Ojciec westchnął i machnął ręką, jakby odganiał natrętą muchę. Wrócił dawny, pretensjonalny ton człowieka, który pozjadał wszystkie rozumy. – Słyszałeś od Boguckiego, że brała narkotyki?

– Podobno. Ale nie wiedziałem, że ty o tym wiesz. Rozmawiałeś z nim?

– Oczywiście, że tak. Kasia to nasza rodzina. Myślałeś, że to tak zostawię?

– A nie interesuje cię, jaki miała powód? Coś musieliśmy przegapić. Inaczej to wszystko nie ma sensu.

– Inaczej to wszystko nie ma sensu – powtórzył ojciec i spojrzał na Kubę z podziwem.

Zommer nawet nie zanotował, że bezwiednie użył ulubionego powiedzonka ojca z okresu, kiedy był jeszcze gliną. Pomyślał, że może łączy ich więcej, niż byłby skłonny przyznać. Gdyby tylko zdecydowali się na współpracę, stanowiliby dobry zespół.

Mógłby go o to zapytać. Wystarczyłoby zdanie w stylu: „Powiedz mi, co ustaliłeś. Może razem sprawdzimy, co tak naprawdę wydarzyło się dwa dni temu?”.

– Sensu nie ma to twoje wiejskie dochodzenie, synu – powiedział Artur dobitnie. – Robisz z siebie pośmiewisko, kręcisz się w kółko, zamiast przyjąć prawdę. Jedziesz do Pabla? To może naucz się od niego, jak pracować, żeby osiągnąć sukces.

Zabolało. Mocniej niż zwykle. Kuba prawie się powstrzymał od odpowiedzi.

Prawie.

– Współczuję ci – wycedził. – To musi być cholernie ciężkie, mieć takiego ułomnego syna. Na szczęście mam to w dupie. A wiesz dlaczego? – Jakub nie chciał już patrzeć na ojca. Zaczął zbierać się do wyjścia. – Bo uczyłem się od mistrza! – Podeszedł do drzwi, odwrócił się tyłem i szarpnął za kłankę.

Na podwórzu zaciągnął się świeżym powietrzem. Atmosfera w domu zrobiła się zbyt gęsta. Męczyło go przebywanie w jednym pomieszczeniu ze starym. Kiedyś wciąż łaknął jego obecności, liczył te wszystkie mecze, na których ojciec się nie pojawił. Tak wiele razy się zawiódł, że kolejny raz nie powinien robić na nim wrażenia.

Nie wiedział jednak, co zrobić z tym chłopcem, który prawie beczał na widok pustego miejsca na widowni podczas przedstawienia na Dzień Ojca. Jak pozbyć się jego głosu, który szeptał: „Jesteś do niczego”.

Zastanawiał się, dlaczego Artur nigdy nie potrafił okazać mu miłości, podczas gdy dla jego kolegów był wujkiem roku. Z każdym z nich rozmawiał, poświęcał im czas i uwagę. Mówili: „Ty to masz dobrze. Twój ojciec jest świetny”.

Kuba nie wyprowadzał ich z błędu. „Tak. Jest super” – odpowiadał.

Do tej pory nie miał wielu okazji, żeby rozmawiać z Arturem o pracy. Starego glinę nie bardzo interesowały, jak to określał, „wiejskie popierdółki”, a Kuba o jego dokonaniach i metodach pracy dowiadywał się głównie z podręczników i gazet. Poszedł w ślady ojca, ale nie po to, żeby deptać mu po piętach. Chciał wytyczać swoją własną ścieżkę, nawet jeżeli była wąska i prowadziła donikąd. Poza tym nie wyobrażał sobie innej kariery. Wręcz miał wrażenie, że urodził się po to, żeby zostać policjantem. Lubił Górsk, czuł się lokalnym patriotą. Do licha! Czuł się potrzebny tej zapyziałej wsi.

Niezależnie od tego, co sądził Artur, musiał przyjrzeć się sprawie Rafała i jego samobójstwa. Sprawdzić, czy znajdzie jakieś podobieństwa. Coś, co pomogłoby mu zrozumieć, dlaczego w starym domu odebrało sobie życie dwoje nastolatków. Według Leny rysunki nocnych motyli w pokoju Kasi należały do Rafała. Może siostrzenica zainspirowała się jego śmiercią? Może chciała go skopiować? Jakkolwiek niedorzecznie to brzmiało, mogło być prawdą.

Wiedział, że w 1997 roku, kiedy Rafał odebrał sobie życie, policjantem w Górsku był już Pablo. Starszy kolega był skrupulatny i można było na nim polegać. Kuba spojrzął na zegarek – dochodziła dwunasta. Wybrał jego numer.

– Cześć, Kuba, myślałem o tobie dzisiaj, ale nie wiedziałem, o której zadzwonić. Bałem się, że będę przeszkadzać. Jak sobie radzicie? Potrzebujecie pomocy?

– Chciałbym się z tobą spotkać. Masz teraz chwilę?

– A możesz przyjechać po pracy? Jestem teraz poza Górskiem. Spisuję delikwentów, którym zachciało się sprayować po szkole w Wilgach.

Kuba pożegnał się i jeszcze raz zerknął na tarczę zegarka. Miał cztery godziny dla siebie. Rzucił mu się w oczy samochód ojca, który lśnił w słońcu, jakby przed chwilą wyjechał z myjni. Nie dopatrzył się ani jednej grudki piasku, nawet na kołpakach. Też mógłby umyć swoje auto. Albo pojechać motorem do Wioli i trochę ją odciążyć. Wybrał to drugie.

Jazda była jak odpoczynek po długim, męczącym biegu. Zanim podjechał pod dom siostrzenic i ich dziadka, przeciął powiat w jedną i drugą stronę. Wreszcie naładował akumulatory. Nie czuł nic poza powietrzem, które wpadało na niego z impetem i sprawiało, że

białały mu kostki na dłoniach.

Wszedł do domu dziewczyn i od progu uderzyło go, jak wiele się zmieniło. Poznawał w tym rękę swojej żony. Pachniało obiadem i kawą. Na jedno i drugie miał ogromną ochotę.

– Kuba? – W kuchni Wiola układała właśnie puzzle z małą Polą. W radiu leciał jakiś letni przebój. – Ola pojechała na parafię, wujek jest u siebie. Może wyciągniesz go na gulasz? Zjedlibyśmy wspólnie. – Posłała mu sztuczny uśmiech i pokazała na migi, że Zdzisław jest pijany.

Zommer zdjął ciężką motocyklową kurtkę, odłożył kask i poszedł do pokoju dziadka. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział, więc wszedł do środka. W pokoju panował porządek i gdyby nie podłużny kształt przykryty kocem od stóp po głowę, wydający z siebie chrapliwe dźwięki, w życiu nie domyśliłby się, że ktoś jest w pomieszczeniu.

– Wujku? – Podeszedł i położył mu dłoń na ramieniu. – Wujku, wstaniesz i zjesz z nami obiad?

Kształt poruszył się niespokojnie.

– Wiola wszystko przyszykowała, czekamy na ciebie w kuchni. Może przyniosę ci kawę, pomogę ci wziąć kąpiel.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem.

– Rafał? Rafał, to ty?

Kuba czuł, jak wnętrzości przewracają mu się na drugą stronę.

– To ja, Kuba. Dlaczego chciałbyś rozmawiać z Rafałem?

– Rafał, przepraszam. – Zdzisław zaczął łkać. – Rafał, czy ty mi wybaczysz?

– Wujku, o czym ty mówisz? – Kuba ścisnął go mocniej za ramię, ale to nie przyniosło skutku.

Mężczyzna jeszcze bardziej zapadł się w sobie. Odwrócił się twarzą do kanapy i przestał się odzywać.

Zommer otworzył szerzej okna. Zdjął z wujka koc, próbował ocucić. Przywołać do rzeczywistości i wyciągnąć więcej informacji. Zdzisław na pewno znał Rafała, bo chłopak, zanim popełnił samobójstwo, przychodził do jego córki na lekcje rysunku. Bywał w tym domu co najmniej raz w tygodniu.

– Słyszysz mnie? Przed chwilą mówiłeś o Rafale. Za co go przepraszasz?

– Kuba? – Zdzisław powoli podniósł się z łóżka. Spoglądał na niego z ulgą. Jak człowiek, który właśnie uniknął czegoś strasznego. – Przyniesiesz mi coś do picia?

Mężczyzna nie wrócił już do tematu. Ani kiedy brał kąpiel, ani podczas picia mocnej kawy po turecku. Tak jakby to się nie wydarzyło. Zbył pytania Zommera wzruszeniem ramion. Zjedli obiad, w tym czasie wróciła Ola. Dzwonili do niej z komendy w Kotlinie. Ciało zostanie wydane w czwartek, pogrzeb może odbyć się w poniedziałek. Mieli kilka dni na przygotowania. Zommer nie miał do tego głowy. Myśli kłębiły się w nim jak fale wzburzonego oceanu.

– Powinno się udać – powiedziała Wiola.

Rozpisała na kartce, co trzeba zrobić. Role zostały przydzielone. Kuba, tak jak obiecał wcześniej, miał zająć się kwiatami. Wziął też na siebie obdzwonienie części rodziny.

Wciąż myślał o Rafale. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że tamta śmierć jest powiązana z tym, co spotkało jego siostrzenicę. Ale nie miał pojęcia, jak to wszystko połączyć. To, czego się dowiedział, było ulotne i mgliste jak nitki babiego lata. Zaczynał wątpić, że kiedykolwiek zdoła je złapać.

Poszedł do piwnicy i przejrzał prace Rafała. Nie znał się na sztuce, czuł tylko, że nie chciałby ich w swoim domu. Wzbudzały w nim niepokój. Potem siedział u Kasi w pokoju i patrzył na ściany. Na kolorowe nocne motyle, które nic mu nie mówiły. Podesycały tylko

wątpliwości.

„Kasia, daj mi jakiś znak. Podpowiedz mi, co się stało” – myślał. Dotykał rzeczy, które zostawiła w pokoju. Przesunął pusty kubek po wodzie, wąchał jej perfumy i zanurzył palec w różowym pyłku, który, jak się domyślał, siostrzenica nakładała na powieki.

Szukał nie tylko powiązania ze sprawą sprzed lat, ale też dowodów na to, że nastolatka brała narkotyki. Wiedział, że to głupie, bo przecież policja przeszukiwała ten pokój. Wciąż nie mógł przyjąć do wiadomości tego, co mówił Bogucki. Że Kasia miała wyraźny ślad po wstrzyknięciu.

Czego? Tego dowiedzą się po raporcie toksykologa. Teraz mógł tylko zgadywać. Heroiny? Amfetaminy?

Przypomniał sobie, że kiedy Julita chorowała, przyjmowała różne leki. Zmarła dziesięć lat temu, ale co Zdzisław zrobił z tymi wszystkimi zastrzykami i tabletkami?

– Pamiętasz, gdzie Julita trzymała swoją morfinę? – zapytał go, kiedy byli sami w kuchni. Mężczyzna właśnie wyjmował torebkę z herbaty.

– U mnie w pokoju. W barku.

– A nie wyrzuciłeś ich?

– A po co? Spalić nie można, a do apteki też nie chciałem zanosić. Może kiedyś to mnie się przyda?

Kuba poszedł jeszcze raz do pokoju Zdzisława. Otworzył barek, z którego nikt nawet nie wyjął klucza. Z lewej strony leżały tabletki i ampułki. Zaczął otwierać opakowania. Serce zaczęło mu walić, jakby ktoś uderzał go pięścią od środka. Większość była pusta.

– Ale... ja nic z tego nie rozumiem... – Starszy człowiek spoglądał na niego zdezorientowany.

Kuba zamknął barek i spojrzał na niego wściekły.

– Powinieneś o nie dbać. Rozumiesz? Powinieneś lepiej dbać o swoje wnuczki.

Minął go i zostawił w pokoju. Miał gdzieś, że powiedział za dużo i być może użył zbyt ostrego tonu. Wyszedł z domu i miotał się po podwórku. Wyglądało na to, że Kasia podbierała leki zmarłej matki. Od ilu lat? Kiedy zrobiła to po raz pierwszy? Potrzebował chwili, żeby się uspokoić, więc poszedł na koniec działki i usiadł na ławce między krzakami róż. Ich zapach go drażnił.

Nic nie wiedział o działaniu narkotycznym morfiny, więc odpalił Google i przeczytał kilka artykułów na ten temat. Nie wyglądało to dobrze. Jeden z chłopaków na forum dla chorych na nerwicę pisał, że „majkę” bierze na nerwy. „Czuję się po niej zrelaksowany i uśmiechnięty”.

Kuba przypomniał sobie uśmiech Kasi. Czy ona też musiała szukać sposobu, żeby go w sobie znaleźć? Czy bez „majki” życie nie miało dla niej sensu?

– O czym myślisz? – zapytała go Wiola, kiedy żegnali się w drzwiach.

– O tym, jakie kwiaty zamówić na pogrzeb – skłamał.

Żona przyglądała mu się odrobinę dłużej niż zwykle.

– Wiesz, że musimy porozmawiać? Bardzo mi na tym zależy – powiedziała.

– A możemy jutro? – Złapał jej ciepłą dłoń i przejechał kciukiem po wnętrzu. – Dzisiaj...

– Zastanawiał się, czy ma jakikolwiek argument. – Dzisiaj jest taka piękna pogoda – wypalił.

– Ty się nigdy nie zmienisz, co? – Uniosła kąciki ust w górę, ale w jej oczach Zommer widział smutek.

25.

Pełnia Gorącego Księżyca

Dziewczyna klęczała, głowa opadała jej do przodu, tak samo jak ręce. Wokół szyi miała owinięty sznur z huśtawki. Chłopak okrążył dom i wbiegł do pokoju. Chciał wyszarpać z torby scyzoryk, ale nie mógł otworzyć kieszeni. Wszystko kołysało się i naginało, sprzączka w plecaku się zacięła.

– Szybciej, błagam, szybciej... – szeptał. Czuł suchość w ustach i pulsujący ból głowy. Wszystko w rytmie tandetnej muzyki techno z blaszaka.

Brakowało mu siły. Ręce drżały, palce nie chciały go słuchać. Szorował scyzorykiem po grubej linie, aż w końcu udało mu się ją przeciąć.

Próbował położyć dziewczynę na ziemi, ale uderzyła głucho o podłogę brzuchem do ziemi. Jej twarz obróciła się w stronę księżyca.

– Kasia! – Nieporadnie złapał ją za jeszcze ciepłą dłoń i obrócił na plecy. – Kasia, wstawaj!

Przysunął ucho do jej ust. Chciał sprawdzić, czy oddycha. Dotykał twarzy dziewczyny, odgarniał włosy.

– Teraz wszędzie są twoje ślady. – Chłopak widział tylko sylwetkę, twarz przykrył cień. Ale głos podpowiedział mu, z kim ma do czynienia. Ten głos rozpoznalby wszędzie.

Jasiek próbował się unieść, ale czuł się, jakby ktoś przybił go do podłogi. Przestrzeń kołysała się i zakrzywiała. Włosy dziewczyny zaplątały mu się w dłonie.

„To się dzieje naprawdę?”

Ten ktoś zbliżył się do niego i pozwolił, żeby chłopak musnął jego nogawkę od spodni.

Potem po prostu go minął i przyglądał się w drzwiach, jak Jasiak czołga się w stronę wyjścia i na czworakach próbuje pokonać kilka metrów. W końcu przysuwa się do ścian i podnosi wyczerpany.

– Przecież ja tego nie zrobiłem.

– Nikt ci nie uwierzy.

Mężczyzna dawno nie doznawał tak wyraźnie ciemności. Powietrze zrobiło się gęste i miał wrażenie, że gdyby złapał je teraz w dłoń, mógłby uformować dowolny kształt. Niedaleko, na leśnej ścieżce, która prowadziła donikąd, zaparkował samochód. Zanim do niego dotarł, upewnił się, że chłopak zmierza w stronę gęstej linii drzew.

„I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?” – pomyślał.

Chłopak szukał bezpiecznej kryjówki. Spojrzał na poszarpaną linię drzew i skierował się w jej stronę.

„To wszystko przez ciebie”.

Dopiero po kilkunastu minutach odważył się zatrzymać i oprzeć o szorstki pień.

„Wszędzie są twoje ślady”.

Wziął zbyt wiele narkotyków. Wypił o jednego drinka za dużo. To wszystko sprawiło, że jego reakcje zwolniły. Tak jakby ktoś związał mu nogi albo założył opaskę na oczy. Mieszały mu się fakty i godziny.

„Nikt ci nie uwierzy”.

Nie wiedział, gdzie ten las się kończy, ale wyciągnął telefon i szukał zasięgu. Bał się włączyć latarkę, bo przez nią stałby się zbyt widoczny.

Buty zatapiały się w leśnym poszyciu, tempo marszu spadało. Już nawet nie biegł, tylko starał się nie zatrzymać. Ciało zwolniło, chociaż poganiał je myślą. Rwał mu się oddech i bał się, że jego serce wybuchnie. Obraz przed jego oczami zakrzywił się i falował.

– Kasia? – Był pewien, że dziewczyna stoi pośrodku lasu. Wypatrzył połyskujące kropeczki na mchu. – Kasia? – Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to stary plecak w ćwieki. Pomylił go z butem dziewczyny.

„Czy Kasia nie żyje, czy dopiero coś jej się stanie? Muszę do niej dotrzeć” – myślał. Szedł przed siebie dopiero dwie godziny, ale w jego umyśle ta wędrówka trwała całą noc.

Złapał zasięg w telefonie, gdy jego stopy dotknęły twardej nawierzchni ulicy. Próbował zadzwonić do mamy.

– Halo? Mamo, jesteś tam? – pytał. – Mamo, potrzebuję pomocy... Mamo, błagam, odezwij się... Nie wiem, co się stało. Byłem na tej imprezie w blaszaku. Wydaje mi się, że zrobiliśmy z Kasią coś bardzo głupiego, a potem ona... Po prostu nie mogę jej znaleźć. Ona chyba nie żyje. Boję się, że nie żyje. – Nawet nie wiedział, kiedy zaczął płakać.

Upuścił telefon. Gdy go podniósł, poczuł wibracje. Dzwoniła Kasia.

– Odwróć się – powiedział głos w słuchawce.

26.

Obecnie

Wczoraj Lena do późna rozwieszała plakaty z Jaśkiem i dzwoniła po znajomych dziennikarzach. W mediach społecznościowych powstała grupa poświęcona zaginięciu jej syna. Ludzie pisali, gdzie może być. Mnożyły się hipotezy i pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Niektórzy życzyli mu szczęśliwego powrotu do domu, inni spekulowali, że uciekł, bo miał coś na sumieniu. Czyli nie tylko dziadek Kasi tak myślał.

Około dwudziestej pierwszej przypomniała sobie o imprezie, którą Kasia chciała zorganizować dla małej Poli. Znalazła fanpage stworzony już jakiś czas temu. Znajdowały się na nim zdjęcia dziecka, informacje o stanie zdrowia i koncertach, z których dochód miał zasilić konto zbiórki dziewczynki. Lena napisała krótki artykuł na ten temat i wysłała do naczelnego tygodnika, z którym współpracowała, z prośbą o publikację. Odpisał, że wrzuci go do sieci, i obiecał, że za tydzień może puścić tekst w druku. Wysłała też wiadomości do znajomych Kasi, których znalazła na Facebooku, z prośbą o pomoc. Zgodzili się zająć organizacją imprezy. Cieszyła się, że chociaż tyle mogła zrobić.

Stary nikon 200 spoglądał z biurka. Aparat nie miał rolki w środku i Lena była niemal pewna, że właśnie te zdjęcia Jasiek i Kasia wywołali u nich w łazience. Szukała ich w nocnym amoku do czwartej nad ranem. Na koniec zajrzała nawet do kosza z praniem, gdzie na dnie znalazła mały klucz z breloczkiem ze statkiem.

– Dokąd płyniesz? – rzuciła pytanie i ścisnęła go w rękę tak długo, aż metalowe krawędzie odbiły czerwone linie na wnętrzu jej dłoni.

Tworzyła w głowie coraz bardziej absurdalne scenariusze dotyczące właścicieli klucza,

skrytek i drzwi, które otwierał. Aż w końcu wpadła w ten dziwny stan pośrodku, którego nie można nazwać ani snem, ani jawą.

Rankiem zwlokła się z łóżka i poszła do kuchni nastawić kawę. Włączyła ekspres i słuchała, jak mieli ziarna.

Z przyzwyczajenia wyjęła dwie filiżanki. Jedną dla mamy, drugą dla siebie. Ogarnął ją żal, że odeszła tak nagle i do końca nie powiedziała prawdy. A jednocześnie rozumiała ją jak nikt. Przecież chciała chronić córkę i na pewno przysporzyło jej to cierpienia. Tajemnice są jak żar. Tlą się latami i wypalają dziury o nierównych brzegach.

Gdyby istniała maszyna, która cofa czas...

– Mamo, dla ciebie bez cukru? – Lena wzięła łyk swojej kawy i nastawiła kolejną. Na parapecie leżał obrazek lisa, który dostała wczoraj od Oli.

Wzięła go do ręki i przesunęła palcem po rudej kicie. Spojrzenie zwierzęcia miało w sobie coś ludzkiego. Wyglądał, jakby ją znał i wiedział wszystko. To głupie, ale kobieta czuła, że patrzy na nią nie lis, ale Rafał. Przypomniała sobie chłopaka ze sklepu.

Cały plan, żeby zostać w Górsku i poskładać wszystko od nowa, rozsypał się w niedzielę rano. Od tamtego momentu upłynęły zaledwie dwie doby, a Lena miała wrażenie, że w ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin przeżyła całe swoje życie i umarła.

Druga kawa rozgrzała ją od środka i przywróciła sprawczość. Zadzwoiła na numer, z którego dzień wcześniej kontaktował się policjant w sprawie Jaśka.

– Niech pani przyjedzie na komendę. Właśnie miałam dzwonić. – W słuchawce odezwał się damski głos.

Lena momentalnie straciła apetyt. Wsiadła do samochodu i pojechała do komendy powiatowej w Kotlinie. Przez dwadzieścia minut drogi próbowała odgadnąć powód, dla którego ją tam wezwano. Jasne, że chodziło o Jaśka. Musiały pojawić się nowe informacje. Przecież gdyby go znaleźli lub podejrzewali o morderstwo, przyjechaliby pod dom. Tak przynajmniej robią gliniarze w amerykańskich filmach.

– Marika Sagon, pamięta mnie pani? – Policjantka podała Lenie dłoń i zaprowadziła ją do pokoju na pierwszym piętrze. Na drzwiach znajdował się napis „Sala przesłuchań”.

Lenę zmroziło, nie wiedziała, że ma wystąpić w roli świadka.

Szumnie nazwana „sala” okazała się małym pokoikiem z zajmującym prawie całą przestrzeń stołem. Stał na nim włączony laptop, a obok styropianowy kubek, z którego unosiła się para. Marika zajęła miejsce obok i zamieszała w nim łyżeczką. Lena poczuła przyjemny owocowy zapach, ale kiedy policjantka zaproponowała coś do picia, odmówiła.

Całą drogę myślała, o czym funkcjonariuszka chce porozmawiać. Kiedy na miejscu okazało się, że chodzi o film, Lena poczuła się nieswojo. Uznała, że policjanci musieli go znaleźć na dysku Jaśka. A więc to on go nakręcił.

– Chce pani oglądać od początku? – Marika Sagon rzuciła jej czujne spojrzenie. – Może przewinę tylko do momentu, o którym chciałabym porozmawiać?

Lenę zdziwiło to pytanie. W oczach policjantki dostrzegła współczucie.

– Proszę włączyć od początku – poprosiła.

Policjantka zawahała się, ale wcisnęła play.

Pot łaskotał Lenę pod łopatkami. Sama nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie nagięj Kasi na łóżku w pokoju obwieszonymi nocnymi motylami. Zastanawiała się, czy powinna to dalej oglądać. Nie chodziło nawet o to, czy Jasiiek uprawiał seks, ale o to, że jeśli to zobaczy, przekroczy pewną granicę.

Marika Sagon zatrzymał wideo.

– Czy na pewno chce pani to zobaczyć?

– Tak.

– No chodź do mnie! – Kasia wsunęła się pod kołdrę we wzór małych kwiatków.

Lena pomyślała, że ta dziewczyna mogłaby być modelką. Idealne kształty, twarz z wydatnymi, pełnymi wargami. Nic dziwnego, że tak działała na jej syna.

Kasia wzięła ze stolika nocnego jeden z kieliszków z czerwonym winem i wypła duszkiem zawartość.

– Idę! – Jasiak musiał poprawiać coś w obiektywie, ponieważ nagle sylwetka nastolatki znalazła się w samym centrum obrazu. Dziewczyna odwróciła się w stronę kamery, podpierając głowę na dłoni, i widać było, że wodzi wzrokiem za operatorem.

Chłopak stanął przed kamerą. Właściwie Lena widziała tylko jego plecy z tatuażem i dosłownie ją zatkało. Kiedy wytatuował sobie tribal?

Kiedy podszedł do łóżka, zauważyła, że nie ma bielizny. Położył się obok Kasi.

– Na pewno tego chcesz? Po co właściwie ta kamera? – zapytał. Widać było, że przesuwa dłonią po nagim ciele dziewczyny. Kołdra unosiła się nieznacznie na wysokości jej ud.

– Żebyś mógł mnie szantażować. Mam zamiar zrobić takie show, że jak ktoś to zobaczy, to wpakuje mnie do więzienia za gwałt. Gotowy? – Wskoczyła na niego i przytrzymała mu dłoń nad głową. Kołdra spadła na ziemię, a Kasia nachyliła się i kiedy uniosła biodra, jej włosy zasłoniły ich twarze. Lena widziała tylko doskonale wyrzeźbione ciała, które płonęły pożądaniem. Wstrzymała oddech i odwróciła wzrok.

– Może pani przewinąć?

Policjantka spełniła jej prośbę. Zatrzymała film, kiedy Kasia położyła głowę na klatce piersiowej Jaśka i oboje przymknęli oczy. Wciąż byli nadzy, ich ciała błyszcząły od potu.

– Muszę iść do łazienki, gdzie mam wyrzucić gumkę? – Jasiak uniósł się na łokciach.

– Tylko nie do kibla, bo jeszcze go zapchasz. – Zaśmiała się. – Dziadek dostałby zawału!

– Ten zbok? Mówiłem ci, że ostatnio w kuchni się o mnie ocierał? – Chłopak wstał i bez cienia zażenowania paradował przed Kasią nago. Wyglądał się, udając, że tańczy balet.

– Ale ty jesteś nienormalny, on by muchy nie skrzywdził. Po prostu kilka razy nie zapiął rozporka, a ty od razu... – Wzięła poduszkę i próbowała w niego wycelować.

– Muchy może nie, ale kurczaki na obiad zabija. – Poduszka trafiła w kamerę, obraz zamigotał i przekrzywił się w lewo.

– No dobra, dobra. Jaja sobie robię. – Jasiak podszedł do Kasi i dał jej całusa.

Kiedy zniknął z kadru, dziewczyna sięgnęła do szuflady stolika po papierosa. Przez chwilę trzymała go w ustach, wystawiając twarz do różowego światła, które wpadało do pokoju. Kolor sączył się przez falujące firanki i nadawał wnętrzu filmowego charakteru. Wiatr poderwał kartki z nocnymi motylami do lotu.

Ten obraz wyglądał tak pięknie, że Lena wstrzymała oddech.

– To teraz powiem ci prawdę. – Kasia przerwała ciszę, włożyła fajkę między zęby i sięgnęła po kołdrę z ziemi, a potem się nią owinęła. Papieros zatańczył w jej dłoni, popiół strąciła do kieliszka. – Wiesz, po co to nagranie? Bo jak będziesz w tej swojej Warszawie czy Krakowie, czy dokąd cię tam poniesie na studia, to może przypomnisz sobie o takiej jednej szalonej fryzjerce z Górską. Nie mam złudzeń, wiem, że nasze drogi się rozejdą. Ale może... może kiedy spojrzysz na nas razem i na to, jak dobrze nam było, będziesz chciał do mnie wrócić. – Zgasiła żar i podeszła do kamery.

W kadrze pojawiła się twarz Kasi z lekko rozmazanym makijażem, nabrzmiałymi ustami i oczami, z których można było wyczytać tylko jedno.

– Kocham cię, wariacie – szepnęła dziewczyna.

– Coś mówiłaś? – Jasiak musiał wejść do pokoju, w tle rozległy się jego głos i kroki.

– Zastanawiam się, jak to wyłączyć. – Nastolatka zmieszała się i podeszła do stolika nocnego po drugi kieliszek z winem.

– Chodź tutaj. – Jasiak objął ją w talii i chwilę kołysali się przytuleni. – Wrzucimy coś? – zapytał z twarzą wciśniętą w jej włosy.

– A co masz?

– Co tam chcesz. Zioło, jakieś tabsy. Na miękko, na twardo... – Wyszedł za kadr i wrócił do Kasi z torbą w ręku. Wyjął zawartość na łóżko.

Dziewczyna wzięła jedną tabletkę do ręki i zrobiła zdziwioną minę.

– A ta? – zapytała.

– Ta jest matki. Ciągłe jedzie na jakichś prochach. Wszystkich już próbowałem, po tej będzie ci zajeżdżenie wesoło.

– A dziwisz się? Po tym, co przeszła...

Lena poczuła, jak pod skórą rozlewa jej się lawa wstydu.

Kasia wciąż trzymała pastylkę w dłoni, ale po chwili ją połknęła.

– W sumie muszę wrzucić na chill, bo ciotka Wiola i cała ta sytuacja mnie dobijają – powiedziała.

– Rozmawiałaś z nią?

– Jeszcze nie.

Z kamery wydobył się krótki dźwięk sygnalizujący wyczerpaną baterię. Jasiak spojrzął na nią i podszedł do obiektywu. Zmrużył ciemne oczy i zrobił poważną minę, jakby zamierzał wygłosić oficjalne oświadczenie.

– Tutaj Jacho z przeszłości do Jacha z przyszłości: właśnie nagrałeś pierwszy film pornograficzny w swojej karierze.

Zanim wyłączył kamerę, oboje zaczęli się śmiać.

Lena próbowała poskładać w głowie nowy obraz syna. Zastanawiała się, jak często chodził naćpany i od kiedy podkradał jej tabletki. „Co z ciebie za matka, skoro tego nie zauważyłaś?”

– Proszę dać sobie czas. Za chwilę porozmawiamy. – W pokoju rozległ się zgrzyt odsuwanej krzesła. Marika Sagon wstała i przyglądała się Lenie z litością. – Za pięć minut wróć.

Pięć minut trwa przerwa w szkole. W tym czasie można ugotować jajko, wypić szybką kawę albo wziąć prysznic.

Kiedy policjantka wróciła, Lena analizowała zachowanie Jaśka z ostatnich tygodni. Przeraziła się, ponieważ nie mogła przypomnieć sobie ani jednej niepokojącej sytuacji.

– Muszę panią zapytać o te leki. Co dokładnie syn mógł zabrać? Pani lub innym domownikom? – Kobieta wyjęła notes i stuknęła końcówką długopisu w pustą kartkę.

Lena wymieniła wszystko, co zażywała, i zaczęła analizować, kiedy syn mógł coś podebrać. Wydawało jej się, że ma kontrolę nad lekarstwami. Wiedziała mniej więcej, ile zostało w opakowaniu. Ale czy liczyła tabletki co do sztuki? Czy nie było sytuacji, w której Jasiak mógł „poczęstować” się jedną lub dwiema? Choćby wtedy, kiedy wyjechała w góry? Zrobiło jej się gorąco. Przecież tata przed śmiercią przyjmował cały zestaw tabletek. Włącznie z psychotropami.

– Czy wy go o coś podejrzewacie? – Lena zdobyła się na odwagę i spojrzała Marice prosto w oczy. Zderzyła się jednak ze ścianą. Twarz policjantki nie wyrażała żadnych emocji.

– Nie. Jeszcze nie. Gdybyśmy postawili mu zarzuty, pani dowiedziałaby się o tym pierwsza. Wiele wyjaśni wyniki badań DNA z miejsca zdarzenia. Ale już teraz sytuacja jest niejasna. Są świadkowie, którzy twierdzą, że pokłócił się z Kasią na imprezie. Podobno był pijany. A pani... Pani ukrywa, o czym z nim rozmawiała w nocy przez telefon.

– Ukrywam?!

Lena nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Z jednej strony zrobiło jej się głupio, bo przecież liczyła, że nikt nie dowie się o kłótni Jaśka i Kasi. Zapłaciła dwójce nastolatków sprzed blaszaka za milczenie, naiwnie licząc, że nikt poza nimi nic nie widział. Z drugiej strony nie kłamała przecież w kwestii telefonu.

– Naprawdę nic nie pamiętam. Mówiłam pani, że tamtego wieczoru piłam. A wcześniej wzięłam leki – dodała ciszej.

– Ale wie pani, że te informacje mogą pomóc go odnaleźć? Że on może potrzebować pomocy? Za tydzień będę miała na biurku billingi rozmów. Dowiem się, ile razy dzwonił do pani, jak długo rozmawialiście. Czy napisał esemesa, o którym nie wiemy. Z kim jeszcze się kontaktował. Wszystko czarno na białym.

Kiedy policjantka skończyła wzbudzać wyrzuty sumienia, na zmianę strasząc jakimiś paragrafami za składanie fałszywych zeznań, Lena wyszła na parking i usiadła na krawężniku przed samochodem. Była wyczerpana. Wyrywała kępki traw, które wyrastały między betonem. Z nieba lał się żar. Kawałek dalej nad ulicą gorące powietrze drżało i rozmywało obraz. Ale w tle widać było duży sklep i roześmianą kobietę, która trzymała małą dziewczynkę na rękach. Pakowały właśnie zakupy do samochodu.

Lena czuła się, jakby obserwowała siebie sprzed lat. Kiedyś też miała dziecko, które siedziało w foteliku, jedząc chrupki kukurydziane. Ale chyba nie była wystarczająco dobrą matką.

Dla nikogo.

„Gdzie jesteś, synku?” – pytała w myślach. „Czy jesteś zdrowy? Czy masz co jeść? Czy nic ci się nie stało? Gdzie śpisz?” Przypomniła jej się trzyletni Jasiek i jego pokój z tapetą w samoloty.

– Nigdzie cię nie puszczę. Ja nie pozwalam ci iść – mówił, zaciskając rączki na jej szyi, kiedy go usypiała.

Czekała, aż uspokoi mu się oddech, wdychając zapach szczęścia z jego włosów, i wychodziła. W nocy i tak budził ją płacz.

– Mamo! – wołał rozpaczliwie Jasiek. – Mamo! Gdzie jesteś?

– Przecież cały czas jestem przy tobie – tłumaczyła, kładąc się obok.

– Nieprawda! – mówił z wyrzutem. – Zostawiłaś mnie całkiem samego!

27.

Pelnia Gorącego Księżyca

Na wysokie ściany wspinały się mech i brud. W małych dziurkach betonu mieszkały szczątki ludzi.

Chłopak obudził się z potwornym bólem głowy. Otworzył powieki i chociaż z góry sączyły się promienie księżyca, musiało minąć kilka minut, zanim się zorientował, gdzie jest.

Spore pomieszczenie miało nieregularny kształt przypominający trójkąt. Około trzy metry nad jego głową znajdowała się okrągła dziura, przez którą wpadało światło. Pomyślał, że wygląda jak wejście do studzienki kanalizacyjnej. Ale się mylił. Leżał na dnie starego bunkra z czasów drugiej wojny światowej. W miejscu tak odludnym, że gdy zamknięto dziurę wielką pokrywą, nikt w promieniu kilku kilometrów nie słyszał, co się działo wewnątrz.

Chłopak szukał wyjścia i poczuł nadzieję, gdy na gładkiej powierzchni ściany, w miejscu, gdzie kończyło się światło, zauważył jego załamanie. Doczołgał się tam, nie wiedząc, że każdy jego ruch jest obserwowany. Ucieszył się, że znalazł drzwi. Próbował wsunąć opuszki palców między metalowe skrzydło a futrynę. Szarpał ostre krawędzie, które raniły mu dłonie. Myślał o dziewczynie. O tym, że pozwolił jej wyjść z imprezy.

– Gdybym tylko potrafił ją zatrzymać – szeptał i płakał.

Nie zauważył, że w drzwiach znajdowała się niewielka szybka, której powierzchnia nagrzewała się od oddechu. Ktoś od początku mu się przyglądał i cieszył się, że chłopak w końcu odzyskał przytomność. Nie mógł doczekać się tego, co nastąpi.

„Już niedługo zobaczą kolejną niezwykłą przemianę”.

28.

Obecnie

Punktualnie o szesnastej Zommer podjechał motorem pod pocztę, nad którą znajdowało się mieszkanie kolegi z komisariatu. Samochód Pabla stał na podwórku, musiał już wrócić z pracy.

Kuba wchodził po wąskich schodach, trzymał kask pod pachą i odpinał kurtkę. Pachniało strychem i dawno niewietrzonym pomieszczeniem. Zauważył, że przy ścianie ktoś rozsypał biały proszek na mrówki.

To zadziwiające, ale jeszcze nigdy nie był u Pabla. Policjant mieszkał ze starą matką, która właściwie przez ostatni rok życia nie wychodziła z mieszkania. Zmarła zaledwie trzy miesiące temu.

Nie znalazł nigdzie przycisku dzwonka, więc głośno zapukał. Kolega otworzył niemal od razu.

– Wejdz, proszę. – Przesunął się i wpuścił Kubę do środka.

Przebrał się w obcisłą białą koszulkę, która kontrastowała z ciemną cerą, i modne wąskie spodnie. Na stopach miał mokasyny. Zommer zauważył, że pod ubraniem rysują się mięśnie. Był atrakcyjnym mężczyzną, a Wiola wielokrotnie żartowała, że jego głos brzmi jak dobry jazzowy kawałek.

Zawsze o siebie dbał, do pracy przynosił fit sałatki z kurczakiem i kaszą. Coś, czego Kuba nie tknąłby, nawet gdyby ktoś mu zapłacił. Paweł miał pięćdziesiąt lat i do tej pory z nikim nie związał się na dłużej, chociaż Zommer nie wiedział dlaczego. Podejrzał, że może nie interesują go kobiety, a boi się zrobić coming out. W Górsku nie miałby łatwego życia. Może

dlatego chciał się przeprowadzić do Warszawy.

Znaleźli się w przestronnym salonie połączonym z kuchnią. Pomieszczenie urządzone było bardzo nowoczesnie i mini-malistycznie. Białe ściany, białe meble. Na lśniących blatach nie było ani odrobiny kurzu.

Kuba pomyślał, że właśnie patrzy na mieszkanie gościa, który według jego ojca stanowił wzór cnót. Jedyne, co poczuł, to szczęście, że w jego domu nie panuje taka sterylna atmosfera.

„Jeśli tak wygląda droga do sukcesu, wolę swoją starą, krzywą kanapę i psią sierść”.

– Skończyłem remont miesiąc temu, wcześniej rządziła tu mama. Powiedzmy, że panował bardziej tradycyjny wystrój. Chciałbym zostawić sobie to mieszkanie na wakacje – powiedział Pablo, nawiązując do swojej wypowiedzi do stolicy. – Siadaj. Czego się napijesz? Kawa, herbata?

– Niech będzie woda. – Zommer wyswobodził się ze skórzanej kurtki i dopiero poczuł, że ma całą mokrą koszulkę. – Mogę skorzystać z łazienki?

– Idź korytarzem do końca i skręć w lewo. Tylko się nie przestrasz, tam jeszcze nie dotarłem z remontem. Woda z gazem czy bez?

– Niech będzie gazowana. Zaszaleję.

Kuba zrozumiał, co kolega miał na myśli, kiedy przemierzał korytarz obwieszony gobelinami przedstawiającymi wyścigi konne. Gumolit, przybity gwoździami do posadzki, piszczał jak podłoga w sali gimnastycznej podczas lekcji WF-u. Zommer na pewno zostawił na niej kilka czarnych rys.

Nacisnął klamkę i pomyślał, że to inne mieszkanie. Z odrapanych ścian sypał się tynk, na podłodze leżały zwinięte w kulkę gazety. Ten pokój zdecydowanie czekał na remont, a stary materac z żółtymi plamami nadawał się wyłącznie na śmietnik. Jednak jego uwagę przykuło duże akwarium z mętną wodą w kącie pokoju. Wydawało mu się, że wypatrzył ruch. Czarny grzbiet otarł się o szybę. „Węgorz?” – pomyślał zaskoczony. Korciło go, żeby podejść, ale przemógł się i zamknął drzwi. Nie wiedział, że Pablo interesuje się akwarystką.

W łazience schłodził dłonie i twarz. Na pralce zauważył książkę o Tedzie Bundym. Seryjni mordercy zawsze fascynowali Pawła, między innymi dlatego takim szacunkiem darzył ojca Kubę. Pewnie czytał ją, biorąc kąpiel w żeliwnej wannie, pełnej ciemnych zacieków. Nie wyglądała zachęcająco.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał Pablo, kiedy Kuba wrócił do kuchni. Kolega siedział za stołem; ułożył telefon równo-legle do krawędzi blatu.

Dopiero teraz Zommer zauważył, że wszystko jest ustawione jak od linijki. Książki na dużym regale, ściereczki, myjka. Nawet kaktusy na parapecie. Mógł się założyć, że kiedy był w toalecie, policjant przestawił jego krzesło i poprawił kurtkę, którą Kuba rzucił niedbale na oparcie. Widocznie wprowadził chaos, którego Pablo nie mógł zaakceptować. Przygotował również dla swojego gościa wodę w wysokiej kryształowej szklance.

– Chciałem zapytać cię o chłopaka, który powiesił się w nawiedzonym domu w dziewięćdziesiątym siódmym, Rafała Nowickiego. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a wiem, że wtedy pracowałeś już na posterunku. Pamiętasz tamte wydarzenia? – Kuba wypił wszystko jednym haustem.

– Myślisz, że te sprawy coś łączy? – Pablo włożył splecione dłonie za głowę i wyciągnął nogi przed siebie. Przechylił się do tyłu i intensywnie myślał.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Kasia chyba interesowała się tą historią.

Policjant zmrugał oczy.

– Wiesz, że to był mój pierwszy tydzień służby? Miałem dwadzieścia pięć lat i po raz pierwszy widziałem trupa. Nigdy tego nie zapomnę.

– Podobno znalazła go koleżanka, Lena Potocka. Potem ty. Tak to było?
– W zasadzie można powiedzieć, że znalazłem ich oboje. On leżał na podłodze, bo ta dziewczyna odcięła sznur kawałkiem szkła. Sama zwinęła się w kącie i w pierwszej chwili myślałem, że też nie żyje. W ogóle się nie ruszała. – Wyprostował się i potarł twarz, jakby chciał odgonić wspomnienia. – Teraz to dorosła kobieta, ale wtedy... Ile ona miała lat? Chyba piętnaście. To jej syn zaginał, nie? Podobno spotykał się z Kasią... To wszystko jest popieprzone – dodał.

Dokładnie to samo pomyślał Zommer.

– Rafał zostawił list?

– Nie. Miał w kieszeni tylko niebieską kredkę i jakiś rysunek. Sprawę przejął wydział kryminalny z Kotlina, szybko zamknęli dochodzenie. Patolog uwinął się ekspresowo, nie miał wątpliwości, że Rafał się zabił. – Pablo przesunął tele-fon na drugi koniec blatu i ułożył równoległe do kolejnej krawędzi.

– Rysunek? – Kuba nie przypominał sobie, żeby taka informacja pojawiła się w aktach. – Jesteś pewien? Co na nim było?

Paweł spojrział zamyślony przez okno i przejechał dłonią po włosach.

– A może wszystko mi się pomieszało? Może to ta dziewczyna miała przy sobie rysunek? Kuba, przepraszam. To było dawno temu.

– A pamiętasz, co mówili wtedy ludzie? Pojawiły się jakieś plotki?

– Jak zawsze przy takich sprawach. Nagle wszystkich olśniło, że miał problemy w szkole i zachowywał się inaczej.

– W jakim sensie?

– Najdziwniejsze zeznania pochodziły od kierowcy auto-busu. Twierdził, że od roku Rafał wysiadał dwa przystanki wcześniej i wracał do domu pieszo.

– Sprawdziłeś, co tam było?

– No właśnie nic. Kawałek dalej leży wiocha zabita dechami z trzema domami na krzyż. Jakiś czas było o niej głośno, bo ktoś potrącił w okolicy chłopca i uciekł z miejsca zdarzenia. Pewnie pamiętasz tę sprawę. Nie znaleźli tego skurwiela, za to ten dzieciak po jakimś czasie wyzdrowiał.

– Trochę. – Kuba próbował sięgnąć do mglistych wspomnień. Kiedy to wszystko się rozgrywało, miał piętnaście lat. O czym wtedy myślał poza dziewczynami i piłką nożną?

– A kiedy ostatni raz widziałeś Kasię? – Jakub już wstał i zaczął zakładać na siebie kurtkę motocyklową.

– Nie wiem. – Policjant przejechał dłonią po głowie, zaczesując włosy do tyłu. – Nie pamiętam dokładnie.

– Ale wydawała ci się jakaś inna?

– Nie, taka jak zawsze. Wygadana, pyskata, pewna siebie.

– A co myślisz o Jaśku Potockim? Wiesz coś więcej o poszukiwaniach?

– Kontaktowałem się ze znajomymi w Warszawie, ale sprawa utknęła. Nie ma go na zdjęciach z monitoringów, resztę dopiero sprawdzają. Moim zdaniem albo nie żyje, albo komuś bardzo zależy, żebyśmy tak myśleli.

29.

Dawniej

Siedziałem na kocu w kratę gdzieś pośrodku lasu i próbowałem zapomnieć.

„Już po wszystkim, zaraz wrócisz do domu” – powtarzał lis i wcisnął się w środek podbrzusza.

– Spójrz na mnie – powiedział mężczyzna spokojnym tonem. Kiedyś nabrałbym się na ten łagodny głos. Ale zbyt dobrze go znałem, by nie słyszeć tego, co kryło się pod pozornym opanowaniem.

„Patrz, jak każę. Otwórz oczy, bo ci powieki przyszyję. Patrz, kurwa! Patrz, co mogę z tobą zrobić, ty śmieciu. Zostawiłeś chłopca na poboczu drogi? Myślałeś, że nikt się nie dowie? Lubisz ryzyko?”

Głupie serce. Po co tak waliło? Nie mogło się na chwilę zatrzymać?

Odważyłem się i podniosłem wzrok. Najpierw na opuszczone kąciki ust, potem nos, którego skrzydełka falowały, gdy brał oddech. A na końcu w oczy. Smutne i zranione, jakbym wyrządził mu największą krzywdę.

– Teraz obetnę ci włosy – wycharczał.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem brzęk maszyny i poczułem, jak sunie urządzeniem po mojej głowie.

Bum, bum, bum. Serce bało się najbardziej.

Siedziałem jak sparaliżowany. Po co to robił? Dlaczego nie mogłem się ruszyć, gdy był tak blisko? Dlaczego oddychał tak głośno...

Pasma spadały na ubranie i koc. Przyklejały mi się do spoconych rąk, łaskotały w kark.

Gdy skończył, wyciągnął z samochodu aparat fotograficzny i kazał mi zdjąć koszulkę.

– Stań na tle tej wysokiej sosny. Spójrz w lewo i zmruż delikatnie oczy. – Ustawiał mnie jak manekina.

Miałem wrażenie, że jestem częścią jakiejś historii. Czy każe mi odgrywać kolejną rolę?

– Schowaj aparat do samochodu, ja tu posprzątam.

Wokół nas leżały butelki po alkoholu, który pomagał mi znieczulić ból. Wziąłem starego nikon a i przez chwilę podważałem palcem naklejkę chevroleta, którą przykleiłem dawno temu. W środku było wiele zdjęć, których nigdy nie chciałybym oglądać. Co z nimi robił? Nie wiem. Kiedy je wywołał, oddawał mi aparat z nową kliszą i mówił, że na razie to mu wystarczy.

Ale kłamał. Zdjęcia nigdy nie starczały mu na długo. Patrzyłem, jak ociąga się ze sprzątaniami. Co chwilę przystawał, jakby się nad czymś zastanawiał. Nie złożył nawet koca... Dlaczego nie złożył tego pieprzonego koca?

„Wymyśl coś!” – rozkazałem lisowi. Dzisiaj miałem spotkać się z Leną. Dzisiaj nie mogłem być tchórzem. Rozważałem ucieczkę z lasu. Dotarłbym do domu w godzinę. Ale potem co? Przecież wiedział, gdzie mieszkam, gdzie się uczę.

Wsiadłem do auta i zamiast do schowka wsunąłem nikon a do swojego plecaka.

– Mama na mnie czeka. Dzisiaj miałem mieć skrócone praktyki – powiedziałem.

„Ty idioto!” – wyzywałem się w myślach. „Co ty sobie myślisz? Przecież to z daleka śmierdzi ściemą. On zbyt dobrze cię zna”.

Liczyłem ziarenka piasku pod butami, byle nie patrzeć mu w oczy. Modliłem się do wszystkich znanych mi bogów, żeby odpuścił.

Tak bardzo się bałem. Z tyłu woził sznur, mógł mnie przywiązać do pnia. Raz tak zrobił.

„Tylko raz?” – zapytał lis. On też starał się nie patrzeć. Co działo się w tym lesie, zostawało tutaj. Spychałem to głęboko. Inaczej bym oszalał. Dostrzegłem kątem oka, jak mężczyzna składa koc, wsadza go do bagażnika i w końcu wsiada do samochodu.

– Ładnie wyglądasz – powiedział i pogłaskał mnie po policzku.

Wysiadłem przed Górkami, ale zamiast iść do domu, skręciłem nad pobliski strumyk. Potrzebowałem samotności i czasu, żeby się pozbierać. Odnaleźć w sobie chłopaka, który umówił się, że odbierze Lenę z pociągu. Przejechałem dłonią po głowie. Krótkie włoski kłuły w rękę. Po dzisiejszym spotkaniu z mężczyzną czułem, że jest mnie mniej. To głupie, bo przecież zrobił już gorsze rzeczy niż to, że ogolił mi głowę.

Wstążka wody przecinała łańcuch wysokich łąk. W pobliżu nie widziałem żywej duszy.

– Zwolnij – powiedziałem i położyłem rękę na klatce piersiowej. – Jestem bezpieczny.

Wziąłem kilka głębokich wdechów. Pachniało glonami i chabrami, których postrzępione granatowe główki wychylały się ku słońcu.

Suche trawy chrzęściły mi pod stopami, ich łodygi uginały się i łamały, kiedy zrzucąłem z siebie kolejne warstwy ubrań. Wsunąłem dłoń do lodowatej wody i wyobrażałem sobie, że prąd zabiera wszystko, co złe. Że strumień ma magiczną moc zmywania grzechów i zasklepiania dziur w sercu. Ja nie pragnąłem wiele. Chciałem choć na chwilę cofnąć się do dnia sprzed siedmiu miesięcy.

– Czy mi na to pozwolisz? – rzuciłem pytanie i wyjąłem ze strumienia kamień o gładkich brzegach. Przesuwałem opuszkami palców po śliskiej powierzchni, szarej jak piasek pustyni. Stałem na środku strumienia, woda sięgała mi za kolana. Usiadłem i nabrałem powietrza w płuca, powoli kładąc się na dnie. Czułem, jak woda mnie obmywa, wciskając się w zakamarki ciała. Teżałem od zimna.

„Wylecz mnie” – poprosiłem w myślach, zmieniając się w jeden z kamieni. Świat nad moją głową mienił się i falował. Wszystko odpłynęło.

Marzyłem, że gdy wstanę, też będę miał gładkie brzegi.

CHOMIKO - WARNIA

30.

Obecnie

Lena wróciła z komendy po osiemnastej. W drodze odebrała pełen niepokoju telefon od byłego męża, który oznajmił, że będzie w Warszawie za tydzień.

– Naszego syna wciąż nie ma. Musimy go znaleźć – powiedział.

Oczywiście miał rację, tylko nikt nie wiedział, jak to zrobić. W internecie huczało od plotek. W komentarzach pod artykułami na temat zaginięcia Jaśka Lena czytała, że na sobotniej imprezie był „nieźle napruty”. Że „szpanował”, „ogłądał się za laskami”, ale i „ta Kasia to też nieźle ziółko”. „Byli siebie warci”.

Byli. Ludzie używali czasu przeszłego.

– Mój Jasiek przecież żyje – szeptała.

Poszła do kuchni po jabłko i usiadła na ławce przy drzewie wroniej mamy. Chwilowo zawarły rozejm. Nie krzyczała, nie śpiewała obraźliwych piosenek. Lena nauczyła się jej języka. Trzy gardłowe, przeciągnięte „rrr” i chwila przerwy. Teraz przyglądała się kobiecie zaciekawiona, podskakując wokół grubego pnia, jakby pytała: „I co teraz zrobisz?”

– Nie wiem. Gdybym wiedziała, nie siedziałabym na starej ławce. – Lena wzruszyła ramionami i wgryzła się w cierpkie jabłko.

– Rozmawiasz z Luizą?

Ze strachu prawie upuściła owoc. Mama Rafała stała za nią, przy płocie. Nie było słychać, kiedy się zbliżała.

– Dzień dobry. – Wstała i podeszła do niej. Sztachety sięgały Lenie za biodra. Kiedyś często przez nie przeskakiwała. – Luizą? Ma pani na myśli ten mały czarny charakter? –

Wskazała na wronę i rzuciła w jej stronę ogryzek jabłka.

Grażyna Nowicka zaśmiała się szczerze.

– Dobrze to ujęłaś. Nazwałam ją po mojej świętej pamięci babce, która strofowała nas zupełnie tak, jak ona te swoje pisklaki. Mam ubaw, ilekroć krzątam się po podwórzu i ją słyszę.

Przez chwilę Lena zatrzymała wzrok na twarzy kobiety. W tych zmarszczkach kiedyś krył się uśmiech. Piekła najlepsze ciasto drożdżowe na świecie. Kiedy Lena była dziewczynką, matka Rafała czesała jej warkocze, pozwalała przymierzać swoje sukienki. A teraz? Oczy Nowickiej wypłakały cały kolor. Z biegiem lat tęczęwki robiły się coraz bardziej wyblakłe. Martwe.

– Lena, gdybyś potrzebowała pomocy, to wiesz, że jestem, prawda? – zapytała. – Modłę się, żeby Jasiek się odnalazł. I za Kasię. W głowie mi się nie mieści to, co się wydarzyło. – Ciężko westchnęła i zapatrzyła się w jakiś punkt za plecami sąsiadki. – Boję się, że miałam w tym swój udział.

– Pani? W jakim sensie? – Lena zacisnęła dłonie na płocie.

– Wiesz, że sprzedajemy dom? Przeprowadzam się do mojej siostry, nie radzę sobie z opłacaniem rachunków i tym wszystkim. – Machnęła w stronę zaniedbanego ogrodu. – Jak wyjechałaś w góry, poprosiłam Jasia o pomoc w wywiezieniu kilku gratów na wysypisko. Głównie z pokoju Rafała.

Lena zaczęła analizować fakty.

– Czy może pani poczekać chwilę? – Podbiegła do domu po stary aparat fotograficzny, który znalazła u Jaśka w torbie. Pokazała jej nikoną z naklejką chevroleta. – To należało do Rafała?

– Wydaje mi się, że tak.

– Czy w środku była klisza?

– Lena, nie pamiętam.

– Zabrali coś jeszcze?

– Wiem, że Kasi spодobały się niektóre rysunki.

Lena widziała, że mówienie przychodzi jej z trudem. Pomyślała, że musi powstrzymać emocje i zmienić ton, żeby nie brzmieć zbyt napastliwie.

– Przecież nie zrobiła pani nic złego – próbowała ją przekonać.

– Nie wiem kochanie, nie wiem... – Łzy spływały jej po twarzy, zatrzymując się w zmarszczkach. – Chciałam dobrze, ale oni pytali... O niego, o ciebie. A teraz ta dziewczyna zrobiła to samo, co mój Rafałek. W tym samym domu. Przecież to nie może być przypadek.

„A w dupie z tym płotem!” – pomyślała Lena i przeskoczyła przez niego. Przytuliła panią Grażynkę i po raz kolejny uderzyło ją, jak wiele je łączy.

– To nie pani wina – powtarzała.

„To przeze mnie. Nie potrafiłam uratować Rafała. Nie wiedziałam, co się dzieje z moim dzieckiem. Ani z jednym, ani z drugim. Gdyby pani знаła prawdę...” – myślała. Zrobiło jej się gorąco. Wspomnienia wznieciły żar w ciele.

– Przepraszam, wiem, że masz swoje problemy, a ja tylko zajmuję ci czas – powiedziała sąsiadka.

– Mam go aż za dużo.

Kobieta odsunęła się i wytarła twarz fartuchem. Odetchnęła głęboko.

– Już dobrze. Chyba chciałam, żebyś wiedziała.

Żar zmienił się w ogień i dosłownie pożerał Lenę od środka.

Nowicka pożegnała się i poszła do domu. Martwiła się o męża, który został zbyt długo sam. Po wylewie stał się całkowicie zależny od żony. Lena zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna dotrzymać jej towarzystwa, może mogłaby w czymś pomóc. Wronia mama wybiła

jej ten pomysł z głowy, wrzeszcząc, jakby ktoś polewał ją wrzątkiem. „Chyba zwariowałaś! Może jeszcze będziesz grzebać w rzeczach Rafała? Ha, ha, ha. Lena, przecież ty się tam rozsypiesz jak moje gniazdo zeszłej zimy!”

– Masz ochroniarza? – Kuba Zommer stał przy furtce i szeroko się uśmiechał. – Chyba myślisz, że jesteś jednym z pisk-ląt, co nawet by się zgadzało. Też jesteś wygadana. No i masz czarne włosy. Dasz się zaprosić na kawę? Albo lody?

Lena się zgodziła. Czuła, że potrzebuje przyjaciela, spaceru i kofeiny.

– Zaczęła już zostawiać prezenty? – zapytał Kuba, kiedy mijali grupkę roześmianych nastolatków. Przepychali się i Lena prawie wpadła na dziewczynę z kolorowymi warkoczami.

– Kto?

– Twoja ptasia mama. Kiedyś dokarmiłem wrony, które zadomowiły się na naszym podwórku, i zaczęły przynosić błyskotki. Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale znalazły nawet kluczyk od skrzynki na listy, który zgubiła moja mama w drodze na zakupy. – Na jego policzkach pojawiły się dwa dołeczki. Lena coraz bardziej go lubiła, przypominał jej duże dziecko. – To bardzo mądre ptaki.

– Chyba jeszcze nie jesteśmy na tym etapie. Luiza dopiero się do mnie przyzwyczaja.

Gawędzili o ptasich zwyczajach, mijając domy, w których kiedyś mieszkali znajomi. Budynki były podobne do siebie, jakby ktoś je skopiował i zmienił zaledwie kilka detali. Firanki, kwiaty w doniczkach, kolor elewacji.

Lena zaczęła żałować, że urwała wiele kontaktów. Nie odpisywała na wiadomości, nie przyjeżdżała na zjazdy klasowe. Nawet jeśli kogoś spotkała i udało się zamienić kilka zdań, nie dotyczyły niczego ważnego. Rozmowy utkane z waty, o wszystkim i niczym. A teraz, kiedy wróciła do Górka z własnej woli, żeby poskładać coś, co zepsuła, okazało się, że nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Patrzyła na Jakuba, który żywo gestykulował. Podobało jej się to. Jego dłonie, ramiona, mimika. Wszystko było częścią historii, którą w danym momencie opowiadał.

– To jak? Chciałabyś kilka patyczaków? – zapytał, a ona wybuchnęła śmiechem. Przed chwilą rozwodził się nad leniwą naturą owadów, które całe życie udają badyle, a teraz zaproponował jej kilka z nich.

– Przykro mi, ale jestem fatalną opiekunką. Ledwie radzę sobie z jedną wroną.

– Zastanów się! – Otworzył przed koleżanką furtkę do lokalu z lodami i kawą.

Wybrali miejsce pod spłóviałym parasolem, na uboczu kawiarni. Oboje wiedzieli przecież, że nie będą wiecznie rozmawiać o zwierzętach.

– Dla mnie biała z bitą śmietaną i deser lodowy – powiedział Zommer do kelnerki.

Lena nie miała pojęcia, jakim cudem ten facet wciąż nie ma brzuszka. Mogła się założyć, że gdyby uniósł koszulkę, zobaczyłaby sześciopak.

– A ja tylko czarną kawę – powiedziała.

Kuba posłał jej oburzone spojrzenie.

– Przynieś nam, Karolinka, dwa takie desery! Jeśli koleżanka nie zje, to się poświęcę.

Kelnerka roześmiała się i poszła do lokalu. Lena patrzyła, jak Zommer wodzi za nią wzrokiem. Dziewczyna wyglądała bardzo podobnie do Kasi. Też miała długie, czarne włosy i niebieskie oczy. Tę samą lekkość w ruchach, jakby unosiła się kilka centymetrów nad ziemią.

– Wczoraj w nocy napisałam artykuł o tej imprezie, którą Kasia organizowała dla Poli. Jej koledzy i koleżanki z klasy obiecali pomóc w organizacji. Szkoda, żeby praca twojej siostrzenicy poszła na marne – powiedziała.

– Dziękuję ci, że się tym zajęłaś. Głupio mi, bo nie kiwnąłem palcem w tej sprawie.

– Daj spokój. – Lena wzruszyła ramionami. – To nic takiego. – Wyjęła telefon, żeby

pokazać mu stronę zbiórki na leczenie dziewczynki. Wczoraj brakowało jeszcze ponad dwustu tysięcy, ale ludzie udostępniali sobie informacje i chociaż kobieta nie zamierzała o tym mówić Zommerowi, śmierć Kasi nagłośniła operację Poli.

– Porozmawiamy o Jaśku? – zapytał Kuba.

– A co konkretnie chcesz wiedzieć? – Lena przypomniała sobie syna i ten gest, kiedy odsuwał kosmyk z oka. Minęły trzy dni, od kiedy z nim rozmawiała. Ten czas składał się z nieprzespanych nocy i strachu, którego skala już dawno się skończyła.

– Jak wyglądała jego relacja z Kasią? Jak to się zaczęło?

– Chyba na początku lipca w ubiegłym roku. Była kilka razy u nas w domu. Ale raczej zamykali się w pokoju. Wiesz, nastolatkwie. – Lena wzruszyła ramionami.

„Powinnam ich pilnować” – pomyślała jednak. Przypomniała sobie film, który widziała na komendzie. Seks i narkotyki. To, że Jasiak podbierał matce leki.

Zommer wpatrywał się w kobietę tak intensywnie, że zrobiło jej się nieswojo. Wyglądał, jakby czytał w myślach. Miał znajomych w komendzie powiatowej. Pewnie o wszystkim wiedział. Nie było sensu przed nim udawać. Lena czuła, że jeśli może być z kimś szczerą, to z tym olbrzymem o miękkim sercu.

– Pewnie masz na myśli ten film, który pokazała mi ta twoja znajoma policjantka? – zapytała prosto z mostu.

Kelnerka postawiła przed nimi kawy i desery lodowe. Ich porcje robiły wrażenie.

– Film? – Kuba wziął łyżeczkę i zaczął zjadać bitą śmietanę. – Nic nie wiem. Opowiedz mi o tym? Co na nim było?

Lena wzięła głęboki wdech.

– Kasia i Jasiak uprawiali seks – powiedziała. Niech Jakub wie, że jego siostrzenica też miała swoje demony i nie była taka idealna, za jaką wszyscy ją uważali.

Zommer prawie zakrztusił się lodami.

– Nagrali to dla zabawy. – Kobieta przesuwając spodek z filiżanką po stole i patrzyła, jak czarna ciecz wylewa się na talerzyk. Czuła ścisk w żołądku na samą myśl o tym, co powinna powiedzieć. – A potem Jasiak wyjął z torby narkotyki, Kasia połknęła jakąś tabletkę. Nie jestem pewna, co było dalej, bo wyłączyli kamerę.

– Co dokładnie było w tej torbie?

– Nie wiem. Zauważyłam marihuanę. Biały proszek w woreczkach. Może amfetamina? I moje tabletki na depresję. – Ostatnie zdanie powiedziała ciszej. – Chyba nie robili tego po raz pierwszy.

– Czy twój syn miał wcześniej problemy z narkotykami? Był na odwyku?

– No coś ty!

– A od kiedy mógł brać? Kiedy mieszkaliście w Warszawie, nie zauważyłaś, że zachowuje się inaczej?

Lena patrzyła, jak jej deser lodowy topnieje, i zastanawiała się, czy jest przewrażliwiona, czy ton głosu Jakuba naprawdę stał się agresywny.

– Albo tutaj, już po waszej przeprowadzce. Czy nie miał z tym problemu? Wiesz, zostawił tam kumpli. Mogło być mu ciężko. To mała wieś, a on był przyzwyczajony do życia w stolicy. Może po prostu się nudził? Potrzebował dopalaczy, bo szukał wrażeń?

Lena nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Zommer w najlepsze bawił się w psychoanalitka, a ona poczuła złość. Brakowało jeszcze, żeby zapytał o jej byłego męża.

– A jak relacje Jaśka z tatą?

Musiał zauważyć minę koleżanki, bo uniósł dłonie tak, jakby próbował się wycofać.

– Lena, ja po prostu szukam katalizatora. Nie wiem, co się działo z Kasią.

– Odebrała sobie życie. Po prostu. Może miała depresję, którą ktoś przegapił? Może w jej życiu zdarzyło się coś złego? Może...

– ...ktoś ją do tego namówił? – dokończył Zommer.

Kobieta prawie straciła kawę ze stołu. Starła się jednak zachować klasę i spokój, tym bardziej że Jakub jakby nigdy nic łądował właśnie do ust kolejną porcję lodów.

– A nie wydaje ci się dziwne, że tak się zainteresowali historią Rafała? Wiesz, te ćmy w pokoju Kasi. Przecież ty i Rafał... Może Jaśka za bardzo wciągnęła ta historia? Może drażył temat i podzielił się tym z Kasią? To wrażliwa dziewczyna, może to ją dobiło? Chciała sprawdzić, jak to jest... – kontynuował. Odłożył łyżeczkę i było widać, że waży słowa. – Czy on wiedział, co cię spotkało? Opowiadałaś mu o relacji z Rafałem? To musiało być trudne. Lena... – Wyciągnął dłoń, jakby zamierzał złapać ją za rękę.

Odsunęła krzesło i cofnęła się gwałtownie, wylewając kawę się na stół.

– Rozumiem, że wszyscy uważacie, że to Jasiek jest winien! W takim razie rusz dupę, Sherlocku, znajdź go i zamknij w więzieniu! Przynajmniej będę pewna, że jest bezpieczny.

Zommer zaczął podnosić się z krzesła.

– Nie fatyguj się, pójdę sama – dodała i rzuciła na stół pięćdziesiąt złotych.

Lena nie dbała o to, co pomyśli o niej kolega. W tamtej chwili chciała znaleźć się jak najdalej od niego i pytań, które wypalały jej w sercu ogromną dziurę.

Nie powiedziała mu o aparacie, który należał do Rafała, i zdjęciach, które Kasia i Jasiek prawdopodobnie wywołali. Na dodatek w jej łazience. Ale co na nich było? Czy to był ten katalizator, o którym wspomniał Jakub? Trudno było sobie wyobrazić, że przez fotografie ktoś odbiera sobie życie. W tej historii zbyt wiele rzeczy do siebie nie pasowało.

31.

Obecnie

Kuba dotknął nagrzaną ulicę i wcisnął kciuk w asfalt, zostawiając na nim swój ślad. Rano pojechał do miejsca między Górskiem a Kotlinem, w którym Rafał Nowicki podobno wysiadał z autobusu. Nie wiedział, czego się spodziewać, i nie znalazł odpowiedzi wśród spalonych słońcem traw.

„Kompletne pustkowienie” – pomyślał. Droga, pobocze, a dalej kilka rozrzuconych domów. Czego szukał tutaj Rafał? Albo kogo? Jeśli wracał z przystanku pośrodku niczego do swojego domu, musiał pokonać siedem kilometrów drogi. To półtora-godzinny spacer, który trudno zaliczyć do przyjemnych, jeśli co chwilę mijają cię rozpędzone samochody. No chyba że chcesz pod nie wpaść. Właśnie jeden z nich zatrzymał się przy Kubie. Włączył kierunkowskaz, widocznie jechał w stronę pobliskiej wioski.

– Pomóc panu? – Chłopak z okularami słonecznymi na nosie opuścił szybę. – Zepsuł się?
– Kiwnął w stronę motoru.

– Dziękuję. Wszystko w porządku.

Chłopak wyglądał na młodego, ale Zommer zaryzykował.

– Podobno dawno temu ktoś potrącił w tej okolicy chłopca – zaczął. Chciał lepiej poznać tę historię, a sprowadzanie akt z archiwum zajęłoby tygodnie. – Pan już wtedy tu mieszkał?

– Mnie nie było jeszcze wtedy na świecie! – Kierowca się zaśmiał. – Ale to mój tata znalazł tego Krzysia. Potem opowiadał, że do nocy szukali sprawcy wypadku. Były plotki, że ukrył się w lesie. Tam, gdzie policja znalazła samochód, czarnego mercedesa W202. Ktoś go ukraść, a potem potrącił tego chłopca. Ciekawe, co nie?

– Sporo pan pamięta.
– Ojciec ciągle mnie straszył tym wypadkiem. Musiałem od razu z autobusu iść w pole. Powtarzał: nie idź poboczem! A wie pan, że ten Krzychu jest teraz kierowcą ciężarówki? Zupełnie wyzdrowiał. – Za chłopakiem stanął kolejny samochód, więc kiwnął ręką do Zommera i pojechał przed siebie.

Kuba się zastanawiał, czy wypadek ma cokolwiek wspólnego z Rafałem. Przecież wydarzył się ponad pół roku przed jego samobójstwem. Te sprawy łączył tylko przystanek autobusowy pośrodku niczego.

Wsiadł na motor i ruszył do domu. Wiatr wciskał się w szczelinę między kaskiem a kurtką i łaskotał go w skórę. Tliło się w nim poczucie winy za wczorajszą sprzeczkę z Leną. Zamierzał ją przeprosić, ale nie do końca wiedział, jak się do tego zabrać. Kojarzyła mu się z jeżem, którego ich pies obszczekiwał na podwórku. Delikatna, wrażliwa, łatwo można było ją skrzywdzić, a jednocześnie wystawiała kolce. No dobra, może nie popisał się wczoraj i kilka jego pytań można było uznać za zbyt zuchwałe. Ale czy aż tak? Czy naprawdę przesadził? Próbował przecież ustalić, co spotkało Kasię.

Wszedł teraz do kuchni i zastał Artura rozkładającego na stole bawełniany ręcznik. Doskonale wiedział, co to oznacza. Cotygodniowe czyszczenie kolekcjonerskiej broni, którą ojciec trzymał w sejfie w swoim pokoju. Sprawnie rozłożył na części rewolwer Alfa Steel z drewnianą rękojeścią, a potem zabrał się do rozkładania glocka. Po wszystkim równie szybko złożył pistolety z powrotem.

– Pomożesz mi? – Przesunął w stronę Kuby skrzyneczkę ze szmatkami, wyciorami, szczoteczkami i środkami czyszczącymi. W języku ojca należało to rozumieć jako „przepraszam”.

W pierwszej chwili Zommer miał ochotę odmówić albo zawiązać pistolety w ręcznik i wyrzucić przez okno. Ale po chwili namysłu zdjął ciężką kurtkę, nalał sobie do szklanki mrożonej herbaty i między jednym a drugim łykiem skłamał:

– Chętnie.

Przemógł się i usiadł naprzeciw.

„Nowy dzień, nowe szanse” – pomyślał i zakropił olej do lufy. Przez kilka minut nie odzywali się do siebie. Myślał o tym, że z podobnej broni ojciec strzelał do człowieka. Gdy złapał Patryka Madeja, seryjnego mordercę spod Bydgoszczy, postrzelił go w nogę. Mówił potem w wywiadach, że to była sytuacja „najwyższej próby”. „Czy wyobraża to sobie pani? Stać w oko w oko z bestią i nie wyrwać jej kłów?” – zapytał dziennikarkę.

Kuba spojrział na jego dłonie.

– Jak to jest, kiedy trzeba nacisnąć spust?

– Normalnie – odpowiedział Artur. Nie przestawał czyścić rewolweru. – Musisz to zrobić szybko. Tak, jakbyś brał oddech.

– Dlaczego postrzeliłeś go tylko w nogę? Przecież mogłeś go zabić. Podobno miał w ręku strzelbę.

Spojrzał na syna, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Kuba poczuł się nieswojo.

– Bo w jego przypadku śmierć była nagrodą. Nie zasłużył na nią. – Odsunął rewolwer i wyciągnął dłoń po glocka. – Daj, dokończę za ciebie. A zamówiłeś już kwiaty na pogrzeb? – Ojciec zmienił temat.

– Właśnie jadę – odpowiedział Kuba. Planował wprowadzić wizytę w salonie fryzjerskim, w którym Kasia miała praktyki, ale kwaciarnia znajdowała się niedaleko. Mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Pamiętaj od razu o zniczach. I może kup jakieś ładne kwiaty dla mamy. Chyba dawno

u niej nie byłś.

„Jeden zero dla ojca” – pomyślał Zommer. Siedzieli przy tym stole zaledwie piętnaście minut, a już wkradła się między nich jakaś wzajemna niechęć. Jakub nienawidził rozmawiać z płytą nagrobkową. Chodził na cmentarz tylko wtedy, kiedy musiał. W przeciwieństwie do ojca, który dbał o zmarłych bardziej niż za życia.

– Jak umrę, to staraj się bardziej. Nie ma nic gorszego niż te zaniedbane mogiły z chwastami po bokach. – Artur zaczął się nakręcać. Jego ruchy, kiedy czyścił wyciorem olej, były coraz szybsze. Pulsowała mu żyłka na skroni.

– Jasne – odpowiedział Kuba i wstał. Musiał jak najszybciej wyjść, zanim wymiana zdań wymknie się spod kontroli. Cisnęły mu się na usta słowa, których nie chciał powiedzieć, w stylu: „Jak umrzesz, to w końcu będę miał spokój”. Ale to przecież nie była prawda, doskonale wiedział, że kiedy stary, upierdliwy ojciec odejdzie, jego życie też w pewien sposób się skończy.

Salon fryzjerski „U Soni” wcisnął się między sklep spożywczy a małą budkę z lodami, która funkcjonowała tylko w okresie letnim. Kiedy Zommer zaparkował po drugiej stronie ulicy, zauważył spory ogonek klientów, czekających na amerykańskie śmietankowe.

– Dzień dobry – przywitał się, wchodząc przez otwarte drzwi.

Uderzył go zapach lakieru do włosów i ta specyficzna, chemiczna woń salonu fryzjerskiego. Mieszanka spalonych włosów z farbą. Widział, że ciocia Sonia coś mówi, ale zagłuszyła ją suszarka. Wyłączyła ją na chwilę.

– Kubuś, poczekaj, aż skończę. Po pani Joli mam przerwę i wypijemy kawę.

Zommer usiadł na krześle i przyglądał się, jak układa włosy klientki na grubej szczotce. Zawsze fascynowały go te wymyślne fryzury starszych kobiet, rodem z kreskówki *Simpsonowie*. W środku wysokiego upięcia spokojnie mógłby uwić gniazdo jakiś ptak.

Kiedy właścicielka salonu skończyła, przygotowała dwie kawy po turecku. Gorący kubek parzył Jakubowi dłonie, więc postawił go na sąsiednim krześle. Gruby kozuch zmielonej kawy unosił się na powierzchni, pozostawiając drobne ziarenka na brzegu naczynia.

Sonia zamknęła drzwi, usiadła na miejscu dla klientów i zdjęła buty. Paznokcie u stóp miała różowe jak landrynki. Ostatnimi laty sporo przytyła, domyślał się, że praca, podczas której musi na okrągło stać w niewygodnej pozycji, przeciąża jej stawy. Od lat niezmiennie uwielbiała falbany i nawet do fartucha fryzjerskiego przyszyła kilka rzędów, przez co wyglądała jak beza.

– Nie gniewaj się, Kubuś, ale bolą mnie nogi. Gdyby jednak nie ta praca, to nawet z łóżka bym nie wstała. Wciąż myślę o Kasi. – Zamrugła szybko, żeby powstrzymać łzy, ale kilka z nich zebrało się w kąciakach oczu. – Daj mi chwilę. – Wstała, wsunęła buty i poszła na zaplecze. Wróciła z kartonikiem chusteczek. – A ty jak sobie radzisz? Przecież byłeś jej ulubionym wujkiem. Jak była mała, to straszyla tobą chuliganów w klasie. Wiedziałeś? Mówiła: „Przyjdzie wujek Kuba i zrobi z wami porządek!”.

Kuba chrząknął, żeby pozbyć się tego, co właśnie urosło mu w gardle. Nie chciał się rozklejać.

– Opowiadała mi o tym niedawno. – Zaśmiał się smutno. – Ciociu, powiedz mi, czy w sobotę zachowywała się inaczej? Bo była wtedy w pracy, prawda?

– Tak, do dwunastej.

– Coś cię zaniepokoiło?

– Jeśli mam być szczerą, to tak.

Zommer czytał, że kilka godzin przed śmiercią samobójcy mają zupełnie oderwane poczucie rzeczywistości. Jakby funkcjonowali w równoległym świecie. Ich rodziny zazwyczaj mówiły, że „byli jacyś inni”.

– W jakim sensie? – zapytał.

– Nie mogła się skupić, myliła kolory farb. Ciągle z kimś esemesowała. Nie wiem, była jakaś taka rozbita. Chciałam ją nawet wysłać do domu, myślałam, że jest chora. Powiedziałam o tym wszystkim tej policjantce, Marice. Ale może zapytaj Pawła, odwoził ją do domu.

– Pawła Rzepeckiego?

– No twojego Pawła z komisariatu. Jak wy na niego mówicie? A, już wiem, Pablo. Że niby taki podobny do Hiszpana?

– Podobno – odparł Kuba.

Zaczął analizować informacje. Kiedy był u kolegi w domu, ten powiedział, że nie pamięta, kiedy ostatnio widział Kasię. Czy to możliwe, że zapomniał o tym, że ją odwiózł do domu w przeddzień jej śmierci? To wydawało się dziwne, wręcz nierealne. Pod skórą pojawiło się to niepokojące uczucie zimna. Mrowił go kark.

– Był jej ostatnim klientem. Zresztą zawsze umawiał się tylko do naszej Kasi. Od kiedy umarła mu matka, zaczął dbać o siebie bardziej niż panna na wydaniu. Nawet się zastanawiałam, czy jej nie podrywa, tak jakoś... No nie wiem. Przyglądał jej się, kiedy myślał, że nikt nie widzi.

– Dziękuję za wszystko. – Zommer dopił kawę duszkiem, żeby nie sprawiać cioci przykrości. Przy okazji połknął sporo fusów. Drapał go przełyk.

Czy to możliwe, że Paweł próbował wykorzystać Kasię? Umówić się z nią? Owszem, skończyła szesnaście lat, była atrakcyjna, ale czy pięćdziesięciolatek mógł liczyć na jej zainteresowanie? Przecież miała chłopaka.

Kuba pożegnał się i wszedł zaniepokojony do samochodu. W ostatniej chwili przypomniał sobie o kwiatkach. Poszedł jeszcze do kwaciarni i zamówił wieniec pogrzebowy oraz bukiet dla mamy. Najbardziej lubiła tulipany, ale poszedł za głosem rozsądku i wybrał róże, które dłużej utrzymują świeżość.

Zastanawiał się, dlaczego Pablo nie powiedział mu o spotkaniu z Kasią? Przecież to istotna informacja. Gdyby to on wiozł siostrzenicę do domu w przeddzień jej śmierci, na pewno by zapamiętał, o czym rozmawiali. To kłamstwo budziło w nim strach. Bo przecież ufał Pawłowi. Jeszcze rano bez wahania powierzyłby mu swoje życie.

Przypomniał sobie, jak kolega pojawił się przy nawiedzonym domu, kiedy znaleziono zwłoki. „Wróciłem wczoraj w nocy z urlopu” – Kuba był pewien, że padło takie zdanie. Jeśli tak, to wyjazd był rekordowo krótki. I trwał od soboty popołudnia, kiedy to podrzucił Kasię po pracy do domu, do soboty w nocy, kiedy to rzekomo wrócił. I ten jego dom. Dziwnie czysty, jakby miał manię sprzątanania albo bardzo chciał ukryć ślady.

Tylko czego? I ta jego przeprowadzka do Warszawy. Może tak naprawdę chciał uciec z Górską. Tylko przed czym? Przed kim?

„Odbija mi” – pomyślał Zommer i wszedł do samochodu. Przymknął powieki, ale wciąż widział jedynie czysty salon kolegi z komisariatu i pokój z tym dziwnym akwariem. Co w nim pływało? Policjant mieszkał ze schorowaną matką od wielu lat. Nigdy nie związał się z nikim na stałe. Dlaczego? Co ukrywał? Kuba był na pogrzebie tej kobiety, ledwie ją dostrzegł w trumnie wyłożonej aksamitem. Była tak chuda, że wyglądała jak kości obleczone skórą. Na głowie miała perukę. „W ostatnich tygodniach choroby niewiele jadła. Chemia pozbawiła ją wszystkich włosów. Wiesz, potem jak odrastały, to prosiła mnie, żebym je golił. Dziwne, nie?” – mówił Pablo i głaskał ją po dłoniach. Wtedy Zommerowi się wydawało, że ten gest był pełen miłości. Teraz się zastanawiał, czy policjant nie zagłodził własnej matki, bo rajcowało go cierpienie.

Kuba wyrósł w cieniu faceta, który schwytał seryjniaka. Książki profilerów kryminalnych i historii, które mroziły krew w żyłach, znał na pamięć. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Pablo ma jakąś tajemnicę. Może Kasia ją odkryła i dlatego musiała umrzeć? Wiedział, że nie odzyska spokoju, dopóki tego nie sprawdzi. Postanowił, że dogrzebie się do wszystkich brudów, które

skrywał kolega z komisariatu. Zimno pod skórą zmieniło się w nieprzyjemne mrowienie.

CHOMIKO - WARNIA

32.

Dawniej

Zdążyłem po Lenę akurat wtedy, gdy pociąg wtoczył się na stację. Lis miotał się we mnie, jak zawsze, kiedy ją widział. „Pozwól jej się zbliżyć! Ten jeden raz!”

Zabrałem ją do Wilg polnymi drogami. Po drodze zrobiła wianek z mleczy, który rozpadł się, kiedy wciskała mi go na głowę. Nie ucieszyła się, kiedy powiedziałem, że idziemy „do tej nawiedzonej rudery na końcu wsi”. W przeciwieństwie do niej lubiłem stary dom. To ja zawiesiłem brązowy koc w drzwiach i napisałem kilka haseł na ścianach.

Czasami wyobrażałem sobie, że ten dom znowu jest szczęśliwy, innym razem obracałem się w ruinę razem z nim.

– Mama nie będzie zła, że przyszedłeś tu prosto z pociągu? – zapytałem, kiedy siedzieliśmy na ganku i podałem jej ciepłą puszkę z piwem. Buchnąłem ją z warsztatu ojca. Zawsze miał zapasowy czteropak w szafce. Zdążę go odkupić, zanim zauważy.

Lena przyjechała z Torunia zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Położyła świadectwo na deskach, z których odchodziła niebieska farba. Gdy przez przypadek musnęła moją rękę, przeszył mnie prąd.

– Mówiłam, że odbierzesz mnie ze stacji. Skłamałam, że idziemy na pizzę. – Rozpięła kilka guzików koszuli. Widziałem koronkę jej biustonosza.

– Smakuje? – zapytałem przekornie. Widziałem, jak się krzywi.

– Jest spoko.

Kłamała. Ciepłe piwo nie mogło być smaczne. Nawet dla mnie.

– Muszę w krzaki. – Poprawiła spódnicę, która odsłoniła jej uda, i ruszyła prosto w gęste

rośliny przy studni.

Wstałem po cichu i skierowałem się do środka domu. O tej porze słońce tworzyło na podłodze sieć figur. Światło wydobywało z wnętrza całą jego historię. Ktoś palił ognisko pod oknem, ktoś inny rozbił butelkę w rogu. Tutaj jakieś zwierzę wydrapało dziurę, a tu człowiek musiał cierpieć. Rozpoznałem na starych deskach krew.

Stałem przy oknie i zauważyłem, że Leny nie ma przed domem, poszedłem więc do drugiego pokoju i wypatrzyłem ją na podwórzu. Stała zwrócona w stronę lasu. Włosy muskały jej ramiona, uniosła głowę lekko do góry. Wiedziałem, że mnie szuka.

– Czy potrafisz mnie ocalić? – zapytałem i dotknąłem nagrzaną słońcem szyby.

Zauważyła mnie.

Uśmiechnąłem się i gestem zawołałem do środka.

– Hej – powiedziała bezgłośnie.

Wiedziałem, że boi się wejść, ale ruszyła w moją stronę jak na skazanie. Śmiać mi się chciało. Cała Lena.

– Wiesz, że tak naprawdę tu nie straszy? Wszyscy tu przychodzą poza tobą – powiedziałem, kiedy w końcu stanęła w progu.

– Ty też? Przychodzisz, kiedy mnie nie ma?

Ociągałem się z odpowiedzią. Ile mogę jej powiedzieć? Czy chcę, żeby poznała wszystkich Rafałów?

„Nie” – ostrzegł mnie lis. „Wszystko zepsujesz!”

– Czasami. – Podeszedłem do niej i powoli splotłem nasze dłonie. – Zmieniłaś się – wyszeptalem, próbując zrozumieć, co mam na myśli. Chyba wyraz jej twarzy, gdy spotykały się nasze spojrzenia.

Musiała zadrzeć głowę, żeby patrzeć mi prosto w oczy. Czy one zawsze były takie czarne? Marzyłem, żeby się w nich zatracić.

– Obciąłam włosy – zażartowała. – Zresztą ty też.

Przypomniałem sobie rysunki, które tworzyłem jej na ciele. Ale to były zaledwie szkice, w porównaniu z tym, co miało wydarzyć się za chwilę. Teraz miał powstać prawdziwy obraz. A ja bałem się, czy potrafię go namalować.

Zamknęła powieki i czekała. Przyglądałem się jej długim rzęsom i setkom piegów, których widok zawsze mnie rozczulał. Rozchyliła brzoskwiniowe wargi.

Smakowała wszystkim, co kochałem. Tym pierwszym promieniem słońca na podłodze w moim pokoju, który rysował na deskach esy-floresy. W takim dniu wszystko mogło się wydarzyć i zmienić na lepsze. „Będzie dobrze, jestem tutaj” – to właśnie mówiły jej pocałunki. Czulem pod palcami delikatne, gładkie uda, twarde pośladki i ciepłe wnętrze. Usiadłem na podłodze, przyciągając ją do siebie. Drżały mi dłonie, kiedy zdjąłem koszulkę i powoli rozpinałem jej białą bluzkę. Oddychaliśmy jednym powietrzem. Poruszałem się razem z nią. Oddech góra, wydech dół.

„Trzymaj mnie, Lena, bo spadam”.

Oddech, dotyk, wydech. Tu i tam. Ten rytm. Taki sam rytm...

„Nie patrz, nie czuj, udawaj, że to nie twoje ciało!” – szeptał lis. „Trzymaj ręce na drzewie. Zagryź zęby na kostkach dłoni. Widzisz strukturę tej kory?”

Zamknąłem oczy i próbowałem wyrzucić z głowy te straszne obrazy, które nagle się pojawiły i nie chciały odejść. Lena głaskała moje ciało, a ja czulem inne, szorstkie dłonie. Patrzyłem jej w oczy i widziałem białka poprzecinane czerwonymi żyłkami. Jej głos zmieniał się w jego głos. Przycisnąłem usta do skóry dziewczyny. „Uratuj mnie!” – błagałem w myślach.

– Kocham cię, zawsze liczyłeś się tylko ty – wyszeptowała.

Czułem, że twarz wykrzywia mi grymas. Że zaraz się popłaczę.

„Potrafiłem chłopca. Uciekłem z miejsca wypadku. Czy nadal mnie kochasz?” – odpowiadałem w głowie.

– Kocham cię – powtórzyła.

„A gdybym ci powiedział, że pozwoliłem komuś wymierzyć mi karę? Zrobić ze mną różne złe rzeczy? Czy potrafisz kochać takiego Rafała? Czy potrafisz zmyć mój wstyd?”

Powinienem coś powiedzieć, ale myśli nie chciały układać się w słowa. Lena oderwała się ode mnie, poprawiła spódniczkę, włożyła bieliznę. Widziałem na jej twarzy rozczarowanie i ból. Cisza między nami wezbrała jak fala. W tej ciszy można było utonąć.

– Lena, przepraszam – tylko na tyle było mnie stać.

Szedłem w jej stronę niezdarne. Chciałem ją przytulić, może gdyby znowu mnie dotknęła, rozumiałaby więcej? Patrzyłem, jak wybiega, i wiedziałem, że nie powinienem był na to pozwolić. Ale przyrosłem do straszego domu, jakbyśmy stali się jednością. Opuszczonym, spalonym miejscem, do którego Lena zawsze bała się wejść.

„Wszystko spieprzyłeś!” – warczał lis. Miał rację. On i wszyscy ci, którzy życzyli mi, żebym zdechł. Uciekłem z miejsca wypadku, przeze mnie chłopiec walczył o życie i nigdy nie wróci do pełnej sprawności.

„I co teraz? Co teraz zrobisz?” – pytał rudy.

Trzy godziny później siedziałem na schodkach przed domem mojej nauczycielki rysunku i składałem w kostkę list, który napisałem w nawiedzonym domu. Moje wyznanie grzechów, które zaczynało się od słowa „Przepraszam”. Potrzebowałem przebaczenia kogoś dorosłego i dobrego. Potrzebowałem, żeby ktoś we mnie uwierzył. Pokazał, jak wszystko naprawić. Wiedziałem, że pani Julita mnie nie zawiedzie. Najpierw porozmawiam z nią, potem z całą resztą świata. Powinienem był to zrobić dawno temu. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak długo milczałem.

„Musiałeś sięgnąć dna, żeby się od niego odbić” – odpowiedział lis. Czytałem to zdanie w różnych książkach, ale rozumiałem je dopiero tamtego dnia.

Zdzisław Kwiatkowski wjechał samochodem na podwórze. Zauważył mnie, gdy otwierał szopę, w której zamierzał zaparkować. Widziałem na tylnym siedzeniu małą Olę, która spała.

– Długo czekasz? – zapytał.

– Jakieś pół godziny.

– A Julita nie mówiła ci, że dzisiaj jest w Bydgoszczy?

– Nie. – Wstałem i wsunąłem list do teczki z pracami, którą nosiłem w plecaku.

„Jeśli teraz wyjdiesz, to nie wrócisz. Wiesz, że nie wrócisz”. Lis patrzył mi prosto w oczy i czekał, co zrobię.

– Czy może pan jej przekazać moje rysunki? – zapytałem mężczyznę. – Obiecałem, że je podrzucę.

– Zostaw na schodach. Zaniosę do domu.

Zawahałem się, ale odłożyłem prace na betonowy stopień. Może pani Julita otworzy teczkę jeszcze dzisiaj i przeczyta to, co napisałem? Wyciągnąłem ze środka również świadectwo Leny. Zostawiła je w starym domu, kiedy uciekała. Chciałem je oddać i przeprosić ją, jak należy. Zacząć wszystko od nowa.

– Do widzenia – rzuciłem na pożegnanie i skierowałem się w stronę furtki.

Ile mogła ważyć ta teczka? Pewnie niewiele. A list, który do niej wsunąłem? Tyle co piórko. Ale czułem się, jakbym właśnie zrzucił z barków kilkanaście kilogramów. Chciałem prawdziwej kary za swoją zbrodnię. Kary w granicach prawa, która nie będzie karmić bestii i rodzić kolejnego zła.

„Wszyscy się dowiedzą. Lena się dowie” – szeptał lis.

– Niech się dowie. A potem może mi przebaczy.

W domu wzięłam prysznic i przyglądałam się rodzicom. Siedzieli w salonie, oglądając mecz. Tata emocjonował się, jakby był co najmniej komentatorem sportowym, mama za to trzymała w ręku krzyżówkę i wpatrywała się w ekran tylko wtedy, gdy się zastanawiała, jakie hasło wpisać w puste okienko.

W kuchni pogłaskała mnie po policzku.

– Masz inną fryzurę – zauważyła. – Ładnie wyglądasz.

Jak bardzo zmieni się nasze życie po moim wyznaniu? Od czego zacząć tę historię? Czy mnie zrozumieją i dalej będą kochać?

Wciąż liczyłem, że za chwilę do drzwi zadzwoni pani Julita. Poszlibyśmy na spacer i pomogłaby mi poskładać wszystko, co się rozpadło. Na pewno tak właśnie by było.

Kiedy wszedłem do swojego pokoju, od razu mimowolnie spojrzałem na dom Leny. I jej pokój. Ciemny, pusty.

– Hej, jesteś gdzieś tam? – rzuciłem w powietrze pytanie, które wpadało przez otwarte okno. Wzięłem do ręki niebieski ołówek i narysowałem jej portret. Nie musiałem patrzeć na zdjęcia. Wystarczyło, że zamknąłem oczy. Wciąż tam była.

Kiedy zapadł zmierzch, przeskoczyłem przez płot i wspiąłem się na dach garażu, który przylegał do pokoju Leny. Zapukałem w szybę i zagwizdałem.

– Możemy porozmawiać? – Powtarzałem w kółko jej imię. Widziałem, że leży na łóżku przykryta kołdrą. – Lena, muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię, otwórz.

Naciągnęła kołdrę na głowę. Udawała, że śpi. Pomyślałem, że spróbuję jutro. Liczyłem, że nowy dzień przyniesie zmiany i doda mi odwagi. Położyłem na parapecie jej świadectwo i portret, na którym dopisałem drżącą dłonią: „Przepraszam”.

Gdy zeskakiwałem z garażu, zauważyłem ruch przy furtce od mojego domu. Było już ciemno, ale rozpoznałem, że to człowiek. Serce zabiło mi szybciej. „Pani Julita?” – przemknęło mi przez głowę. Ale to był mężczyzna. Jej ojciec.

– Rafał, muszę ci coś powiedzieć. – Zdzisław Kwiatkowski ścisnął w dłoniach wymiętą kartkę. – Gdzieś, gdzie możemy być sami.

Wskazałem na naszą szopę. Stała w zacienionym miejscu.

– Julita jest bardzo chora – powiedział i usiadł na starym taborecie.

Ja kucnąłem blisko wejścia, opierając się o drewniane ściany. Wdychałem zapach siana, kurzu i smaru. Od lat rodzice traktowali szopę jak składzik. Wypatrywałem w ciemności znanych kształtów, starej meblościanki z salonu czy motoru z młodości mojego ojca.

– Rafał, ona ma raka i nie powinna się teraz denerwować. – Wyciągnął w moją stronę wymiętą kartkę.

Mój list.

Zacząłem dygotać. Zebrałem się jednak w sobie i łamiącym się głosem zapytałem:

– Czy pan to przeczytał?

– Tak – wyszeptał.

Zapadła cisza. Długie minuty, które w mojej głowie trwały wieczność. W tym czasie przyzwyczałem się do ciemności i dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Jego zmęczoną twarz i drugi podbródek. Ciężkie robocze buty, na których osiadł suchy piach. Za jego plecami wisiał gruby sznur. Jego końce dotykały ziemi.

– Słuchaj, nie powinieneś nikomu o tym mówić. – Wylał spocone dłonie w spodnie. – Jeśli kochasz swoich rodziców, to zachowaj dla siebie to, co zrobiłeś. Wyobrażasz sobie, co powiedzą ludzie? Przecież minęło siedem miesięcy. Nie cofniesz czasu, nie zrobisz nic, co

mogłoby uratować tego chłopca. Tylko zniszczysz życie sobie i swojej rodzinie. Nikt nie odda twojemu ojcu samochodu do naprawy. Zakład mechaniczny splajtuję. Twoja mama pracuje na poczcie, jak spojrzysz innym w oczy? – Podeszedł do mnie i kucnął blisko. Słyszałem, jak strzyka mu w kolanach. – Rafał, musisz sobie z tym poradzić sam. Julita ci nie pomoże. Musi się skupić na walce z chorobą. Zresztą co twoim zdaniem miałyby zrobić?

Kiedy wyszedł, wziąłem zapalniczkę i patrzyłem, jak ogień pożera moje winy spisane na papierze. Gdy ostatnie słowa zabrał żar, wziąłem grubego sznur ze ściany w stodole ojca.

CHOMIKO – WARNIA

33.

Pełnia Gorącego Księżyca

Oni mieli imiona. Ci właściciele plecaków i ubrań, które Jasiek znalazł w zacienionych kątach pomieszczenia. Teraz znowu zakryła je czerń, ale wcześniej, rano, przez małe dziurki we włazie bunkra wpadało rozproszone słońce i chłopak widział wyraźnie plamy starej krwi zastygłe na materiałach.

Przez chwilę krzyczał i płakał, ale po kilku godzinach, gdy nie zmieniło się nic poza tym, że zaczęło go boleć gardło, przestał. Liczył brunatne smugi na ścianie, zastanawiając się, kiedy to on zacznie drapać beton.

Wyczekiwał.

Głównie na pomoc, która przecież nie mogła nadejść. Chodził w kółko, kopiąc mały kamyk.

Spał. Dużo spał. Śnił o Kasi.

Obudził go deszcz. Kiedy usłyszał krople uderzające o właz, znowu się rozplakał. Nie pił, w ustach czuł pustynię. Gorące fale wciąż na nowo przetaczały się przez jego ciało. Kołysał się na nich bezwładnie. Zimny beton nie dawał żadnego ukojenia. Potrzebował wody.

– Cicho! – upomniał się, bo wychwycił delikatny dźwięk.

Deszcz przedostawał się przez szczelinki włazu i wpadał do środka. Jasiek doczołgał się do tego miejsca i ułożył na plecach. Otworzył usta, wysunął język i pił. Burza toczyła nad nim walkę z księżycem. Mówią, że przez pełnię ludzie nie mogą spać. Ale to nie dotyczyło tego chłopaka. Senność ogarnęła go szybciej, niż skończył się deszcz. Skulił się, coś w jego brzuchu pulsowało, rozciągało się i kurczyło.

СНОМІКО _ WАРNІА

34.

Obecnie

Głupio mu było po raz kolejny wchodzić do pokoju ojca pod jego nieobecność, ale planował podłożyć Pablowi lokalizator GPS w samochodzie. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie ani łatwo, ani bezpiecznie. To, co zamierzał zrobić, mogło przekreślić jego karierę. Chciał postąpić nie tylko nieetycznie, ale i nielegalnie. Policjant na czynnej służbie podkładający drugiemu policjantowi podsłuch? W środowisku byłby spalony, a lokalne gazety miałyby używanie.

Jakub zadzwonił do kolegi.

– Jesteś w terenie czy w komisariacie? – zapytał.

– Koło szesnastej będę w Górsku na posterunku. Potrzebujesz czegoś?

– Chciałem z tobą pogadać, w sumie to dosyć ważne.

– Jasne, wpadaj. Najwyżej na ciebie poczekam.

„Czy ja oszalałem?” – pytał siebie Kuba, wjeżdżając do garażu. To, że dom jest pusty, odebrał jako sygnał od wszechświata. Coś w stylu: „Działaj i nie oglądaj się za siebie”. Wiedział, że ojciec zamontował nową pluskwę w swoim lexusie, a starą trzymał gdzieś w pokoju. Pewnie w szufladach z innymi cackami techniki, które na przestrzeni ostatnich lat zdążył kupić i wymienić na nowe.

Dla pewności Kuba zapukał do drzwi, a kiedy nie usłyszał odpowiedzi, nacisnął klamkę.

– A to niespodzianka – mruknął.

Pokój był zamknięty. Nie żeby stanowiło to jakąś przeszkodę, bo otwieranie zamka nie sprawiało mu problemów, ani gdy był dzieciakiem i wspólnie z kolegami sprawdzali, czy uda im

się otworzyć piwniczkę z winami na działce, ani tym bardziej obecnie. Zawahał się jednak. Co innego wejść do pokoju, wziąć starą pluskwę i wyjść, a co innego się włamać. W obu przypadkach postępował nie w porządku, ale jednak kręcenie wsuwką do włosów w zamku wydawało mu się poważniejsze.

– No trudno. Przecież nie będę mu sprawdzał rzeczy osobistych. Gdyby był w domu, poprosiłbym go o ten stary lokalizator i tyle – usprawiedliwiał się, szukając w łazience wsuwki żony i czegoś, co posłuży mu za wajchę.

Ale kłamał. Dobrze wiedział, że warunkiem udanego szwindla jest brak świadków. Było mu na rękę, że nikt nie zadaje pytań i nie kwestionuje jego kontrowersyjnego planu. Musiał wykonać go sam.

Jakub grzebał w zamku dobre siedem minut, zanim odpowiedni pin wskoczył na miejsce. Spocił się, jakby zamierzał ukraść dzieło sztuki z muzeum, a nie kawałek plastiku. Wstając, poruszał chwilę barkami, żeby rozluźnić spięte mięśnie, i wszedł do środka.

Mimowolnie spojrzął na ścianę chwały ojca. Ze zdjęcia jak zwykle spoglądał na niego lekceważąco Patryk Madej. Chyba po raz pierwszy Kubę uderzyło, że nie ma w tym pokoju ani jednego zdjęcia matki lub jego. Jest za to wycięty z gazety seryjniak włącznie z małą mapką pokazującą skalę jego zbrodni i miejsca, gdzie pogrzebał zwłoki. Wszystkie blisko swojego domu, na nieużytkach, które doskonale znał. Już po badaniach profilerzy postawili tezę, że mężczyzna odgrywał sceny, których sam doświadczył. Zommer wiedział, że większość seryjnych morderców w przeszłości zostało skrzywdzonych. Ich działania wpisywały się w jego teorię o spirali zła. Zbrodnia jest jak błoto, ubrudzi się każdy, kto go dotknie.

Podszedł do biurka i zaczął szukać pluskwę. W końcu w trzeciej szufladzie znalazł pudełko ze starym urządzeniem. Jego uwagę przykuły kartki z odręcznym pismem i dedykacją: „Dla H., od którego wszystko się zaczęło”. Już wcześniej się domyślał, że to autobiografia Artura, ale nie miał okazji tego sprawdzić. Ani tym bardziej przeczytać.

– Walić to – szepnął i rozłożył na biurku pierwszą stronę.

Czuł się trochę jak oszust, trochę jak bohater filmów akcji i trochę jak przegrany. Wiedział, po co chce czytać te wypociny. Liczył, że trafi na akapit dotyczący jego samego. I zdanie w stylu: „Syn zmienił moje spojrzenie na świat”. Albo: „Gdy urodził się mój syn, nic nie było takie, jak wcześniej”. Choćby nie wiadomo jak naiwne i głupie było jego pragnienie, nie mógł go w sobie zgasić. Marzył, że skoro w prawdziwym życiu ojciec nigdy nie wyznał mu miłości, zrobi to w mniej bezpośredni sposób w książce. Zaczął czytać.

„Nie wybrałem swojej kariery. To ona wybrała mnie. Można powiedzieć, że podczas pełni Gorącego Księżyca 1975 roku narodziłem się na nowo. Miałem wtedy czternaście lat i poszedłem na najwyższe wzniesienie w okolicy, żeby podziwiać spektakl przygotowany przez naturę. W zagajniku na wzgórzu, który nazywaliśmy Górą Węży, znalazłem zwłoki swojego przyjaciela, Henry’ego. Tamtej nocy zapragnąłem kary dla jego mordercy. Już wtedy, mając czternaście lat, postanowiłem, że zostanę policjantem”.

Kuba przypomniał sobie odwiedziny na grobie tego chłopca i historię, którą za każdym razem snuł ojciec. Wspominał kolegę z żarliwością, o jaką syn go nie podejrzewał. Jednak w tej opowieści był o rok starszy i wszystko działo się „niedaleko domu”. Nigdy nie wspominał nic o Górze Węży ani o tym, że to on znalazł zwłoki. Artur nie wdawał się w szczegóły zbrodni, raczej skupiał się na tym, jak ta śmierć wpłynęła na jego życie i wybór ścieżki kariery.

Teraz Jakub się zastanawiał, czy ojciec w książce nie kłamał. Nie koloryzował swojego dramatycznego dzieciństwa tylko po to, żeby wzbudzić sensację. A jeśli pisał prawdę, to jej konsekwencje mogły być o wiele poważniejsze, niż sam zakładał. Czternastoletni chłopiec znajdujący zwłoki? Jak bardzo zmasakrowane było ciało Henryka? Czego świadkiem tak

naprawdę był ojciec? W tamtych czasach nikt nie kierował dzieci na psychoterapię. Prawdopodobnie musiał uporać się z całą sytuacją sam. Być może dlatego nie potrafił otworzyć się przed własnym dzieckiem i żoną. Jego oziębłość mogła wynikać z tego, że bał się konfrontacji z własnymi uczuciami i emocjami.

Kuba chciał czytać dalej, ale zbliżała się szesnasta. Miał kilkadziesiąt minut na to, żeby złapać Pabla w komisariacie. Umówili się na miejscu. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i zajął się konfiguracją starego lokalizatora. Na szczęście Artur go zresetował i można było wprowadzić nowe dane.

Budynek komisariatu w Górsku znajdował się w bocznej, ślepej uliczce. Na betonowy plac szalony architekt rzucił dwa klocki o niewielkich gabarytach. Jeden zajęła miejska biblioteka, drugi policja. Na parking wjechało auto Pabla, srebrny volkswagen golf pokryty kurzem.

Zommer nadjechał niemal w tym samym momencie. „Szybciej! Działaj, stary!” – poganiał się w myślach. Pluskwa paliła go w kieszeni. Przecież nie mógł wpakować się do samo-chodu Pabla, kiedy ten chwycił za klamkę. A może mógł? Podbiegł szybko do auta kolegi.

– Cześć! – powiedział Kuba i usiadł ciężko na miejscu pasażera. – Chciałem z tobą porozmawiać.

– Długo nie wytrzymałeś na tym urlopie. To może w środku? Kawy bym się napił. – Policjant jedną połową ciała znajdował się poza samochodem i zamierzał wysiąść.

– A możemy tutaj? Masz sprawną klimatyzację, a na komisariacie jest tylko wiatrak, który nie bardzo daje radę w te upały. Nie zajmę ci dużo czasu.

Zommer wyjął lokalizator z kieszeni i położył dłoń między drzwiami a fotelem. Już w domu uznał, że najlepszym miejscem na pluskwę będzie kratka podtrzymująca gąbkę pod siedzeniem. Sprawdził wcześniej w swoim aucie, że jest wystarczająco szeroka, żeby utrzymać lokalizator na miejscu. Podobne rozwiązania miały niemal wszystkie samochody na rynku. Problem polegał na tym, że powinien zostać sam.

– Słuchaj, a skoczyłbyś do środka po wodę albo colę? Chyba mam w pokoju zgrzewkę – zapytał bezczelnie, przysmakując powieki. Pablo był starszy rangą i nigdy nie biegał wokół niego ani mu nie usługiwał. Należało to jakoś wyjaśnić. – Bardzo źle się czuję. Przygotowania do pogrzebu ciągną się w nieskończoność. – Kuba położył palce na skroniach i zaczął je masować. Czuł się jak pajac. Aktor niskobudżetowych filmów, na dodatek bez talentu.

Kolega spojrzął na niego ze współczuciem.

– Jasne – wymamrotał i poszedł do budynku.

Zommer poczekał, aż policjant zniknie za drzwiami, nachylił się i próbował wcisnąć plastikowe urządzenie między gąbkę a metal. Liczył, że będzie łatwiej, ale spocily mu się dłonie i bał się, że upuści pluskwę na podłogę. Udało mu się chwilę przed tym, jak Pablo otworzył metalowe drzwi komisariatu i pomachał mu puszką z colą. Wyglądał jak zawsze. Zupełnie zwyczajnie, zero gestów świadczących o zdenerwowaniu. A jednak Kubie przypomniały się słowa cioci Soni: „Zawsze umawiał się tylko do Kasi. Nawet się zastanawiałam, czy jej nie podrywa. Przyglądał jej się, kiedy myślał, że nikt nie widzi”.

– Klimatyzacja wieje ci prosto w twarz, a świecisz się od potu. Dobrze się czujesz, stary? – Paweł zajął miejsce obok Zommera i poprawił włosy, zerkając w lusterko.

– Tak sobie, dziękuję. – Kuba wypił colę duszkiem i patrzył na dłonie kolegi. Opalone, z ciemnymi włoskami na każdym palcu. Bębnił nimi o kierownicę, wystukując rytm piosenki z radia.

– Chciałeś pogadać? Nie gniewaj się, ale mam trochę pracy.

– Tak, podobno odwoziłeś Kasię do domu w sobotę. Chyba zapomniałeś mi o tym

powiedzieć, jak u ciebie byłem. – Obrócił się w stronę policjanta i przyglądał mu się z obojętną miną. Sporo go to kosztowało. Zastanawiał się, czy Kasia związałyby się z takim starym facetem. Nie znał się na męskiej urodzie, ale z tego, co mówiła Wiola, Paweł mógł się podobać.

– A to ma jakieś znaczenie? Musiało mi wylecieć z głowy. – Pablo znowu przejechał dłonią po włosach. Często powtarzał ten gest.

– Trochę tak, bo zastanawiam się, co się stało w ciągu kilku następnych godzin. Słuchaj, nie angażowałbym się tak, gdyby nie to, że patolog ma wątpliwości. – Specjalnie zrobił pauzę i policzył do trzech. Teraz zamierzał użyć argumentu, który przyprawił go o mdłości. – Mój ojciec zadzwonił w kilka miejsc. Wiesz, w końcu chodzi o naszą rodzinę.

Pablo odwrócił się w jego stronę i słuchał z uwagą. Jeśli ta karykatura włoskiego amanta kogokolwiek podziwiała, był to ojciec Kuby.

– Wiesz, w jakiej pozycji odebrała sobie życie? Klęcząc. To wyglądało jak egzekucja. Bogucki nie wyklucza udziału osób trzecich – skłamał Jakub. Obserwował mimikę i gesty kolegi. Pablo wyraźnie coś analizował.

– Mają już podejrzanych?

– Nie, ale uwierz mi, że policja będzie wdzięczna, jak ojciec dostarczy dowody albo przedstawi wiarygodną hipotezę. Ostatecznie chodzi nam o to samo, no nie? O prawdę. – Patrzył na udo Pawła, które podrygiwało nerwowo. – Myślę, że to kwestia kilku dni, żeby zaczęli prowadzić śledztwo na pełną skalę i zmienili kwalifikację czynu. Kto wie, co technicy odkryli w tym nawiedzonym domu? Podobno śladów było aż za wiele.

Policjant kiwał głową, przytakiwał w odpowiednich momentach. Ale widać było, że coś mu nie pasuje. Coś go uwiera. Zommer poczuł satysfakcję. Zasiał ziarno niepewności. Jeśli Pablo był w jakikolwiek sposób zamieszany w śmierć siostrzenicy, prędzej czy później wykona nieprzemysłany ruch.

– To powiesz mi, o czym rozmawialiście w sobotę? – zapytał Kuba.

– O imprezie dla Poli. Opowiadała mi o organizacji koncertów, chwaliła się, że artyści zagrają za darmo. Nic istotnego. Nic, co by zapowiadało taką tragedię. – Na czole Pawła pojawiły się trzy pionowe zmarszczki.

– I to mnie najbardziej martwi. Wiesz, że poza tym jej chłopakiem Jaśkiem i siostrą rozmawiałeś z nią jako ostatni? Na tej imprezie podobno nikt nie zamienił z nią więcej niż kilka słów. Policja o tym wie, prawda? O tym, że ją odwoziłeś. To może być istotne dla śledztwa.

– Tak, wiedzą. – Pablo wyglądał jednak, jakby się zmieszał. – Przepraszam cię, Kuba, ale muszę lecieć. Mam tu całą gminę do ogarnięcia.

– Jasne, nie przeszkadzam. – Zommer pożegnał się i wyszedł.

Podmuch gorąca prawie zwałił go z nóg. Słońce nie zamierzało go oszczędzać, niezależnie od tego, jak dobrze wykonał swoją robotę. Promienie paliły kark i dłonie, którymi niecierpliwie błędził po ekranie telefonu.

Wsiadł do swojej kii i czekał. Teraz musiał tylko czekać.

Bateria w pluskwie wytrzyma cztery, maksymalnie pięć dni. Obiecał sobie, że po tym czasie odpuści. Opierał się na wątpliwej jakości poszlakach. A może i wyłącznie na swojej zmęczonej wyobraźni.

„Jeśli to wszystko okaże się prawdą, nie daruję sobie, że nic wcześniej nie zauważyłem” – pomyślał. Zawsze gdy zagłębiał się w profile seryjnych morderców lub historie ich życia, niezmiennie interesował go temat ich rodzin, dzieci, przyjaciół i współpracowników. Jak to możliwe, że nic nie zauważyli? To wydawało mu się nieprawdopodobne, a przecież historie tych ludzi jasno wskazywały, że istnieją tajemnice i zbrodnie niemal doskonałe.

Spojrzał na telefon i włączył aplikację śledzącą trasę Pabla. Zauważył, że podjechał pod

przychodnię, gdzie spędził piętnaście minut, a potem ruszył dalej. Nagle na telefon Kuby zaczął dzwonić numer z lokalizatora. Oznaczało to, że w samochodzie u kolegi wykrył dźwięk o określonej częstotliwości. Rozmowę lub głośną muzykę. Zommer odebrał i słyszał teraz wszystko, co działo się w aucie policjanta.

– Będę u ciebie za dziesięć minut – powiedział do kogoś Pablo. – Jak to: nie? A gdzie, kurwa? Nie będę dygał do lasu z towarem. To już ostatni raz.

Zommer poczuł, jak napinają mu się mięśnie. „Towarem”? Nie chciało mu się wierzyć, że kolega był aż tak głupi i bawił się w barona narkotykowego. Włączył bieg i powoli ruszył przed siebie. Zauważył na GPS-ie, że mężczyzna kieruje się w stronę Wilg.

Kuba jechał dobre trzy kilometry za nim i zatrzymał się w bocznej uliczce wsi. W aplikacji widział, że Pablo zaparkował na chwilę przed jakimś budynkiem, a potem szybko wrócił do Górską i pojechał prosto na posterunek. Kuba postanowił sprawdzić miejsce, w którym Pablo umówił się z dilerem. Nie spodziewał się pałacu, ale zdziwił się, kiedy zobaczył mały, rozpadający się domek z pomazanymi szybami. Ale może to tylko przykrywka? Nie znał osoby, z którą widział się policjant.

Zaparkował dla niepoznaki cztery domy dalej i czekał. Po kilku minutach z domu wyszedł jakiś chłopak i udał się do sąsiedniego budynku, równie zdezelowanej chaty z drewna. Zanim zniknął za furtką, odwrócił się w stronę Zommera i zaprezentował mięśnie. A miał co prezentować. Kuba podejrzewał, że na siłowni wyciska sto pięćdziesiąt na klatę. Był zdziwiony, że wcześniej nie słyszał o tym gościu. Jak to możliwe? Nigdy nie złapał go ze skrzętem? Nigdy nawet nie podejrzewał o sprzedaż narkotyków?

– Kim ty jesteś? – zapytał. Posiedział w samochodzie jeszcze kilkanaście minut, a kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył powoli w stronę Górską, postanawiając poczekać na następny ruch Pawła.

35.

Dawniej

Poszukiwania Rafała rozpoczęły się koło południa, jego mama zaczęła podpytywać znajomych, najpierw najbliższych sąsiadów.

– Lenka, a Rafał był u ciebie wczoraj?

Dziewczyna akurat jadła obiad. Cień brzozy, która rosła za oknem, położył się na stole.

– Nie, a dlaczego pani pyta? – Poczowała, jak igielki kłują ją w serce. Odłożyła na bok łyżeczkę, zakolysał się kompot w szklance.

– Chyba nie wrócił do domu na noc, ale nie jestem pewna. Nie wiesz, gdzie może być?

Lena przesunęła widelec na brzeg talerza. Zupełnie straciła apetyt. Obiecała sąsiadce, że sprawdzi kilka miejsc.

Potem przyszedł ojciec. Padło kilka strasznych zdań. Że może coś się stało i należy zadzwonić na policję. Grażyna Nowicka nie chciała o tym słyszeć.

– Policja? – zapytała zaskoczona. – To przecież wiesz, zaraz się znajdzie. Może siedzi u kogoś na podwórku albo rysuje. Gdyby mógł, całe dni sterczałby z ołówkiem nad kartką. Taki z niego leń. – Zaśmiała się. Widać było jednak, że się denerwowała. Pocierała ramiona, jakby było jej zimno.

Przyszła mama Leny i zaczęła pytać sąsiadkę, kiedy ostatnio widziała syna. Wieczorem?

– Wrócił na kolację, pokręcił się po domu. Myślałam, że śpi w pokoju. Ale łóżko jest złożone... Tak, jakby wcale się nie kładł.

Po chwili Lena biegła chodnikiem wzdłuż nagranych słońcem domów. Nogi same ją niosły. Przeskakiwała przez słupy cieni, wystające płyty chodnikowe i krawężniki. Oddychała

szybko, kropelki potu błyszczały jej na czole. Mijała wrośnięte w siebie, oddzielone niskim płotem domy ze spadzistymi dachami. Potem sklep mięsny, wielobranżowy i aptekę. Biegła obok przedwojennych kamienic, z których odpadł tynk. Minęła też kiosk, restaurację z najlepszymi zapiekankami na świecie i sznur klocków rodem z PRL-u. A kiedy wieś się skończyła, mijała drzewa. Głównie wysokie klony, których liście suszyła jesienią w grubej encyklopedii. Nawiedzony dom majaczył na horyzoncie jak fatamorgana.

Przywoływał ją.

Lena już się nie bała. Biegła w jego stronę, jakby czekało tam na nią coś dobrego. Serce biło jej szybko, bo była pewna, że spotka tam Rafała. „Jesteś tam, prawda?” – pytała w myślach.

Kiedys czytała, że zawsze należy słuchać intuicji. Tego głosu, który rodzi się w środku każdego z nas i wie więcej niż rozum i serce. Była pewna, że spotka Rafała, że wszystko jej wytłumaczy, że będzie inaczej. Lepiej. Tak, jak to sobie wymarzyła.

Policjant znalazł Lenę trzy godziny później. Podobno ustalono, że odcięła Rafała kawałkiem szkła. Ale sama tego nie pamiętała. Wiedziała tylko, że zwinęła się w kłębek na brudnej podłodze i przyciskała do serca pokaleczone dłonie. Zaciskała powieki najmocniej, jak potrafiła. Była nie widzieć nabrzmiałej twarzy chłopaka, któremu poprzedniego wieczoru nie otworzyła okna. Muchy brzęczały i siadały na jego obłym ciele. Wyglądał jak balon, który za chwilę ma pęknąć.

Potem wydarzyły się różne rzeczy, które we wspomnieniach Leny zasnuwane były mgłą. Krew na podłodze. Mama wpatrująca się w córkę za dnia i w nocy. Ciepłe dłonie taty, gdy głaskał ją po głowie. „Będzie dobrze, córeczko. Wszystko będzie dobrze”.

Nie było.

Na oddziale psychiatrycznym w Poznaniu Lena leżała w sali dwiema innymi dziewczynami, które tak jak ona próbowały odebrać sobie życie. Każda z nich miała inną historię, ale łączyło je jedno – kłamstwa, które pozwalały wierzyć, że wszystko z nimi w porządku.

Jedna z tych dziewczyn kazała na siebie mówić Alex. Podobno oddział odwiedzała regularnie od dwóch lat.

– Jak stąd wyjdę, pójdę na pizzę ze wszystkimi dodatkami dostępnymi w karcie. Żarcie, którym nas karmią w tym szpitalu, jest tak podłe, że nie dałabym go nawet psom! – Śmiała się, odsłaniając różowe dziąsła.

Lena wiedziała, że to ściema. Alex cierpiała na anoreksję, wyglądała jak cień człowieka. Po wyjściu ze szpitala nadal nie będzie nic jeść. Wróci na oddział z oczami wielkimi jak u postaci z kreskówek i będzie wciskać kit innym dziewczynom, na innej sali. No chyba że kolejnym razem jej się uda. W każdym razie Lena trzymała za nią kciuki. Uważała, że życie jest karą, i nie rozumiała, dlaczego ją na nią skazano.

Druga dziewczyna miała na imię Renia i była starsza o dwa lata. Wciąż podkreślała, że Lena i Alex nic nie wiedzą o życiu. W przeciwieństwie do niej.

Snęła historie o innych oddziałach w Polsce, o dziewczynach i chłopakach, którzy tak jak one znaleźli się na krawędzi. Wymyślała szczęśliwe zakończenia do tych swoich opowieści. Tak jakby próbowała dodać innym nadziei.

– A co zrobisz z tym? – zapytała pewnego wieczoru, gdy Lena leżała zwrócona w stronę ściany, wydrapując tynk. Kawałki obleśnej pomarańczowej farby sypały się na podłogę.

– Z czym?

– No z brzuchem. Na kiedy masz termin?

– Za trzy tygodnie.

– To właściwie możesz już urodzić.

Kiedy Lena o tym myślała, robiło jej się słabo, jakby ktoś zrzucił jej na głowę tonę cegieł. Zaczęła coraz szybciej drapać tynk. Jego kawałki wbijały się za paznokcie i raniły opuszki palców.

– Ty jesteś łabędziem, co nie? – Renia pytała dalej. – Nic nie mówisz o sobie, ale podслуchałam lekarzy.

– Nie rozumiem. – Dziura w ścianie przypominała kształtem dom. Lena chciała szybko to zmienić. Zostawiała na tynku smugi krwi.

– No wiesz, próbowałam odebrać sobie życie z miłości. Tak jak łabędzie.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała, że te piękne ptaki po stracie partnera potrafią wzbić się wysoko w stronę słońca tylko po, żeby w najwyższym punkcie nieba złożyć skrzydła i spaść na ziemię.

Od tego momentu codziennie śniła, że spada. Aż w końcu spadła naprawdę.

– Lena! Lena, obudź się! – Renia szarpała ją za ramię. – Spadłaś z łóżka. Nic ci nie jest?

– Boli mnie brzuch.

Urodziła dwanaście godzin później. Przeniesiono ją do innego szpitala i do innej sali. Mama spała w czerwonym fotelu przy łóżku, na którym leżała córka, i przyglądała się jej ze współczuciem. Lena czuła, że jej ciało nie należy już do niej. Dotykała brzucha, ale był jakiś inny. Pusty, pozbawiony czegoś, co nadawało mu kolor i napięcie.

Mijały tygodnie, które w jej pamięci trwały sekundę. Gdy przynosili go do pokoju, odwracała się w stronę ściany.

– Oddajcie go komuś. Nie chcę wiedzieć, komu i gdzie. Podpiszę papiery, jeśli muszę. Nie jestem pełnoletnia, nie wiem, jak to działa.

Pewnego razu, gdy Lena udawała, że śpi, usłyszała, jak mama szepcze do taty:

– Ani razu o niego nie zapytała. Ani razu nie zapytała o swojego syna.

– I co teraz zrobimy? – odpowiedział.

– Dajcie mi spokój! Nie mówicie o mnie i tym dziecku. Nie chcę tego słuchać! –

Wybuchwały w niej gejzery. – Chcę wrócić do domu. Niech już będzie jak dawniej...

Mama badała ją wzrokiem, jakby się bała, że pod tymi słowami kryje się jakiś przekręt. Potem odwróciła się w stronę okna i zatrzęsły jej się ramiona. Dopiero po chwili dziewczyna zrozumiała, że mama płacze.

– On nie żyje. Twój synek nie żyje, Lena.

36.

Obecnie

Lena przeszła przez płot. Sama nie wiedziała, co jej odbiło, ale zamiast użyć furki, wdrapała się na stare deski i przeskoczyła na drugą stronę. Zupełnie jakby miała czternaście lat, a nie prawie czterdzieści.

Wronia matka zaśmiała się i wyzwała ją od nieodpowiedzialnych. „Żebyś sobie spodnie na dupie rozerwała, głupia pało!” Lena mogła przysiąc, że to właśnie miała na myśli.

– Uważaj, z kim zadzieras. Nie pamiętasz, kto ci dosypuje ziarenek codziennie? – rzuciła w jej stronę.

Planowała porozmawiać z mamą Rafała i sprawdzić rzeczy, które przeglądali Jasiak z Kasią. Miała wrażenie, że przeszłość próbuje ją dopaść i pozbawić wszystkiego, co udało jej się zbudować przez tak wiele lat. Ale Lena nie zamierzała się poddać. Jeśli miała przegrać, to wcześniej przynajmniej stanie do walki.

Uśmiechnęła się sztucznie do szybki w drzwiach sąsiadów, w której widziała swoje odbicie. Przejechała też językiem po zębach i kilka razy otworzyła szeroko usta. Wiedziała, że wygląda jak świruska, ale to aktorskie ćwiczenie zawsze pomagało jej się wyluzować przed ważną rozmową. Zapukała.

– Cześć, Lenka, wejdz, proszę, do środka. – Mama Rafała poszła do kuchni wyłączyć wodę na herbatę i od razu zalała dwie, chociaż Lena nie zdążyła się jeszcze odezwać.

Przyglądała się jej niezdecydowana w drzwiach i zastanawiała się, gdzie zająć miejsce. W końcu wybrała to samo, co kiedyś. Przy oknie, na którym zawsze leżały koszyki z owocami. Dawniej jabłka, gruszki i czereśnie. Teraz dwie wysuszone cytryny i jeden szerniały banan.

– Poznaje pani ten kluczyk? – Podała jej do ręki kluczyk z brelokiem ze statkiem, który znalazła w koszu z praniem.

– Tak, to od takiej skrzynki, w której Rafał chował swoje skarby, jak był chłopcem. Kupiłam mu ten breloczek nad morzem.

„Skrzynki?” – pomyślała Lena. Pamiętała niebieskie metalowe pudełko, które Rafał trzymał u siebie na szafce.

– Czy ma pani jeszcze te rzeczy z pokoju Rafała, które Kasia i Jasiék mieli wywieźć na wysypisko?

– Nie wszystko, ale trochę zostało w workach u niego w pokoju.

– Mogłabym je zobaczyć?

Przyglądała się Lenie niezdecydowana, ale nie odmówiła. Powiedziała tylko cicho:

– Nie wiem, czy znajdziesz tam jakieś odpowiedzi, dziecko.

Poszła na górę, po drodze zapalając światło na korytarzu. Lena dotknęła dłonią balustrady i przypomniała sobie, że ostatnio wchodziła do pokoju Rafała, kiedy jeszcze żył. Nawet nie była na pogrzebie. Czy fotel nadal stoi obok okna? Czy jest tam tapeta w małe wzorki, które wyglądają jak klocki z tetrisa? Czy czuje jego zapach? Czerwonego hugo bossa, którego dostał od rodziców na szesnaste urodziny?

– Prawie nic tu nie zmieniałam przez te wszystkie lata – oznajmiła pani Grażyna, otwierając drzwi.

Lena też miała w domu rodziców taką maszynę do podróży w czasie. Ich sypialnię, której nie potrafiła posprzątać i opróżnić, mimo że odeszli jakiś czas temu. Posunęła się nawet do tego, że na stoliku nocnym wciąż stała szklanka, z której tata pił wodę. Po prostu bała się, że gdy ją umyje, zniszczy jedyną namacalną rzecz, która po nim została.

– Tyle lat minęło, a ja nadal jak wchodzę do pokoju Rafałka, mam nadzieję, że go zastanę przy biurku. – Nowicka podeszła do okna. Było widać, że jest jej ciężko.

Jednak Lena nie potrafiła powiedzieć nic poza banalnym „Rozumiem”.

Bo naprawdę to rozumiała. W tym pokoju przeżyła tysiące wspaniałych chwil z chłopakiem, który był jej najlepszym przyjacielem. Ich miłość rodziła się powoli, latami. A gdy w końcu dali jej wyraz, on odebrał sobie życie. Chociaż od tamtych wydarzeń minęło tyle czasu, Lena wciąż nie potrafiła tego pojąć. Chodziła na różne terapie, wiedziała, że jego decyzja nie musiała mieć nic wspólnego z nią. A mimo to czuła wyrzuty sumienia. Bo tamtej nocy, gdy popełnił samobójstwo, zapukał w jej okno. Chciał porozmawiać, a ona udawała, że śpi. Czy gdyby mu otworzyła, nadal by żył?

„Wiesz, że tak” – nastoletnia Lena spojrzała na nią jak na idiotkę.

Pokój pozbawiony bibelotów z półek, pościeli, kocy i wszystkiego tego, co kojarzyło jej się z Rafałem, wydawał się pusty i zimny. Pachniało słońcem, które latami ogrzewało podłogę przez zamknięte szyby. Lena pomyślała, że może tak jest lepiej.

Usiadła na kanapie, zerwała taśmę z jednego z kartonów i zajrzała do środka. Były tam gazety motoryzacyjne, kilka starych dyplomów i notatnik. Pełna obaw przejechała dłonią po skórzanej oprawie. Znała ten zeszyt. Kartki szeleściły pod palcami, a Lena chłonęła rysunki wykonane niebieską kredką. Samochody, kilka szkiców lisa. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten z obrazka, który dostała od Oli.

Nowicka usiadła obok na kanapie i zajrzała Lenie przez ramię.

– Mam kilka obrazków tego liska. Jasiék zabrał jeden z nich. Bardzo podobały mu się jego prace. Zwłaszcza te, na których byłaś ty. Rafał zawsze traktował cię jak siostrę, prawda? Był taki opiekuńczy...

Z notatnika przyglądała im się Lena sprzed lat. Wesoła dziewczyna z głową w chmurach

i o spokojnym spojrzeniu. Portretów było tyle, że Lena przestała je liczyć w okolicy czterdziestu siedmiu. Dopiero teraz, po latach, uderzyło ją, z jaką czułością musiał myśleć o niej Rafał, skoro poświęcił tyle czasu na te rysunki. Wszystko szkicował swoją ulubioną niebieską kredką. Dziewczyna miała niebieski uśmiech, niebieskie powieki i włosy.

Ale Lena przypomniała sobie też inne obrazki. Czarne korpusy i koronkowe skrzydła. Nocne motyle, które zaczął rysować mniej więcej pół roku przed tym, jak odebrał sobie życie. Kasia musiała je zabrać z tego pokoju.

Kobieta czuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Zastanawiała się, ile sprzeczności może mieć w sobie człowiek. Zaczynała się kruszyć. Najpierw w okolicy serca, bo tam poczuła ciepło Nowickiej, kiedy kobieta przysunęła się i delikatnie ją objęła. Potem pękał kręgosłup, kiedy dłonie pani Grażynki głąskały ją po plecach.

Kobieta objęła ją mocniej i przysunęła do swojego ramienia. Lena poczuła na policzku miękki materiał jej sukienki. Pierwsza łza wsiąknęła w bawełnę. A za nią popłynęły kolejne.

– Mój syn dzwonił do mnie tej nocy, kiedy zniknął. Ale nic nie pamiętam – wyszeptala jednym tchem. – Boję się, że jeśli przestanę myśleć o Rafale, on zniknie. – Wzięła głęboki wdech. – Tej nocy, kiedy odszedł, próbował ze mną porozmawiać. Gdyby to zrobił... Ja... Mogłam go uratować. – Lena zacisnęła ramiona wokół staruszki. Czuła się, jakby pochłaniał ją sztorm i walczyła o to, żeby nie spaść na dno. Najważniejsze zostawiła na koniec. – Kochaliśmy się. Urodziłam nasze dziecko, ale nie mogłam na nie patrzeć. Wydawało mi się, że nie będę dobrą matką. Byłam młoda, głupia. A potem zbyt słaba... Myślę, że tamtej nocy zabił nie tylko siebie, ale nas oboje.

Rozmowa z mamą Rafała trwała bardzo długo. Z parnego popołudnia zrobił się gorący wieczór. Pani Grażyna pytała o swojego wnuka. Lena próbowała wytłumaczyć, że nie wiedziała o jego istnieniu.

– Rodzice powiedzieli mi, że on nie żyje. Chcieli mnie w ten sposób ochronić. Byłam wtedy bardzo młoda i chora.

Lena ścisnęła w dłoni kawałek swojej koszulki. Pot spływał jej wzdłuż kręgosłupa. Nie wiedziała, co zrobić z rękoma i jak się zachować, bo po tym, co wyznała, Nowicka odsunęła się i przyglądała jej się z niedowierzaniem.

– Twoi rodzice o wszystkim wiedzieli? – zapytała kobieta. Była wyraźnie zła. Padły słowa, które zabolaly, jakby przypaliła Lenę żarem: – Jeśli nie chciałaś wychowywać swojego dziecka, ja mogłam to zrobić za ciebie!

Wychodząc, Lena obiecała, że spróbuje to wszystko naprawić, że o wszystkim mu powie. „Ale czasu nie cofniesz” – mówiły oczy Nowickiej. Obie wiedziały, że ma rację.

Lena nie zdradziła, gdzie mieszka Marcel. Uznała, że pani Grażyna nie poradziłaby sobie z informacją, że syn Rafała od wielu lat mieszkał w sąsiedniej wsi.

Na widok Leny wronia mama prawie spadła z drzewa.

– A ugryź się w pióra! – odpowiedziała kobieta.

Jak zwykle wrona wykrakała głośny sprzeciw. „I po co jej o tym powiedziałaś? Trzeba było trzymać język za zębami!” – skrzeczała.

Lena wsiadła do swojej Wisienki i szybko wyjechała z podwórza. Łzy zamazywały jej obraz. W myślach gorączkowo poganiała innych kierowców, ale oni nie chcieli łamać ograniczeń prędkości i zasad. Tkwiała więc na podporządkowanej i czekała na swoją kolej, żeby włączyć się do ruchu. Wydawało jej się, że w jednym z aut mignął Jakub Zommer.

Cały czas myślała o tym, co powie Marcelowi. Dziennikarka Lena podpowiadała, żeby po prostu wyznać prawdę. Opowiedzieć, że została okłamana, myślała, że jej dziecko nie żyje. Zapewnić, że gdyby wiedziała o istnieniu syna, szukałaby go wcześniej. „Tylko czy na pewno?”

– przemknęło przez głowę dzisiejszej Lenie.

Czy na pewno szukałaby go wcześniej? To pytanie wierciło kobiecie dziurę w sercu. Przecież od początku chciała go oddać, a kiedy usłyszała od rodziców, że chłopczyk nie przeżył, pochowała go w myślach razem z Rafałem. Stanowili dla niej jedność. Żaden nie mógł istnieć bez tego drugiego.

Ale co by było, gdyby jej nie okłamali? Czy chciałaby, żeby syn do niej wrócił? Teraz, po latach, mogła sobie powiedzieć: „Hej, jasne! To mój syn, która matka oddałaby swoje dziecko? Miałam piętnaście lat, depresję i nerwicę lękową, nie podejmowałam tej decyzji racjonalnie”. Ale czy na pewno by tak zrobiła?

Im dłużej Lena o tym myślała, tym lepiej rozumiała swoich rodziców. Była w stanie usprawiedliwić ich kłamstwo. Chcieli zdjąć z córki ciężar odpowiedzialności za decyzję o pozbyciu się swojego dziecka.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka, ale nie było dnia, żebyśmy o nim nie myśleli. Miał dobre życie – powiedział tata.

Lena bardzo dokładnie pamiętała tamtą rozmowę. Teraz przypominała sobie twarz ojca. Leżał już wtedy w łóżku i wiedział, że czeka na śmierć. Dostawał zastrzyki z morfiny, pielęgniarka odwiedzała ich dwa razy dziennie. Był przerażony i kruchy. Tak kruchy jak niedokładnie posklejana figurka z porcelany. Mimo to Lena musiała zapytać:

– Skąd wiedzieliście, że to dobra rodzina?

– Dyrektorką domu dziecka była znajoma matki. Co jakiś czas dostawaliśmy od niej jakieś strzępki informacji na jego temat, ale nie chciała podać adresu. Za dużo ryzykowała. Tylko widzisz, ja wiem, gdzie on mieszka. Jego adopcyjna matka odezwała się do nas dziesięć lat temu, prosząc o pieniądze. To nie były duże sumy... – Głodził rękoma nieistniejące zmarszczki na poszewce od kołdry. – Przeprowadzili się do Wilg i chyba potrzebowała pomocy. Cieszyłem się, że są tak blisko, ale z drugiej strony nie wiedziałem, co robić. Chcieliśmy odwiedzić tego chłopca, ale chyba baliśmy się, że namieszamy mu w życiu. Były miesiące, kiedy jeździłem pod ich dom i czekałem... sam nie wiem na co.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Nie wiedziałem jak.

Lena miała na końcu języka wiele przykrych zdań. Że tak się nie robi. Że ją okłamali. Że mogli jej nie posłuchać. Że trzeba było jej nie słuchać!

Ale tata wyglądał naprawdę źle. Cierpiał, ból nie dawał mu złapać oddechu.

– Wybaczysz mi kiedyś? – Zaciśnął rękę na nadgarstku córki i spojrzał jej w oczy.

– Nie dzisiaj. – Lena wstała i wyszła z pokoju.

Potem było jej wstyd, że nie zdobyła się na zwykłe „Wybaczam”. Wygrała bitwę z pokonanym.

Ojciec odszedł kilka dni później. Lena w końcu знаła adres swojego syna i mogła go odzyskać. Problem polegał na tym, że zupełnie nie wiedziała jak. Musiała to zrobić delikatnie. Był przecież jeszcze Jasiak. Powinien dowiedzieć się o tym pierwszy, ale nie zdążyli porozmawiać.

Dojechała do domu Marcela pełna emocji, od których bolała ją głowa. Zaparkowała po drugiej stronie ulicy, podeszła i nacisnęła klamkę od furtki. Okazała się bardziej zardzewiała, niż Lena przypuszczała. Plastikowe drzwi krzywo wstawione w starą futrynę nie wyglądały zachęcająco. Dziury zaklejono pianką montażową, której bąble sprawiały wrażenie, jakby dom toczyła śmiertelna choroba.

37.

Obecnie

Panika. Wkurw. Chyba raczej panika. Marcel nie wiedział, co jest silniejsze, ale zdawał sobie sprawę, że to jest najlepszy moment na to, żeby spieprzyć z Wilg. A może i jedyny. Nie dalej jak wczoraj liczył kasę i wiedział, że ma jej za mało na realizacją planu A, czyli ucieczkę z Młodym do Niemiec, nową tożsamość, studio tatuażu i nowy początek. Ale może miał dość kasy na plan B? Czyli szybką sprzedaż reszty towaru, ulokowanie się gdzieś daleko, może na południu Polski, i ściągnięcie do siebie Młodego. Tylko kto się nim zajmie podczas jego nieobecności? Marcel potrzebował czasu, którego nie miał.

Przed chwilą wrócił z dziupli od Kordackiej i od razu poznał, że w samochodzie pod domem, w srebrnej kii, siedzi policjant z Górską. To chyba jego Pablo się tak przestraszył.

– Mój kolega z posterunku zaczyna węszyć. Spal kartę SIM, na którą do ciebie dzwoniłem, wyjedź na kilka dni. Nie wiem. Po prostu się nie znamy – wybąkał zdenerwowany. Dał Marcelowi ostatnią partię towaru, rozliczyli się i powiedział, że długo nie będzie się odzywać. Szkoda, nie wpierdalał się, był idealnym wiejskim ciołkiem.

Co innego ten, który siedział przed domem. Ten miał wymalowaną na ryju irytującą pewność siebie gościa, który działa w granicach prawa i szczyci się tym, że jest gliną. Marcel znał go tylko z widzenia. I miał nadzieję, że tak pozostanie.

Aż do dzisiaj. Już dawno obiecał sobie, że będzie dilował do momentu, aż to wszystko przestanie być bezpieczne. Właśnie dostał wyraźny sygnał, że powinien zwijać interes. I to jak najszybciej.

Chodził po domu i czuł, jak stopy kleją mu się do brudnego linoleum. Hubert musiał

wylać piwo, bo przecież po wizycie tej ładnej policjantki w kręconych włosach Marcel umył dokładnie podłogę mopem. Poszedł do pokoju matki i od progu uderzył go znajomy zapach. Chociaż nie, teraz z domieszką czegoś nowego. A tym czymś był kierowca ciężarówki, który leżał obok niej ze sflaczałym przyrodzeniem. Zauważył na podłodze zabawki erotyczne. Błyszczące jak wąż dildo, obroża z kolcami, pejcz.

Miał ochotę wyrzucić Huberta z domu na pysk, ale nie wiedział, czy ten glina ciągle tam jest. Szczerze mówiąc, po tym, jak przesłuchała go policjantka z dochodzeniówki, liczył, że psiarnię ma z głowy. A przynajmniej w sprawie z Kasią. Czekał co prawda, aż zadzwoni ktoś z opieki społecznej, ale miał nadzieję, że razem z matką uda im się oszukać system na tyle, żeby braciszek został w domu.

Spojrzał teraz na mamę. Nie wyglądała zbyt dobrze. Marcelowi zrobiło się jej szkoda, a jednocześnie przeklinał się za głupotę i miękkie serce. Przecież powinien ją zostawić na pastwę losu, powinien przestać usprawiedliwiać jej bierność. Często w rozmowie z nim podkreślała, że to życie ją tak sponiewierało. A jego nie? On miał lepiej?

„Myśl, myśl, myśl” – rozkazał sobie i wrócił do krążenia po klejącym się linoleum. Młody był u sąsiadki. Teoretycznie mógłby tam zostać przez kilka dni. Stara Kordacka ostatnio miała drobne problemy z pamięcią, ale na pewno trzymała się lepiej niż matka.

Już wiedział, co musi zrobić. Iść do sąsiadki, ustalić, że będzie zajmowała się bratem przez, powiedzmy, dwa dni, a on w tym czasie pogada z chłopakami z Warszawy, od których brał towar. Musiał działać z rozważą. Zabezpieczyć się i mieć pewność, że jak odda im całą kasę, pozwolą mu odejść. Był kurewsko lojalny od wielu lat, powinni dać mu spokój.

Wyjrzał przez okno. Nie widział samochodu gliniarza, ale sukinsyn mógł odjechać gdzieś dalej. Z drugiej strony jeździł służbową kią. Marcel nie wiedział, co musiałoby się stać z jego beemką, żeby policjant miał szansę go dogonić.

„A jeśli wejdzie do domu pod moją nieobecność?” – pomyślał. „Musiałby mieć nakaz, żeby grzebać ci po szafach” – odpowiedział sobie. A potem zaśmiał się z własnej naiwności. Skoro on mógł oszukać system i dilować pod nosem policji, to każdy mógł oszukać system. Jeśli gliniarz zechce wyrzucić mu dom na lewą stronę, nikt mu nie przeszkodzi. Ale przecież w domu nic nie znajdzie.

Marcel poszedł do Kordackiej, ale już nie główną furtką, tylko przeskoczył przez płot. Siedziała w kuchni i czytała gazetę. Młody spał w wózku obok. Taki sam obrazek zastał piętnaście minut temu, kiedy stąd wychodził.

– Mam prośbę.

Kobieta uniosła wzrok i uśmiechnęła się ciepło. U niej wszystko działało się wolniej i zazwyczaj Marcelowi to nie przeszkadzało. W jej kuchni automatycznie przechodził w tryb *slow motion*, ale tym razem czuł niewidzialny topór nad karkiem i zaczynał się irtować.

– Czy zajmie się pani bratem przez dwa, maksymalnie trzy dni? Muszę wyjechać w służbowej sprawie. – Patrzył, jak sąsiadka powoli odkłada gazetę na stół. – Niech ma pani przy sobie komórkę. Widziałem ją gdzieś w kuchni. – Rozejrzał się i zobaczył urządzenie na parapecie. – Jest tutaj! Proszę ją ze sobą zabierać, bo gdyby coś się stało, będę dzwonił. – Położył przed Kordacką telefon przystosowany dla seniora, z dużymi przyciskami i ekranem, który kupił specjalnie dla niej.

– Oczywiście, kochanie. My tu sobie poradzimy, a ty załatwiasz swoje sprawy. – Zajrzała do wózka i poprawiła pieluszkę przy policzku Młodego. Lubił spać z kawałkiem materiału przy buzi. Marcel się domyślał, że ciepła flanela zastępowała mu ciało matki.

Poszedł jeszcze do dziupli na strych po kartę SIM, która służyła mu do kontaktu z chłopakami z Warszawy, i napisał do Siwego, że wpadnie pogadać. Obliczył, że w stolicy

powinien być za pięć godzin. Dostał lakoniczną odpowiedź: „OK”. Nikt z nich nie był mistrzem esemesowej konwersacji. Co innego na żywo. Gęby im się nie zamykały do rana.

W domu matka chodziła po kuchni w zbyt dużym T-shircie Huberta.

– Nie wiedziałam, że jesteś w domu – wytłumaczyła się. – Widziałeś gdzieś moje piwo? Leżało tu wczoraj. Kładłam je na blacie. – Rozglądała się. – Czym się trułeś, tym się lecz, nie?

Marcel podążył za jej wzrokiem i zobaczył puszkę pod stołem. Pewnie strąciła ją podczas wczorajszej libacji i stąd klejąca plama na podłodze. Na szczęście spał wczoraj z Młodym u Kordackiej i nie był świadkiem tych scen. Zauważył, że matka ma szyi czerwone ślady. Dała sobie założyć obroź? Poczul niepokój. Na co pozwalała nowemu partnerowi?

– Co to jest? – zapytał i wskazał jej na szyję.

– Zabawy dla dużych chłopców i dziewczynek. Nie interesuj się. – Nalała sobie wody do szklanki i spojrzała mu w oczy.

Wiedział, że jest smutna, że sobie nie radzi i w ten sposób ucieka od problemów. Gdyby nie on, już dawno skończyłyby na ulicy.

– Nie będzie mnie przez dwa dni. – Cekał, aż powie coś w stylu: „A dokąd jedziesz? Kto w tym czasie zajmie się Michałkiem?”.

Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach. Przez mikroułamek sekundy Marcel zobaczył w niej troskliwą matkę sprzed wielu lat. Kobietę, która pachniała szarlotką i pakowała mu kanapki do plecaka. Ale to trwało krótko. I nie było prawdziwe.

– A dasz mi jakieś pieniądze? – zapytała.

I prawie to zrobił. Nawet wsunął rękę do kieszeni jeansów, żeby wyciągnąć portfel. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Musisz poradzić sobie sama – powiedział.

Na jej dekolcie wykwitły czerwone plamy.

– Wiesz, jak trudno poradzić sobie samej? – wychrypiała. – Zbyt wiele lat byłam sama...

Za nimi trzasnęły drzwi. Do kuchni wtoczył się Hubert.

– Powiedz mu! – Zaciągał się papierosem, w dłoni trzymał małąkę z wódką. – Niech gówniarz wie, jakie ma szczęście!

– Przestań pierdolić! – Marcel napiął mięśnie i resztkami sił powstrzymał się, żeby nie sprać tego chuja, który żerował na słabości matki. – Jesteś pasożytem. Przyjeżdżasz, żeby bzykać i się najebać. Nikt cię tu nie chce, słyszysz? Wypierdalać!

– To ciebie nikt nie chce, bachorze! – Mężczyzna uśmiechnął się obleśnie. – Powiedz mu, Celinka, skąd się wziął.

Marcel patrzył na wysuszoną matkę, która łapie się za szyję i drapie ramiona. Osunęła się na podłogę i patrzyła na niego przerażona.

– Zamknij się... – wyszeptwała.

– Jesteś adoptowany, dzieciaku!

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Marcel z przyjemnością obserwował, jak z twarzy Huberta schodzi uśmiešek i zastępuje go zdziwienie. – Znalazłem papiery.

Matka wstała z podłogi. Marcel wyczytał w jej twarzy te wszystkie nonsensowne pytania, które chciała zadać: „Kiedy się dowiedziałeś?”, „Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?”.

– A co by to zmieniło? Chciałabyś mnie bardziej? Byłabyś lepsza? – Zaśmiał się gorzko, zanim zdążyła się odezwać.

– Celina, wywal go z domu! – Hubert znowu się rozkręcał. Rozsiadł się za stołem i kołysał na krześle.

– Zamknij się! Mówiłam ci, żebyś się zamknął! – warknęła matka i podeszła do Marcela.

Złapała go za nadgarstki i chociaż widział, jak z wysiłku bieleją jej dłonie, nic nie czuł.

Pomyślał, że albo jest tak pozbawiona siły, albo to on zubożniał do tego stopnia, że wszystko przestało go obchodzić.

Patrzył z góry na jej nierówny przedziałek na głowie i siwe włosy. Oczy otoczone głębokimi zmarszczkami. Marcel chciał zobaczyć w nich łzy.

– Staralam się, ale nie umiałam...

– Wiem. – Zdobył się tylko na szept.

Słowa skleiły się z podniebieniem i nie potrafił ich z siebie wyrzucić. Chociaż wiedział, że powinien. Że ma jedyną szansę, żeby jej wygarnąć wszystko, co udało jej się złamać. Że nienawidzi jej za siniaki, za głód i strach. Za roztrzaskane serce dzieciaka, który bał się zbyt głośno oddychać.

– Wiem, ale jest jak jest. Niedługo wyjeżdżam i zabieram ze sobą Młodego.

– To nie jest twoje dziecko. – Odsunęła się i sięgnęła po papierosa. Dym kreślił linie w powietrzu, a potem rozlał się między nich i oboje znaleźli się w szarym obłoku. Wróciła dawna równowaga, znowu mieli się za czym schować. – To mój syn. Urodziłam go.

– I jak widać, nawet to nic dla ciebie nie znaczy – powiedział Marcel i skierował się do drzwi.

Dusił się słowami, które utknęły mu w przetyku. Gestami, na które nie chciał sobie pozwolić, bo bał się, że przejmą nad nim kontrolę. Że zajebie Huberta, który kołysał się na krześle z krzywym uśmiechem na ryju.

Zanim wyszedł na zewnątrz, stanął przed drzwiami i przymknął oczy na sekundę.

„I tak długo wytrzymałeś” – pomyślał. „Wyjdź i nie oglądaj się za siebie. Wyjdź po nowe”. Wziął wdech i nacisnął klamkę.

Po drugiej stronie czekała na niego obca kobieta.

– Nie możesz teraz wyjechać. Nie, kiedy cię znalazłam – powiedziała.

– Kim pani jest? – zapytał. Musiała słyszeć ich rozmowę, skoro wiedziała o tym, że planuje wyjechać. Przestraszył się, że to pracownica opieki społecznej.

Zrobiła krok do przodu.

– Jestem twoją mamą.

Marcel wyobrażał ją sobie wiele razy. Czasami miała długie włosy, które zaplatała w warkocz, i delikatny głos, którym śpiewała kołysanki. Innym razem wielka i silna jak Hulk wpadała do tego domu, żeby go uratować. Mama z wyobraźni kupowała mu lepsze buty i gotowała ciepłe obiady. Przychodziła na wywiadówki, pachniała perfumami, a jej paznokcie miały mleczny kolor. Ta mama walczyła o niego jak lwica.

Wmawiał sobie, że skoro nigdy się nie pojawiła, to znaczy, że zmarła albo ktoś ją porwał. Co innego mogłoby ją powstrzymać? Tej supermamy z wyobraźni nic nie mogło złamać. Jej miłość była przecież jak wszechświat, bez końca.

– Ja nie mam matki – wycedził i sięgnął do kieszeni po kluczyki. – Już jej nie potrzebuję.

Widział, jak drży jej podbródek. Dostrzegał teraz w twarzy kobiety to, co widział w lustrze. Pięgi rozsypane na policzkach, lekko uniesione brwi, równo wykrojone usta.

– Myślałam, że nie żyjesz...

– Chciałabyś tego, co? Wszyscy byście tego chcieli.

Zaśmiał się na przekór żarowi, który właśnie wzniecał ogień w jego ciele. Ten żar rósł, aż w końcu zasłonił Marcelowi pole widzenia.

– Albo nie, zaraz. Może ty też chcesz kasy? Chodzi o pieniądze?

– O czym ty mówisz?

Podchodziła do niego. Zbyt blisko. Marcel bardzo chciał ją odepchnąć.

– Odejdź, zanim zrobię ci krzywdę – wycedził.

Kobieta tłumaczyła, że miała tylko piętnaście lat i była bardzo chora, a jego ojciec nie żyje.

– Gównu mnie to obchodzi! Rozumiesz?

Zbliżyła się i wyciągnęła dłoń w jego stronę. Ruchy Marcela były szybsze niż myśl. Usłyszał krzyk, a potem spojrzął na swoje ciało i zaciśnięte pięści. Pobiegł za dom, otworzył szopę, w której trzymał swoją beemkę. Zanim wszedł do środka, uderzył w ścianę. Nie pomogło. Nadal nic nie czuł.

„Gdzie byłaś, gdy cię potrzebowałem? Gdzie byłaś, kiedy płakałem?” Marcel przypomniał sobie te wszystkie chwile, gdy marzył o jej ciepłe i dotyku. O tym, żeby go przytuliła.

Przekręcił kluczyk i wyjechał na ulicę. Kierownica paliła go w dłoniach, czuł pod stopą pulsujący pedał gazu. Musnął go i dosłownie wbiło go w fotel.

Przed oczami widział twarz nieżyjącego przybranego ojca. Michała Kielasa. Facet miał klasę. Zawsze czysty, wypchniony. Kiedy żył, ogród wokół domu wyglądał jak z katalogu. I taką też chciał mieć rodzinę. Niepokorny chłopiec nie pasował do tego obrazu.

– Już. – Uderzenie. – Ja. – Cios. – Nauczę cię. – Ból rozchodzący się po lędźwiach. – Jak się zachowywać!

A potem, w chwilach spokoju, ojciec patrzył na niego jak na zwierzę w klatce, które ma wziąć udział w zawodach.

– Jak myślisz, będzie wysokim chłopcem? – pytał matkę i wyciągał nogi na podnóżku. – Wydaje mi się, że nas przerośnie.

Matka chciała go chronić, były momenty, w których to ona brała na siebie ciosy. Jednak szybko uciekła w alkohol i udawała, że tego nie widzi. I to jej zostało do dziś.

Horyzont przed Marcelem trawił ogień. Wszystko zmieniło się w szalejącą pożogę. Płonęły domy, samochody i ludzie, których mijał. Nic już nie było normalne i takie, jak wcześniej. Przyspieszył. Był pędzącą kulą ognia.

Wjechał na pełnym gazie do sąsiedniej wsi i zauważył, że na pasy kilkanaście metrów przed nim wchodzi starszy mężczyzna z laską. Posuwał się do przodu, nie rozejrzawszy się dookoła.

Marcel spojrzął na licznik prędkości, puścił gaz i zaczął wciskać hamulec. Auto zwolniło, ale nie tak, jak oczekiwał. Ogień wciąż płonął, pożerając kolejne skrawki przestrzeni. Tej siły nic nie mogło zatrzymać. Marcel wiedział, że w każdej chwili może stracić kontrolę nad kierownicą. Ulicę przecinała mała wysepka, z naprzeciwka nadjeżdżała ciężarówka.

„Jezdnia, chodnik, dom, ogród, tir, mężczyzna” – wyliczał w myślach gorączkowo. Wypatrzył skrawek pola za metalową siatką. Jedyne miejsce, gdzie mógł uciec. Istniała szansa, że w nic nie przypierdoli. W tamtej chwili martwił się tylko tym, kto zaopiekuje się Młodym, gdyby go zabrakło.

„Panie Boże, jeśli istnieje, daj mi jeszcze jedną szansę. Do tej pory miałeś mnie w dupie, ale zrób to dla dzieciaka, któremu obiecałem szczęście”.

Chciał przytulić chłopca i poczuć jego zapach. Jedynej istoty, która akceptowała go takim, jakim był. Tylko Młody potrafił ugasić w nim niszczycielski płomień. Odbudować to, co zostało spalone.

– Jeszcze ten jeden raz – poprosił.

38.

Pelnia Gorącego Księżyca

Szybka nagrzała się od oddechu i zaparowała. Co chwilę trzeba było przesuwać po niej szmatką. Chłopak zawodził. Bardzo długo się opierał i nie chciał podjąć decyzji. Wolał leżeć zwinięty w kącie niż walczyć. Teraz też spał. Morderca rozpoznawał to po powolnym naciąganiu się materiału na jego plecach. Wdech, wydech. Oddech, brak oddechu. Żarówka przymocowana do pokrywy w suficie bunkra rzucała ostre światło. Widział bardzo dokładnie całe pomieszczenie. Każdy kamyczek, każdą plamę krwi i moczu. Chłopak nie załatwiał się od wczoraj, musiał dać mu pić.

Jeśli będzie grzeczny, zgasi mu na chwilę światło. Ciemność jest nagrodą.

Tacy jak on byli tu wcześniej. Zrezygnowani, niemalże obojętni. Ten chłopak potrzebował bodźca.

– Chcesz tam wejść? – rzucił pytanie w stronę kartonu, który wcześniej postawił przed drzwiami do bunkra. Odpowiedział cichy chrobot.

Ze środka spojrzały ciekawskie oczy kotka. Próbował wydostać się na zewnątrz, drapiąc łapką w pokrywę.

– Myślisz, że jesteś taki sprytny? – Miękkie futerko dotknęło twarzy. Wewnątrz stworzenia pulsowało życie. Gdy tak przymykało się oczy, wręcz widziało się układ krwionośny, mięśnie, ścięgna, kości i wszystko, co składało się na żywy organizm.

Trudno jest to wyjąć na wierzch.

Bez narzędzi jest trudno. Płacz kota bardzo przypomina ludzki.

Po kilku minutach zazgrzytał zamek w drzwiach, a kot wszedł ostrożnie do środka.

Chłopak obrócił się na plecy, obudzony. Gdy zobaczył zwierzę, na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Bardzo dobrze.

W głowie mordercy od wczoraj rysował się plan. Po raz pierwszy chciał sprawdzić, co się stanie, kiedy wpuści do środka kogoś naprawdę bliskiego. Na przykład matkę.

– Tęsknisz za mamą? – zapytał. – Bo ja tak.

CHOMIKO – WARNIA

39.

Obecnie

Kuba siedział w samochodzie przy torach w Górsku i próbował podkręcić klimatyzację, z której wiało ciepłe powietrze. Lało się z niego. Co chwilę zerkał na telefon, ale wyglądało na to, że Pablo od dobrej godziny nie ruszał się z komisariatu. Zommer żałował, że nie ma podsłuchów w pracy i w domu kolegi. Wtedy na pewno doskonale poznałby jego rutynę i wiedziałby, czy coś jest na rzeczy, czy może oszalał do reszty.

Komórka w dłoni Kuby wreszcie zawibrowała, dając znać, że Paweł prowadzi z kimś rozmowę w samochodzie. Odebrał.

– Nie wiem, co zrobić – powiedział policjant. – To wszystko mnie przerasta.

Nastąpiła cisza, która musiała oznaczać, że rozmówca Pawła właśnie mu odpowiada.

– Na pewno nikt nic nie wie? Kuba zaczyna dziwnie się zachowywać. Myślę, że coś podejrzewa. Zrobiliśmy coś złego.

Znowu cisza przerywana szybkim oddechem policjanta. Zommerowi podskoczyło ciśnienie. Z jednej strony cieszył się, że jego prowokacja przyniosła skutki, z drugiej bał się, co odkryje.

Usłyszał płaski dźwięk. Domyślił się, że Pablo uderzył dłonią w kierownicę.

– Kasia mnie o to pytała. Wiesz, że mnie pytała!

Karykatura włoskiego amanta wzdychała i kręciła. Kuba zacisnął wilgotną dłoń na słuchawce. Wręcz wyczuwał smród poczucia winy. Normalnie policjant miał niski, ciepły głos, teraz wydawał się o oktawę wyższy. Nie dbał już o przesadną poprawność słów, zjadał końcówki wyrazów. Zommer się zastanawiał, z kim on, do cholery, rozmawia.

– Po wszystkim do mnie przyjedziesz? Tak o dwudziestej? – zapytał jeszcze Paweł i się pożegnał.

Według lokalizatora pojechał prosto do swojego mieszkania. Zommer spojrzął na zegarek, który wskazywał osiemnastą. Pot łał się z niego, klimatyzacja nie działała, a Rocky kiwał ze zdęgowaniem łbem, dając do zrozumienia, że powinni schować się w cieniu.

Jakub postanowił, że wróci do siebie się odświeżyć, a za jakieś dwie godziny będzie koczował pod domem Pabla, aż dowie się, z kim rozmawiał i o czym.

Powiedział: „Zrobiliśmy coś złego”. Wyobraźnia podsuwała Zommerowi najgorsze obrazy.

Paweł przesuwał dłoń po włosach, wpatrzony w Kasię. Dotyka jej i krępuje jej dłonie. Przejeżdża palcem po jej szyi, wyczuwając puls pod skórą.

Zaparkował przed domem, gdzie zastał ojca wychodzącego dokądś w pośpiechu.

– A ty dokąd? Nie mów, że o tej porze na działkę? – zapytał Kuba.

Po tym, co przeczytał w jego notatkach, przyglądał mu się uważnie. Wszystkie dziwactwa i chłód ojca można było uzasadnić traumą, którą przeżył lata temu. Tylko czy ona istniała? Nie wiedział, która wersja historii o Henryku była prawdziwa. Ta, którą opisał w książce, czy ta, którą opowiadał synowi. Ile miał w końcu lat, kiedy znalazł ciało przyjaciela? Chłopca, któremu zadedykował swoją książkę.

– Zostanę tam na noc – odpowiedział ojciec.

Zommer wzruszył ramionami i poszedł do lodówki po zimne piwo bezalkoholowe. Wiedział, że powinni porozmawiać o tym, czego się dowiedział, ale może faktycznie należało poczekać na lepszy moment.

Piwo smakowało znaną goryczką i Kubie nie przeszkadzał brak procentów. Wiola napisała mu esemesa: „Za godzinę będę w domu. Jesteś tam?”. „Czekam” – odpisał. Próbował sobie przypomnieć, w jakim nastroju była rano. Ostatnie dwa dni spędziła u Oli, planując pogrzeb. Za dnia się właściwie mijali, nocami spali obok siebie, ale owinięci szczelnie, każde pod swoją kołdrą. Kochali się w poniedziałek, potem ilekroć próbował ją przytulić albo zaczynał pieścić, mówiła, że jest zmęczona.

– Chciałabym, żeby to wszystko się już skończyło – powtarzała.

Często płakała. On milczał.

Teraz wziął prysznic, a potem poszedł po świeże ubrania do szafy, gdzie znalazł zwinięte w kulkę ulubione spodenki dresowe. Włożył je, mimo że wyglądały, jakby wyjął je z gardła Lotcie. Koszulkę sobie odpuścił. Rzadko pozwalał sobie na paradowanie z nagim torsem. Kiedy w końcu miał dom dla siebie, mógł to zrobić bez cienia zażenowania.

Z przyzwyczajenia poklepał się po kieszeni spodni, szukając telefonu. Wymacał klucze od działki, które najwidoczniej przeleżały w szafie trzy dni.

– I jak ty zamierzasz się dostać do domku? – powiedział na głos, odnosząc je do pokoju ojca.

Tym razem drzwi były otwarte, Kuba się zastanawiał, czy powinien do niego zadzwonić, ale wyglądało na to, że Artur miał dodatkową parę kluczy. Przedwczoraj rozmawiali przecież o kaloszu, który Kuba wpakował w sam środek bagien.

Rzucił okiem na biurko i wziął do ręki plik kartek z książką ojca. Wciąż leżały w metalowym segregatorze. Jeszcze raz przeczytał fragment o przyjacielu Artura.

„Nie wybrałem swojej kariery. To ona wybrała mnie. Można powiedzieć, że podczas pełni Gorącego Księżyca 1975 roku narodziłem się na nowo. Miałem wtedy czternaście lat i poszedłem na najwyższe wzniesienie w okolicy, żeby podziwiać spektakl, który przygotowała natura. W zagajniku na wzgórzu, nazywanym przez nas Górą Węży, znalazłem zwłoki swojego

przyjaciela, Henry'ego. Tamtej nocy zapragnąłem kary dla jego mordercy. Już wtedy, mając czternaście lat, postanowiłem, że zostanę policjantem”.

Kolejne akapity skupiały się na rozwoju kariery ojca. Na tym kończyły się wątki z jego życia. Ani słowa więcej o Henrym, dzieciństwie, rodzicach, zainteresowaniach przed podjęciem służby. Nie napisał nic o mamie Kuby i o nim samym. Tak jakby stanowili nic nieznaczący element życia ojca. Tak błahy, że nie warto go było przytaczać.

Ale ta historia nie dawała mu spokoju.

Jakub wszedł na stronę wyszukiwarki i postanowił sprawdzić, czy uda mu się zweryfikować opowieść ojca. Musiał poszperać w sieci, ale okazało się, że niedaleko miejscowości, w której wychował się Artur, dwadzieścia kilometrów za Gdańskiem, znajdowało się wzniesienie, gdzie na przestrzeni lat leśnicy zauważyli siedliska czarnej żmii zygzakowatej. Może o to miejsce mu chodziło, gdy pisał o Górze Węży?

Zzerała go ciekawość, czy znajdzie coś na temat śmierci Henry'ego. Kuba nie mógł sobie przypomnieć dokładnej daty śmierci tego chłopca, chociaż widział ją tysiące razy na płycie nagrobkowej. Zerknął na książkę ojca. Artur podał rok i napisał „pełnia Gorącego Księżyca”, czyli dokładnie taka, jaka skończyła się dwa dni temu. Okazało się, że w internecie można znaleźć daty pełni na wiele lat wstecz. Według informacji, do których dotarł Kuba, Gorący Księżyc pojawił się na niebie dwudziestego trzeciego czerwca 1975 roku. Potem wygooglał archiwalne strony „Dziennika Bałtyckiego”, dodał margines błędu i ściągnął numery gazet od maja do września 1975 roku. Nie wierzył, że w mediach nie pojawiła się chociaż wzmianka o morderstwie.

Kuba przeglądał gazety, zatrzymując się na ciekawych artykułach. Niewiele z nich dotyczyło spraw kryminalnych. Dopiero artykuł z dwudziestego piątego czerwca 1975 roku zwrócił jego uwagę.

Według informacji zawartych w notatce poprzedniej nocy doszło do przestępstwa, jednak policja odnalazła dwóch chłopców, a nie jednego. Obu torturowano, jeden zmarł.

Zommer poczuł, jak dreszcze rozchodzą mu się po łopatkach. Wyglądało na to, że Artur był nie tylko świadkiem morderstwa, ale i ofiarą tortur. Dlaczego nigdy o tym nie mówił? Zawsze podkreślał, że Henry zmarł, ale nic poza tym.

Jakub znowu wziął do ręki kartki zapisane przez ojca. Na odwrocie znajdował się opis Patryka Madeja.

„Madej mówił, że jako chłopiec nigdy nie interesował się tym samym, co jego koledzy. Lubił asystować mamie w kuchni i przygotowywać potrawy. Siekanie warzyw i owoców uspokajało go i odprężało. Marzył, żeby otworzyć własną restaurację.

– Mama nie widziała nic złego w tym, że chciałem jej pomagać. Nauczyła mnie szyć ubrania i szydełkować. Miałem zdolności manualne. Potrafiłem wyczarować coś z niczego. To ja urządziłem nasz salon i wybierałem meble. Interesowały mnie takie detale, a mama robiła wszystko, żebym był szczęśliwy. Chciałem być taki jak ona. Łagodny, miły i delikatny – mówił po latach. (Przypominam, że matka mieszkała z Madejem do samej śmierci. Jej zwłoki jako jedyne pochował z należytym szacunkiem i według medyka sądowego nie przyczynił się do jej odejścia).

Zainteresowania małego Patryka nie spotykały się z przychylnością jego ojca, Ludwika. Strofował chłopca i wyzywał, a kiedy kilka lat później nakrył Madeja na pocałunku z przyjacielem, zaciągnął obu do szopy i maltretował tak długo, aż obaj stracili przytomność”.

Do tej pory Kuba przypuszczał, że ojciec będzie pisał o sobie. Nie spodziewał się opowieści o mordercy. Czym właściwie miała być ta książka?

„Ludwik był pierwszą ofiarą Madeja.

– Ta pierwsza zbrodnia udowodniła mi, że powinienem kontynuować swoją misję. Oczyszczać ziemię z nietolerancyjnych szumowin – powiedział.

Nie do końca wiadomo, kogo morderca miał na myśli, ponieważ zdawało się, że jego ofiary nie mają ze sobą nic wspólnego. Odbierał życie kobietom, mężczyznom. Dzieciom i dorosłym. Kierował się przy tym pokrętną logiką.

– Oni nie potrafili żyć. Prosił mnie o śmierć – wyznał.

Ciężko dać wiarę temu stwierdzeniu, ale co ciekawe, Madej nie sprawiał wrażenia osoby, która cierpi na zaburzenia psychiczne. Zbadany przez wielu lekarzy psychiatrów, stanowił zagadkę i wymykał się testom osobowościowym.

– Nigdy nie spotkałem takiego pacjenta – miał powiedzieć słynny Grzegorz Worsz, który pracował w Zakładzie Medycyny Sądowej w Warszawie.

Poniżej przedstawiam fragmenty wywiadów z Patrykiem Madejem, które przeprowadziłem rok przed wykonaniem egzekucji w 1988 roku”.

Kuba nie miał pojęcia, że ojciec rozmawiał z seryjniakiem, którego złapał. Takie rozmowy spisane w formie wywiadu były dużo ciekawsze niż autobiografia. Musiał przyznać, że zaimponowała mu kreatywność Artura. Przejrzał pobieżnie kolejne kartki i rozejrzał się po pokoju. Stary glina zabrał się do pisania książki. Prawdopodobnie słuchał tych rozmów i spisywał je na bieżąco.

Otworzył szuflady w biurku i zauważył w jednej z nich czarne pudełko. Uchylił wieczko, w środku znajdowały się mikrokasety z naklejkami przedstawiającymi datę nagrań. Głębiej znalazł dyktafon starego typu z podłączonymi słuchawkami. Włożył je do uszu i przesiadł się na fotel, z którego ojciec spoglądał na swoją tablicę chwały.

40.

Obecnie

– Marcel! Poczekaj! – Lena wyprostowała się i próbowała go dogonić. Ręka paliła i piekła. – Nic mi nie jest!

Spojrzała na czerwony nadgarstek i miejsce, w które ją uderzył. Pomyślała, że niedługo zrobi się sine. Bolała ją kostka lewej stopy. Lena przypuszczała, że wykręciła ją na nierównej ścieżce, kiedy próbowała złapać równowagę po tym, jak Marcel ją odepchnął. Kuśtykała za nim po pustym podwórku w stronę szopy, z której wyjechał czarnym bmw. Łudziła się, że wyjdzie otworzyć sobie bramę, ale płot za domem włąs-ciwie nie istniał. Wykrzywiona, zardzewiała siatka układała się w fale i samochód wyjechał przez nią bez najmniejszego problemu.

Lena została sama wśród wysokiej trawy, za domem syna, który jej nie potrzebował.

– A pani tu czego?

Przed nią stała młoda staruszka. Kobieta, której alkohol zabrał najlepsze lata życia i urodę. Włożyła do ust papierosa i odpaliła.

– Przyjechałam po Marcela. – Lena spojrzała jej w oczy i wytrzymała pogardliwe prychnięcie, które rzuciła w jej stronę.

– Spóźniła się pani o jakieś dwadzieścia cztery lata – wychrypiała.

Patrzyła, jak zaciąga się fajką. Na jej zmrużone oczy, pomarszczoną twarz. Miała na sobie majtki i niedbale zarzucony wypłowiały szlafrok, spod którego wyzierało chude ciało. Lena nie mogła uwierzyć, że ktoś taki wychowywał jej dziecko.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlaczego co? – Przybrana matka Marcela wysunęła nogę do przodu i zaczęła stukać

stopą w ziemię. Zupełnie jakby odmierzała czas do jakiejś katastrofy.

– Po co go adoptowaliście? Żeby się na nim wyżywać?

Lena słyszała ich kłótnię w kuchni przez drzwi, zaglądała do mieszkania przez okna. To, czego się dowiedziała, dało całkiem niezły obraz przeszłości Marcela.

Kobieta spojrzała na nią z politowaniem.

– A jak pani myśli? – odpowiedziała pytaniem. Uśmiech znowu zaigrał na jej wąskich ustach.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami i po chwili obok nich stanął mężczyzna.

– Mam wezwać policję? – Trzymał w ręku telefon i celował nim w Lenę jak z broni. – To wtargnięcie! – warknął.

Jego wzrok był śliski i czuła, że w myślach dotyka jej ciała. Nie lubiła takich ludzi, zawsze instynktownie przechodziła na drugą stronę ulicy, kiedy kogoś takiego widziała.

– Hubi, daj spokój. – Przedwcześnie podstarzała kobieta nieporadnie go objęła. – Ta pani to biologiczna mama Marcela. Chce koniecznie odzyskać swoje dziecko.

Teraz już oboje nie starali się zachować powagi. Odślonili dziąsła i wybuchnęli śmiechem.

– A nie chce pani młodego? – zapytał facet i posłał partnerce porozumiewawcze spojrzenie.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Lena.

– U sąsiadki jest brat Marcela. Pięć tysięcy gotówką i może go sobie pani zabrać na tydzień do domu – wyjaśnił mężczyzna. – Ile on ma, Celina?

Lena czekała na reakcję kobiety. Na zaprzeczenie, na jakąkolwiek emocję wymalowaną na twarzy, która pozwoli mieć nadzieję, że jest lepszą matką, niż wygląda.

– Dwa tysiące wystarczy – odpowiedziała, zaciągając się papierosem. Przyglądała jej się uważnie, Lena widziała wyraźnie, że zależy jej na tych pieniądzach. – Ma pięć miesięcy. Mało płacze.

Lenę ogarnęło przerażenie. Jeśli komuś obcemu proponowali opiekę nad małym dzieckiem, to co się działo z Marcelem, kiedy był chłopcem? Komu go „pożyczali” i za ile?

– Mam trzysta – powiedziała zgodnie z prawdą i sięgnęła do torebki.

– Za to może go pani zabrać na weekend – powiedział facet i podszedł do Leny. Śmierdział tanią wodą po goleniu z lat dziewięćdziesiątych. Kobieta wyjęła pieniądze, a on niemal wyszarpnął je z ręki. Po wszystkich przysunął banknoty do nosa i udawał, że wdycha ich zapach.

– Nie pajacuj, Hubi. – Przybrana matka Marcela powoli szła przygarbiona w stronę domu. – Młody jest u sąsiadki. – Machnęła ręką w kierunku zmurszałego płotu.

Lena bała się, co tam zastanie.

– Halo! – Darowała sobie pukanie i od razu wpadła do domu. Przywitało ją wpatrzona w nią stado kotów. Już po chwili ocierały się stopy Leny i głośno miauczały.

Pachniało zwierzętami, ale też obiadem i gorącą parą z żelazka. Jak u babci. Kobieta poszła do kuchni, gdzie zastała staruszkę obierającą małym nożykiem jabłko. Obok niej stał wózek z niemowlęciem.

– Dzień dobry – zaczęła Lena, zastanawiając się, kim ona jest. – Przysłała mnie mama Marcela. Mam zająć się jego bratem.

Lena zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, jak to dziecko ma na imię. Tak naprawdę nie chciała go nigdzie zabierać, tylko upewnić się, że jest bezpieczny.

– Lena Potocka. – Wyciągnęła dłoń w stronę staruszki.

– Krystyna Kordacka – odpowiedziała.

Zignorowała gest powitania, wciąż siedziała i obierała owoce. Cała ta sytuacja była tak absurdalna i niepokojąca, że Lena zajrzała do wózka sprawdzić, czy niemowlę żyje. Chłopczyk spał, przy policzku leżała pieluszka w owieczki.

– Pani jest z opieki społecznej? – zapytała Kordacka, podnosząc wzrok.

Lenę zdziwiło to pytanie, chociaż po tym, co zobaczyła w domu Marcela, poczuła pewnego rodzaju ulgę, że jakakolwiek instytucja interesuje się losem tego małego chłopczyka w wózku. Nie była jednak naiwna. Przez lata pracy w redakcji nieraz opisywała historie dzieci, których imię i nazwisko widniało w systemie MOPS-u, a i tak nie dostawały należytej opieki i uwagi.

Lena nie mogła sobie wybaczyć wielu rzeczy. Popelniła w życiu niewyobrażalną liczbę błędów. Ale ta chwila, w której zdecydowała, że nie chce wychować dziecka Rafała, była na samym szczycie listy. Obwiniała też swoich rodziców, ale co z tego, skoro oboje nie żyli? Nic już nie mogli zmienić.

Wyobrażała sobie te wszystkie straszne chwile, których musiał doświadczyć Marcel, kiedy był małym chłopcem. Stała w kuchni u Kordackiej i zastanawiała się, czy w domu obok pod podobnym stołem wiele lat temu ukrywał się jej synek.

Myślała o Jaśku i wszystkich szczęśliwych chwilach jego dzieciństwa, których jej drugi syn na pewno nie zaznał. Czy mama piekła mu tort na urodziny? Kto go pocieszał, kiedy płakał? Jak często modlił się o nową mamę? I dlaczego Leny wtedy przy nim nie było?

Trzęsły jej się ręce, kiedy położyła je na skórzanym obiciu rączki od wózka. Zajrzała do środka. Chłopiec już nie spał. Wiercił się i bawił zaciśniętą piąstką. Patrzył na nią spokojnym wzrokiem i delikatnie się uśmiechał.

To dodało Lenie odwagi. Poczula, że nie ma nic do stracenia, i postanowiła być szczerą.

– Jestem mamą Marcela. Dawno temu moi rodzice oddali go do adopcji.

Chciała się jakoś wytłumaczyć, ale wzruszenie odebrało jej mowę. Spojrzała na parapet w oknie i kwitnące pelargonie. Żywo czerwone płatki kwiatów, z których część spadła na podłogę. Potem na blaty w kuchni, na których leżały czereśnie i chleb zawinięty w kraciastą ściereczkę. W końcu na chłopca.

Wyobraziła sobie, że znowu ma piętnaście lat, jednak wszystko układa się inaczej. A tam, w wózku, leży jej mały synek.

– Wiem, że pojawiłam się o wiele za późno. Ale... – Dotknęła małej stópki i zamknęła ją w dłoni. – Byłam przekonana, że Marcel nie żyje. Dopiero niedawno się dowiedziałam, że cały czas mieszkał tak blisko.

– Myślałam, że on kłamie. – W oczach Kordackiej malowało się zrozumienie właściwe osobom, które widziały w życiu tak wiele, że nic nie mogło ich zaskoczyć. – Opowiadał, że jest adoptowany, ale wie pani, że dzieci wymyślają różne historie, żeby wytrzymać to, na co nie mają wpływu.

Zapanowała cisza, która dźwięczała w uszach jak alarm. Lena miała na końcu języka pytanie o dzieciństwo Marcela. Nie wiedziała jednak, czy jest gotowa usłyszeć odpowiedź.

– Jak on sobie poradził? – Przesuwała dłonią po nóżce chłopca, którą kopał powietrze. Gładziła bawelnianego pajacyka w misie i liczyła w myślach brązowe brzuszki. Czekwała na to, co powie Kordacka, z bijącym szybko sercem. Miała wrażenie, że misie na piżamce chłopca patrzą na nią ze współczuciem.

– Najlepiej, jak potrafił. – Staruszka westchnęła. – Myślę, że uratowała go wyobraźnia.

– W jakim sensie?

– Powtarzał bajki o swojej supermamie. Że go zabierze i zamknie rodziców w więzieniu.

– Czy oni go bili? – Lena nie mogła powstrzymać łez. Zagryzła wargi i zaczęła liczyć do

dziesięciu.

Spojrzała na czerwoną plamę na swoim nadgarstku w miejscu, w którym uderzył ją Marcel. Krew rozlała się pod skórą i pojawiły się załóżki siniaka.

Kordacka zauważyła, jak trzęsą jej się ręce.

– Ważne, że pani jest. On wciąż potrzebuje matki.

– A on? Jak ma imię jego braciszek?

– Michałek. Właściwie to Marcel się nim opiekuje. Jest jak tata, którego to dziecko nigdy nie miało.

– Poradzi sobie z nim pani do jutra? Potem przyjadę pomóc. Już zapomniałam, jak to jest trzymać takie maleństwo, ale na pewno szybko sobie przypomnę.

Lena pogłaskała Michałka po policzku, a potem zmieniła mu pieluszkę. Czyste leżały w koszu pod wózkem. Przeszło jej przez myśl, że powinna go zabrać ze sobą, ale nie wiedziała, jak zareaguje Marcel. Ufał Kordackiej, a Lena była dla niego obca.

– To takie dziecko, jakby go nie było. Poradzę sobie, nawet i kilka dni. – Staruszka wyjęła z szafki opakowanie z mlekiem i zaczęła je przygotowywać. – Dostanie butelkę i będzie spał do rana.

– Mimo wszystko przyjadę. – Lena podała chłopcu kolorową, miękką żyrafkę. Jediną zabawkę, która leżała na stole.

– Dobrze, że teraz pani tu jest. Może wszystko się jakoś ułoży. Marcel jest bardzo silny i odpowiedzialny, ale ktoś powinien mu pomóc.

Dopiero teraz Lena zauważyła, że Kordacka płacze. Wytarła kilka łez dłonią.

Ich rozmowę przerwał dźwięk telefonu, który należał do staruszki. Kordacka wzięła go do ręki, ale nie wiedziała, którym przyciskiem odebrać.

– Nie mam okularów – wytłumaczyła się i przesunęła urządzenie w stronę Leny.

Telefon miał mały ekran, ale duże, podświetlane przyciski. Nacisnęła zieloną słuchawkę i od razu włączył się tryb głośnomówiący.

– Czy rozmawiam z rodziną Marcela Kielasa? – odezwał się męski głos.

– Tak. – Lena się zawahała. – Z jego matką.

– Numer do pani był wygrawerowany na nieśmiertelniku, który nosił na szyi. Chciałem panią poinformować, że Marcel miał wypadek samochodowy.

41.

Obecnie

- Przedstaw się i powiedz, dlaczego znalazłeś się w więzieniu – powiedział Artur.
- Patryk Madej, jestem tu, ponieważ mnie wsadziłeś. – Morderca zaśmiał się cicho.

Kuba nie słyszał wcześniej głosu tego faceta. Był wysoki i cienki, zupełnie jak głos dziecka, a nie czterdziestoletniego mężczyzny. Spojrzał na zdjęcie Madeja, które wisiało na wielkiej tablicy, i próbował złożyć go w kompletną postać. Człowieka z krwi i kości z głosem małego chłopca.

- Wiesz, że znaleźliśmy szesnaście ciał?
- Słyszałem o tym. Ale nie wszystkie należą do mnie.
- A do kogo?
- Nie wiem. Może ty wiesz?
- Zacząłeś zabijać w wieku dwudziestu czterech lat. Opowiesz mi, jak to się zaczęło?
- A co mi za to dasz?

Artur milczał.

– Dobra, tak się tylko droczę. – Madej znowu się zaśmiał. – Pewnej nocy, kiedy mój ojciec wrócił pijany do domu, udusiłem go w piwnicy. Można powiedzieć, że tego nie przemyślałem. To się stało samo. Miałem potem wiele problemów z jego zwłokami. Trochę z przypadku wpadłem na to, żeby pozwolić go zjeść naszym zwierzętom. To było nawet zabawne.

- Przyglądałeś się temu?
- Nie na okrągło. Chodziłem przecież do pracy.

– Czym się wówczas zajmowałaś?
– Pracowałem w firmie, która szła zaslony. Tak naprawdę chciałem zostać kucharzem, ale z każdej pracy w gastronomii wcześniej czy później mnie zwalniano.
– Dlaczego?
– Mówili, że gadam do siebie.
– A nie, że nie dbasz o zasady? Taki zapis widnieje na twoim zwolnieniu.
– Widzę, że się przygotowałaś – odpowiedział Madej. – Zrobiłem kilka żartów klientom.
Nic poważnego.

– Co to było?
– Robaki, surowe mięso, trochę tego i owego. Byłem młody i głupi.
– Teraz byś tego nie zrobił?
– Nie. To były takie wprawki. Wtedy jeszcze nikogo nie zabiłem. Wiesz, co teraz bym wymyślił?

– Chyba tak. – Ojciec westchnął. – Dałbyś im do spróbowania ludzkie mięso.
– Zepsułeś cały dowcip.
– Przepraszam.
Na chwilę zapadła cisza.
– Opowiedz mi o swoim zbiorze pamiątek. Tak na to mówisz, prawda? – zapytał Artur.
– Nie mam ochoty.
– To są albumy ze zdjęciami. Każda z twoich ofiar została ułożona w taki sam sposób.
– Może.
– Robiłeś to zaraz po morderstwie, kiedy jeszcze ich twarze wyrażały całą gamę emocji. Leżeli w pozycji embrionalnej i każdy z nich ścisnął w dłoni różaniec. Potem ciała trafiały do chlewni, a obgryzione kości grzebałeś na polu. Poza matką.

– Nie zabiłem swojej mamy!
Kuba usłyszał szuranie krzesłem. Zgadywał, że morderca się zdenerwował. Podeszedł do tablicy ojca i spojrzął na pinezki, które Artur przyczepił wokół domu Madeja. W tych miejscach technicy znaleźli ciała. Wszystkie szczątki zawinął w jeden rodzaj szarej bawełny, którą media nazywały „pokutną”.

– Jesteś wierzący, Patryku?
– Wierzę w siebie. – Madej zniżył głos. – A możemy teraz porozmawiać o tobie?
– Co chcesz wiedzieć?
– Masz rodzinę?
– Mam.
– Żona, dzieci?
– Do czego zmierzasz? – Kuba usłyszał w głosie ojca zniecierpliwienie.
– Czy zastanawiasz się czasem, kim one będą? Twoje dzieci.
– Nieustannie.
– Ja miałem ojca sadystę i skończyłem jak on. Powielam pieprzony schemat. W myśl tej zasady twoje dzieci będą gwiazdami policji i złapią takich psycholi jak ja.
– Myślisz o swoim synu? Zastanawiasz się, czy skończy jak ty?

Zapadła cisza, dyktafon wydawał z siebie przeciągłe oddechy. Długi i spokojny oraz szybki. Który należał do kogo? Jakub zaczął przeglądać kartki z książką ojca. Było ich mało, w sumie dziewiętnaście, ale zapełnionych dwustronnie. Szukał w tekście fragmentu, który właśnie słyszał. Zastanawiał się, jak Artur go opisał.

– Paweł był inny. Teresa o to zadbała – powiedział Madej.
– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym?

– Bo szybko się mnie wyrzekli. Moje małżeństwo rozpadło się krótko po narodzinach syna. Nic o nich nie wiem. Pewnie mieszkają w jakiejś dziurze zabitej dechami i zapomnieli, że istnieję.

CHOMIKO - WARNIA

42.

Obecnie

Lena wjechała na podwórze o dziewiętnastej. Wcześniej pomogła Kordackiej zająć się Michałkiem i próbowała wyciągnąć możliwie najwięcej informacji na temat wypadku Marcela. Lekarz udzielił lakonicznej wypowiedzi i zaprosił na oddział następnego dnia rano.

– Pani syn jest operowany, może pani spać na korytarzu, ale co to zmieni?

– I tak przyjadę.

Zadzwoiła w kilka miejsc i po chwili znajomy fotograf przesłał jej na maila zdjęcia zgniecionego samochodu z wyważonymi drzwiami.

Zaparkowała na podwórzu wyczerpana, jakby nie spała od kilkunastu dni. Chciała spakować torbę i pojechać do szpitala. Zastanawiała się, czego Marcel może potrzebować. Ręcznika? Kapci? Pasty do zębów?

A jej? Czy będzie potrzebował jej?

Gdy Lena wysiadła z samochodu, zaskoczyła ją cisza. Nikt nie skrzeczał na jej widok, za to pod drzewem wroniej mamy leżała nieruchomo czarna kuleczka.

– Małeńki? Co się dzieje? – Podbiegła i wzięła pisklaka na rękę. Jego piórka łaskotały w palce. Ruszał się i otwierał pomarańczowy dziobek. – Wystraszyłeś mnie – szepnęła, rozglądając się wokół. Nigdzie nie było widać jego matki. Widocznie wyruszyła na poszukiwanie jedzenia. Lena wiedziała, że powinna go odłożyć.

Spojrzała w górę, gdzie gałęzie tworzyły gęstą sieć, i wypatrzyła gniazdo. To drzewo zasadził jej pradziadek. Z biegiem lat pień srebrzystego klonu nabrał niepokojącego wyglądu. Zupełnie jakby ktoś złapał go w dłonie i próbował skrócić. Na jego powierzchni powstały

niewielkie rowki i rozpadliny, z których wyrastał mech. Sprawiały wrażenie głębokich, a przynajmniej na tyle, żeby dało się po nich wspiąć do gniazda.

– Przepraszam, dzieciaku – powiedziała Lena do pisklaka i włożyła go do kieszeni spodenek. Całe szczęście ubrała się akurat w luźne bermudy, miała nadzieję, że nie stanie mu się krzywda, a potrzebowała wolnych rąk.

Wsunęła stopę w rozpadlinę pnia i to samo zrobiła z rękoma, podnosząc się do góry. Przeklinała w myślach wszystkie opuszczone lekcje aerobiku. Miała słabe ramiona. Mięśnie drżały, a ciało odmawiało współpracy. Czuła, że ślizgają jej się stopy, ale nie mogła odpuścić. Pisklak niespokojnie się wiercił, dziobał w udo i piszczał.

– Jeszcze chwilę – próbowała go uspokoić. Od gniazda dzieliły ją jeszcze dwa długie metry. Pot spływał Lenie po skroni, ubranie kleiło się do ciała. Wszystko ją swędziało. Obiecała sobie, że jak już ten cały koszmar się skończy, zapisze się na ściankę wspinaczkową.

Włożyła dłoń w ostatnią dziurę w pniu i poczuła, że jej paznokcie zastukały w metalową pokrywę. Lena podciągnęła się do góry i zobaczyła starą skrzynkę z pokoju Rafała. Wcześniej, kiedy rozmawiała z jego mamą, Nowicka twierdziła, że otwierał ją klucz z breloczkiem w statki. Ten sam, który Lena znalazła w koszu z praniem i wciąż wozila w torebce.

Założyła, że skrzynkę ukryli w drzewie jej syn i Kasia. Czuła, że wszystko w niej wrze, napięcie stało się nie do zniesienia. Odłożyła pisklaka na miejsce i wyjęła metalowe pudełko z dziupli.

Zejście z klonu w taki sam sposób okazało się niemożliwe. Szorstka kora raniła skórę, więc kiedy Lena była w połowie drogi, po prostu zeskoczyła. Ból ściał ją z nóg. Przetaczał się falą od stóp po czubek głowy. Przeceniła swoje możliwości.

Wzięła torebkę, która wciąż leżała w samochodzie, i ledwo dowlokła się do domu. Dosłownie czuła, jak żarzą jej się koniuszki palców. Jakby spalała się z każdą sekundą. Stała w kuchni przy stole i wysypała zawartość torby na stół. Kluczyk z breloczkiem z małym statkiem wypadł na samym końcu.

Lena wsunęła go do zamka metalowego pudełka i po chwili usłyszała ciche kliknięcie.

W środku znajdowała się koperta i stary telefon jej taty. Wyjęła z koperty negatywy pocięte na paski i fotografie. Zdjęcia przedstawiały niepokojące erotyczne sceny. Zbliżenia na genitalia, usta, oczy.

Na jednym z ostatnich zdjęć Lena rozpoznała Rafała. Ale kim była ta druga osoba? Kim był drugi mężczyzna? Zawsze pojawiały się tylko fragmenty tego człowieka lub jego dłonie. Silne, męskie ręce na policzku i w ustach chłopaka. Lena poczuła, że zaraz zwariuje. Zastanawiała się, na co właściwie trafiła. Jej tętno galopowało, dosłownie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Przecież Rafał nie mógł być gejem. Co w takim razie robił na tych zdjęciach? Kto go do tego zmusił?

Przypomniała sobie aparat, który znalazła u Jaśka w plecaku. Nie miał w środku kliszy. Lena pomyślała, że właśnie na nią patrzy. Że to te zdjęcia, które Jasiek i Kaśka wywoływali w łazience. Naliczyła zaledwie dziewiętnaście zdjęć. Klisze zazwyczaj miały po trzydzieści sześć klatek.

– Ale po co wam był telefon... – Wzięła do ręki nokię taty i ją włączyła. Na szczęście знаła PIN. Po chwili na ekranie pojawiły się ikonki. Ostatnie połączenie zostało wykonane na nieznanym numerze. Na ten sam numer wysłano wiadomość.

„Wiem, co robiłeś z Rafałem Nowickim. Mam zdjęcia. Niedługo poznasz moje warunki. Jako dowód dostaniesz negatywy, wywołane fotografie zatrzymam, dopóki nie zrobisz tego, o co proszę”.

Esemeś został wysłany w sobotę rano. Tego samego dnia, kiedy Kasia odebrała sobie

życie, a Jasiak zniknął. Lena poczuła paniczny strach.

Zaczęła chodzić w kółko po kuchni i zastanawiać się, co właściwie powinna teraz zrobić. Wpatrywała się w ciąg cyfr, ale nic jej nie mówiły. Wywnioskowała, że ma przed sobą numer do osoby, która prawdopodobnie jest z Rafałem na zdjęciach. Rozum podpowiadał jej, że powinna to jakoś mądrze rozegrać. Ale serce nie chciało go słuchać. Myślała tylko o tym, żeby odzyskać Jaśka. Była środa wieczór, od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, minęły cztery pełne doby. Musiała się dowiedzieć, gdzie jest.

Ze stresu miała mokre dłonie, ale wybrała nieznaną numer. Po kilku sygnałach ktoś odebrał. Odebrał i milczał. Lena słyszała głośny oddech, zupełnie, jakby ten ktoś stał obok i dyszał jej prosto w kark.

– Znalazłam negatywy i telefon. Czy wiesz, gdzie jest mój syn?

Numer się rozłączył. Nikt się nie odezwał, tylko odłożył słuchawkę.

– Kurwa! – zakląła Lena i zaczęła chować telefon i klisze do pudełka. Była pewna, że właśnie się wystawiła. Powiedziała komuś, że ma dowody na jego winę. Coś, za co prawdopodobnie zostali ukarani Kasia i Jasiak.

Lena musiała się jakoś zabezpieczyć. Zrobić cokolwiek.

Wyjęła swoją komórkę i próbowała dobić się do Zommera. Nie odebrał. Zadzwoiła jeszcze trzy razy, w końcu napisała esemesa, w treści wklejając tajemniczy numer.

„Kasia i Jasiak kontaktowali się z tą osobą w sobotę rano. Znaleźli w rzeczach Rafała zdjęcia, na których ten mężczyzna go wykorzystuje. Zadzwoiłam pod ten numer i myślę, że popełniłam błąd. Boję się, że coś mi się stanie”.

Lena próbowała się skupić, ale w głowie miała tylko obrazy, które zobaczyła na fotografiach. Rafała opartego o pień drzewa, Rafała, który ma w ustach... Czowała, że zaraz się udusi, nie mogła złapać tchu. Wpadała w spiralę nerwów.

– Nie teraz, błagam... – Oparła się o zlew w kuchni i zmoczyła dłonie, a potem twarz.

Kogo jeszcze mogła powiadomić o swojej sytuacji? Znajomych dziennikarzy? Byłego męża? Policję? Ale co ma im powiedzieć? Na pewno przyjadą, bo muszą przyjąć zgłoszenie.

Lena zaczęła skrolować kontakty i zatrzymała się na imieniu Pabla. Odebrał zdyszany po kilku sygnałach. Opowiedziała mu w skrócie, co znalazła.

– Za chwilę u ciebie będę – odpowiedział szybko i się rozłączył.

Kiedy odkładała telefon, wydawało jej się, że słyszy hałas przed domem. Podbiegła do okna w sypialni i wyjrzała przez nie, ale nikogo nie zauważyła. Musiała szybko coś wymyślić. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to służbowy dyktafon, który trzymała w salonie, w kredensie. Poszła po niego, uruchomiła i schowała w kuchni, na parapecie między doniczkami. Postanowiła, że jeśli ktoś się tu zjawi, spróbuje coś z niego wyciągnąć. Zostawi jakieś dowody.

Napisała kolejnego esemesa do Kuby: „Na parapecie w kuchni jest dyktafon”.

Przeszło jej przez myśl, że jeśli niepotrzebnie się nakręca, będzie musiała potem tłumaczyć się koleżdze z własnej paranoi i tych dziwnych esemesów. Mimo wszystko uznała, że lepsze to, niż gdyby Kuba musiał jej niedługo szukać.

To wszystko mogło trwać jakieś piętnaście minut, a Lena była spocona i sztywna ze strachu. Jeszcze nigdy w życiu się tak nie bała.

Zauważyła na podwórku światła samochodowe.

– O matko... – szepnęła, zerkając przez judasza w drzwiach.

Wszystko pulsowało, a postać mężczyzny rosła i rosła. Aż w końcu zapukał do drzwi. Lena sięgnęła do klamki. Przed nią stał Pablo.

– Dzięki Bogu, to ty – powiedziała z ulgą, wpuszczając go do środka. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Jesteś sama?

CHOMIKO - WARNIA

43.

Dawniej

Kuba siedział w ogrodzie i jadł czereśnie na hamaku. Ich pestki zostawiały cierpki posmak na języku. Zakładał się sam ze sobą, czy uda mu się splunąć do grządki z wysuszonymi truskawkami. Słońce zostawiło na listkach owoców swój podpis i kiedy brał je w dłoń, kruszyły się jak wafelki do lodów. Skończył właśnie dziesięć lat i wydawało mu się, że jest już dorosły.

Mama uchyliła okno w domku i poprosiła, żeby zawołał tatę na kolację.

– A gdzie on jest? – zapytał, z żalem odkładając wiaderko z owocami. Pot łaskotał go w głowę, więc wytarł krótkie włosy w koszulkę.

– Nad jeziorem? W lesie? U sąsiada? Kubaś, gdybym wiedziała, to sama bym go zawołała. Leć raz, dwa i wracajcie, bo mi tu wszystko stygnie!

– A jak zjemy zimne, to co? – wymamrotał pod nosem.

Ojca zawsze nosiło, całe dni był w pracy, a podczas urlopu spędzał z rodziną tylko niezbędne minimum. Mama obalała jedną butelkę wina za drugą, Kuba szwendał się po kolegach, a tata znikał. Albo tak się tylko wydawało, bo jednak jakimś cudem chłopak zawsze trafiał na jego trop.

Niedopałek papierosa, gdy jeszcze palił mocne z filtrem. Ślad buta na błocie, jego głos wśród innych męskich głosów.

– Co tam, chłopaku? – wołał na widok syna i unosił dłoń. – Kolacja? – pytał. – A jak zjemy zimną, to co się stanie? – powtarzał pytanie Kuby. A może to Kuba wcześniej powtarzał ojca. Chciał przecież robić wszystko dokładnie tak jak tata.

– Chyba nic – odpowiadał chłopiec, wzruszając ramionami.

Ojciec przyciągał go wtedy do siebie, sadzał na kolanie i przez te kilkanaście minut, zanim ruszyli do domku, pozwalał zajrzeć pod podszewkę swojego świata. Twardego, pełnego zasad i chłodnej, policyjnej kalkulacji.

Kuba słuchał z zapartym tchem, jak tata dywaguje z Boguckim o zagadnieniach patologii albo dzieli się z jakimś wojskowym informacjami ze śledztw. Nie rozumiał z tego wiele, ale kiwał głową i przytakiwał, udając, że wie, o co chodzi. Kiedy pojawiały się takie słowa, jak „zwłoki” albo „krew”, starał się zająć myśli czymś innym.

Czasami Artur się denerwował. Nie tylko dlatego, że Kuba się mylił, ale głównie dlatego, że czegoś nie rozumiał. Dla niego świat był przejrzysty jak instrukcja klocków lego. Wszystko do siebie pasowało. A zbrodnie musiały mieć jakieś wytłumaczenie.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego znowu znikasz na całe dni? – pytała mama z wyrzutem, kiedy znowu zatapiał się w aktach jakiejś sprawy. – Czy nie ma nikogo w tym pieprzonym wydziale, kto mógłby ci pomóc?

– Dzięki mnie nasz syn może spać spokojnie. Nie rozumiesz? Muszę się poświęcić. Inaczej to wszystko nie ma sensu!

44.

Obecnie

Kuba siedział w pokoju ojca i słuchał dalej. Artur kontynuował wypytywanie Patryka Madeja o rodzinę.

– Kiedy mówisz: wyrzekli się mnie, masz na myśli to, że była żona oskarżyła cię o gwałt i maltretowanie?

– Kłamie, nigdy jej nie uderzyłem.

– A syna?

– Paweł jest moim alter ego.

Kuba odnalazł ten fragment w książce, ale nie zgadzała się wypowiedź Madeja. Na taśmie Artur zadawał już kolejne pytanie, a seryjniak milczał. W książce wypowiedź ciągnęła się na pół strony.

„W chwilach słabości patrzyłem na Pawła i czułem, że gdyby nie pewne sploty okoliczności w moim życiu, mógłbym być taki jak on. Może trudno ci to sobie wyobrazić, ale jestem zdolny do miłości. Kocham mocno i szczerze. Problem polega na tym, że jest we mnie namiętność silniejsza niż miłość. Wiesz, jaka? Wiem... Myślisz o śmierci. Ale to nie tak. To wola życia i umiłowanie życia każą mi zabijać. Robiłem to, żeby przeżyć. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu, prawda?”

– Co jest, do cholery? – wyszeptał Kuba. Wypowiedź kończyła się tym samym tekstem, który ojciec Kuby powtarzał w kłótniach z matką, próbując usprawiedliwić swój praco-holizm. „Inaczej to wszystko nie ma sensu” mogło z powodzeniem zostać mottem ich relacji. Może odpowiedzi seryjniaka były zbyt krótkie i Artur chciał je podkreślić? Byłoby to niestosowne

i nieetyczne zagranie, ale kto miałby to zweryfikować?

Kuba przewinął taśmę i próbował znaleźć jakiś inny fragment, który pokrywałby się z tekstem. Nie udało się. Zmienił kasetę i spróbował jeszcze raz. Rozmowa na ósmej stronie przypominała to, czego słuchał, ale odpowiedzi nadal się nie zgadzały.

– Dlaczego to robiłeś? – zapytał Artur.

– Bo mogłem i chciałem – zamruczał od niechcienia Madej. Z tonu głosu Kuba wywnioskował, że ma już dość. – Nie było żadnego rozkazu z nieba.

Tu wypowiedź seryjniaka się kończyła, ale w książce znajdował się ciąg dalszy.

„Spróbuj to sobie wyobrazić inaczej. Na przykład kiedy idziesz lasem i spotykasz na swojej drodze ranną sarnę. Czy strzelisz jej w głowę, żeby skrócić męki? Czy może zawleciesz jej ciało do hordy wilków i będziesz delektować się tym, jak cierpi? Ale to zły przykład. Zupełnie nie oddaje mojego działania. Postawmy przed sobą dwa równorzędne zwierzęta, braci. Może wilki, dobrze? Gdybyś zamknął je w niewielkiej przestrzeni i nie zapewnił im pożywienia, gdybyś je szczał na siebie i kazał wybierać, gwarantuję ci, że jeden zagryzłby drugiego na śmierć. Tak właśnie robiłem. Kazałem im wybierać”.

Jakub zupełnie nie rozumiał tego tekstu. Wybór? Nie zgadzał się z *modus operandi* Patryka Madeja, który mordował ofiary poprzez powolne podduszanie. Ale może to wszystko było jakąś chorą metaforą? Szukał kolejnego fragmentu tekstu, żeby porównać go z kasetą. Nie przerywał przy tym słuchania.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że nie zwariowałeś tylko dzięki zdjęciom.

– A ty? Oglądasz policyjne akta?

Kuba zauważył, że Madej czuje się wyjątkowo swobodnie. Zwraca się do jego ojca po imieniu. Tak, jakby coś ich łączyło. Jakaś niemożliwa do zdefiniowana bliskość.

– Opowiedz mi o swoim ojcu – poprosił stary Zommer. – O tym wydarzeniu, które wszystko zapoczątkowało. O tym, jak zamknął was w szopie.

Kuba pomyślał, że Artur często wraca do tego wątku. Widocznie wydał mu się interesujący z punktu widzenia tego, co morderca później odtwarzał i powielał.

– Siedziałem z moim przyjacielem w tej cholernej szopie dwa dni. Bez jedzenia i picia. Musiałem go dusić... Mieliśmy dużo siniaków i ran. Ale ojciec mnie nie dotknął...

Na dwunastej stronie Kuba znalazł inną odpowiedź na to pytanie.

„On się tylko przyglądał. I rozkazywał. Najpierw musieliśmy zabić i oskórować zwierzęta. Potem kazał nam robić sobie nawzajem krzywdę tak długo, aż drugi tracił przytomność. Korzystał z narzędzi i szantażował nas, jednocześnie wciąż dając nadzieję, że w końcu nas wypuści. Za każde dobrze wykonane zadanie dostawaliśmy lepszą broń i pożywienie. Albo ty, albo on – mówił. Śmiał się, kiedy mdlałem z bólu, i cieszył się, gdy kaleczyłem swojego przyjaciela”.

– Co się z nim później stało? Z tym twoim przyjacielem? – zapytał Artur.

– Po tym, jak ukarałem ojca, nie chciał mnie znać. Zostawił mnie samego.

W książce wyznanie brzmiało zupełnie inaczej.

„Nastała samotność tak dojmująca, że żal po niej mogła ukoić tylko kolejna ofiara. Jednocześnie nieustannie szukałem kogoś, kto byłby podobny do niego i pozwoliłby mi poczuć tę samą więź. Od tamtej pory w każdą letnią pełnię księżyca wspominałem kogoś, kto odszedł na zawsze z mojej winy”.

Jakub czuł nieznośną suchość w ustach. To, co czytał, brzmiało niepokojąco i dziwnie. Zupełnie jakby ojciec umieszczał w wypowiedziach Madeja własne przeżycia. O co mu chodziło? Użył słów „kolejna ofiara”.

Następne wypowiedzi nie znalazły się na zapisanych fantazyjnym pismem kartkach,

choć Kuba przeglądał je tak długo, że na rogach pojawiły się zagięcia.

– Co robiłeś w okresach wyciszenia? – Artur chrząknął.

– Udawałem kogoś, kim nie jestem. Zresztą powinieneś mnie zrozumieć. – Madej się zaśmiał. – Widzę w twoich oczach to samo nienasycenie. Ile jeszcze wytrzymasz?

– Tyle, ile będzie trzeba – wycedził ojciec.

– Myślisz, że jesteś lepszy, bo siedzisz po drugiej stronie stołu? A może masz się za mistrza kamuflażu, jak te twoje ćmy z kart, które nosisz w kieszeni?

Kuba analizował wszystkie informacje i starał się nie panikować. Przypomnił sobie ćmy w pokoju Kasi, które wcześniej narysował Rafał. Nocne motyle o skrzydłach tak ciemnych, jakby nigdy nie widziały słońca.

– Ty skurwielu!

Kuba zerwał słuchawki z głowy i rzucił dyktafonem o ścianę. Chciał trafić w zdjęcie ojca przyklejone do tablicy chwały, ale chybił o milimetry.

CHOMIKO - WARMIA

45.

Obecnie

Lenie przyszło do głowy, że tak wygląda umieranie. Wokół niej panowała tak gęsta ciemność, że nie widziała nawet konturów ręki. Poruszyła się, próbując wybadać granice przestrzeni. Poza potwornym bólem głowy chyba nic jej nie dolegało. Leżała na czymś twardym. Dotknęła podłoża i pomyślała, że to wilgotny beton.

Usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Zrobiło się potwornie zimno. Dreszcze wspinały się po jej ciele, twarz tężała.

Lenie się wydawało, że usłyszała jakiś dźwięk. Poruszenie. Nie potrafiła jednak ustalić, gdzie to było.

– Jest tu ktoś? – szepnęła. Czowała suchość w ustach. Język nie chciał współpracować, jej reakcje były dziwnie przytępione, jakby wzięła za dużo psychotropów. Próbowwała sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Kuchnia, Paweł, a potem...? Co wydarzyło się potem?

Dźwięk się powtórzył. Tym razem Lena wyraźnie usłyszała cichy jęk. I krótkie słowo. „Mamo”.

– Jasiu? – rzuciła w przestrzeń.

Znowu rozległ się jęk, a za nim szuranie i jakby metaliczny odgłos. Lena zaczęła powoli przesuwać się na czworakach do miejsca, w którym, jak jej się wydawało, słyszała swojego syna. Po chwili go poczuła. A raczej jego owładnięte gorączką, dygoczące ciało.

Przeraziła się, zaczęła go dotykać. Jego twarzy, rąk i nóg. Próbowwała sprawdzić, w jakim jest stanie. Wymacała coś lepkiego i mokrego na wysokości jego brzucha. Krew?

Ciszę przerwało ciche kliknięcie, a w ciemności zatańczył płomień zapalniczki.

– Mam tylko to, mam, nie byłem w stanie nikogo skrzywdzić.... To i trochę wody... – wysapał Jasiek. Lena widziała, że ledwo oddycha. Jego klatka piersiowa unosiła się powoli. – Chcesz wody?

– Nie chcę, kochanie.

W skąpym świetle jego T-shirt nabrał szarej barwy. Lena widziała na nim ciemniejsze, bordowe plamy. Dużo plam.

Przylgnęła do niego i z całych sił powstrzymywała łzy. Zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Wszędzie widziała tylko beton.

Jasiek wczepił się w nią jak wtedy, gdy był małym chłopcem. Musiał mieć wysoką temperaturę. Może myślał, że to wszystko mu się wydaje. Że matka to tylko sen.

– To ja – mówiła Lena, kołysząc go w ramionach.

Po chwili usłyszała szcęk otwieranego zamka. Skuliła się i przytuliła syna jeszcze mocniej. Poddawał się temu jak manekin.

– Jasiek, nie zostawiaj mnie teraz. Właśnie teraz musisz być silny! Uda nam się stąd wyjść, słyszysz? Wyciągnę nas z tego – szeptała. Modliła się w duchu, żeby Zommer przeczytał jej wiadomość.

Światło latarki prześlizgnęło się po ścianach. Lena zobaczyła ślady krwi, brudne szmaty i plecaki. „Mój Boże, do kogo to należało? Kto tutaj był przed nami?” – pomyślała przerażona.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna.

Rozpoznała głos Pabla. Upuścił na ziemię latarkę i przez moment, zanim źródło światła nie padło na jakiś punkt za ich plecami, zobaczyła jego sylwetkę. Stał, wpatrując się nieruchomo w przestrzeń, w jednej dłoni trzymał przedmiot, którego Lena nie mogła rozpoznać.

Jej oddech przyspieszył. Jedną ręką głaskał Jaśkowi włosy, drugą zasłoniła mu oczy. Zaczęła płakać, chociaż tak bardzo nie chciała przestraszyć swojego syna. Ale jemu to było obojętne. On nawet nie wydał z siebie dźwięku. Tak jakby pogodził się z tym, co miało nastąpić.

Przybliżył tylko usta do jej ucha i wyszeptał:

– Za moimi plecami są nożyce.

46.

Obecnie

Jakub dosłownie przewrócił pokój ojca do góry nogami. Otwierał wszystkie książki i wysypywał ich zawartość na podłogę. Szukał czegokolwiek, co powie mu, że się myli. Że ojciec nie był taki jak Madej. Nie miał w sobie tego samego nienasyceńca.

Wkrótce na blacie biurka urosła przedziwna góra kabli i starych sprzętów elektronicznych. Potem Zommer otworzył szafę i sprawdzał ubrania ojca. Wkładał dłonie do wszystkich kieszeni w spodniach i bluzach. Na dnie jednej z półek znalazł zgiętą kartkę. Dopiero kiedy ją wyjął, okazało się, że patrzy na czarno-białą fotografię, którą w miejscu zgięcia znaczyła biała zmarszczka.

– Rafał? – zapytał, wpatrując się w chłopca na zdjęciu.

Na fotografii widniał ojciec w młodości i ktoś, kto przypominał Rafała. Obejmowali drzewo, stojąc po obu stronach pnia. Ich dłonie się stykały. Z tyłu Kuba znalazł dopisek wykonany ręcznym pismem: „Pamiętaj o mnie – Henry”.

Czy zdjęcie przedstawiało młodego Artura z Henrykiem? Z chłopcem, od którego wszystko się zaczęło? Jakub nie mógł uwierzyć, że przyjaciel ojca z dzieciństwa jest aż tak podobny do jego zmarłego kolegi, Rafała. „Takie przypadki nie istnieją” – pomyślał.

– Kuba... – Do pokoju weszła Wiola. Zommer zapomniał, że się z nią umówił i obiecał długo odwlekaną rozmowę.

– Nie teraz. – Wyciągał z szafy kolejne ubrania. Sprawdzał szuflady z bielizną.

– Ale to ważne. Spójrz na mnie!

Właśnie wywalił na biurko stos skarpetek. Czarnych, nieuciskowych, jebanych skarpetek.

Niechętnie odwrócił się w stronę żony. Drapała się po szyi, zostawiając czerwone pręgi na skórze. Drżała jej dolna warga, jak zawsze wtedy, gdy sekundy dzieliły ją od wybuchu płaczu. Dokładnie tak wyobrażał sobie tę chwilę. Tylko że w jego głowie moment, w którym dowiadywał się o tym, że Wiola zamierza odejść, rozgrywał się w zdecydowanie lepszym czasie. Jakub zdał sobie sprawę, że nawet nie ma na sobie koszulki i stoi przed żoną w wymiętych spodenkach dresowych.

– Przepraszam. – Podeszła do niego i złapała go za dłoń. – Staralam się...

– Od kiedy? – Zaszło mu w ustach i zrobił krok do tyłu. Nie chciał jej teraz przytulać i przyjmować na klatę wszystkich łez. „Od kiedy mnie nie kochasz?” – dokończył pytanie w głowie.

– To trwa od zeszłego roku – wyjąkała. – On...

„No jasne! Jest on. Ale ze mnie jeleń!” – pomyślał. Podczas gdy Zommer się spalał, żeby przywrócić ich związek na dawne tory, Wiola planowała, jak i kiedy go zostawić. Pieprzyła się z nim w poniedziałek, ale myślała o kimś innym.

– Nie kończ. Nie mam na to teraz siły. – Nachylił się do szuflady z rękawiczkami Artura. Drżały mu mięśnie, ona płakała. Jakub robił wszystko, byle nie patrzeć w stronę Wioli. Gdyby spojrzął, nie byłoby już ratunku. Musiałby pozwolić jej odejść.

– To Paweł...

Przekładał rękawiczki z miejsca na miejsce, zaciskając pięści na skórzanych palcach. A jednak potrafiła go jeszcze zaskoczyć. Tego nie przewidział.

– Wyjdź... – wyszeptał. – Wypierdalaj!

Głos Wioli dobiegał do niego przytłumiony. Zommer wyjął z szuflady opakowanie z kartami.

– Kasia się dowiedziała...

Patrzył na rewers karty i czuł gorące dreszcze, które spadały mu na kark raz za razem. Skrzydła wyglądały jak wyrzeźbione z drewna. Ciepły brąz przechodził w gradient, by ostatecznie zmienić się w czerń zakończoną jasnymi kropeczkami. Wszystko przykrywały cienkie linie, fale imitujące słoje. Gdyby ta ćma zasnęła na pniu drzewa, nigdy nie zdołałby jej dostrzec.

– Zagroziła, że powie o wszystkim tobie. Paweł chciał jej wszystko wyjaśnić...

Kuba próbował wymacać w kieszeniach swój telefon, ale przypomniał sobie, że zostawił go w łazience. Kiedy mijał Wiolę, a ta próbowała go zatrzymać, odtrącił ją.

Pięć nieodebranych połączeń i dwa esemesy. Od Leny.

„Kasia i Jasiek kontaktowali się z tą osobą w sobotę rano. Znaleźli w rzeczach Rafała zdjęcia, na których ten mężczyzna go wykorzystuje. Zadzwoiłam pod ten numer i myślę, że popełniłam błąd. Boję się, że coś mi się stanie”.

Znał numer, pod który dzwonili Kasia i Jasiek. Zanim wyszedł, zdążył założyć bluzę.

– Dokąd idziesz? Kuba? Teraz wychodzisz? Właśnie teraz? Kurwa, nie wierzę! Kuba!

Zapadła noc. Ulice pokryła gruba kołdra ciężkiego powietrza. Mimo otwartych okien w samochodzie Zommer nie miał czym oddychać. Podjechał pod komisariat i wziął broń, którą musiał zdać, kiedy udał się na urlop okolicznościowy. Ważył ją chwilę w dłoni, zastanawiając się, czy będzie musiał jej użyć. Nie chciał tego, ale bał się, że nie będzie miał wyjścia.

Dom Leny znajdował się zaledwie kilometr dalej. Po pięciu minutach parkował na wjeździe do jej działki. Światło z kuchni oświetlało kawałek trawnika na podwórku. Jakub zajrzał do środka, ale kiedy nikogo nie zauważył, podszedł do drzwi. Jego organizm wspinał się właśnie na wyżyny możliwości. Wyrzut adrenaliny dał mu siłę, żeby zrobić pierwszy krok, a potem kolejne. Nacisnął klamkę w drzwiach.

– Lena! – zawołał, pokonując schody. Zajrzał do każdego pokoju w domu, łazienek i piwnicy. Nie wychwycił żadnego dźwięku poza własnym oddechem i krokami. Wyglądało na to, że jest sam.

Zaczął gorączkowo przesuwając doniczki na parapecie w kuchni. Lena napisała, że zostawia dyktafon. Na ziemię spadł obrazek, który stał oparty o doniczkę z martwym kwiatem. Kuba nie miał czasu, żeby go podnieść. Przez przypadek nadepnął na róg drewnianej ramki i usłyszał trzask łamanego drewna.

Dyktafon okazał się mały i poręczny. Genialny pomysł. Lena musiała działać w stresie i pośpiechu, a zrobiła tak wiele, żeby ułatwić mu sprawę i zapewnić sobie bezpieczeństwo. Zrobiło to na nim wrażenie. Spojrzał na wyświetlacz – nagranie trwało godzinę. Czyli był w plecy sześćdziesiąt minut.

Nacisnął play. Patrzył na drzazgi drewnianej ramki na podłodze. Z obrazka spoglądał na niego lis z dumnie wyprężonym grzbietem. Coś się jednak nie zgadzało. Ze środka wysunął się kawałek kartki. Kuba podniósł ramkę do góry i oderwał tekturę, która została przyklejona do blejtramy. Patrzył na cztery fotografie, które ktoś ukrył w środku płótna, i czuł, że rozsypało się właśnie wszystko, co znał.

– Pablo? – Na nagraniu z dyktafonu wyraźnie wychwycił głos policjanta. Ten koleś na własne życzenie pakował się w najgorsze bagno. Nie mógł go słuchać. Potem pojawił się Artur. Mówił tak spokojnie i tak przekonująco, że Kuba sam by mu uwierzył.

Tyle lat wierzył.

Słuchał dalej i sprawdzał swoją komórkę.

Czy to możliwe, że pojechali samochodem Pawła? Włączył lokalizację pluskwy, którą wciskał pod siedzenie policjanta zaledwie kilkanaście godzin temu. Zostawił komórkę w łazience, a potem tak długo słuchał wywiadów ojca z Madejem, że przegapił powiadomienia o lokalizacji tego zdradzieckiego gnoja i telefon od Leny.

Jak zwykle za późno. Jak zwykle coś spierdolił i przeoczył.

Stres narastał. Jakub czuł się zamknięty w cholernej klatce. Jak zwierzę, które nie ma szans na ucieczkę. Musiał się ruszyć, ale kark mu sztywniał na samą myśl o tym, z czym przyjdzie mu się zmierzyć.

Samochód Pabla zatrzymał się niedaleko Góry Węży, o której ojciec wspominał w swojej książce. Kuba wybrał numer do Mariki.

– Marika, wysyłam ci lokalizację, przyślij oddział. Wiem, gdzie jest Jasiak Potocki. – Jakub już wsiadał do swojej kii i ruszał przed domu Leny.

– O czym ty mówisz? – odpowiedział mu zaspany głos.

– Pomóż mi, proszę – wydusił z siebie. Nie był w stanie normalnie z nią porozmawiać.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak jak teraz. Wszystko wymykało mu się z rąk.

– Jakub, boję się, że zwariowałeś. Jesteś sam? Kuba?

– Po prostu to zrób. Proszę!

Usłyszał szmer. Domyślił się, że Marika musiała wstać z łóżka i się ubierać.

– Jeśli robisz sobie jaja albo coś sobie uroiłeś, to nie rączę za siebie. Prześlij mi tę lokalizację.

Kuba wyjechał na drogę wojewódzką i wcisnął gaz. GPS pokazywał, że w najlepszym wypadku będzie jechał czterdzieści minut.

Na gładkich pejzażach wspomnień Kuba wyraźnie dostrzegał rysę. Szczelinę, która rosła z każdą chwilą. „Jak to możliwe, że wcześniej tego nie dostrzegałem? Co jest ze mną nie tak?” Ojciec musiał wejść w jakiś chory związek z jego kolegą z dzieciństwa. Kasia i Jasiak znaleźli zdjęcia i skonfrontowali się z ojcem. Dlaczego nie przyszli z tym do niego? Czego zażądali

w zamian od Artura? Pieniędzy? Na operację małej Poli?

Trzydzieści minut do celu. Jakub wyczuł pod stopą pedał gazu. Wskazówka na liczniku pokazała sto dwadzieścia.

Nagle wspomnienie działki w letnie, gorące popołudnie. Wiatrak w rogu pokoju przywiewał wątpliwej jakości chłód. Ledwie muskał błyszczące od potu przedramiona i twarze. Ojciec bez zarostu, jego gładka twarz wyglądała zupełnie inaczej. Kuba bał się, że ta twarz należy do kogoś innego.

– Tato, dlaczego jesteś taki zmęczony? – zapytał, przyglądając się przymkniętym powiekom Artura. Zastanawiał się, czy za chwilę nie zacznie chrapać.

– Musiałem zrobić coś bardzo ważnego – mówił, ledwie poruszając wargami.

Jakub jak zaczarowany wodził wzrokiem za dłonią ojca, kiedy sięgał po papierosy. Coś spadło na podłogę.

– Tato, czy ty się czasami boisz? – Nachylił się, żeby mu to podać. Dama trefl z dumnym spojrzeniem i coś dziwnego na rewersie. Położył kartę na stole. – Zagramy? – zapytał z nadzieją. Tak długo nic razem nie robili.

Artur schował kartę do kieszeni. Żar z papierosa spadł na obrus, wypalając małą dziurkę o czarnych krawędziach.

– Nie masz szans ze mną wygrać. Zmykaj do kolegów, muszę odpocząć.

Dwadzieścia minut do celu.

Ojciec, który się uśmiecha i tańczy z matką na parkiecie podczas jakiegoś wesela. Wtulony w jej szyję ze wzrokiem tak smutnym, że nie dało się na to patrzeć. Samotne wieczory mamy, które spędzała przed telewizorem, z ulubioną telenowelą. Powroty ojca, zawsze tylko na chwilę i nigdy w całości. Część niego zostawała gdzieś poza domem. Do tej części nikt nie miał dostępu.

Usta mamy, bordowe od wina.

„Dlaczego to robisz? Dlaczego zawsze się odsuwasz? Czy ty mnie kochasz? Czy ty w ogóle cokolwiek czujesz?”

Dziesięć minut do celu.

Kuba docisnął gaz. Sto czterdzieści na liczniku. Pięćdziesiątka ojca. Biba w domu z tortem i tatarskim. Wódka, którą Jakub po raz pierwszy poczuł na języku. W pewnym momencie zorientował się, że Artura nie ma. Wyszedł na podwórko, żeby go poszukać.

– Tato!

Ciemny kształt przy płocie z żarzącym punkcikiem w powietrzu się poruszył.

– Goście cię szukają – powiedział Kuba, kiedy do niego dobiegł. Nie założył butów, stopy miał mokre od rosy.

– Masz, nie powiem mamie. – Ojciec wyciągał w jego stronę rękę z papierosem. Ledwie trzymał się na nogach.

Kuba zaciągnął się najmocniej, jak potrafił. Dym wypełnił płuca, czuł ciężką, śmierdzącą szmatę na klatce piersiowej i w ustach. Upuścił szluga i czekał, aż zgaśnie od mokrej trawy. Kaszel zgiął go wpół.

– Podnieś go z ziemi i spal do końca – powiedział Artur. Dopiero po chwili Kuba się zorientował, że to nie żart. – Podnieś go, gówniarzu. Słyszałeś?

Mokry ustnik, bletka, która nie chciała się zapalić. I wzrok ojca, który patrzył na każdy jego ruch tak długo, aż zgasł żar.

– Jesteś do niczego – wycedził Artur, odrywając się od płotu.

Pięć minut do celu.

Kuba wjechał w boczną leśną drogę. Las zrobił się gęsty i ciemny. Liście szurały po

drzwiach samochodu. Zastanawiał się, gdzie powinien zaparkować. Kiedy GPS pokazał, że pozostało sześćset metrów, Zommer zatrzymał się i wyłączył światła. Postanowił, że rozsądniej będzie posuwać się pieszo. Włączył latarkę w telefonie i biegł do samochodu Pabla.

Usłyszał ciche pomruki burzy gdzieś daleko. Na jego skórze osiadła mżawka. Zobaczył kontur samochodu, zaśwycił latarką, ale nie dostrzegł nikogo w pobliżu. Metal uderzał o metal. Coś zgrzytnęło. Wyłączył latarkę i schował się za autem Pawła.

Oddech. Szybki oddech drugiej osoby. Próbował dostrzec tę postać. Kontury rozmazywały się w ciemności, ale przecież wiedział, kto to jest. Ojciec próbował go złowić światłem, przy okazji podświetlając miejsce, gdzie się znajdowali. Kuba dostrzegł betonowe włazy, którymi usiana była niewielka łąka przed samochodem. Skojarzyło mu się to ze schronami.

Światło musnęło czubek jego głowy. Nachylił się, ale zrobił to zbyt wolno. Najpierw usłyszał stłumione kroki, a potem zobaczył szybko oddalający się kształt. Ojciec zaczął uciekać. Kuba wyjął broń zza pasa i ją odbezpieczył.

Dlaczego nikt nie krzyczał? Skąd ta pieprzona cisza?

Podbiegł do miejsca, z którego wyszedł Artur. Zauważył schody prowadzące w dół, do małego przedsionka z surowej cegły. Kiedy Kuba po nich schodził, drobne kamyczki turlały się w dół i chrzęściły mu pod stopami. Na końcu uderzały w metal. Skierował światło przed siebie i zobaczył masywne drzwi z małą szybką. Złapał za zardzewiałą klamkę. Wajcha nie ustąpiła nawet na milimetr, chociaż włożył całą siłę w to, żeby ją poruszyć. Potrzebował klucza, którego nie miał. Serce wpadło w galop. Czuł, że jego mięśnie napinają się bezwiednie, pot spływał wzdłuż kręgosłupa.

I ta cisza, która nie mogła zwiastować nic dobrego. Skierował światło latarki z telefonu na małą szybkę, chociaż paraliżował go strach przed tym, co zobaczy.

Szare ściany z pionowymi kreskami w kolorze rdzy. Domyślał się, że to stara krew. Szmaty i różne przedmioty skłębione w kątach.

„Kto nosi plecaki i bluzy z kapturem?” Wiedział, że ogląda miejsce kaźni, a te brudne rzeczy należały kiedyś do dzieci. Jego serce waliło tak mocno, że czuł, jakby sam zmienił się w puls.

A światło powoli odślaniało przed nim kolejne mroczne tajemnice. Kości i truchła zwierząt, sznury, wiadro, zakrwawiona dłoń zaciśnięta w pięść. Przesuwał smugę latarki coraz wyżej i dopiero po chwili dotarło do niego, że patrzy na leżące na wznak Pabla. Krew dookoła niego rosła, rozlewając się coraz dalej po brudnym betonie. Jakub nie widział rany, ale wiedział, że jeśli policjant za chwilę nie otrzyma pomocy, umrze. A tego nie chciał. Nawet jeśli nim gardził. Między życzeniem komuś śmierci a przyglądaniem się, jak traci życie, jest jeszcze cała gama pośrednich emocji. Wolał mordować go w myślach niż nie udzielić mu pomocy.

Kuba znowu złapał za klamkę i szarpał za nią, a kiedy to nie przyniosło rezultatu, zaczął kopać butem w drzwi.

„Gdzie Lena i Jasiek?” – myślał. Przypomniał sobie, że łąka była usiana włazami. Czy obok każdego z nich znajdowały się podobne schody i drzwi? Czy tam, w środku, też będą plecaki i bluzy? Smugi krwi na ścianach?

Śwycił telefonem i zauważył tuż po prawej dwie nieruchome sylwetki, skulone i przytulone do siebie. Rozpoznał, że to Lena i Jasiek. Ale nie patrzyli na niego. Lena przesuwiała dłonią po głowie Jaśka.

Zommer wziął do ręki kamień i zaczął nim walić w drzwi.

– To ja! Tu Kuba! Jestem tu, słyszycie? – wydarł się tak głośno, że zabolalo go gardło.

Lena wstała i chwyciła się, podeszła do szybki.

Ile to mogło trwać? Sekundy, a on bał się, że ojciec w tym czasie uciekł za daleko i już nigdy nie zdoła go dogonić.

– Zaraz po was wrócę!

– Nie zostawiaj mnie tutaj! – Czytał słowa z ruchu jej warg. – On umiera.

Kuba nie wiedział, o kim mówi. O Jaśku czy Pawle?

Położył palce na szybcie i kiwnął do niej głową. Że wie, że jej nie zostawi.

– Pomoc jest w drodze – powiedział Jakub.

Potem wybiegł na łąkę i spojrział w stronę, w którą wcześniej pobiegł Artur. Czy mu się wydawało, czy tam, przed sobą, zauważył mignięcie światła? Wysoka trawa smagała mu łydki, kiedy rzucił się w pościg w stronę lasu.

Cisza.

Skąd ta pieprzona cisza?

Szumiało mu w uszach, usta miał suche i spierzchnięte. Koszulkę porwał o gałęzie drzew, wiatr oddychał mu prosto w rozgrzane plecy. Mokry zapach lasu wyostrzył jego zmysły. Biegł, przeskakiwał przez powalone pnie drzew, a kiedy było trzeba, brnął po kostki w gęstym podmokłym poszyciu. Tak blisko. Bliżej.

Teraz wyraźnie widział światło latarki prześlizgujące się po korze drzew. W końcu zobaczył też plecy ojca. Szerokie ramiona opinała czarna bluza.

– Tato!

Mężczyzna przed nim się nie odwrócił. Jakub słyszał serce tłukące się o żebra i trzask igliwia. Znał ten stary las ze snu. Ten wielki głąz, olbrzym, który przysiadł na chwilę. Drzewa przewrócone przez wicher i nadpalone kikuty brzoź. Stare wiedźmy wyciągające sękaty paluchy i drapiące go po twarzy.

– Tato!

Ojciec zatrzymał się pośrodku niewielkiego zagajnika. Założył ręce za głowę i powoli odwrócił się w stronę Kuby. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy kilka godzin temu mijali się w drzwiach. Jak to możliwe? Artur patrzył Jakubowi prosto w oczy.

– Z tyłu mam broń. Wyciągnę ją teraz i włożę do ust. Rozumiesz mnie, synu? Zrobię to powoli, będziesz widział każdy mój ruch. Nie musisz nic robić.

– Nie ruszaj się! – Kuba uniósł broń.

– Zrobię to, ale jeśli się boisz, strzelaj w głowę albo w serce. Wiem, że trafisz. Nie widzę innego końca. Rozumiesz? – Artur powoli opuszczał ręce. Podświetlona postać na plamie czerni. Wyglądał jak aktor na scenie. Ile z tego wyreżyserował? – Pozwól mi zrobić to za ciebie. Ty nie jesteś mną, jesteś inny. Zawsze to wiedziałem.

– Dlaczego? – zapytał. – Kasia? Kto miał być następny? Kto był przed nią?

Artur nie odpowiedział. Jakub czuł, chociaż to było ir-racjonalne i pozbawione sensu, że całe życie zmierzał dziwnymi, krętymi ścieżkami właśnie do tej chwili. Do momentu, w którym będzie decydować, czy strzelić swojemu ojcu w głowę czy w serce.

Co by się stało, gdyby opuścił teraz broń i pozwolił mu odejść?

Co by się stało, gdyby strzelił?

– Nie zasługujesz na to – powiedział Jakub. – W twoim wypadku śmierć byłaby nagrodą.

Wziął oddech, a potem nacisnął spust. Tak jak nauczył go tata.

47.

Obecnie

– I co teraz? – zapytała Kubę, który opierał się o parapet w szpitalnym korytarzu.

Lena przyniosła ze sobą Michałka. Spał w nosidelku. Objęła dłonią jego stópkę, żeby sprawdzić, jaką ma temperaturę. Poruszył się niespokojnie.

– Wszystko i nic. Nie wiem, co zrobić.

Zommer wyglądał, jakby od czwartku nie zmrużył oka. Spędzał czas na przesłuchaniach, w szpitalach i bywał wszędzie, byle nie musieć wracać do domu, gdzie policja szukała dowodów na zbrodnię jego ojca.

Dla Leny szpitalne korytarze i niewygodne krzesła przy łóżkach stanowiły codzienność. Jasiek, podłączony do rurek na OIOM-ie, przetrwał najgorsze. Zakażenie, które wdarło się w rany, nie stanowiło już zagrożenia. Pojutrze chłopak miał trafić na salę do oddziału urazowego, żeby rozpocząć rehabilitację naderwanych ścięgien. Tam, gdzie leżał Marcel. Lena jednak wiedziała, że to dopiero początek powrotu do zdrowia jej syna. Okaleczone ciało goi się szybciej niż serce.

– Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę. – Kuba zamknął twarz w dłoniach.

Lenie było go strasznie żal. Nie chciała pytać o to wszystko, co mogła przeczytać w gazetach i co opowiadali jej znajomi dziennikarze. Że Artur polował podczas pełni księżyca. Że ofiarami byli chłopcy. Najmłodszy miał dwanaście lat, najstarszy osiemnaście. „Albo ty, albo on” – tak mówił do tych chłopców, kiedy przetrzymywał ich w bunkrze i kazał robić sobie nawzajem krzywdę. Ile z tego było prawdą, a ile podkreconymi przez żądnych sensacji dziennikarzy pogłoskami? To już nie miało znaczenia.

Nie dla Leny.

Wiedziała tylko, że Jasek mógł umrzeć. Gdy o tym myślała, wpadała w panikę. Potrafiła przecież wyobrazić sobie, co czuli ci chłopcy. Była tam. Wiedziała, że chłód tych ścian i podłogi zostanie z nią do końca życia.

Artur zranił Pabla po raz pierwszy jeszcze na podwórzu w Górsku. Lena przypominała sobie jego bladą twarz, gdy leżał skrepowany na tylnym siedzeniu własnego samochodu. Wciąż analizowała, co mogła zrobić inaczej. Ojciec Kuby nie trzymał jej przecież pistoletu przy skroni. Ale miał inny przekonujący argument: „Jeśli chcesz zobaczyć Jaśka, stul mordę. Nie patrz do tyłu i na boki. Trzymaj dłonie na kolanach”.

Już w bunkrze Pablo powtarzał Lenie, że ją przeprasza. Trzymała go za rękę i zapewniała, że za chwilę nadejdzie pomoc. Prosiła, żeby się nie poddawał. Próbowała zatamować ranę, ale nie wiedziała jak. Nie był niczemu winien. Znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie.

Zmarł w karetce.

– Tak mi przykro – wyszeptała Lena.

Podeszła do Jakuba i przytuliła się do niego. Trwali tak, dopóki ona nie przestała płakać, a jego koszulka na wysokości klatki piersiowej nie zmieniła się w mokrą plamę.

Policja przeszukiwała bagna przy ogródkach działkowych, podobno roily się od dowodów. Przy Górze Węży znaleziono szczątki zwłok. Spekulowano, że jest ich siedem. Ale za kilka dni ta liczba mogła się powiększyć.

Kasia i Jasek znaleźli fotografie Artura z Rafałem. Chcieli, żeby emerytowany policjant zapłacił im za milczenie. Stary Zommer twierdził, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią chłopaka. „On nigdy nie miał zginąć. Za bardzo przypominał mi Henry’ego” – tłumaczył.

Opowiadał też coś o wypadku sprzed lat, którego sprawcą miał być Rafał. Lena nie potrafiła ocenić, czy to prawda, a dochodzenie w tej sprawie mogło ciągnąć się w nieskończoność.

Spojrzała na Kubę. Zastanawiała się, w co on wierzył? I co się z nim stanie, kiedy to wszystko się skończy?

– Myślę, że potrzebujesz teraz wsparcia. Nie tylko rodziny, ale psychologa, psychiatry. Czy ktoś ci pomaga przez to przejść? – zapytała.

Pokiwał tylko głową, dając znać, że tak. Zaciskał szczęki i dłonie. Wzruszał ramionami, napinał mięśnie. Robił te wszystkie mikrogesty, żeby się nie rozkleić. Lena zaczęła grzebać w torebce i wymacała tam podwójnego batona. Niedawno kupiła go w automacie i nie zdążył się jeszcze rozpuścić.

– Wyglądasz, jakbyś go potrzebował. – Lena podała batona Kubie i obserwowała, jak na zmartwionej twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu.

– Ale tylko połowę. Bo ty też jesteś jakaś blada.

Marcel obudził się poprzedniego wieczoru. Gdy był w sypialni, Lena zdobyła się na szczerą spowiedź. Opowiedziała mu o Rafale i o sobie. O ich przyjaźni i miłości. O tym, że ktoś go bardzo skrzywdził.

– Przepraszam cię za wszystko. Za kłamstwo moich rodziców. Próbuję ich zrozumieć i im wybaczyć. Może kiedyś... – Wciąż poprawiała mu kołdrę, chociaż wyglądała jak świeżo wyprasowana. Kiedy spał, Lena przyłożyła policzek do jego klatki piersiowej. Chciała posłuchać, jak bije mu serce. Upewnić się, że to się dzieje naprawdę. – Zabiorę cię do domu. Pozwolisz mi na to?

Pik, pik, pik. Maszyna monitorująca serce odpowiedziała za niego.

W poniedziałek rano Lena widziała Marcela tylko przez chwilę. Gdy lekarz powiadomił ją, że się obudził, na jej twarzy zamiast radości zobaczył niepewność i strach. Nie miała pojęcia,

jak z rozmawiać z chłopakiem.

– Jak się czujesz? – zapytała Lena. Zastanawiała się, czy wtedy, gdy spał, jakaś część niego nadal ją słyszała.

– Przywieziesz mojego brata?

– Oczywiście. A jutro odwiedzi cię pani Kordacka, wciąż o ciebie pyta. Chce ci przywieźć kopytka, podobno to twoje ulubione danie.

Uśmiechnął się.

To było rano, kilka godzin wcześniej. Teraz Lena siedziała na krześle i zastanawiała się, jak ubrać w słowa historię swoją i Rafała. Nie mogła już kluczyć dookoła niej. Położyła dłonie na kołdrze wnętrzem do gwiazd, słońca i księżyca. Tak bardzo chciała poczuć rękę Marcela. Dziecka, które musiało dorosnąć bez mamy.

Lena zastanawiała się, czy zdoła w magiczny sposób oddać mu przeszłość. Wiedziała, że zrobi dla niego wszystko. Jeśli tylko będzie chciał, zabierze go stąd na koniec świata. Ale gdy poprosi, żeby została, zostanie. Są w życiu tragedie, które zapowiadają koniec, ale są też takie, które mogą być początkiem czegoś nowego.

Jeden wypadek może zniszczyć życie, a drugi dać szansę na to, by przeżyć je jeszcze raz.

Marcel uchylił powieki i patrzył na nosidełko ze śpiącym braciszkiem, które Lena postawiła na sąsiednim łóżku. Jeszcze nie powiedziała mu o Jaśku. To wszystko było tak pokręcone, a ona nie wiedziała, czy Marcel jest wystarczająco silny. Ile nowych informacji naraz jest w stanie znieść.

– Opowiesz mi jeszcze raz o Rafale? – powiedział i ich spojrzenia się spotkały.

Opuszki jego palców musnęły dłonie Leny.

Chłopak z sąsiedztwa posłał jej czułe spojrzenie sprzed lat.

Podziękowania

A więc udało się.

Siedzę przy biurku, za oknem żar (serio, jest gorąco!) i piszę podziękowania do debiutanckiej powieści. Moje serce robi właśnie szalone akrobacje ze szczęścia. Gdyby ktoś kilka lat temu powiedział, że moja książka będzie stała na półkach w księgarniach, pomyślałabym, że to żart. I wcale nie chodzi o to, że nie wierzę w siebie, ale o to, jak wiele rzeczy musiało się wydarzyć, żebym dotarła do miejsca, w którym jestem teraz.

Zacznijmy od nocy zarwanych nad czytaniem książek i rodziców, którzy nigdy nie przerywali mi lektury, choć potrafiłam się w niej zatracić, zapominając o całym świecie. Nie liczył się sen, obowiązki w szkole ani w domu, tylko przygody na kartach powieści. Dziękuję, że nie gasiliście mi światła w pokoju, że nigdy niczego mi nie narzucaliście i nie komentowaliście moich wyborów. Teraz, gdy sama jestem mamą, doceniam to podwójnie! Ślę uściski do mojej siostry Zuzi, która zarwała noc, czytając *Żar*, jeszcze w bardzo surowej wersji. Zu – jesteś kochana!

Wiem, że nie postawiłabym pierwszego zdania tej książki, gdyby nie mój wspaniały mąż. Kuba, dziękuję Ci za to, że mnie wspierasz, wytrzymujesz ze mną i prowadzisz wielogodzinne rozmowy o moich pomysłach na fabułę. Jeśli kiedykolwiek policja znajdzie moje zakrwawione zwłoki, a Ty będziesz klęczał obok, to z góry wnoszę o uniewinnienie! Wiem, że życie ze mną bywa udręką, ale nigdy nie dajesz mi tego odczuć. Jesteś najlepszy, wiesz? Dziękuję moim trzem synom za to, że w przerwach od pisania mogę być ich mamą. Że rozumieją, kiedy zamykam się w swoim świecie, i wyciągają mnie z niego, gdy zapominam, że istnieje życie poza powieścią.

Ogromne podziękowania kieruję do Małgosi Wardy, która była dobrym duchem tej opowieści i zadawała właściwie pytania wtedy, gdy wątpiałam w swoje pomysły. Małgosiu – jesteś najlepszą nauczycielką pisania, jaką znam, i jestem dumna, że razem tworzymy Kuźnię Bestsellerów. Z niecierpliwością czekam na Twoje kolejne książki!

Specjalne podziękowania ślę do organizatorów Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, którego miałam okazję być dwukrotną laureatką. Dzięki MFK brałam udział w warsztatach prowadzonych przez Roberta Małeckiego oraz Zygmunta Miłoszewskiego. Panowie! Dziękuję Wam za to, że podzieliliście się ze mną swoim doświadczeniem i wiedzą. Wiele znajomości i przyjaźni zawartych podczas MFK trwa po dziś dzień. Czekam na Wasze książki, kochani! Kibicuję Wam i wierzę, że jeszcze niejeden literacki event przed nami.

Pracę policji poznałam dzięki rozmowie ze znajomą panią prokurator (pani Małgorzato – dziękuję!) oraz Pawłowi Leśniewskiemu i Marcinowi Mańczakowi, którzy dzielili się wiedzą na kursie organizowanym przez Maszynę do Pisania. Panowie są znakomitymi specjalistami i wspaniałymi ludźmi. Dziękuję również Kasi i Agacie za tłumaczenie zawłości prawa rodzinnego.

Wszystkie nieścisłości w fabule czy mało prawdopodobne wydarzenia są wyłącznie moją zasługą. *Żar* to fikcja literacka. Nic, o czym przeczytaliście, nie wydarzyło się naprawdę.

Wysłałam też uściski do mojej kochanej ekipy Czwartej Strony Kryminału! Aniu – dziękuję, że uwierzyłaś w tę książkę. Olu, dla Ciebie całusy za redakcję językową, a dla Karoliny za opiekę marketingową. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, którzy przyczynili się do tego, że moja powieść trafiła do księgarni, ale jestem Wam przeogromnie wdzięczna.

Na sam koniec chcę wspomnieć o osobach, które od początku wspierają mnie w pisarskiej drodze. Czytają pierwsze wersje rozdziałów, nie pozwalają się nad sobą użalać, dają wspaniałe konstruktywne feedback i są zawsze wtedy, gdy ich potrzebuję. Lusiu, Agnieszko, Michał, Marcin, Radek – to niezwykle, że udało nam się spotkać, że ta wspaniała znajomość trwa i dzielimy pasję pisania. Uwielbiam Was!

Drogi Czytelniku, Tobie dziękuję najbardziej. Cieszę się, że spośród tak wielu tytułów wybrałaś moją powieść. Kończę właśnie drugą książkę z nadzieją, że wkrótce spotkamy się ponownie.

Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

CHOMIKO - WARNIA

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

Podziękowania

CHOMIKO - WARNIA

СНОМІКО _ WАРNІА